

ANTOLOGIA

SPOTKANIE W PRZESTWORZACH

TOM 2

DATA WYDANIA 1982

Spis treści

Andrzej Milczarek - SEN 3

Jerzy Misiec - LABIRYNT 11

Julia Nidecka - WILKI NA WYSPIE 15

II 20

III 25

IV 35

V 40

VI 40

VII 44

VIII 47

Marek Ramus - DRWALE I DZIEWCZYNA 48

Marek Ramus - WITAJ W DOMU 68

Marek Ramus - SPOSÓB UMIERANIA 74

Maciej Parowski - BUNT ROBOTÓW 88

Maciej Parowski - TAJEMNICA HRABIEGO EDWARDA 96

Maciej Parowski - EKSPERTYZA 104

Maciej Parowski - KRACH W BRANŻY WEKÓW 107

Maciej Parowski - MUCHY 109

Maciej Parowski - TO ZDARZA SIĘ CO DZIEŃ 117

Zbigniew Pietrzykowski - ZBLIŻENIE 120

Zbigniew Pietrzykowski - GIGANCI 128

Zbigniew Prostek - PODARUNEK MORZA 134

Zbigniew Prostek - KOSMICZNA BALLADA 140

Marek Rustecki - KONTAKT 143

Jacek Rodek, Darosław J. Toruń - JEDYNY PRAWDZIWY 148

Darosław J. Toruń - HISTORIA Z NIEŻYCIOWYM ZAKOŃCZENIEM 156

Andrzej Żelazny - IDEALNE ROZWIĄZANIE 168

Wiktor Żwikiewicz - SINDBAD NA ROM 57 200

Andrzej Milczarek - SEN

W dniu, w którym to się zaczęło, czułem się jeszcze gorzej niż ostatnio. Uporczywe bóle w tylnej części czaszki nie pozwalały zapomnieć, dlaczego znalazłem się w tym nieskazitelnie białym pomieszczeniu. Doskonale pamiętałem ostre światła samochodu wyjeżdżającego niespodziewanie zza zakrętu i gwałtowny skręt, by uniknąć czołowego zderzenia z pędzącym lewą stroną szosy pojazdem. Nie widząc nic w jaskrawym świetle reflektorów, nie panując nad kierownicą, wśród chrzęstu tłuczonego szkła staczałem się ze zbocza.

Przytomność odzyskałem w szpitalu po tygodniu pustki, w której, jak koszmarny sen, przewijały się wizje nie pozostawiające w mej pamięci żadnego śladu. Lekarze nie ukrywają zdziwienia, w jaki sposób udało mi się wyjść cało z tej katastrofy. "Cało" - nie jest to określenie zbyt dokładne, niemal od stóp do głów okrywa mnie gipsowy pancerz. Najgorzej jest z głową - rekonstrukcja mojej czaszki stanowiła niemały problem dla dr. Barna - wybitnego neurochirurga. Barn nie mówi tego wyraźnie, ale sam wiem, że moja sytuacja nie jest o wiele lepsza niż wtedy, gdy przywiózł mnie tutaj sprawca wypadku. Jak mi później mówił, na zakręcie wpadł w poślizg i wyrzuciło go na moją stronę. Dziwne może się wydawać, że nie czuję teraz do niego żalu czy też nienawiści za spowodowanie tego wypadku, nawet jestem mu w pewien sposób wdzięczny. Dzięki niemu odkryłem rzeczy, których istnienia nie podejrzewałbym nawet w najbardziej fantastycznym śnie.

Tego dnia dręczyły mnie tak silne bóle głowy, że dr Barn polecił zrobić mi zastrzyk nowego, wypróbowanego już z rewelacyjnymi wynikami na zwierzętach, środka uśmierzającego. Specyfik był rzeczywiście doskonały, już po kilku minutach poczułem się znacznie lepiej. Jednocześnie jednak zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że coś nie jest w porządku, zasypiałem, ale nie było to normalne zapadanie w sen. Czułem jak w całym ciebie rozchodzi mi się przenikliwe zimno, bezwład ogarnia wszystkie mięśnie. W mroku, który zaczął mnie zalewać, przestawałem widzieć otaczające mnie sprzęty. Tak wyobrażałem sobie nadejście śmierci.

Po pewnym czasie w ciemności zaczęły się pojawiać barwne plamy, wyłaniać jakieś kształty. Opuściło mnie dręczące uczucie zimna i bezwładu. Mrok ustąpił miejsca przytłumionemu światłu. Rozejrzałem się wokoło i zamarłem ze zdziwienia...

Znajdowałem się w rozległym ogrodzie przypominającym scenerię z "Opowieści Wschodu" Wilsona. Jak sięgnąć okiem, rozciągały się trawniki i klomby poprzecinane ścieżkami i żywopłotami. Gdzieś wyrastały kępy krzewów obsypanych kolorowymi kwiatami. Między drzewami widziałem stada zwierząt przypominających gazy, doleciał mnie śpiew niezliczonych ptaków siedzących na gałęziach. Najbardziej jednak zaskoczył mnie fakt, że zniknęły gdzieś spowijające mnie bandaże. Z niedowierzaniem poruszyłem rękoma i wstałem spod drzewa, w cieniu którego leżałem. Nic mi absolutnie nie dolegało, czułem się nadzwyczaj dobrze. Niesamowita historia - pomyślałem - pamiętałem, że o wypisaniu mnie ze szpitala nie było jeszcze nawet mowy.

Rozejrzałem się. Niedaleko, na niewielkim wzgórzu spostrzegłem biały, nieduży dom, typowy wiejski dworek spotykany często w moich rodzinnych stronach, w Kornwalii. Na trawniku przed domem stał stół, a przy nim siedziało dwoje ludzi - mężczyzna i kobieta. Miałem nadzieję, że będą w stanie udzielić mi odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Zastanawiająca była ta okolica - nie słyszałem nigdy o zestawieniu angielskiej posiadłości wiejskiej z ogrodami Harun-al-Raszyda. Z drugiej strony podobny ogród widziałem u pewnego radzy w Indiach, kiedy odwiedziłem swojego dalekiego kuzyna.

Zacząłem już rozróżniać rysy ludzi, ku którym szedłem. Z każdym krokiem widziałem ich lepiej - i z każdym krokiem narastała we mnie pewność, że gdzieś ich już widziałem. Nie ulegało wątpliwości, że ja również stanowią przedmiot ich obserwacji, a nawet oczekują mego przybycia. Zbliżyłem się do stolika. Kobieta uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nareszcie jesteś. Długo na ciebie czekaliśmy.

- Czy my się znamy? - zapytałem zdziwiony. Dlaczego miała pewność, że znajdę się właśnie tutaj?

Kobieta spojrzała na mnie z nieukrywającym smutkiem.

- Nie powiesz przecież, że zapomniałeś już swoich rodziców! Nagły błysk przypomnienia - kominek w mieszkaniu ciotki Lizy, fotografia dwojga młodych ludzi i głos ciotki - "Zapamiętaj ich, to są twoi rodzice".

- To niemożliwe! - niemal krzyknąłem. - Oni zginęli dwadzieścia lat temu w wypadku samolotowym!

Tym razem odezwał się mężczyzna:

- To prawda, synu, w rzeczywistości zginęliśmy przeszło dwadzieścia lat temu, ale teraz żyjemy w twojej wyobraźni...

Wydawało mi się, że śnię jakiś koszmar. Sytuacja była tak paradoksalna, że zakrawała na narkotyczne halucynacje. Facet, który pozszywany przez specjalistów budzi się z "przerwą w życiorysie" w cudzym ogrodzie i spotyka ludzi podających się za jego dawno nieżyjących rodziców... Kto w to uwierzy?

- Czy moglibyście wytłumaczyć, w jaki sposób się tu znalazłem i co to za miejsce? Poza tym nie lubię, kiedy obce osoby w moim wieku mówią do mnie synu!

Kobieta łagodnie posadziła mnie w wyplatany fotelu.

- Nie denerwuj się Fil, wszystko ci wyjaśnimy, tylko najpierw musisz odpocząć. Napij się kawy, a my zaraz wrócimy. - To mówiąc wzięła mężczyznę pod rękę i wolno udali się w stronę domu.

Machinalnie wziąłem do ręki filiżankę. Zastanowił mnie jej wzór, kiedyś, gdy próbowałem swoich sił w zdobnictwie, chciałem opracować coś podobnego. Dawne czasy... Rodzice. Niewiele o nich wiedziałem, zginęli, gdy byłem jeszcze dzieckiem. W pamięci pozostały mi tylko strzępki wspomnień - ojciec naprawiający mój rower, silne, opalone ręce wprowadzające mnie w zadziwiający świat, pocałunki matki... A jednak jest w tych ludziach coś, co każe im wierzyć, choćby nawet to, co mówią, wyglądało na czystą fantazję. Już wtedy, gdy tu szedłem, miałem niejasne przeczucie, że kiedyś ich widziałem. Moi rodzice... Nie, to zupełny nonsens! Spostrzegłem, że znowu siedzą w fotelach, nie zauważyłem nawet, kiedy wrócili. Wstrząsnął mną widok małego chłopca, który był teraz z nimi. Jego twarz... To byłem ja! Tak właśnie wyglądałem, kiedy miałem około pięciu lat!

- Tak Filipie, nie mylisz się - przerwała milczenie matka (chyba jestem szalony, ale ta kobieta rzeczywiście była moją matką) - takim zapamiętałeś siebie w dniu swoich piątych urodzin, kiedy stojąc przed lustrem myślałeś, jak będziesz wyglądał jako dorosły.

- Nadszedł czas, by wytłumaczyć ci sprawy, których nie rozumiesz - dodał ojciec widząc moje zdumienie. - Myślisz, że wszystko ci się tylko wydaje. Skąd taki brak wiary we własne zmysły - widzisz nas przecież, możesz nas dotknąć, istniejemy. Istniejemy w twojej wyobraźni, ty również się teraz w niej znalazłeś. Przekroczyłeś barierę, która oddziela świat twojej wyobraźni od świata rzeczywistego, zapewne dzięki temu zastrzykowi. Bywałeś już tutaj we śnie, ale wątpię, czy zachowałeś w pamięci te

wizyty.

- Więc w tej chwili śnię?

- Można to i tak nazwać. Twoja świadomość kontaktuje się teraz z wyobraźnią, synu. Wszystko, co cię tutaj otacza, stanowi odbicie świata takiego, jakim go chciałeś widzieć w rzeczywistości.

To stąd wziął się ten rajski ogród, ten dworek, widocznie podświadomie marzyłem o życiu właśnie w takim miejscu.

- Wy też jesteście wytworami mojej wyobraźni? - zapytałem.

- W pewnym stopniu - odparł ojciec.

- Nie rozumiem.

- Takimi zostaliśmy w twojej pamięci w chwili, kiedy Liza powiedziała ci o naszej śmierci. Widzisz, pamięć ludzka jest doskonała. Każde wydarzenie, mniej lub bardziej istotne, zostaje na zawsze zamknięte w sieci neuronów. Z drugiej strony, pamiętanie przez cały czas wszystkiego, co się kiedykolwiek przeżyło, byłoby koszmarem. Ten ogrom informacji uniemożliwiłby normalne funkcjonowanie mózgu. Dlatego przyroda nałożyła nam pewnego rodzaju "hamulec bezpieczeństwa" - rzeczy błahe lub dawno minione zapominamy. Dokładnie rzecz biorąc, tylko wydaje nam się, że je zapominamy, w rzeczywistości ich istnienie przenosi się do naszej podświadomości. Tylko jakiś wstrząs lub specjalne techniki, powiedzmy hipnoza, pozwalają odczytać z niej pamięć rzeczy minionych. Pamięć i wyobraźnia człowieka tworzą specyficzny świat jego przeżyć i poglądów, w którym jego umysł znajduje schronienie po dniach wrażeń nie zawsze dla niego przyjemnych...

- Mówisz o śnie?

- Oczywiście. We śnie następuje reinkarnacja psychiczna, duchowe odprężenie.

- Dlaczego po przebudzeniu nic nie pamiętam z pobytu tutaj?

- Nie uważałeś Filipie - powiedziała matka - ojciec mówił ci, że świadomość w czasie snu jest wyłączona. Podświadomość natomiast nigdy nie przekracza bariery rzeczywistości, nigdy więc na jawie nie przypomnisz sobie tego, co robiłeś, lub raczej co wydawało ci się, że robisz we śnie.

- Wobec tego nie będę pamiętał również tej rozmowy?

- Teraz sytuacja jest odmienna, dzięki lekarstwu, które ci dano, śniesz na jawie. Prawdopodobnie gdy czas jego działania się skończy, odzyskasz przytomność i będziesz pamiętał wszystko, co tu przeżyłeś. Wrócisz do swego realnego świata, a tutaj przychodzić będziesz jedynie we śnie...

- Ciekawi mnie skąd to wszystko wiecie? Skoro jesteście wspomnieniem moich rodziców, to co możecie wiedzieć o moim życiu, marzeniach, które miałem już po waszej śmierci!?

- Sprawa nie jest prosta. Sami nie wiemy, w jaki sposób możliwa jest nasza egzystencja. Kiedy uzyskaliśmy świadomość istnienia, z każdą chwilą dowiadywaliśmy się nowych rzeczy. To było jak napełnianie pustego naczynia. Byliśmy - ojciec zawahał się - tworzeni. Tak, to jest właściwe słowo. Bez żadnego udziału z naszej strony zyskiwaliśmy doświadczenie, powstawał twój świat wyobraźni. Z czasem jednak przekonaliśmy się, że możemy wpływać na nasze losy, wyzwoliliśmy się spod twego wpływu. Wkrótce ty sam zacząłeś nas odwiedzać i przekazywać nam swoje przeżycia, i to właściwie wszystko. Teraz nie masz chyba już więcej pytań, zwłaszcza, że za chwilę powinna się zjawić Alicja.

- Któż to taki?

- Stanowiła twój ideał kobiety około dwóch lat temu, kiedy zerwałeś z Julią. Twoje wyobrażenie o niej nie jest jeszcze kompletne, brakuje jej charakteru, nie jest "dopracowana". Niemniej jednak rozwija się samodzielnie, a co najważniejsze jest w tobie zakochana. Bądź dla niej miły, ona nie wie, że dziś będzie dla ciebie obca.

To mówiąc matka wzięła małego (kogo właściwie - mnie, jego?) za rękę i poszli z ojcem w stronę domu. W drzwiach ukazała się jakaś dziewczyna, zbiegła po schodach, podeszła do nich, przez chwilę

rozmawiali. Matka mówiła jej chyba o mnie, bo pokazywała w moją stronę. Ciekawe, jak też może wyglądać kobieta-ideał, pomyślałem. Dziewczyna podeszła do mnie. Nie przypuszczałem nawet, że moją wyobraźnię stać na stworzenie tak doskonałego piękna. Figura zawodowej modelki, chmura czarnych włosów, niebieskie oczy pełne blasku, twarz jak z obrazów Boticellego...

- Cześć - powiedziała. - Kochanie, słyszałam od twojej matki, że miałeś jakiś zabieg czy coś takiego. Czy to może coś poważnego?

- Nie - odparłem drżącym z wrażenia głosem. Bałem się zamknąć oczy w obawie, by cudowne zjawisko nie zniknęło. Czasami człowiek budzi się z niewytłumaczalnym uczuciem szczęścia, nie wiedząc czym jest spowodowane. Jest z tym połączony żal za czymś pięknym, ale bezpowrotnie utraconym, jak sen o raju. Odczuwałem to teraz - przede mną stało samo piękno, piękno ucieleśnione.

- Alicja to ładne imię - powiedziałem, żeby przerwać milczenie.

- Fil, kochanie, nie wygłupiaj się, znasz mnie przecież nie od dzisiaj. Co dwa tygodnie zachwycasz się moim imieniem, jakbyś nie pamiętał, że jeszcze rok temu byłem dla ciebie Violą. I dlaczego tak dziwnie mi się przyglądasz? Zachowujesz się, jak wtedy, kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy!

Nie wiedziałem co powiedzieć. Czuję się jak zakochany sztubak. Nie wiedziałem, czy dziewczyna jest rzeczywista w tym samym stopniu co elfy czy Zwariowany Kapelusznik. Nie chciałem dać jej poznać, że jestem kimś innym niż ten, do którego obecności przywykła.

- Alicjo, dzisiaj będę się może zachowywał trochę inaczej niż zwykle, to wina tego zabiegu, ale staraj się nie zwracać na to uwagi.

- Dlaczego? Czyżby coś się stało? Zresztą nieważne, opowiedz mi o czym dzisiaj myślałeś...

Nie pamiętam już o czym z nią rozmawiałem. Wiem, że przez cały czas nie spuszczałem z niej oczu. Spacerowaliśmy po parku, płoszyliśmy zwierzęta, zaśmiewaliśmy się z głupich dowcipów. Nigdy nie czułem się bardziej szczęśliwy, choć wiedziałem, że działanie leku nie mogło trwać wiecznie. Alicja była dziewczyną mojego życia. Zupełnie nieistotny był fakt, że jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. Bez troskę zakłóciła jedynie świadomość nieuchronnego powrotu do rzeczywistości, konieczność rozstania się z Alicją.

W pewnej chwili poczułem znajome objawy towarzyszące przekraczaniu granicy między snem a jawą. Znowu ogarnął mnie bezwład, dziwna obojętność na procesy, którym podlegałem. Ze spokojem patrzyłem jak Alicja ginie w purpurowej mgłę. Usłyszałem jeszcze jej ostatnie słowa: "Wracaj prędko, będę czekać" - i całkowicie straciłem ją z oczu. Mgła zaczęła się kłębić, gęstnieć. Była wszechobecna, byłem jej częścią. Jej gęstość wzrastała jednolicie w odległości około dwóch metrów ode mnie, tak, że znajdowałem się we wnętrzu kuli, dokładniej - unosiłem się w jej centrum. Po pewnym czasie zauważyłem, że część powłoki kuli zaczyna się oddalać, zmieniając moje więzienie w rodzaj wydłużonej elipsoidy. Proces ten postępował dość szybko, toteż niebawem znalazłem się w tunelu, którego wylot odcinał się jasną plamą od purpury ścian. Wróciło ciężenie, poczułem, że mogę się poruszać. Postanowiłem wyjść z tunelu i ruszyłem w stronę majaczącego w oddali otworu. Mgła, uginając się lekko pod stopami, tłumiła moje kroki. Powodowany niejasnym uczuciem lęku przyspieszyłem kroku, w końcu zacząłem biec. Wkrótce zaczęło mi brakować powietrza, poczułem jak osuwam się na ziemię i straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem twarz doktora Barna, który wpatrywał się we mnie z napięciem.

- Nareszcie odzyskał świadomość - powiedział z widoczną ulgą w stronę kogoś, kto stał, niewidoczny dla mnie, po drugiej stronie łóżka. - Jak się pan teraz czuje? - to pytanie skierowane było do mnie.

- Nieźle - odpowiedziałem. Nie wiem dlaczego w tym momencie postanowiłem, że nie powiem o swoich przeżyciach.

- Czy może mi pan powiedzieć, co się ze mną działo? Pamiętam, że zasnąłem po tym zastrzyku...

- Właśnie to jest dziwne. Teoretycznie lek powinien dać panu ulgę i zmniejszyć ból, ale bez pozbawienia przytomności. Pan tymczasem zapadł na przeszło trzy godziny w sen podobny do letargu. Widocznie specyfik nie ma jeszcze dostatecznie sprawdzonego działania i konieczne będą dalsze próby w tym kierunku. Ciekawi mnie pana opinia na temat skuteczności tego lekarstwa, jako osoby najbardziej w tej chwili kompetentnej. Zwierzęta, na których wypróbowano jego działanie...

- Zwierzęta nie mają wyobraźni - przerwałem Barnowi i natychmiast pożałowałem swych słów.

- Co wspólnego ma wyobraźnia z działaniem tego leku? - podchwycił zaintrygowany Barn.

- Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem, widocznie nie całkiem jeszcze wróciłem do siebie - usiłowałem zbagatelizować nieopatrzone słowa. Jednocześnie zaczął mi się rysować plan powrotu do Alicji... - Doktorze, pan wspominał o konieczności dalszych prób nad lekiem. Oświadczam, że pomógł mi on rzeczywiście i gotów jestem wypróbować nadal skutki jego działania.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za chęć współpracy, ale zrobił pan już wystarczająco dużo - powiedział mężczyzna stojący do tej pory poza zasięgiem mojego wzroku. - Jestem odkrywcą tego leku i bardzo mi przykro, że stał się pan mimowolnym królikiem doświadczalnym. Moi asystenci zastosowali go bez mojej zgody, nie wiedząc, że nie skończyłem jeszcze prób. Musimy dokładniej sprawdzić jego działanie na organizmach zwierzęcych, pana zaś chciałbym zapewnić, że w wypadku wystąpienia jakichkolwiek komplikacji z winy mojego preparatu, koszty leczenia pokryje klinika.

Koszty leczenia? Oddałbym chętnie wszystkie swoje pieniądze za możliwość powrotu do Alicji. Zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób nakłonić Barna, by umożliwił mi stosowanie tego lekarstwa, jedynego środka zapewniającego mi świadomy kontakt z wyobraźnią.

Od momentu, w którym dowiedziałem się o istnieniu świata mojej wyobraźni, upłynął przeszło miesiąc. Nie zmarnowałem tego czasu. Dowiedziałem się, gdzie znajduje się laboratorium prof. Corama - lekarza, który odkrył preparat "X". Od tej pory nie było dnia, żebym nie przechodził tamtędy. Zauważyłem, że w pewnych godzinach w laboratorium nie ma nikogo. Moje wiadomości na temat wytrychów były raczej pozbawione podstaw praktycznych, toteż sporządzenie narzędzia, które zdolne byłoby otworzyć drzwi starannie zamykane przez Corama, przysporzyło mi wiele trudności. Po kilkunastu próbach, z kawałka sprężyny wyciągniętej z łóżka zmontowałem coś, co włożone w zamek nie gięło się zbyt łatwo i przy pewnej dozie szczęścia otwierało drzwi mego pokoju. Dziś zdecydowałem się. Bez specjalnych trudności dostałem się do pracowni i przystąpiłem do szukania preparatu "X". W pierwszej chwili byłem nieco oszołomiony ilością rozmaitych przyrządów i słoików z odczynnikami, lecz wkrótce doszedłem do wniosku, że ten, który mnie interesuje, powinien znajdować się gdzieś na wierzchu. Nagle usłyszałem jakiś szelest za plecami. Odwróciłem się gwałtownie i dostrzegłem klatkę, w której miało się jakieś zwierzę. Podeszedłem bliżej - duży, laboratoryjny szczur nieprzytomnie biegał pod siatką. Napis na klatce - 2 x dawka prep. "X" - z początku niezrozumiały, stał się dla mnie jasny po zobaczeniu drugiej klatki z napisem "kontrola", w której inny szczur spokojnie coś zjadał. Coram nie przesadzał - koniecznością dalszych prób - pomyślałem i rozejrzałem się wokoło. Zgodnie z przewidywaniami fiołka z preparatem stała w pobliżu klatek, tak jak i strzykawka, którą też zabrałem. Wychodząc rzuciłem okiem na zwierzę poddane działaniu preparatu. Szczur leżał nieruchomo pośrodku klatki, nie oddychał. Widok ten nie przeraził mnie - byłem zdecydowany na wszystko. Przemozna siła kierowała mnie ku wyobraźni...

- Więc jaka była według pana przyczyna zgonu, doktorze Barn? - spytał profesor Coram, przeglądając

wyniki sekcji zwłok Filipa Morrisa, pacjenta Kliniki Campbella, którego znaleziono martwego w jego pokoju. - Czy jest pan zupełnie pewien tego, co tutaj napisał?

- Nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi, choćby dlatego, że z takim przypadkiem spotykam się po raz pierwszy. Śmierć została spowodowana ustaniem procesów komórkowych w mózgu. Możemy tylko przypuszczać, że przyczyniła, się do tego nadmierna dawka preparatu "X". Wskazuje na to pusta strzykawka ze śladami leku leżąca w pokoju Morrisa, a przede wszystkim zapiski, jakie zrobił przed śmiercią.

- Być może jest to jakieś wyjaśnienie - powiedział Coram biorąc do ręki zapisane gęstym, niewyraźnym pismem kartki. - Jednorazowa dawka preparatu nie spowodowała żadnych objawów chorobowych, jeśli nie liczyć nieprzepartej chęci jej powtórzenia. Fakt ten łatwo wyjaśnić, może to być zwykły przypadek "głodu narkotycznego". Jak panu wiadomo, "X" jest pochodną kokainy...

- Czy słyszał pan kiedykolwiek o narkotyku, który dawałby tak pełne złudzenie rzeczywistości, profesorze? Żaden narkotyk nie usunie lęku przed śmiercią, a Morris, nawet podejrzewając niebezpieczeństwo, nie cofnął się przed zażyciem drugiej dawki. Widocznie to, co miało go oczekiwać, było najważniejsze. Obawiam się, że prawdy nie dowiemy się nigdy...

Jerzy Misiec - LABIRYNT

Światło było łagodne, senne i wydawało się, że ma smak dobrego wiejskiego mleka. Jego obecność dawała tyle samopoczucia snu, co i jawy.

Tom Norman długo rozkoszował się tym sufitowym światłem, po czym nagle zerwał się i kiedy chciał opuścić nogi z łóżka, już w pozycji siedzącej, zrozumiał, że łóżka nie ma, a on sam leży na podłodze w pomieszczeniu bez sprzętów, które w niczym nie przypominało jego pokoju wypoczynkowego w Instytucie Badań Literackich.

Chwilę siedział ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę. W trzech ścianach, które ostrożnie zbadał spojrzeniem nie znalazł żadnego otworu, żadnego okna ani drzwi. Uśmiechnął się, jakby postawiono nagle przed nim lustro. Powolnym ruchem, ważąc każdy gest i ubierając go w teatralne pozy, wstał, stanął na szeroko rozstawionych nogach. Chwilę stał nieruchomo, by nagle błyskawicznym ruchem zrobić obrót w stronę czwartej ściany.

- Trach, trą...

Zamiast ujrzeć rozbawione twarze swoich kolegów, starych kawalarzy, zobaczył nagą, gładką ścianę z otworem prowadzącym w głąb korytarza wypełnionego mdłym światłem. Zanosilo się więc na kawał wyższej jakości. To ciekawie skonstruowane pomieszczenie, misternie dobrane kolory i światła świadczyły o długiej i dobrej robocie - kolegów - badaczy - kawalarzy.

“Jeżeli jestem w tej chwili obserwowany okiem jakiejś zmyślnie ukrytej kamery, muszą mieć niezły ubaw. Tom Norman w westernowym geście zdębiał w pomieszczeniu bez okien, ten słynny Tom, specjalista od poezji politycznej, zgłupiał w sześciu ścianach z braku swoich ukochanych książek i wypoczynkowego tapczanu”.

Obojętnym krokiem ruszył w stronę korytarza. Dyskretnie przejechał dłonią po ścianie. Jej powierzchnia przypominała jakąś elastyczną wykładzinę plastikową. Biała podłoga korytarza była wyłożona chyba tym samym materiałem, który tłumił odgłos jego kroków. Po kilkunastu metrach oświetlenie zmieniło się w delikatny pomarańcz. Przypominało oświetlenie sypialni apartamentów w luksusowych hotelach.

Przyspieszył. Korytarz, choć piekielnie długi, również nie miał okien ani drzwi. Widocznie musiał znajdować się w podziemiach jakiegoś budynku. Światło - tym razem seledynowe - emitował lekko pofalowany sufit. Było nawet przyjemne, ale Tom Norman, czując się wciąż obserwowany przez ukryte kamery, dyskretnie oglądał ściany, by móc w którymś momencie nawy myśląc wprost w obiektyw swoim kolegom.

Światła zmieniały się teraz w coraz krótszych odcinkach. Trudne było określić cel dziwnych zabiegów konstruktorów tego obiektu. Kolor i natężenie światła zmieniały się już na przestrzeni około metra, a subtelność ich odcieni była zadziwiająca. Mimo zdenerwowania Tom Norman stwierdził, że jest to znakomity relaks dla oczu. Zreflektował się, kiedy miał już za sobą ponad stumetrowej długości korytarz pełen różnobarwnych światel. Nasłuchiwał chwilę w nadziei, że gdzieś za ścianą usłyszy jakieś odgłosy, szum ulicy. Ciszę zagłuszał tylko jego oddech. Ruszył dalej szybkim krokiem, coraz szybszym, w

końcu biegnąc przez zwariowany korytarz czuł jak przebija się przez kolejne warstwy światła niczym przez różnie zgęszczone warstwy powietrza.

Czerwony, zielony, biały, błękitny, biały, żółty, brązowy, nie, granatowy... W biegu kolory nakładały się, rozpląwały, falowały w oczach. Ich zmienność stawała się męcząca. Korytarz skręcał łagodnym łukiem w prawą stronę, by po kilkudziesięciu metrach znów prowadzić prosto, nie wiadomo dokąd.

“Gdzie mnie zamknęliście, idioci, wy wstrętnei gówniarze od awangardy i fraszki XIX w., wy parszywe świnię od realizmu francuskiego.”

Tom Norman chciał krzyczeć, ale szalony bieg wciskał słowa z powrotem do gardła. Korytarz znowu łagodnie skręcał w prawo, kolory zdawały się powtarzać, a migająca monotonia ścian sprawiała wrażenie stania w miejscu. Znów prosta, światła, łagodny zakręt w prawo, prosta...

“Ależ to stadion...” Zatrzymał się, ciężki oddech pulsował na granicy żółto-pomarańczowego światła.

“Dla kogo stadion? Kto jest w nim widzem? Po co te światła, gdzie trybuny? Tylko spokój, spokój” - położył się na podłodze. “Jestem w sytuacji nienormalnej, jestem ofiarą eksperymentu, jestem w błędnym kole”.

Przewrócił się na plecy. Falisty sufit spływał żółtym jednostajnym światłem. Po chwili zaczęło ono pulsować przechodząc niemal w brąz. Histeryczny śmiech przerwał ciszę i pulsację światła. Korytarz nie niośł żadnego echa, ściany pochłaniały wszystko. Tom Norman zaczął turlać się pod ścianę. Poczł jak pod naporem jego pleców ściana ustępuje, a on sam z uczuciem spadania zagłębia się w czerń.

Powieki rozwarł mu silny strumień światła. Powoli przyzwyczajał się do dziwnej jasności. Pośrodku pomieszczenia wielkości tenisowego kortu leżały trzy kule. Jedna z nich pulsowała oślepiającym blaskiem. Kolory kuli i natężenie pulsacji zmieniały się w nerwowym tempie. Ułożył się wygodnie na podłodze, podparł brodę na rękach i z ironicznym uśmiechem przyglądał się bezmyślnie iluminacyjnemu drgawkom kuli. Po kwadransie kula wygasła, jej rolę przejęła druga. Kiedy już trzecia kula rozpoczynała swój świetlny taniec, zauważył po lewej stronie zwykłe, drewniane drzwi.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy ujrzał za nimi najzwyklejszą klasę szkoły średniej końca lat 70-tych. Ławki, krzesła, szafy, pomoce naukowe, tablice, kreda. Wszystko było realne, nawet zapach. Powrócił do sali z kulami. Wielkimi literami, przed trzecią kulą dogorywującą w świetlnych drgawkach, napisał na podłodze: GÓWNO.

Wrócił do klasy, usiadł przy stole nauczycielskim. “Przecież to sen, brutalnie realny sen”. Na końcu klasy były kolejne drzwi. Ostrożnie uchylił je i stanął jak wryty. Oto znalazł się w swojej olbrzymiej bibliotece domowej. Półki z książkami sięgały od podłogi do sufitu. Były to jego książki, jego fotel, lampa, biurko, zdjęcie nieżyjącego brata.

Biegiem wpadł do klasy, z klasy do sali z kulami. Panowała tam smołowała ciemność. Wrócił do biblioteki.

“Kto chce mnie doprowadzić do szału, gdzie jestem, gdzie jest miejsce, w którym moją licealną klasę i moją bibliotekę domową oddzielają jedne drzwi?. To sen, to sen”. Szarpnął drzwi do klasy, panowała w niej smołowata ciemność.

“Mam na was sposób. Za dużo w was litości. Nie pozwolicie mi, abym dla waszych głupich eksperymentów szargał swoje świętości”.

Gwałtownym szarpnięciem wywrócił - najbliżej stojący regał. Książki z łoskotem zwały się w wielką stertę. Półki opróżniały się z książek. Tom Norman rwał je, deptał, miotał o ściany. Z suchym trzaskiem rozsypała się oprawiona w szkło fotografia brata. Zawartość kolejnych szuflad fruwała w powietrzu. Z dzikim okrzykiem rzucił się na portret prezydenta, pod uderzeniem fotela rozprysł się globus. Tom Norman stał się żywiołem szalejącym wśród fruujących kartek, książek, resztek mebli, drzazg, szkła i tynku.

Z pasji niszczenia wyrwał go ostry gwizd. Dochodził zza ściany. Gwizd powtórzył się kilkakrotnie.

- Wy, sukinsyny!

Z wściekłością uniósł nogę, by uderzyć podszwą w ścianę. Okazała się miękka jak powietrze. Z impetem wpadł do pomieszczenia, w którym, o ironio, stała trzymetrowa rzeźba. Była to Statua Wolności. "Wszystkim więźniom śni się wolność. Ale was ta ironia będzie kosztować". Rzucił się na rzeźbę. Poddała się łatwo uderzeniu, przechyliła się do tyłu i z głośnym łomotem rozprysła się jej skorupa. Z wnętrza wysypały się trociny. "Nic mnie nie zdziwi. Nie próbujcie mnie szokować".

Całą salę zajmowały rzeźby. Niektóre z nich znał: były to kopie słynnych rzeźb, pomników; niektóre, wyróżniające się absolutnie niepojętymi kształtami i pochodzeniem widział po raz pierwszy.

"Może chcecie mi urządzić egzamin z historii sztuki. Farfocle".

- Gówno, gówno - wrzask Toma Normana przeplatał się z łoskotem rozbijanych rzeźb. Musiało to trwać kilka godzin, bo gdy opadł na podłogę, zmęczenie pozwoliło mu tylko na jedną myśl: "Czytałem to u Robinsona. Badanie reakcji psychicznych człowieka w warunkach laboratoryjnego eksperymentu. Sytuacje eksperymentalne i pozorujące marzenie senne".

Obudziła go duszność. Poczuł brak powietrza i ciemność. Gdy usiłował się podnieść, bolesne uderzenie w głowę zważyło go na podłogę. W ciemnościach obmacywał przedmiot nad głową. Była to gładka płyta, wolno zbliżająca się do podłogi. Czołgał się we wszystkich kierunkach, wszędzie napotykał metalowe płyty. Był w klatce, metalowej klatce, której sufit wolno zbliżał się ku podłodze. Próbował, odepchnąć go nogami. Gdy zrozumiał swoją bezsilność, opuścił zmęczone nogi. Chłodny metal dotknął czoła, odruchowo uniósł zmęczone kolana, ale w tym samym momencie poczuł jak głowa rozpada się na dwie części, a zawartość czaszki rozpląwa się w ciemne korytarze.

W czasie gdy Tom Norman miotał się w metalowej klatce, Rejestrator Pierwszej Załogowej Wyprawy na Trzecią Planetę podawał dane do Głównego Mózgu.

- Egzemplarz 123, generacja wysokomózgich w hierarchii miejscowej. Wyjątkowa agresywność, brak zdolności czasoprzestrzennego myślenia, zmysł harmonii w zaniku, zdolności wizualnego kojarzenia - zero, wrażliwość językowa na barwoświatło - zero, znikoma zdolność artykulacyjna, brak rozwiniętego zmysłu miejscowych symboli kulturowych, mała pojemność pamięciowa. Deszyfrator - wyjaśnić dźwięki: gówno, sukinsyny.

- Egzemplarz 123 skasowany. Nikły potencjał energii mózgowej przekazany do zbiornika odżywki rodzaju IV. Pierwszy dzień selekcji, Planeta Trzecia, nazwa miejscowa planety - ZIEMIA.

Julia Nidecka - WILKI NA WYSPIE

I

- Wychodzę na korytarz - powiedziała Isia stojąc już w progu. Matka nie oderwała wzroku od hipnotyzatora. Jej szczupłe ręce zsunęły się z oparcia i niemal dotykały podłogi. Wydawało się, że drgają one zgodnie z ruchem białych, niebieskich i szarych plam wirujących na ekranie.

- Mogę zniknąć nawet na dwie godziny, a i tak tego nie zauważy - pomyślała i cicho zamknęła drzwi.

Aki miał czekać na nią przy wyjściu na główny szlak komunikacyjny. Biegła szybko pustymi o tej porze korytarzami, mijając setki jednakowych, szarych drzwi opatrzonych dużymi tablicami adresowymi. Na jej piętrze ludzie dawno już wrócili z pracy i zjedli obiady. Monotonna muzyka hipnotyzatorów przenikała na zewnątrz, narzucając swój rytm jej krokom. W pobliżu głównego szlaku ruch był większy. Isia przystanęła i przez dłuższą chwilę szukała wzrokiem rudej czupryny Akiego, po której nawet w największym tłumie można go było z łatwością rozpoznać. Teraz nigdzie jej nie zauważyła.

- Widocznie przyszedłam pierwsza - pomyślała i przesunęła się pod ścianę, aby nie przeszkadzać idącym.

Główny szlak komunikacyjny stanowił centrum życia towarzyskiego, kulturalnego i handlowego. Nawet gdy w hipnotyzatorach nadawano programy Velle, lub na teleściankach ukazywała się uśmiechnięta i pachnąca Kila, widziało się tu ludzi bardziej zainteresowanych czekającymi spotkaniami, czy transakcjami handlowymi, niż najmodniejszymi gwiazdami rozrywki.

Teraz też kilku pośredników kręciło się pod jaskrawo oświetlonymi oknami zamienialni. Przy wejściu do baru jakaś dziewczyna usiłowała przekonać partnera o tym, że jej wdzięki zasługują na coś więcej poza wspólnym obejrzeniem Halda. Zaciekawiona Isia przyglądała się im do momentu, gdy kobieta odwróciła się pokazując zniekształcone plecy i tyłek.

- Czego ona chce? - pomyślała - Przecież wszyscy wiedzą, że normalni brzydzą się mutantami. Powinna być zadowolona, że może jakoś chodzić, zarabiać na sobie i z tego, że normalny chce się z nią przespać. A w ogóle po co tutaj przylazła?

Obraz kłócącej się pary przesłoniła grupka zmierzająca do najbliższej zamienialni. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest to rodzina: ojciec, matka i dwoje dzieci, kroczących poważnie, w milczeniu, przejętych doniosłością chwili.

- Ciekawe, co chcą zamienić? - myślała - Ależ nie, oni przecież chcą coś kupić. Za poważni są na to, aby chodziło o zwykłą zamianę. A poza tym nic nie niosą.

Drgnęła, gdy poczuła rękę Akiego na swoim ramieniu. Obserwowanie ludzi, doszukiwanie się sensu ich poczynąń zajęło ją tak bardzo, że teraz nie chciała odchodzić stąd, rozmawiać o niczym, czy gonić się po korytarzach.

- Poczekaj chwilę - zatrzymała chłopca. - Tutaj jest zupełnie fajnie. Ciekawa jestem co oni kupią - wskazała wzrokiem wejście do zamienialni.

- Zła jesteś, bo czekałaś, a teraz udajesz, że wszystko jest w porządku - powiedział Aki.

- Głupi jesteś - wzruszyła ramionami. - Czekałam na ciebie i jakoś się na nich zapatrzyłam. To jest

ciekawsze nawet od teleścianki.

- Jakby na korytarzu było ciekawiej, to by wszyscy siedzieli tutaj, a nie wpatrywali się w słodką buzię Kili.

- A może nie wiedzą o tym? Zobacz, oni już odchodzą - pokazała mutantkę i jej towarzysza.

- No to co z tego? Chodź, lepiej obejrzymy Hałda, a potem włączymy hipnotyzator.

- Nudny jesteś z tym Haldem. Znowu będą przeżywali jakieś nieprawdopodobne przygody. Ciekawe dlaczego mnie się to nigdy nie zdarzyło?

- Widocznie nie masz szczęścia.

- I moi znajomi też go nie mają. Ty też go nie masz. Ja nie mam szczęścia, ty nie masz szczęścia, oni nie mają... - zaczęła odmieniać.

-...i to właśnie daje nam poczucie bezpieczeństwa - dokończył Aki głosem swojego ojca. Obrócił się na pięcie i odszedł.

Isia znowu zaczęła przyglądać się przechodzącym obok niej ludziom. Kilka kroków dalej stanął pośrednik - chudy, przygarbiony mężczyzna, trzymający w ręku notes. Oparł się o ścianę, włożył coś do ust i żuł zapamiętałe wpatrzony w chodnik, a może w swoje zakurzone stopy.

- Widocznie ostatnio niezbyt dobrze mu się wiodło - pomyślała - Wziąłby się lepiej do jakiejś uczciwej pracy, zamiast tak wystawać cały dzień na korytarzu. Chociaż, z drugiej strony ja też tu stoję nie wiadomo po co. Program chyba już się skończył i mama będzie na mnie czekała.

Ruszyła powoli w kierunku mieszkania. Po drodze minęła ją rodzina wracająca z zamienialni. Dzieciaki urządziły zawody w skakaniu na jednej nodze, a i dorośli wydawali się zadowoleni z dokonanej transakcji.

- W przyszłym roku my też coś kupimy - pomyślała wchodząc do mieszkania. - Teraz jest trochę ciężiej, bo przecież ja nie pracuję. Gdy skończę naukę, będę miała dużo, dużo różnych rzeczy.

Przez najbliższe dni Aki wyraźnie unikał jej. Gdy zbliżała się do jakiejś rozgadanej grupki, milkł i starał się jak najszybciej oddalić. Kiedyś chciała nawet podejść i przeprosić go, ale jeden rzut oka na chmurną twarz Akiego spowodował, że zatrzymała się udając zainteresowanie nowym fartuchem Tuli.

Zresztą nadeszły inne, ważniejsze sprawy, które spowodowały, że zapomniała o tamtej sprzeczce. Zbliżały się coroczne testy sprawności psychicznej i fizycznej. Tu nie mogło pomóc powtarzanie materiału, czy nauczenie się na pamięć najtrudniejszych fragmentów. A przecież od uzyskanych wyników zależało bardzo wiele: prawo do dalszej nauki, wysokość zarobków, a nawet całe jej dorosłe życie.

- Jeżeli dostałabym powyżej pięćdziesięciu punktów, moja nauka nic by nie kosztowała - rozważała - Gdybym miała ponad siedemdziesiąt, płaciliby mi pół grama dziennie. Pół grama - to niby bardzo mało, ale przecież to czwarta część zarobków mojego ojca. Mogłabym oddawać połowę mamie, a resztę zatrzymać dla siebie Siedemdziesiąt punktów Jak je dostać? W ubiegłym roku miałam pięćdziesiąt trzy, a nie wydaje mi się, żebym ostatnio zmądrzała. Testy są co rok trudniejsze. Co będzie?

Nadszedł oczekiwany z niepokojem dzień i Isia stała w grupie rówieśników pod białymi, szczelnie zamkniętymi drzwiami. Do środka wpuszczano ich czwórkami, zgodnie z uprzednio przygotowanym spisem. Testy były krótkie i już po godzinie dziewczynka siedziała w zamkniętej kabinie odgradzona od świata matowymi szybami. Nieco za duży hełm zsuwał się i zasłaniał jej czoło ograniczając pole widzenia. Przed nią leżały równo poukładane kartki. Pytania, pytania, pytania... Jedne krótkie, wymagające decyzji tak, lub nie, inne dłuższe z wy-kropkowanym miejscem na odpowiedź. Kartki, z których nie zetrze się żadnej litery, które zostaną włączone do jej akt przechowywanych w jednej z szaf pancernych w ulokowanym na niższych poziomach archiwum.

Płynący przez obwody hełmu prąd szumiał uspokajająco. Zaczęła pisać.

Pierwsze pytania były proste. Obejmowały materiał przerobiony w szkole, czasem dotyczyły bardziej

znanych postaci z programów telewizyjnych. Potem pojawiły się nowe, nawiązujące do jej własnych upodobań, do świata, w którym żyła. Coraz częściej spotykała słowa, których znaczenia nie знаła, nigdy nie słyszane, fascynujące swoją obcością. Jasny kosmyk włosów wyślizgnął się spod hełmu i opadł jej na oczy. Machinalnie poprawiła go, a dotknięcie twardej pokrywy osłaniającej głowę przypomniało jej, gdzie się znajduje. Po chwili pochyliła się znowu nad kartkami.

Egzamin testowy trwał.

Za matowymi szybami kabin egzaminatorzy podzielili się na grupy. Oczywiście, z zewnątrz widać było wszystkie gesty, każdy wyraz twarzy zdających. Cztery jednakowe kabiny o przejrzystych szybach, cztery jednakowe głowy pochylone nad kartkami, cztery twarze upodobnione do siebie nisko zsuniętymi hełmami. Już po zamknięciu drzwi nad każdą głową zapalił się ekran ukazujący bieg impulsów w korze mózgowej, oraz treść kolejnego pytania. Mimo całkowitej izolacji zdających egzaminatorzy mówili szeptem. Zielone punkty poruszały się po ekranach spokojnym, niespiesznym ruchem. Było gorąco i cicho.

Socjotechnik stanowiska III zapatrzył się bezmyślnie na twarz zdającej dziewczynki. Nie musiał przecież obserwować bez przerwy ekranu, aby zauważyć jakiegokolwiek odchylenie od normy. Minęło kilkanaście minut. Jeden z punktów zatrzymał się ściągając jednocześnie całą uwagę egzaminatora. Dłuższą chwilę pozostawał w bezruchu, a potem jednym skokiem przebył całą przestrzeń dzielącą go od prawego krańca ekranu. Isia po chwili namysłu wpisała kolejną odpowiedź. Zadzwoił dzwonek rejestratora i inni egzaminatorzy oderwali wzrok od swoich stanowisk. Socjotechnik powiedział:

- Dziewczyna. Dostała ze dwadzieścia punktów ujemnych. Jeszcze jedna taka odpowiedź i pożegna naukę. Wrócili do swojej pracy. Za szybą Isia uśmiechnęła się do siebie. To było bardzo trudne pytanie.

Po paru minutach była już wolna. Napięcie ostatnich dni mijało. Jutro zda testy na rozwój fizyczny, zrobiją jej badania lekarskie, za tydzień dostanie wiadomość, że przeszła przez eliminacje i znowu przez jakiś czas będzie mogła o tym nie myśleć. Przypomniała sobie tamto pytanie.

- Jak to dobrze, że w ostatniej chwili wpadłam na ten pomysł - pomyślała - Przecież zupełnie nie wiedziałam, co mam napisać.

Minął tydzień, w ciągu którego zdążyła przyzwycząć się do myśli o pozytywnie zdanym egzaminie. Wracała z zajęć w świetnym humorze. Zje szybko obiad, wybiegnie na główny szlak komunikacyjny, oprze się o ścianę i bez końca będzie przyglądała się przechodzącym ludziom. Nowa pasja pochłaniała wszystkie wolne chwile Isi, jednocześnie jednak miała wrażenie, że robi coś zakazanego, nieprzyzwoitego.

Matka powitała ją w progu i już to wróżyło nieprzyjemne wiadomości. O tej porze powinna siedzieć przed hipnotyzatorem i odpowiadać monosylabami na nieliczne pytania.

- Dobrze, że jesteś - powiedziała do córki - Za dwie godziny mamy się spotkać z dzielnicowym opiekunem. To decyzja komisji egzaminacyjnej. Jesteś pewna, że dobrze napisałaś?

- Czy jest pewna? - Isia zastanawiała się przez chwilę. Chyba tak, bo przecież inni mieli więcej wątpliwości. Przy takiej liczbie pytań trudno zapamiętać ich treść, a zresztą w niektórych przypadkach nikt nie wie, jaka odpowiedź jest prawidłowa. Tak było chociażby, gdy usiłowała dowiedzieć się co oznacza słowo "motyl".

- Raczej dobrze, ale wiesz sama, jak niewiele się wie na temat wyników - odpowiedziała.

Dzielnicowy opiekun był malutkim, grubym człowieczkiem o dobroduszej, zakłopotanej twarzy. Siedział na środku swojego gabinetu oddzielony od nich małym, wąskim stołem i władzą związaną ze swoim stanowiskiem. Założył nogę na nogę i zacierał ręce tak, jakby również denerwował się.

- Sprawa jest przykra - powiedział, gdy zajęty już miejsca dla interesantów - Moja rola w tym wszystkim też nie jest najprzyjemniejsza. Zrobiłem dla was co mogłem, droga pani Weredy, ale komisja była bardzo stanowcza. Osiągnąłem tyle, że Isia będzie uczyła się jeszcze przez ten rok. Jeżeli wyniki

następnego testu będą takie same, lub gorsze, nic już nie poradzę. Wie pani, co to oznacza?

Isia przez całą drogę przygotowywała się do tej rozmowy. Wiedziała doskonale, że do budowy jej ciała nikt nie mógł mieć zastrzeżeń. Pozostawał test na zdolności psychiczne. Ale przecież nie była gorsza niż wszyscy! W szkole uczyła się nieźle, może nawet gorzej niż mogłaby, gdyby poświęcała na to więcej czasu. Dlaczego? Zamyśliła się tak bardzo, że przestał docierać do niej głos opiekuna. Powoli zaskoczenie Isi przeradzało się w strach. Miałaby przenieść się do dzielnicy mutantów? I to teraz, gdy życie było tak ciekawe?

Nikt jej nie zmusi do tego! Może przecież mieszkać tutaj, wśród normalnych, dobrze znanych ludzi. Drgnęła słysząc swoje imię. Opiekun prosił, aby opuściła gabinet, ponieważ chciał porozmawiać z jej matką. Na wpół przytomna skierowała się do drzwi i wyszła na korytarz. Uspokajała się powoli. Potem nawet zaczęła rozglądać się dokoła. W pewnej chwili wzrok jej spoczął na tabliczce informującej o godzinach przyjęć interesantów. Podeszła bliżej i zaczęła odczytywać je bardziej po to, aby zająć się czymkolwiek, niż z rzeczywistej ciekawości. Przez drzwi wyraźnie przenikał głos opiekuna. Były niedomknięte. Isia pomyślała, że matka wychodząc na pewno to zauważy i postanowiła zamknąć je. Sięgała już do klamki, gdy usłyszała fragment rozmowy:... niech jak najczęściej ogląda programy z hipnotyzatora. I w żadnym wypadku nie wolno dopuścić, aby zwiedziła niższe dzielnice. Musi pani...

Isia ostrożnie zamknęła drzwi. Kręciło jej się w głowie. Dlaczego ma oglądać programy hipnotyzatora? Co to ma wspólnego z wynikami testu? Czego oni od niej chcą? Matka wyszła po paru minutach. Nie patrząc na dziewczynkę powiedziała:

- Zauważyłam, że nie słuchałeś i pewnie nie wiesz, jakie masz wyniki. W teście na sprawność psychiczną miałeś tylko jedną odpowiedź naprawdę niedobłą. Reszta to drobiazgi. Ale ta jedna wystarczyła. Ze względu na bardzo dobre wyniki drugiego testu pozwolono ci chodzić jeszcze przez rok do szkoły. Czy nie przypominasz sobie, w którym miejscu zrobiłeś ten błąd?

Isia zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, nie pamiętam. Mamo, co teraz zrobimy?

- Chyba nic. Zapomnimy o tym, a za rok będziemy się znowu martwić. Tylko ojciec będzie niezadowolony, ale trudno. Przekonam go, że koszty twojej nauki nie są znowu takie duże. Jakoś sobie poradzimy.

II

Następnego dnia rano Isia poszła do szkoły. Była trochę zaniepokojona, ale postanowiła, że nikt na podstawie wyrazu jej twarzy nie domyśli się wyników testu. Z bijącym sercem otworzyła drzwi i weszła do obszernego holu. Jak zawsze panował tu nieopisany bałagan. Smarkacze z młodszych klas biegali w kółko pokrzykując bez sensu, z samej tylko przyjemności robienia zamieszania. Starsi zachowywali się spokojniej, ale tu czy tam słychać było zbyt głośno nastawiony odbiornik, czy hałaśliwą sprzeczkę.

Na jej widok wszyscy zamilkli. Stała jeszcze w progu porażona tą ciszą, gdy jakiś malec krzyknął:

- O, patrzcie, mutantka!!! - i zanurkował pomiędzy rówieśników.

- Wiecie przecież, że nie jestem mutantka. Obejrzyjcie mnie - powiedziała Isia i okręciła się w kółko.

- Hi, hi, hi! Mutantka! - zaśmiał się ktoś inny - Mutantka! W główce! W główce!

Teraz chichotała już cała grupka chłopaków stojących przy drzwiach gabinetu nauczycieli.

Isia przemogła strach i ruszyła w tym kierunku. Zatrzymała się o dwa: kroki przed nimi i wtedy zobaczyła Akiego. Śmiał się razem ze wszystkimi, lewą ręką kręcąc nad głową spiralę, znak, jakim określano mutantów.

- Aki! Jak możesz!? Przecież nie raz pomagałam ci w nauce - powiedziała powoli, a jednocześnie poczuła, że zrobiła błąd i że teraz Aki zawsze będzie jej wrogiem. Nie powinna odwoływać się do jego wdzięczności, ani mówić głośno o tych sprawach.

Chłopak roześmiał się na całe gardło.

- Gówno prawda! Ja mam siedemdziesiąt trzy punkty, idiotko. A ciebie trzymają tutaj z łaski. Za rok będziesz mieszkała w piątej dzielnicy, z takimi jak ty wyrzutkami.

... Mutancicy z łaski

zrobimy kiełbaski

A jak ich spróbuje

no to się otruje

Mutancicy dzieci

zrobiły kotlecik

A jak ona zjadła

to od razu padła...

Teraz już wszyscy wyli tę idiotyczną piosenkę. Cicho otworzyły się drzwi gabinetu nauczycieli i wyjrzał dyrektor. Przez chwilę obserwował rozgrywającą się scenę, a potem cofnął się.

Isia myślała, że to nigdy się nie skończy. Wokół niej powstała pusta przestrzeń, a dalej kłębił się tłum wyrostków robiących różne miny, ryczących wyzwiska. Zadźwięczał sygnał rozpoczęcia zajęć, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Z gabinetu zaczęli wychodzić nauczyciele i dopiero to zmniejszyło nieco harmider.

Odczekała chwilę, aby przybrać dostatecznie obojętny wyraz twarzy i dlatego ostatnia weszła na salę. Nauczyciel oderwał wzrok od programatora i powiedział:

- A panna Weredy znowu spóźniona. Gdzieniegdzie odezwały się chichoty. Isia poszła na swoje

miejsce. Na zajęcia przychodziła zawsze punktualnie. Czyżby i oni? Siedząca obok niej Tułą wyłączyła swój notofon i przeniosła się na inne miejsce. Isia usiadła.

Przerwę dziewczynka przesiedziała w sali, bojąc się wyjść do holu. Następnym przedmiotem była socjologia społeczeństw zamkniętych wykładana przez miłą, tłuśną kobietę, u której Isia miała zawsze najlepsze oceny. Ona chyba nie będzie jej wrogiem? Oczywiście nie była. Ledwie zdążyła zamknąć drzwi, nie dochodząc jeszcze do programatora rozpoczęła przemówienie mające załagodzić sytuację:

- Kochane dzieci! Powiedziano mi o tym, że byliście niedobrzy dla waszej nieszczęśliwej koleżanki. Naprawdę nie spodziewałam się tego po was. Przecież ona nic złego nie zrobiła. Jeśli nawet różni się trochę od wszystkich, to jeszcze nie znaczy, że musicie ją tak traktować. Isiu, drogie dziecko, chodź tutaj! Isia machinalnie wstała i wyszła na środek klasy.

- Spójrzcie tylko, jaka to miła dziewczynka - ciągnęła nauczycielka - I wy chcieliście sprawić jej przykrość? Naprawdę bylibyście bez serca, bez sumienia? Kochane dzieci! Wiele lat pracuje z wami i nigdy nie uwierzę, że moglibyście sprawić mi taki zawód!

Isia zaczerwieniła się. W klasie narastał gwar. Z jednego z tylnych miejsc wstał Juko.

- My bardzo przepraszamy, jeżeli sprawiliśmy pani przykrość - powiedział - ale Weredy nie może chodzić do naszej szkoły. Żadne z nas się na to nie zgodzi. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli wyniesie się stąd jak najszybciej.

Klasa zachowywała się coraz głośniejsze. Nauczycielka bezskutecznie usiłowała uspokoić młodzież. Była bezradna. Isia stała na środku sali znowu samotna przeciwko zwartej grupie tych, którzy jeszcze do niedawna, byli jej kolegami. Więc tak miał wyglądać ten następny rok?

Nauczycielka podeszła do niej i powiedziała cicho:

- Biedne dziecko. Rzeczywiście lepiej będzie, jeśli pójdziesz teraz do domu. Za kilka dni uspokoją się i wszystko będzie tak, jak dawniej.

Isia czuła, że nigdy już nie będzie tak, jak dawniej. Wyszła z sali.

Do domu nie było po co iść. Matka pracowała, a po powrocie miała porozmawiać z ojcem. Isia niespiesznie ruszyła w kierunku terenów rekreacyjnych. Chciała zapomnieć o ostatnich wydarzeniach. Tyle razy marzyła przecież o tym, by móc posiedzieć wśród zieleni wtedy, gdy jest cicho, a nieliczni przechodnie nie przeszkadzają myśleć. Usiadła na kamieniu. Chwilę trwała w bezruchu usiłując zapomnieć o tym, co ją spotkało. Nie było to łatwe. Mimo jej sprzeciwu wracały niedawno przeżyte wydarzenia: znowu była w kabinie, a przed nią leżał stosik kartek z pytaniami. Potem przypomniała sobie rozmowę z opiekunem i podsłuchane słowa:... w żadnym wypadku nie wolno dopuścić, aby obejrzała niższe dzielnice... Dlaczego miałyby nie zwiedzić dzielnicy mutantów? Przecież wszyscy uważali, że tam tylko jest odpowiednie dla niej miejsce. Powiedzieli to bardzo wyraźnie.

Wstała z kamienia. Czuła, że musi coś zrobić, aby nie poddać się ogarniającemu ją przygnębieniu. Zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku najbliższego szlaku komunikacji między-poziomowej.

Zjeżdżała w tłumie ludzi. Obok niej przesuwali się mężczyźni, kobiety... Jedni wsiadali, inni wysiadali, jedynie Isia jechała wciąż w dół, tam, gdzie nigdy jeszcze nie była. Do dzielnicy mutantów.

Stopniowo tłum zrzędł, a potem została sama. Wysiadła na 16 poziomie piątej dzielnicy i szybko ruszyła przed siebie. Dopiero po przejściu paru kroków stanęła i rozejrzała się dokoła. Więc to tutaj ma żyć?

Korytarze były brudne i chyba to w pierwszej chwili wydawało się jej najgorsze, pomijając oczywiście hałas i tłok panujący w zbyt wąskich przejściach. Dziewczynka odruchowo strzepnęła fartuszek. Tutaj na pewno nie mogłaby stanąć oparta o ścianę i patrzeć na przechodzących obok niej ludzi. Ludzie - czy wszyscy z nich byli ludźmi?

Nigdy nie wyobrażała sobie, że sama natura może stworzyć tak potworne istoty. Normalny człowiek

jest zbudowany symetrycznie: dwie ręce i dwie nogi są umieszczone po przeciwnych stronach korpusu i mają tę samą długość. Głowa znajduje się na cienkiej, niezbyt długiej szyi i jest najwyżej położoną częścią ciała. Tutaj wszystkie te reguły zawodziły. Liczba kończyn była zmienna, jedni mieli ich siedem, czy osiem, inni dwie, a niektórzy jedną. Wielkość głów też była różna, począwszy od zupełnie maleńkich, niewiele szerszych niż szyja, a skończywszy na olbrzymich głowach, wielokrotnie przerastających głowę Isi. Niektórym wyrastały ogony, których nawet nie starali się ukryć pod odzieżą. Obok przechodził człowiek o olbrzymiej twarzy, dorównującej niemal rozmiarami reszcie pokrytego długimi włosami ciała. Szerokie, bezzębne usta uśmiechnęły się do niej i dziewczynka wzdrygnęła się ze wstrętem. Stała patrząc na tłum, którego częścią miała zostać wkrótce. Pierwsze oszołomienie mijało i jedno tylko było pewne: ludzie co prawda wyglądali tu inaczej, ale przecież ci normalni jej nie chcieli. Czy zdoła przyzwyczać się do nowych warunków?

Odrażające wrażenie sprawiły nie myte, zniekształcone ciała okryte strzępami odzieży. Na jej poziomie nikt nie odważyłby się wyjść na korytarz w równie skąpym stroju. Oczywiście, po wprowadzeniu ostatniego systemu oszczędności materiałów obowiązująca moda kolejny raz uprościła się, niemniej jednak fartuchy zakrywające podbrzusza były ozdobne i miały wyszukany krój. Podobnie, mimo wysokiej ceny nikt nie ograniczał zużycia wody.

- Bardzo tu obco - pomyślała i zaczęła szukać w tłumie ludzi zbudowanych tak, jak ona. Było ich sporo, dużo więcej niż zauważyła w pierwszej chwili. Po prostu nie rzucali się w oczy.

- Im jest chyba łatwiej - skostatowała - Zawsze mogą pojechać na wyższe poziomy. Przez tyle lat wszyscy uważali, że jestem normalna, więc chyba i oni mogą chodzić swobodnie.

Przez tłum przeciskała się jakaś kobieta. Gwałtownymi ruchami rozsuwała przechodniów. Głowa jej wynurzała się, to znów ginęła w ciżbie. Wydawało się, że ma ona otwarte usta. Nieznajoma dotarła wreszcie do luźniejszego przejścia i jeszcze szybciej ruszyła w kierunku dziewczynki. Gdy była już o kilkanaście kroków od niej Isia zrozumiała, że kobieta coś krzyczy, ale jest zagłuszana przez tłum. Nieznajoma podbiegła i przytuliła ją mocno do siebie.

- Mój synek! Mój maleńki! - wyła.

Isia nic z tego nie rozumiała. Dorastała i każdy bez trudu, nie patrząc nawet na wzory fartuszka mógł rozpoznać jej płęć.

- Mój synek, synek! - zawodziła kobieta ciągnąc ją za sobą. Dziewczynka usiłowała opierać się i wrywać trzymaną rękę. Wokół nich powstało zbiegowisko.

- Nie przejmuj się mała - powiedział jakiś karzeł, którego jedna noga miała pięć stawów, a druga dwa - Ona zawsze była głupia. Przed rokiem zabrali jej syna i wciąż go szuka. Mogli jej dać jakiegoś zmutowanego, nawet by go nie poznała.

- Jak to, zabrali jej syna - zaprotestowała Isia - Przecież tego nie wolno robić!

- Wolno, wolno. Normalny był, to go i zabrali. A co, miał się tu chować? - roześmiał się i dodał - Poczekaj, pomogę ci.

Po chwili była wolna.

- A teraz zmykaj - powiedział.

Przerażona pobiegła w kierunku szlaku komunikacyjnego. Z ulgą patrzyła na kolejno zmieniające się numery piętér. Nareszcie była bezpieczna.

Gdy znalazła się na swoim poziomie niewiele jednak pozostało z uczuć towarzyszących jej w drodze powrotnej. Było późno i musiała wracać do domu. Ojciec wie już o wszystkim. Jak to przyjął? Ostrożnie otworzyła drzwi mieszkania. Matka jak zwykle siedziała w jedynym w domu fotelu (na drugi nie było ich stać), ale hipnotyzator nie był włączony. Widząc córkę wstała.

- Jesteś pewnie głodna - powiedziała - Obiad czeka na ciebie. "Co z ojcem" chciała zapytać, ale to

proste zdanie nie mogło jakoś przejść jej przez usta. Poszły do kuchni, gdzie matka nacisnęła wyzwalacz syntetyzatora.

Dziewczynka usiłowała jeść z apetytem, ale miała wrażenie, że zawartość jej talerza raczej rośnie, niż się zmniejsza. Przesiedziała nad obiadem około dwudziestu minut i prawie nietknięte danie zsunęła do zbiornicy odpadków organicznych.

III

Przez kilka następnych dni Isia nie chodziła do szkoły. Długie godziny spędzała zgodnie z prośbą matki przed ekranem hipnotyzatora. Było to bardzo nudne i wiele razy zastanawiała się, co też ciekawego ludzie w tym widzą. Gdy rankiem siadała w fotelu i włączała aparat, wydawało się jej, że nie wytrzyma dłużej, niż parę minut. Potem jednak obserwując monotonne drganie wielobarwnych plam, figur geometrycznych i falistych linii zapadała w rodzaj półsnu, z którego budził ją dopiero powrót matki. Wiele godzin spędzały teraz razem, zwykle w całkowitym milczeniu. Isia była senna i otepiała. Nie wiedziała, czemu to przypisać. Czy zawinił hipnotyzator, czy brak codziennych spacerów na główny szlak komunikacyjny, czy może jedno i drugie? Dni wlokły się powoli, jednostajnie. Potem zaczęła chodzić do szkoły.

Nauczycielka nie myliła się - do otwartych wystąpień przeciwko Isi dochodziło rzadko. Dziewczynkę po prostu bojkotowano. Nikt nie siedział obok niej, a i najbliższe miejsca były puste. Kiedyś myślała, że ma kilka przyjaciółek, na które zawsze może liczyć. Zwierzały się przecież sobie z największych sekretów. Czasem godzinami spacerowały po terenach rekreacyjnych objęte wespół, zagadane. Teraz była sama. Na przerwach nie odzywano się do niej, a gdy usiłowała zapytać o coś, nawet grzeczna i zawsze uśmiechnięta Karita odwróciła się do niej tyłem. Co miała robić? Patrzeć na pokryte drobnymi krostkami plecy swojej byłej koleżanki?

W domu też nie było najlepiej. Ojca nie widziała prawie od miesiąca, to jest od dnia, w którym dowiedział się o wynikach testu. Pozostawała matka, ale dziewczynka nigdy jej zbyt nie ufała.

Pani Weredy była piękną kobietą, której smukłe, wypielęgnowane ciało budziło zachwyt wielu mężczyzn. Pracowała jako projektantka wewnątrz użyteczności publicznej. Isia wiele słyszała o sukcesach zawodowych matki i dlatego niejedną raz zastanawiała się, co spowodowało, że wybrała ona właśnie ojca. Ten był zupełnie inny. Ani przystojny, ani znany. Ot, zwykły człowiek, jakich wielu spotykała idąc do szkoły. Matka wydawała się przy nim delikatną, cenną istotą, która zawsze może wstać ze swojego fotela i pobiec tam, gdzie toczy się prawdziwe życie, gdzie wszyscy są szczęśliwi. Tam, gdzie jest jej miejsce. To właśnie milczący, trochę szorstki ojciec był dla Isi uosobieniem zwykłych, codziennych spraw. Matka była tylko dodatkiem do niego.

Czy matka go kochała? Chyba tak, bo przecież codziennie wybierała ojca siedząc godzinami przed ekranem hipnotyzatora, zawsze w jednakowej pozycji, jakby nigdy nie opuszczała swojego fotela. Gdy wracał podawała obiad. Zjadali go nie patrząc na siebie, jak ludzie, którzy mają własne tajemnice i nie chcą, aby zdradziło ich przypadkowe spojrzenie, czy uśmiech. Czasem Isia czuła, że jej obecność krępuje rodziców. Wychodziła wtedy do swojego pokoju, lub szła na korytarz bawić się z rówieśnikami. Po obiedzie ojciec włączał hipnotyzator i matka wracała na fotel.

Niekiedy, zamiast siąść przed aparatem pani Weredy zamykała się w pokoju Isi, co oznaczało, że musi przygotować jakąś terminową pracę. Wtedy ojciec samotnie oglądał program, wściekły i naburmuszony, jakby naruszenie codziennego rozkładu zajęć sprawiało mu dużą przykrość. Sam nigdy nie pracował w domu uważając, że wszystkie sprawy zawodowe należy załatwiać w godzinach do tego przeznaczonych. Niejednokrotnie dziewczynka słyszała, jak czynił matce wymówki, ale wydawało się, że nie przywiązuje ona do nich specjalnej wagi, tłumacząc różnice postępowania odmienną specyfiką pracy.

Tak było zawsze i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek może ulec zmianie. Isia zdawała sobie sprawę z tego, że nieobecności ojca w domu są związane z ostatnimi wydarzeniami. Może chciał ją w ten sposób ukarać? Ale czy wolno karać tak bardzo kogoś, kto nie chciał zrobić nic złego? Jaki jest teraz stosunek ojca do niej?

Wielokrotnie zadawała sobie te pytania, usiłowała nawet dowiedzieć się czegoś od matki, ale ta milczała. Raz tylko powiedziała, że ojciec jest teraz bardzo zajęty i dużo czasu spędza w pracy. Czy ojciec taki, jakiego znała, siedziałby w pracy nawet we wszystkie dni świąteczne? Po paru tygodniach Isia poznała przyczyny takiego postępowania rodziców.

Tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Leżała patrząc w sufit i myśląc o tym, dlaczego ostatnio otrzymuje w szkole niższe oceny. Matka nie pozwalała jej wychodzić na korytarz, a mając do wyboru siedzenie przed hipnotyzatorem i naukę, Isia wybierała drugą z tych możliwości.

W nocy obudził ją krzyk ojca. Dziewczynka nigdy dotychczas nie słyszała, aby którekolwiek z rodziców mówiło podniesionym głosem.

... a gdzie się mam spieszyć? Do mojej kochanej córeczki? Przychodzę kiedy chcę, a jeśli ci się to nie podoba, mogę w ogóle nie wracać. Potrzebne mi to było? I to właśnie teraz, gdy miałem awansować na młodszego podreferenta... Nie usłyszała odpowiedzi matki, za to słowa ojca doskonale przenikały przez zamknięte drzwi.

-... złapałaś mnie, a potem obdarowałaś taką udaną córeczką. Zapiszą to w moich aktach i zawsze będę niczym... To nie jest moje dziecko! Przespałaś się z kimś, a ze mnie robisz ofiarę!

Znowu chwila ciszy.

- No to co z tego, że słyszy! Niech wie kim jest i kim ty jesteś! Ty...

Teraz Isia usłyszała ostry głos matki.

- Uspokój się! Ta mała ma dość wyzwisk w szkole. Powinieneś być mądrzejszy...

Dziewczynka zakryła głowę ramieniem. Więc ojciec też jej nie chciał? To wszystko przez matkę! Przez nią! Gdyby nie ona, ojciec na pewno by tak nie mówił. Musi iść, powiedzieć mu jak bardzo go kocha, jak bardzo jest jej potrzebny teraz właśnie, gdy została sama.

Wstała z posłania i otworzyła drzwi. Ojciec siedział w fotelu. Podbiegła do niego. Chciała przytulić się do jego piersi i wypłakać to wszystko, co przeżyła przez ostatnie tygodnie. Matka na pewno coś pokręciła i dlatego ojciec jest taki.

Dostrzegł córkę, gdy była o krok od niego.

- Zabierz ją - powiedział do matki - Zabierz ją, zanim was zabiję.

Dziewczynka zatrzymała się. Po chwili, jakby z daleka usłyszała głos matki.

- Isiu. Wróć na posłanie i spróbuj zasnąć. Jutro obie zostaniemy w domu i postaram się wszystko ci wytłumaczyć. No, idź maleńka - objęła ją i lekko pchnęła w stronę drzwi.

- A ty, patetyczny durniu - zwróciła się do ojca - spakuj rzeczy i wynoś się. Chyba i bez ciebie jakoś sobie poradzimy. Wyjęła książeczkę surowcową i podała mu ją.

- Masz w niej upoważnienie na podejmowanie materiałów. To ułatwi ci pogodzenie się z nową sytuacją, i do rana ma cię tu nie być.

Isia znowu leżała patrząc w sufit. Teraz wiedziała już wszystko. Wczesnym rankiem wymknęła się z domu.

Korytarze i szlaki komunikacji międzypoziomowej były puste. Na ekranie migotały numery mijanych pięter. Dzielnica mutantów. Wysiadła.

Tu również było pusto i cicho. Bezludne linie ciągów komunikacyjnych krzyżowały się tworząc płataninę nitek zachodzących na siebie, poprzecinanych. Szła naprzód odruchowo starając się sprawiać jak najmniej hałasu. Raz, czy dwa razy nadepnęła na coś ostrego i przez dłuższą chwilę usiłowała

wyciągnąć z bosej stopy kłujący przedmiot. Na jej poziomie byłoby to nie do pomyślenia, bo i po co wyrzucać materiały, jeśli można je zanieść do zamienialni, lub przepisać na książeczkę surowcową?

Przyćmione światło padające z sufitu pozostawiało w ciemności niektóre zakamarki. Isia była przekonana, że w ich mroku czają się wielkie oczy, uśmiechnięte, bezzębne usta, ręce o zakrzywionych, suchych palcach. Omijała oczywiście takie miejsca, mimo to jednak czuła na plecach ciężar spojrzeń, czasem słyszała za sobą lekkie szelesty. Korytarze były teraz starsze, bardziej zaniedbane i brudne.

Doszła właśnie do wąskiego przejścia ograniczonego z jednej strony ścianą, a z drugiej cienką barierką, gdy po raz pierwszy usłyszała wyraźniejsze głosy. Płynęły one z dołu, ze środka pomieszczenia, w którym się znajdowała. Podeszła do bariery i wychyliła się. Pod nią była duża sala słabo oświetlona przyćmionym blaskiem płynącym z sufitu. Kilku wyrostków zgromadziło się wokół czegoś, co w pierwszej chwili nie bardzo mogła rozpoznać. Okrzyki, strzępki rozmów dochodzące z dołu, również w niewielkim stopniu wyjaśniały sytuację.

- No i co? Teraz też będziesz gadał o godności człowieka? A może byś wspomniał o godności mutanta?

- Chodźcie! Zrobimy mu kawał! Ten tchórz posiedzi tutaj do końca świata, a my...

- E tam, kawał, Oplujemy naszego bohatera i starczy.

- Co sobie będziemy zawracać głowę. W mordę go raz i drugi i do odpadów.

- To, to zawsze zdążymy.

Te zdania były jeszcze w pewnym stopniu zrozumiałe, inne dużo mniej.

- Niech Zeri zaczyna. On też musi mieć jakąś przyjemność.

- Blige bize dek.

- Co on mówi?

- Bełkoce coś po swojemu.

- No, chłopaki!

Rozsunęli się i Isia dostrzegła siedzącego na podłodze człowieka. Jeden z wyrostków splunął w jego kierunku, potem drugi, trzeci... Siedzący wstał i powoli zaczął cofać się ku najbliższej ścianie.

- Źle celujecie! Wyżej chłopcy! Re, nie trafisz mu w mordę?

- Poczekaj, ustawię go sobie.

Atakowany mężczyzna dotarł już do ściany. Jeden z chłopców, widocznie ten Re, podszedł i chwycił go za uszy chcąc wykręcić mu głowę w stronę światła, a potem odepchnięty wyleciał na środek sali. Zakotłowało się. Po chwili na podłodze kłębiły się bezkształtne cienie. Czasem któryś z nich odrywał się od grupy, aby zaraz wrócić do walki.

- Biją się - pomyślała i wychyliła się pragnąc dojrzeć więcej szczegółów.

Walka nie była równa. Kilku napastników atakowało jednego człowieka broniącego się zaciekle, choć bezskutecznie. Parę razy udało mu się odepchnąć kogoś z nich, ale to przecież niczego nie zmieniało.

- Muszę mu pomóc - zdecydowała - Jest sam, a ich tylu. Tak nie wolno się bić! Pomóc mu, ale jak? Służba porządkowa patroluje szlaki przede wszystkim wieczorami, bo wtedy jest najwięcej napadów. Teraz chyba nikogo nie znajdę. Jeden z atakujących cofnął się o kilka kroków i zakomenderował:

- Puście go!

Isi wydawało się, że wyjął on z kieszeni jakiś przedmiot, i wtedy napadnięty pierwszy raz odezwał się:

- Koniec zabawy. Uważajcie, bo mogę któremuś z was zrobić krzywdę. Miał dziwny akcent, tak, że dopiero po chwili uświadomiła sobie sens tych słów. A jednocześnie zdziwiła się. Ten walczący od kilkunastu minut człowiek mówił spokojnym, równym głosem osoby siedzącej w fotelu i prowadzącej od

niechcenia jakąś błahą rozmową. Napastnicy na chwilę znieruchomieli, a potem rozsunęli się. Ich dowódca zaczął podnosić do góry prawą rękę.

Napadnięty był szybszy. Stojący jeszcze przed chwilą najbliżej niego chłopak przeleciał w powietrzu parę metrów i zderzył się z prowodyrem. Upadli na podłogę, a jednocześnie Isia usłyszała stuk upuszczonej broni. Teraz napadnięty poruszał się tak szybko, że dziewczynce trudno było śledzić wzrokiem wszystko, co się działo. Jeszcze jeden wyrostek ciśnięty w tym samym kierunku upadł na leżących, ale teraz odgłosowi upadku towarzyszył okrzyk bólu. Dwóch innych usiłowało podejść z boku, lecz po chwili obaj leżeli skuleni pod ścianą. Człowiek przeskoczył kłębiące się ciała i nakrył broń stopą. Schylał się właśnie, aby ją podnieść, gdy jeden z napastników rzucił się na niego, chcąc przewrócić go siłą rozpędu. Próba była nieudana. Znowu kilka precyzyjnych, niemal niedostrzegalnych ruchów i ten sam spokojny głos mówiący:

- Przestań się szarpać, bo będę musiał złamać ci rękę.

Walka była skończona. Szare cienie wsiąkały w mrok. Człowiek odepchnął od siebie wyrostka, który wytarł nos wierzchem dłoni i powiedział:

- Spotkamy się jeszcze.

- O, na pewno..

Na środku pustej sali pozostał zwycięzca. Podniósł broń i schował ją do kieszeni, a potem przez chwilę stał zamyślony z lekko pochyloną głową. Isia wychyliła się jeszcze bardziej i zapytała:

- Nic się panu nie stało?

Człowiek drgnął i spojrzał w górę.

- Jest tam kto?

- Jak pan to zrobił?

- Zwyczajnie. Ale tobie nie radzę próbować. Tacy smarkacze bywają niebezpieczni.

- Oni są niebezpieczni. Dlatego chciałabym wiedzieć jak trzeba się bronić.

- Na pewno nie tak, jak ja. Chciałem ich czegoś nauczyć, a skończyło się na biciu w mordę. Mogłem to przewidzieć. Nieznajomy milczał przez dłuższą chwilę, a potem zapytał:

- Jesteś tam jeszcze?

- Acha.

- Powiedz mi, co ty tu robisz o tej porze?

Isia zastanawiała się przez chwilę nad tym, czy powinna skłamać. Prawda byłaby zbyt skomplikowana, a wszystkie inne tłumaczenia niezbyt prawdopodobne. Zdecydowała się odpowiedzieć pytaniem na pytanie.

- A co pan tu robi?

- To bardzo długa historia.

- To niech pan opowie.

- Na razie muszę się umyć. Jak chcesz, to potem możemy porozmawiać.

- Ale ja nie wiem jak do pana zejść.

- Idź prosto. Po prawej stronie są schody. Rzeczywiście, kilkanaście metrów dalej były schody prowadzące na sam dół. Nigdy dotychczas nie widziała czegoś takiego. Na wyższych piętrach przy takiej różnicy poziomów stosowano pionowe ciągi komunikacyjne. W starszych dzielnicach spotykało się niekiedy jeden, czy dwa stopnie, ale nie więcej. Tych było ponad trzydzieści, a poza tym zrobiono je w ten sposób, że tylko ta część, na której stawia się stopę była zakryta. Stała przez chwilę zastanawiając się jak należy po tym chodzić, a potem odważnie chwyciła ukośnie zamocowaną rurę umieszczoną na wysokości jej pasa i postawiła nogę na pierwszym stopniu. To było zabawne. Kilka dalszych kroków zrobiła śmieiej.

- Uważaj, bo upadniesz - Nieznajomy stał na dole i z ciekawością przyglądał się jej poczynaniom - Od razu widać, że nigdy nie chodziłaś po schodach. No, jesteś już. Może znajdziemy w pobliżu jakiś nie uszkodzony hydrant.

Na korytarzach było teraz jaśniej. Przechodniów spotykali co prawda niewielu, ale zaułki straciły już swój groźny wygląd. Po kilku minutach znaleźli pocięty hydrant, z którego po wrzuceniu żetonu wyciekło trochę rdzawej wody. Człowiek pochylił się i zaczął myć ręce, twarz, plecy... Teraz dziewczynka po raz pierwszy mogła mu się dokładniej przyjrzeć.

Był mutantem. Miał zbyt długie nogi, za wąskie biodra, a poza tym jego plecy rozszerzały się niepokojąco w okolicach ramion. Nie było W odrażające, ale wyraźnie różniło się od przyjętych norm.

Skończywszy mycie, człowiek otrząsnął resztki wody i powiedział:

- Teraz już mogę ci się przedstawić. Nazywam się Tonken.

- A ja Isia. Chodź, usiądziemy gdzieś i opowiesz mi o sobie.

- Myślę, że twoja historia byłaby ciekawsza. Dziewczynka taka, jak ty włócząca się po dzielnicach mutantów... Musisz mieć ważne powody, aby...

- A skąd wiesz, że nie mieszkam tutaj?

- Domyśliłem się po pierwszych twoich słowach. Gdybyś znała tutejsze warunki, nigdy nie odezwałabyś się do mnie. A już na pewno nie spacerowałabyś nocą. Przecież w dzielnicach mutantów nie ma żadnej służby porządkowej! Samobójcy wolą widać bardziej wyrafinowane metody. Czy byłabyś aż tak głupia? Gdybyś trafiła na tych zuchów, zabiliby cię dla przyjemności, z nudów. Cud, że jeszcze żyjesz!

- Bardzo się bałam, ale co miałam robić?

Szli bez celu przed siebie. Przechodniów było coraz więcej, lecz Isia nie patrzyła na nich. Zastanawiała się, dlaczego ten dopiero poznany człowiek budzi w niej takie zaufanie. Jeśli znowu zapyta o to, opowie mu wszystko. Jest on co prawda tylko mutantem, ale może właśnie dlatego zrozumie ją.

- Powiedz mi, dlaczego myślisz, że jestem mutantem? Isia przestraszyła się. On chyba potrafi odgadywać myśli.

- No, odpowiedz - nalegał.

- Bo ty jesteś zbudowany inaczej niż wszyscy normalni ludzie - wykrztusiła wreszcie.

Tonken roześmiał się.

- Zabawnie to ujęłaś. Naprawdę tak myślisz?

- Ależ oczywiście. Nigdy nie widziałeś prawidłowo zbudowanego człowieka?

- Widziałem, ale nie nazywałbym tego prawidłową budową.

- Dlaczego?! - Isia obruszyła się tak bardzo, że aż przystanąła.

- Moja mała. Zrozum, że w wyniku nienaturalnych warunków życia muszą następować pewne zmiany anatomiczne. Z mojego punktu widzenia, to właśnie ten wasz przeciętny człowiek jest zbudowany nieprawidłowo. Nogi ma za mało umięśnione i za krótkie, klatkę piersiową wąską i zapadniętą. Oczywiście, przyczyną tego jest zanikanie niepotrzebnych mięśni i organów. Powiedz mi, jaką odległość pokonuje codziennie na piechotę ten twój idealny człowiek? Mam na myśli chodzenie, a nie jeżdżenie ruchomymi chodnikami. Pół kilometra? Kilometr? Taki męczyzna, jakiego ty uważasz za przeciętnego nie przeżyłby nawet paru dni na zewnątrz domu. O ile oczywiście potrafiłby stąd wyjść.

Isia przestraszyła się. Jej towarzysz byłby więc nie tylko mutantem, ale i osobnikiem niespełna rozumu? Zaprotestowała:

- A po co miałyby ktoś wychodzić na zewnątrz? Nikt nigdy stąd nie wychodzi.

- Jak to po co? Chociażby po surowce, których tak bardzo wam brakuje. A poza tym, czy można nazwać normalnymi ludźmi istoty, które mogą żyć tylko w zamkniętych pomieszczeniach? Wyhodowaliście nowy rodzaj człowieka - rozumnego człowieka domowego. Homo sapiens domesticus.

To nawet ładnie brzmi.

- Co ty mówisz!? To wszystko nieprawda! Usłyszysz ktoś i...

-...i co? Powiedzą, że jestem mutantem? Sama to mówisz. Nic więcej nie mogą mi zrobić. Dawno już odebrali mi prawo wstępu do bibliotek.

Przez długą chwilę milczeli, a potem Tonken zapytał:

- Powiedz mi Isiu, dlaczego gardząc tak bardzo mutantami przysłaś do ich dzielnicę?

- Wcale nimi nie gardzę. Mutanci są takimi samymi ludźmi, jak my. A że różnią się...- Poczekaj, poczekaj chwilę. Znam doskonale takie i jeszcze bardziej wzniosłe formułki. A teraz może wyjaśnisz mi dlaczego najpierw zwracałaś się do mnie per pan, a w jasno oświetlonym korytarzu zaczęłaś mi mówić ty? Masz dopiero dwanaście lat, a ja jestem co najmniej trzy razy starszy od ciebie, i jeszcze powiedz mi dlaczego, jeśli określisz zwykłego człowieka słowem mutant, potraktuje to jak obelgę?

Isia milczała. Ten mężczyzna, nawet jeśli nie był zupełnie normalny, to jednak mówił bardzo ciekawe rzeczy. Tymczasem Tonken ciągnął dalej.

- Przepraszam cię, ale jakoś odbiegłem od tematu. Naprawdę chciałbym wiedzieć po co tutaj przysłaś. Dziewczynka spuściła głowę, wahała się przez chwilę, a potem powiedziała:

- Dostałam za mało punktów w teście na zdolności psychiczne.

- Opowiedz to dokładniej.

- No, był test i wydawało mi się, że wszystko dobrze napisałam, a potem mamę i mnie wezwał opiekun dzielnicowy i powiedział...

- Mów trochę wolniej, bo nie wszystko rozumiem. Dostałaś za mało punktów?

- Acha. A potem opiekun dzielnicowy pozwolił mi chodzić do szkoły jeszcze przez następny rok i kazał patrzeć w hipnotyzator.

- Tak. W szkole oczywiście już wiedzą. Dawno się to stało?

- Dwa miesiące temu. Ale już na drugi dzień wszyscy o tym wiedzieli i...

Isia niespodziewanie nawet dla samej siebie rozplakała się. Tonken podał jej chustkę do nosa, a potem niezgrabnie objął szczupłe ramiona dziecka. Nie protestowała.

- Chodź maleńka - powiedział - Nie będziemy przecież płakali w tak niegodnym miejscu. Najpierw zjesz śniadanie, bo pewnie nic jeszcze nie jadłaś, a potem porozmawiamy.

Isia posłusznie poszła za swoim przewodnikiem. Wkrótce znaleźli mały, pusty o tej porze bar, gdzie usiedli w kącie niemal całkowicie zasłonięci grubym filarem. Tonken zamówił kilka potraw i dziewczynka zaczęła się nawet zastanawiać kto to wszystko zje, bo sama nie była głodna.

Okazało się, że jej wątpliwości były nieuzasadnione. Mężczyzna jadł dużo i smacznie. Wkładał do ust wielkie kawałki i gryzł je starannie, robiąc to tak zabawnie, że zapatrzona Isia nie zauważyła nawet kiedy zjadła swoją porcję. Tonken przełknąwszy ostatni kęs uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Zamówię teraz deser odpowiedni dla takich zapłakanych panienek.

Nie było go przez dłuższą chwilę, a potem wrócił niosąc jakąś tajemniczą potrawę.

- Syntetyzator nie należy do urządzeń skłonnych do wyrażania dezaprobaty, ale był wyraźnie niezadowolony z tego zamówienia. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Isia ostrożnie spróbowała dziwną, zielonkawą maź. To było bardzo dobre. Zimna, słodka masa rozpuszczała się powoli na języku, a jej charakterystyczny smak, odmienny od wszystkiego, co jadła dotychczas kojarzył się z terenami rekreacyjnymi, zieloną trawą, drzewami. Gdy skończyła, świat wydał się jej ładniejszy, a życie ciekawsze. Znad pustego pojemnika uśmiechnęła się do Tonkena.

- A już myślałem, że nie potrafisz się śmiać - powiedział - Gdy byłem w twoim wieku uwielbiałem lody pistacjowe, chociaż już zaczynałem się wstydić tych niemęskich upodobań - No, wracajmy teraz do naszej rozmowy. Stanęliśmy na tym, że miałaś dużo przykrości w szkole. Co było w domu?

- Mama była niby to bardzo dobra, ale nakłamała ojcu tak, że nie chce mnie widzieć.

- Jak to, nie chce cię widzieć?

- Wychodzi z domu bardzo wcześnie, a wraca gdy śpię. Wczoraj była awantura i mama kazała mu wynieść się.

- I ty uważasz, że twoja matka jest przyczyną tego wszystkiego?

- Ojciec był bardzo dobry, a matka zawsze siedziała przed hipnotyzatorem i nie odzywała się do mnie.

- Czy zdecydowali z kim masz zostać?

- Z matką.

- A ojciec cię nie chciał?

- Matka nawet nie pytała go o to.

- I dlatego uciekłaś z domu - Tonken milczał przez chwilę, a potem powiedział - Nie znam zbyt dobrze waszych obyczajów, ale wydaje mi się, że to, co mówisz o swoich rodzicach, nie ma najmniejszego sensu. Jeśli ojciec jest taki dobry, dlaczego nie chciał zabrać cię ze sobą? Dlaczego tak łatwo uwierzył kłamstwu matki? Przecież nie jest dzieckiem i zna ją doskonale. Powtórz dokładnie całą rozmowę.

Isia zaczęła opowiadać. Tonken słuchał uważnie, choć wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie bardzo wierzy w to, co mówiła. Gdy skończyła, powiedział:

- Daruj moja mała, ale albo zmyśliłaś sobie tę historię, albo nie znasz najważniejszych faktów. Powiedz mi, które z rodziców więcej zarabia: ojciec, czy matka?

- Chyba matka. Ona jest projektantem wnętrz. Nazywa się Weredy.

- Widziałem ją kiedyś. Jest bardzo ładna.

- Aż za ładna, i cały czas siedzi przed hipnotyzatorem.

- Nie możesz jej tego darować. Przecież wy cały swój wolny czas spędzacie przed hipnotyzatorami. Czy twój ojciec postępuje inaczej?

- Nie, ale on jest zwyczajny.

- Nie rozumiem cię, ale zostawmy tę sprawę. Twoja matka dała mu książeczkę surowcową. Całą?

- Tak, - Czyli nie dzielili wkładu. Twój ojciec oszedł od was zabierając wszystkie oszczędności.

Czy uważasz...

- Przecież mama mu to dała!

- Ale dlaczego? Czyżby chciała mu za coś... Zaczynam podejrzewać, że cała ta awantura została przez niego specjalnie przygotowana, a jeśli tak...

- Ojciec był zawsze bardzo dobry i...

- Nie wiem dlaczego tak bardzo go kochasz. Najlepiej byłoby, gdybyś o nim zapomniała. Mówiłaś, że twoja mama chciała ci coś wytłumaczyć. Nie jesteś ciekawa, co ona ma do powiedzenia? Przecież to bardzo ważne.

- Znowu mi będzie kłamała.

- Wydaje mi się, że ona nie kłamie. Najwyżej nie mówi ci całej prawdy, a to zupełnie co innego. Ludzie bardzo rzadko mówią całą prawdę. Do tego jest potrzebna odwaga i bardzo, bardzo dużo bezwzględności.

- Bronisz jej, bo jest ładna.

- A przypomnij sobie, czy gdy dowiedziała się o wynikach testu robiła jakieś uwagi? Miała może do ciebie pretensje?

- Nie. Pytała tylko, czy wiem, w którym miejscu zrobiłam błąd.

- To porównaj teraz zachowanie jej i ojca. I zmiataj do domu, bo mama niepokoi się o ciebie.

- Łatwo być takim mądrym - powiedziała z przekąsem.

Tonken przez chwilę przyglądał się jej, a potem powiedział z naciskiem:

- Isiu. Musisz iść do domu i szczerze porozmawiać z matką. Uwierz mi, że tak będzie najlepiej.

Dziewczynka wstała. Była zmęczona, choć nie bardzo wiedziała czym - tą rozmową, czy wszystkimi dzisiejszymi przeżyciami.

- Dziękuję bardzo - powiedziała do Tonkena i chciała odejść, gdy ten zatrzymał ją.

- Poczekaj. Nie wiem jak mógłbym to zrobić, ale chciałbym wam pomóc. To jest moja karta adresowa i numer wideofonu. Wieczory na ogół spędzam w domu. Gdybyś miała jakieś kłopoty skontaktuj się ze mną. Acha, jeszcze jedno. Lepiej będzie jeśli cię odprowadzę.

Przez całą drogę milczeli. Isia myślała o czekającej ją rozmowie z matką. Czy Tonken miał rację oceniając tak surowo postępowanie ojca? Jaka jest prawda? Zamyśliła się tak bardzo, że najpierw zapomniała pożegnać się z Tonkenem, a potem pojechała zbyt wysoko i musiała zjeżdżać na dół.

IV

Matka była w mieszkaniu. Isia stanęła w drzwiach i trochę niepewnie powiedziała:

- Dzień dobry.

- No, jesteś. Pewnie chciałabyś coś zjeść - Matka podniosła się z fotela - Trochę za późno na śniadanie, więc zrobimy śniadanie-obiad.

- Dziękuję. Jadłam już - Dziewczynka była skrepowana przyjęciem i nie bardzo umiała dostosować się do tego żartobliwego tonu.

Uważnie przyjrzała się matce i być może pod wpływem dopiero co zakończonej rozmowy, dostrzegła jej zszarzałą twarz i podkrążone oczy.

- Byłam w dzielnicy mutantów i spotkałam tam bardzo dziwnego człowieka. Rozmawialiśmy trochę, a potem zaprosił mnie na śniadanie. Mówił, że nazywa się Tonken.

- Tonken? Jesteś pewna, że to on? - zdziwiła się matka.

- Ty go znasz? - Isia była zaskoczona tym, jak bardzo ją to zabolalo - To dlatego cię tak chwalił - dodała po chwili.

- Wszyscy go znają - wydawało się, że matka nie zwróciła uwagi na ton ostatniego zdania - Tonken jest największym, żyjącym współcześnie, bohaterem. Gdzie go spotkałaś?

- Mówiłam już. W dzielnicy mutantów. Co on takiego zrobił? Jeden z chłopaków którzy na niego pluli, też mówił o nim "bohater".

- Co on zrobił? Dwa lata temu wrócił z wyprawy. Uczyli cię chyba o tym, że nasz budynek jest zbudowany na planecie, którą nazywamy Ziemią. Planeta ta obraca się wokół Słońca, a takich ciał jak Słońce jest we wszechświecie bardzo dużo.

- Tak. Przerabialiśmy to. Pokazywali nam. nawet specjalne filmy.

- Tonken tam był. Nie na Słońcu. Na jakiejś planecie, czy gwiazdzie. Nie pamiętam jak się ona nazywa, ale kiedyś dużo o tym mówiono.

- Wspominał coś o wychodzeniu z budynku, ale nie słuchałam tego, bo wydawało mi się, że jest głupi. Dlaczego nic o nim nie wiem?

- Na teleściankach go nie pokazywali, a zresztą byłaś wtedy za mała. O czym rozmawialiście?

- O różnych sprawach. Wiesz mamo, on się bił z sześcioma chłopakami, i wygrał. Myślałam, że to mutant, bo jest tak dziwnie zbudowany.

- Według naszych kryteriów Tonken jest mutantem. Ale urodził się bardzo dawno temu, a podobno taka budowa była uważana wtedy za normalną. Sama pytałam kiedyś, dlaczego dożył naszych czasów, ale informator dokładnie mi tego nie wytłumaczył. Usłyszałam tylko, że: "Bardzo dawno temu wystartował z Ziemi, a teraz wrócił". Poradził mi jeszcze, abym zapytała o to Centrum Informacji Naukowej, ale odpowiedzi nie uzyskałam.

- Dlaczego?

- Mogę korzystać tylko z wiadomości z różnych dziedzin sztuki. Odpowiedź na to pytanie została zakwalifikowana do grupy nauk ścisłych.

- I nie odpowiedzieli ci?

- Nie.

- Mogłaś poprosić ojca. Jemu by powiedzieli.

- Wiesz dobrze, że twój ojciec jest wyjątkowo praworządnym człowiekiem i nigdy nie zrobi czegoś, co jest zabronione.

- Nie wolno zadawać takich pytań?

- Mnie nie wolno.

- A inni mogą?

- Tak, ale tylko wtedy, gdy im tego nie zakazano.

- Nie wiedziałam - Isia była bardzo zdziwiona. Po chwili powiedziała:

- Więc ojciec może pytać Centrum Informacji Naukowej o wszystko, a ty nie możesz?

- Niektórym ludziom nie wolno interesować się pewnymi zagadnieniami. W moim przypadku uznano, że mogę być muzykiem, plastykiem, architektem... natomiast zabroniono mi jakichkolwiek kontaktów z naukami ścisłymi i przyrodniczymi. Było mi wtedy bardzo przykro, bo właśnie te dziedziny najbardziej mnie pasjonowały.

- Ale pogodziłaś się z tym?

- Co miałam robić. Przecież taki system jest wprowadzony dla dobra nas wszystkich. Żyjemy w społeczeństwie zamkniętym i musimy dbać o to, aby nie zachwiać jego równowagi.

- Uważasz, że gdybyś zajmowała się na przykład biochemią, skutki tego odczułoby całe społeczeństwo? Przecież to bzdura.

- Nikt nie może przewidzieć przyszłości, a od decyzji Miejskiej Rady Naukowej nie ma odwołania. Gdybym się jej nie podporządkowała, musiałabym zamieszkać w dzielnicy mutantów, a więc biblioteki i Centrum Informacji byłyby dla mnie tak, czy inaczej zamknięte.

A więc taka była prawda.

Matka jej była mutantką. Ograniczenie prawa do korzystania ze źródeł informacji wyraźnie na to wskazywało. Ale w takim razie dlaczego mieszkała tutaj? Dlaczego wszyscy uważali, że jest normalna? Dlaczego ojciec zdecydował się na związek z nią?

Wszystkie te pytania cisnęły się jej na usta. Dlaczego, dlaczego, dlaczego...?

Isia czuła, że sama nie potrafi na nie odpowiedzieć. Fakt, że matka jej była inna niż normalni ludzie stwarzał nową sytuację, z którą nie mogła się tak łatwo pogodzić. Zapragnęła nagle, aby wszystko to okazało się zwykłym kłamstwem wymyślonym w jakimś nieznanym celu, nie mającym żadnych podstaw. Wiedziała jednak, że matka mówi prawdę. Świadczyło o tym zbyt wiele faktów. Gdy to zrozumiała, zdziwiła się nawet, dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, że rodzice ukrywają coś przed nią. A może przed całym światem?

Spojrzała na matkę. Pani Weredy siedziała w fotelu w swobodnej, pełnej wdzięku pozycji, i dopiero teraz Isia zrozumiała, że sposób poruszania się matki, kojarzy się jej z chęcią ucieczki, z zagrożeniem. W tanecznej płynności ruchów odnajdywała lęk, jaki poczuła stojąc na środku szkolnego korytarza. Przez chwilę wydawało się jej, że przez zamknięte drzwi słyszy ryk:

... Mutancicy dzieci...

Wzdrygnęła się. W tej chwili piękna, spokojna twarz matki przyciągała cały jej wstyd i nienawiść. Chciała krzyknąć: "Wiedziałaś, że będę taka! Że przeżyję wszystko, co ty przeżyłaś! Dlaczego mnie urodziła?" - ale nie mogła zdobyć się na to.

- Po co mi to mówisz? - wyjąkała tylko.

- Co?

- Że jesteś mutantką. Do tej pory bardzo starannie ukrywaliście to przede mną.

Matka odwróciła głowę i długo milczała. Gdy po paru minutach spojrzała na córkę, była znowu spokojna.

- Sama się domyśliłaś. To dobrze. Myślałam właśnie, w jaki sposób powiedzieć ci o tym.

- Mogłaś poczekać jeszcze trochę. Ostatecznie przez tyle lat nic nie wiedziałam, to i teraz świetnie obeszłabym się bez tej informacji.

- Ojciec bardzo nalegał, aby na razie nie mówić ci prawdy. Teraz możemy z tym skończyć. Tak. Jestem mutantką. Ale oprócz tego jestem ładna i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Jestem znanym projektantem i to właśnie moje zarobki umożliwiły stworzenie takiego domu, jaki znasz. U twoich koleżanek sytuacja materialna jest dużo gorsza, prawda? Jedyne, co wyróżnia mnie wśród innych ludzi, to sposób myślenia. A z tym można przecież walczyć. Chciałam być normalna i zrobiłam wszystko, aby to osiągnąć. Kazano mi zrezygnować z matematyki, fizyki, chemii... Podporządkowałam się temu dokładniej, niż wymagał mój opiekun. Kazano mi oglądać programy hipnotyzatora - wiesz dobrze, że poświęcam temu każdą wolną chwilę. Nienawidzisz mnie teraz, bo uważasz, że to po mnie odziedziczyłaś inteligencję. Inteligencji się nie dziedziczy. Można ją tylko rozwijać u dziecka, lub tłumić. Nie możesz mi zarzucić, że zajmując się tobą w jakikolwiek sposób wpływałam na jej rozwój. Należało to do obowiązków ojca, który jest normalnym człowiekiem..

Isia nie zrozumiała dalszych słów matki. To, co usłyszała wiązało się z jednym z wykładów socjologii:

-... Podstawową cechą wszystkich społeczeństw jest homeostaza. W pierwszych fazach ich rozwoju tylko nowe formy obyczajowe, lub etyczne wywołują sprzeciw. Stanowią one bezpośrednio zagrożenie stanu istniejącego dotychczas i dlatego ich zwolennicy są w ten czy inny sposób eliminowani. W miarę postępu naukowo-technicznego stwierdzono, że pośrednio oddziałuje on również na szybkość ewolucji społeczeństw. Aby ograniczyć ten wpływ w społeczeństwach izolowanych stosuje się badania sprawności psychicznej całej populacji, co umożliwia sterowanie w sposób ciągły ich ewolucją..

Zrozumiała teraz, że testy te w jej przypadku wykazały nie brak inteligencji, ale jej nadmiar.

- To chyba lepiej - pomyślała - Przecież matka zupełnie nieźle urządziła sobie życie. Muszę tylko przetrzymać początek. Potem wszystko będzie dobrze.

Matka dawno już zamilkła, ale dziewczynka dopiero teraz to spostrzegła.

- Jestem za inteligenta i dlatego tak się stało? - zapytała jeszcze, aby upewnić się, czy ulga jaką przed chwilą poczuła ma jakieś podstawy.

- Tak myślę.

- Bałam się, że jestem głupia. Jeśli nie, wszystko ułoży się jakoś.

Czuła, że jej wrogość w stosunku do matki zniknęła, a teraz przeważa raczej poczucie solidarności i wdzięczności. Chciała śmiać się, tańczyć, tak jakby wszystko miała już za sobą. Podeszła do ściany i pewnym ruchem włączyła hipnotyzator, a potem usiadła na podłodze opierając głowę o nogi matki. Na ekranie wirowały jasnozielone, rozmyte smugi.

Isia powoli przyzwyczajała się do nowych warunków. Nie biegała już po korytarzach, nie obserwowała ludzi. Po przyjściu ze szkoły zjadała obiad, a potem obie z matką siadały przed hipnotyzatorem i do późnego wieczora oglądały nadawany program. Odzywały się do siebie rzadko, ale te godziny zbliżały je bardziej, niż najdłuższe rozmowy. Czasem mówiła o jakichś szkolnych sprawach, o postępowaniu koleżanek.. Matka słuchała uważnie, a potem uśmiechała się lekko i radziła jej, by zachowała spokój i była cierpliwa. Wydawało się, że wszystko minęło i nic gorszego stać się już nie może.

Niekiedy, co prawda, dziewczynka myślała, że ten spokój jest sztuczny i, że w każdej chwili może zniknąć. Czasem, idąc do szkoły, była głęboko przekonana, że nastąpi to właśnie dzisiaj. Przystawała wtedy starając się opanować gwałtowną chęć ucieczki na oślep przed siebie, wszystko jedno gdzie, byleby zniknąć z oczu tym, którzy znali ją i jej tajemnicę. Zaciskała zęby, powtarzając: "Muszę, muszę

wytrzymać. Mama wytrzymała to i teraz jest szczęśliwa. Jeszcze tylko dzień, dwa, trzy... Będzie dobrze. Mamie się udało i mnie też się uda. Muszę, muszę, muszę...” Zwykle po paru minutach uczucie to mijało. Potem jednak przez cały dzień była napięta, zasłuchana w ton toczących się obok rozmów, wykładów... Nie słyszała wtedy pojedynczych słów, czy zdań. Ważny był tylko ton głosu, który w każdej chwili mógł przejść w tamten krzyk. W takie dni nie docierały do niej zaczepki chłopców, czy docinki koleżanek. Przesuwała się przez życie pragnąc zajmować w nim jak najmniej miejsca.

Tak. Mogłaby się bronić. Ale co by to dało? Gdyby powiedziała im wszystko, prawdziwe prześladowania dopiero wtedy by się rozpoczęły. Zresztą, jak wyrazić to, że się jest za inteligentnym? Powiedzieć jak matka “Nie jestem temu winna. Robię co mogę, aby się ogłupić?” Na samą taką myśl dostawała gęsiej skórki. Przecież to oznaczało, że inni są mniej inteligentni niż ona, a nawet dużo bardziej oględne sformułowanie wywołało złość Akiego. Teraz miałyby wszystkich przeciwko sobie, a ich nienawiść z formy prawie biernej prze-szłaaby w formę czynną. Co byłoby, wtedy - nie wiedziała. Możliwości mieli wiele, począwszy od wyrzucenia jej ze szkoły w bardziej, czy mniej legalny sposób, a skończywszy na pobiciu, lub zabiciu. Pozostawało tylko czekać. Czekać cierpliwie do chwili, gdy wszyscy zapomną o tym, przyzwyczają się do jej nowego obrazu. Kolejne dni mijały wolno. Coraz wolniej.

V

Wracając któregoś dnia ze szkoły Isia bardzo zdziwiła się widząc szeroko otwarte drzwi mieszkania i wszystkie posiadane przedmioty leżące w fotelu, przygotowane już do przeprowadzki. Matka siedziała na podłodze. Trzask zamykanych drzwi przerwał jej rozmyślenia. Przez chwilę przyglądała się Isi tak, jakby fakt posiadania córki o takim właśnie wyglądzie docierał do niej powoli i opornie. Potem powiedziała:

- Twój ojciec zawiadomił Urząd do Spraw Lokalowych o tym, że za moją wiedzą i zgodą nie mieszka już z nami. Potwierdziłam to. Zgodnie z obowiązującymi przepisami w ciągu dziesięciu dni mamy przeprowadzić się do piątej dzielnicy, gdzie czeka na nas mieszkanie. Przeniesienie mnie do nowej pracy, a ciebie do nowej szkoły będzie załatwione w tym samym terminie.

Isia osunęła się na podłogę i objęła matkę za szyję.

Potem długo siedziały przytulone do siebie zapłakanymi policzkami.

VI

Tonken był bardzo zmęczony. Ostatecznie sześciogodzinne wdrapywanie się po schodach z kawałkiem kamionkowej rury o wadze co najmniej pięćdziesięciu kilogramów dla nikogo nie jest szczególnie atrakcyjnym zajęciem. Co kilka pięter zatrzymywał się i poprawiał ułożone rury, klnąc przy tym tak, jak potrafili to robić jedynie piloci 8 Korpusu. Długo, finezyjnie zachowując pewien rytm i rym starannie dobieranych wyrazów.

Miał już tego dosyć. Dwa razy w miesiącu robił wyprawy, których plonem było około stu kilogramów różnych rupieci, zamienianych potem beztrąsko na kotlety schabowe, kawę i inne luksusy nieznanym tutaj mieszkańcom. Tonken skrzywił się na samo wspomnienie smaku potraw dostarczanych przez ogólny, nieodpłatny system odżywiania.

- Jak mam jeść takie mydliny, to już wolę popracować. Zresztą zbyt wiele czasu poświęciłem na wyszukanie odpowiednich programów, aby teraz tak łatwo z nich zrezygnować - zdecydował, delikatnie stawiając na ziemi niesiony ciężar. Usiadł na rurze i wyciągnął papierosa. Zapalił go niespiesznie i zaciągnął się aromatycznym dymem. Przez chwilę obserwował unoszące się szare smużki. Przypomniały mu one szefa Wydziału do Spraw Przygotowania i Treningu Załóg; małego, chudego pułkownika, który tyle razy robił mu wykłady na temat szkodliwości palenia tytoniu.

- Miał rację stary - pomyślał w nagłym przypływie sympatii do byłego zwierzchnika. - Wszystko, czego od nas wymagał bardzo mi się tu przydało: dzudo, boks, zapasy, podnoszenie ciężarów... Rany boskie, co ja bym zrobił bez takiego przygotowania! Na przykład ta rura...

Starannie dogasił niedopałek i znowu umieścił na ramieniu swój ciężar.

- Cholera jasna! Tyle razy myślałem o tym, że muszę brać pasy - mruknął wchodząc na następną kondygnację. - Co ja zrobiłem z tamtymi materiałami? Przecież niedawno przyniosłem całą płytę. Acha, ta dziewczynka! Jak jej było: Asia, czy Isia... Tak, Isia. Zaprogramowałem dla niej lalkę. Zupełnie dobrze wyszła. Nie wiem co się teraz daje dzieciakom, ale dziewczyny zawsze bawiły się lalkami. Nawet, gdy były starsze od niej. Biedna mała. Tak, czy inaczej trafi do dzielnicy mutantów, a ja nic na to nie poradzę. Nie oderwała się jeszcze, ale na pewno przyjdzie. Dam jej wtedy tę lalkę.

Nowa kondygnacja. Tonken zdjął rurę z ramienia i odpoczywał przez chwilę.

- Głupie to wszystko - myślał. - Najpierw marzenia, nauka, treningi, gwiazdy, a potem puste schody. Jeśli zaczają się tutaj, zabiją mnie. Niosę przecież pięćdziesiąt kilogramów.. Tyle, ile zarabia przeciętny człowiek w ciągu całego swojego życia. Mnie to wystarcza na dwa tygodnie. Tylko jeden strzał, no, w ostateczności rzut odpowiednio ciężkim przedmiotem. Mogą się na niego złożyć.

- Boję się. Jestem stary i śmieszny. Oni nie potrafią wychodzić na zewnątrz. Ja mogę. Tutaj wszystkie rzeczy użyteczności publicznej są skażone C-14. Nie warto kraść. W zamienialni nie przyjmą. Moje materiały są nieskażone. Dwieście siedemdziesiąte piętro. Znowu krótki odpoczynek. Teraz jest bardziej niebezpiecznie. Trzeba poruszać się cicho, mimo, że o tej porze wszyscy powinni jeszcze spać.

- Śmieszne. W promieniu kilkunastu kilometrów wokół domu porzucane są różne przedmioty, materiały budowlane, zapasowe elementy. Dlaczego nie wyzbierali tego wtedy, gdy po raz pierwszy odczuli brak surowców? Przecież tam leży majątek. Trzeba tylko umieć wyjść z domu.

Nowa kondygnacja.

- Dlaczego porzucili to wszystko? Czyżby tak bardzo się spieszyli? Nic na to nie wskazuje. Raczej po prostu na większą skalę rzecz jest nieopłacalna. Dla jednej, czy paru osób to bardzo dużo, ale dla tych kilkuset miliardów? Jeśli wypadnie po jednej dziesiątej grama na twarz, to i tak dobrze. A trzeba skonstruować maszyny, które pracowałyby na zewnątrz, odszukać włązy towarowe, windy...

Uśmiechnął się wspominając jak bardzo był zdziwiony, gdy powiedziano mu, że ludzie boją się otwartej przestrzeni. Długo w to nie wierzył uważając się za przedmiot kpin rozmówców, którzy z najpoważniejszymi w świecie minami tłumaczyli mu, że wyjście na zewnątrz grozi pomieszczeniem zmysłów i paroma innymi chorobami na dodatek. Zwabił wtedy podstępnie starego Ardeja, upił go najzwyczajszą wódką (syntetyzator miał bezpiecznik ograniczający produkcję narkotyków, ale nikomu nie przyszło do głowy, że można pić etanol), a potem zawiązał mu oczy i wyprowadził na dwór. Wyprawa trwała dwa dni, bo prowadzenie po schodach podbitego człowieka z zawiązanymi oczami było dość kłopotliwe. Ale opłacało się. Ardej podczas schodzenia w dół zachowywał się jak każdy w jego sytuacji. Mamrotał coś pod nosem, zataczał się lekko troskliwie podtrzymywany przez Tonkena. Na dole zdjął mu opaskę. Tylko na chwilę, po to, aby zobaczyć słońce i wolny świat. To wystarczyło. Ardej upadł na kolana, a potem przywarł do ziemi, bojąc się zrobić jakikolwiek ruch. Drżał tak, że po paru minutach Tonken uwierzył, iż z własnej woli nigdy się stąd nie ruszy. Musiał użyć całej swojej siły, aby wreszcie zawlec go z powrotem do budynku. Dał mu potem jeszcze jedną porcję wódki i podczas drogi powrotnej wytłumaczył, że całe to wydarzenie było tylko snem. Do tej pory, gdy przypomni Ardejowi tamten widok, stary zaczyna się trząść i chowa głowę w ramiona. Po tym doświadczeniu uwierzył, że nikt nie może wyjść na zewnątrz.

Jeszcze tylko dwadzieścia pięter. Znowu usiadł na rurze i odpoczywał paląc papierosa.

- Po co oni to zrobili? Bezludna, cicha Ziemia i jeden, olbrzymi dom zamieszkiwany przez miliardy ludzi. Kto podjął taką decyzję? Jakie były powody?

Wiedział już, że nikt na świecie nie potrafi odpowiedzieć mu na te pytania. Po powrocie zbadał próbki wody, gleby, powietrza... Nic nie znalazł. Ani zbytnich skażeń, ani niebezpiecznych drobnoustrojów. Nic.

Postanowił szukać rozwiązania tej zagadki w starych archiwach. Cały rok kopał w stosach papierów, książek, mikrofilmów, łudząc się, że znajdzie wśród nich jakieś ważne dokumenty. Owszem, znalazł coś: dziwną historię o wilkach i ślady starannego niszczenia wszystkiego, co mogło dotyczyć interesującego go problemu. Może to jakiś idiotyczny eksperyment, z którego potem nie można się było wycofać? Może usiłowano w ten sposób stworzyć warunki do regeneracji biologicznej biosfery? Odczekać, aż zanikną krótkożyciowe izotopy? Zmniejszy się zapylenie? Może to tylko jeden z wielu budynków, ocalały z nieznanego kataklizmu, czy wojen? Może...?

Fakty? Owszem, dysponował pewnymi faktami. Dom przed jego przybyciem był szczelnie zamknięty, ściany i dach wykonano z materiału pochłaniającego promienie słoneczne i przetwarzającego je na energię elektryczną. Oczywiście musiano zrezygnować z budowy okien. Może właśnie dlatego dom stał się pułapką? Dziesięć pięter.

- Dlaczego zniszczono tamte dokumenty? Przecież mogły mieć one kolosalne znaczenie nie tylko dla mnie, ale i dla nich. Odebrano mi prawo wstępu do bibliotek i archiwum. Czy dowiem się jeszcze czegokolwiek?

- Dziwne rzeczy robią z tą nauką. Wydaje się, że celowo hamują postęp w każdej z ważniejszych dziedzin. Oczywiście prowadzi się badania, pracują instytuty, są sławni uczeni, ale... Ale przecież te ich testy mają na celu wyeliminowanie najzdolniejszych. Zbyt niski wynik i etykietkę "społecznie nieprzystosowany" otrzymują najinteligentniejsze dzieciaki, które są potem traktowane na równi z mutantami. Bez kontaktu z dotychczasowymi osiągnięciami naukowymi można po raz dwieście

osiemdziesiąty szósty w historii Ziemi odkryć prawo Newtona i geometrię Euklidesa, ale trochę trudniej zbudować stos atomowy, czy sformułować teorię Einsteina. Może o to im chodzi?

Tonken ostrożnie uchylił drzwi prowadzące na korytarz dzielniccy mutantów. Wokół było zupełnie pusto. Słabe światło płynące z sufitu nie zachęcało do spacerów. Był wczesny ranek. Delikatnie zamknął za sobą drzwi niczym nie różniące się w szeregu innych, tak samo szarych i odrapanych. Ostrożnie niosąc cenną zdobycz ruszył w kierunku swojego mieszkania. Mijał kolejne korytarze starając się jak najwcześniej odgadnąć każde niebezpieczeństwo. Wszędzie panowała cisza.

Obecność kogoś obcego, czekającego pod drzwiami jego mieszkania, odkrył bardziej instynktem, niż wzrokiem, czy słuchem. Postawił rurę na ziemi i sprężył się do skoku. Pomyślał jeszcze, że są słabi i w pojedynkę nie będą w stanie unieść takiego ciężaru. Z łatwością dogoni złodziei. Chyba, że będzie ich kilkunastu.

Szary, pojedynczy cień drgnął, a potem wstał i wyprostował się na całą swą niegroźną wysokość.

- Czekaliśmy na pana i chyba zasnęłam - powiedziała Isia.

VII

Oparł się o drzwi i z satysfakcją obserwował wyraz zdziwienia na jej śmiesznym, zadartonosym pyszczku. Nigdy chyba nie widziała na raz tylu bogactw: stół, prawdziwe, nienadmuchiwane posłanie, dwa fotele... Miał ochotę pokazać jej i drugi pokój, którego powierzchnia wynosiła prawie pięć metrów kwadratowych.

Mieszkanie Tonkena powstało z połączenia sześciu izb o standardowych wymiarach. Stać go było na to, a poza tym w ich dwumetrowych kłitkach miał wrażenie, że się dusi. Rozwalił niektóre ścianki działowe i uzyskał dwa przyjemne pokoiki o łącznej powierzchni ponad dziesięć metrów kwadratowych. Takiego mieszkania nikt tutaj nie miał.

- Szkoda, że nie dali mi pozwolenia na zakup książek. Wtedy dopiero byłaby zdumiona - pomyślał. - Śmieszna ta mała. i odważna. Chyba przez całą noc czekała na mnie.

Tonken spowaźniał. Przyczyną niespodziewanej wizyty Isi musiało być coś tak ważnego, że zapomniała o wszystkim co jej mówił o dzielnicy mutantów.

- Siadaj - powiedział. - Co się stało?

- Mówił pan kiedyś, że chce nam pan pomóc. Wyrzucili nas do dzielnicy mutantów. Ojciec zawiadomił Urząd o tym, że nie mieszka z nami. A moja matka jest mutantką. Dopóki żyła z ojcem wszystko było w porządku. Musiała tylko pracować tam, gdzie jej kazali. Teraz... Isia straciła panowanie nad sobą. Płakała głośno uderzając małą łapką o blat stołu.

- Nienawidzę ich. nienawidzę - powtarzała. - Przecież oni ją zabijają. Ona sama się zabije. Dali jej nową pracę. Ma poprawiać wzory na pojemnikach do syntetyzatorów. Moja matka! Tylko za to, że jest mądrzejsza od nich. Mówiła mi kim pan jest. Musi nam pan pomóc!

Tonken miarowym krokiem przechadzał się po pokoju. Po paru minutach zatrzymał się o dwa kroki przed pochlipującą dziewczynką.

- A jak mogę wam pomóc? - zapytał poważnie.

- Nie wiem. Pan to wszystko przewidział. Nawet to, że zupełnie ich nie znam.

- Masz na myśli swoich rodziców? Ależ ja niczego nie przewidziałem. Miałem wrażenie, że nie mówisz całej prawdy i to wszystko. Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Jak - wróciłam do domu. Trochę powiedziała mi mama, a reszty sama się domyśliłam. Od dwóch dni mieszkamy tutaj.

Zapłakane oczy Isi wpatrywały się w niego tak, jakby miał władzę co najmniej równą boskiej.

- Czy oni muszą nas tak traktować? Skąd się biorą tacy jak my mutanci - zapytała.

Odczuł ulgę na myśl o tym, że może odpowiedzieć chociaż na część jej pytania.

- Nie jesteś mutantką. Wybij to sobie z głowy. Zawsze w grupie dzieci jedne są bardziej inteligentne, a inne mniej. To nie ma nic wspólnego z mutacjami. Najgłupszy rodzice mogą mieć najmądrzejsze dzieci i odwrotnie. Mutacją nazywa się taką zmianę w genach, która jest przenoszona na następne pokolenia. Jeśli komuś obetniemy palec, jego dzieci będą miały wszystkie palce, bo to nie jest zmiana genetyczna. Natomiast jeśli palec ten zaniknie w wyniku mutacji, dzieci, wnuki i prawnuki tego osobnika mogą go nie mieć. Rozumiesz?

- A w takim razie skąd się biorą prawdziwi mutanci? - zapytała.

Tonken przez chwilę przyglądał się przymkniętym oczom dziewczynki i jej pochylonej głowie.

- Nie będę opowiadał ci o prawdziwych mutantach - powiedział. - Opowiem ci o tych, których wy nazywacie mutantami. To będzie bajka o wilkach na wyspie.

Dawno, dawno temu, przed tysiącem lat, a może jeszcze dawniej pewien człowiek kupił wyspę. Nie była ona zbyt duża, ale żyło tu wiele królików i innej drobnej zwierzyny. Wokół szumiało morze.

Człowiek, który kupił wyspę był biologiem i interesował się wilkami. Prawdziwymi, dzikimi wilkami, a nie takimi, jakie są w ogrodach zoologicznych. Sprowadził więc kilka par tych zwierząt i wypuścił je na wolność. Sam zaś z kamerą fotograficzną godzinami leżał w krzakach obserwując swoich podopiecznych. Wiedział, że jest im dobrze. Bujne trawy i zarośla dawały pokarm i schronienie tak wielu zwierzętom, że nawet, gdyby wilków było dużo, dużo więcej, nie zabrakłoby im pożywienia.

Początkowo niepokoił się o to, czy wilki będą się dobrze aklimatyzowały, czy nie będzie dla nich zbyt ciepło, czy króliki będą im smakowały... Wszystkie te wątpliwości były zupełnie zbyteczne. Liczba wilków rosła bardzo szybko, mioty były liczne, matki czule opiekowały się szczeniętami, a ojcowie dbali, aby ich potomstwo nie było nigdy głodne. Pan Biolog napisał o wilkach piękną książkę, w której na licznych fotografiach pokazywał jak szczęśliwie upływa ich życie.

Aż nagle coś się zmieniło.

Gdy właściciel wyspy pierwszy raz zobaczył jak samiec gryzie samicę przetarł kilka razy oczy i nie wiedział, czy to on jest szalony, czy też może ten wilk. Potem było jeszcze gorzej. Samice nie rodziły już kilku szceniąt na raz. Często w miocie było tylko jedno wilczątko, a i ono kalekie. Samce walczyły teraz ze sobą nie do momentu, aż któryś z nich zostanie pokonany. Rezultatem walki musiała być śmierć. Czasem dorosłe zwierzę rzucało się na szczeniaka, który nie potrafił się nawet bronić. Ginał wtedy, mimo że w żaden sposób nie zagrażał interesom swojego zabójcy. Królików wciąż nie brakowało.

W miarę upływu czasu liczba urodzonych martwych i kalekich szceniąt rosła. Niektóre matki pożerały swoje dzieci. Właściciel wyspy co roku liczył wilki. Po paru latach liczba tych zwierząt ustaliła się, choć nie miały one wrogów naturalnych. Na jeden kilometr kwadratowy przypadało wciąż tyle samo wilków. Z roku na rok coraz bardziej zdegenerowanych.

I biedny Pan Biolog nie wiedział co ma robić. - Powinien powiększyć wyspę - powiedziała Isia.

- Wyspy nie można powiększyć - zaprotestował Tonken. Isia była jednak równie uparta jak i śpiąca.

- Ale gdyby ją jednak zmniejszył... Przepraszam, chciałam powiedzieć powiększyć - dodała.

Tonken na chwilę wstrzymał oddech.

Wyspy nie można powiększyć, można ją tylko zmniejszyć. Pusta Ziemia, na której stoi tylko jeden dom. Wyspę można tylko zmniejszyć, zamknięte najwyższe piętra budynku. Wyspę można zmniejszyć od razu, lub stopniowo. Żaden parlament nie zgodzi się na to, aby zbyt drastycznymi metodami ograniczać przyrost naturalny. Co robić, gdy apele nie pomagają?

Liczba wilków przypadająca na jeden kilometr kwadratowy jest stała.

Przyczyny zagłady psychozoików według von Horera –

Punkt trzeci - degeneracja psychiczna lub fizyczna.

Wyspę można tylko zmniejszyć. Jeśli zacznie się to robić dostatecznie wcześnie, istnieje szansa, że nie cały gatunek ulegnie degeneracji. Potem, gdy wilków będzie już mało, wyspa powróci do swych poprzednich rozmiarów, i wszystko zacznie się od początku.

Przyczyny zagłady psychozoików według von Horera

- Punkt trzeci - degeneracja psychiczna lub fizyczna.

Wilki nie mogą dowiedzieć się o tym, że są tylko wilkami.

Nie wolno do tego dopuścić.

Hipnotyzator - nieprzekazujący informacji, wynaturzony potomek telewizora.

Testy na zdolności psychiczne.

Testy na inteligencję.

Testy eliminujące najlepszych.

Wilki nie mogą nic wiedzieć.

Przynajmniej dopóty, dopóki eksperyment trwa.

VIII

Stali oddaleni o dwadzieścia metrów od wznoszącej się pionowo ściany domu. Isia miała szeroko otwarte oczy. Prawą ręką niezgrabnie tuliła do siebie lalkę. Nie bała się. Paweł Tonken spojrzał na jej matkę.

- Nazwę ją Anna - pomyślał. - To bardzo ładne imię.

Miała bladą, wystraszoną twarz i usta zaciśnięte w zbiebiałą kreskę. Oczy jej były zamknięte.

- Nie bój się Anno - powiedział łagodnie. - Nie otwieraj oczu. Nie myśl o tym, że wyszłaś stamtąd. Myśl o terenach rekreacyjnych. Teraz wezmę cię za rękę, a ty przez cały czas nie otwieraj oczu. Isia stoi obok i wcale się nie boi. No, chodźcie.

Marek Ramus - DRWALE I DZIEWCZYNA

Zza pancerniczej szyby Elmer Eyskin przyglądał się smętnemu krajobrazowi. Brunatna kurzawa, spowijająca łazik przez całą drogę, kłębiła się przed maską zalepiając wizjery.

- Już wiem, co mi to przypomina - powiedział Earthy Bird - akwarium bez wody. Gigantyczne akwarium o brudnych pokrytych brązowo-zielonkawym nalotem szybach. Szyby działają jak filtry; nieprzyjemna barwa tutejszego światła to właśnie ich zasługa.

Eyskin spróbował to sobie wyobrazić: suche, gorące akwarium. Trzy ślimaki-łaziki suną gęsiego po dnie; o ich ruchu świadczy tylko unosząca się wokół pylista aureola. Wysoko, niepodległy siłom kłębiącym się na dole, tkwi jak srebrna kropla satelita stacjonarny - oko "Fundadora".

Z wysokości orbity mgiełka, ślimaki i nafaszerowany skałkami piasek zlewały się w jednostajną, szaroburą płaszczyznę. Eyskin i jego ludzie, zamknięci w kabinach łazików, wsiąkli po prostu między wydmy.

- Czemu stanęliście, Eyskin?

- Nie wiem. Zdawało mi się, że...

- Że co?

- Nie wiem.

Nigdy tutaj nie padał deszcz. Nigdy nie przeleciał ptak. Na powierzchni planety, jałowej jak kawałek wyżarzonego piaskowca, nie znaleziono nic, co byłoby w stanie przyciągnąć zainteresowanie badaczy. Wyprawa pierwotnie ominęła ją, kierując się dalej - poza granice ekosfery. Ale rezultaty następnych lądowań okazały się jeszcze bardziej zniechęcające: fotografie, trochę danych, kolekcja minerałów. Chemicy rzucili się na nie, przeprowadzili tysiące eksperymentów, postawili setkę hipotez, pokłócili się o nie na dziesiątkach konferencji i spotkań, wyciągnęli kilka mało istotnych wniosków i w końcu ostentacyjnie ulegli nieróbstwu.

Układ wydawał się nieciekawym i wszyscy, nie bez uczucia zawodu, sposobili się do odlotu.

Lecz decyzja o opuszczeniu układu, tak zdawałoby się oczywista, z nieznanym powodem opóźniła się. Wiadomość o nadesłaniu przez krążącą wokół jałowej planety sondę serii nowych fotografii nie wzbudziła niczyjego entuzjazmu. Zakłócała komfort psychiczny płynący z przeświadczenia, że wszystko jasne: w razie nader prawdopodobnego niespełnienia nadziei pozostałby po niej nastrój jeszcze dolegliwszej apatii niż ta, z którą uczestnicy wyprawy zmagali się od miesiąca. Powrotowi w okolice jałowej planety towarzyszyła więc całkowita obojętność.

Eyskin - jak inni - nie miał początkowo pojęcia, co za powód kazał wyprawie wracać. Fotografie przedstawiały się nieszczególnie, jak zwykle robione z tej wysokości standardowym sprzętem. Gładkich płaszczyzn przez całe setki mil nie ożywiały żaden szczegół, a nieliczne skupiska skał, którymi upstrzona była balonista powłoka, już samym usytuowaniem budziły niechęć. Skały, niewysokie, o zaokrąglonych krawędziach, sterczały powbijane niedbale w piasek jak rodzynki w ciasto. Obecność jaskiń, wąwozów, głębokich szczelin została, zdaje się, od samego początku wykluczona. Ludzie oglądali zdjęcia, wrzuszali ramionami i mruczeli niepoehlebne opinie pod adresem kierownictwa wyprawy.

“Fundador” lądował na rozległym płaskowyżu nocą, tym razem nieco powyżej równika. Eyskin obserwował przebieg manewru w swojej kabinie. Kłęby piasku podniesione ku niebu i rozświetlone ogniem dysz wylotowych sprawiały takie wrażenie, jakby w trzewiach nocy spalały się kolejne warstwy okrywającego pustynię niewidzialnego płaszcza. Po wyjątkowo nieatrakcyjnych lądowaniach ostatniego miesiąca, to przebiegło nawet interesująco. Eyskin wyczekał do końca operacji, wyłączył obraz i położył się spać.

Przez następne dni niewiele się działo. Eyskin snuł się po korytarzach jak każdy, komu nie przydzielono konkretnego zajęcia, rano jeździł szybem osobowym na taras widokowy i przez zamglone powietrze obserwował brudnawe cielsko planety. Z każdej strony tarasu rozciągał się dokładnie taki sam widok, Eyskin wypijał kawę, zjadał obiad, przerzucał najnowsze biuletyny i o odpowiedniej porze kładł się spać. Regularnie miewał kłopoty z zaśnięciem.

Z dnia na dzień tryb życia Eyskina uległ radykalnej zmianie. Nie miał chwili wolnej: budzono go rano i pozwalano chodzić spać bardzo późno.

- Wysyłamy dwie jednakowe grupy - mówił komandor Wilman, szef organizacyjny przedsięwzięcia - oznaczone jako “Berenika” i “Eurydyka”, odpowiednio do kryptonimów guasi-geologicznych tworów na północ i południowy zachód od miejsca lądowania “Fundadora”. Dowódcy: Eyskin i Pargyney. Cel akcji: dostarczenie sprzętu niezbędnego do założenia lokalnych baz oraz wstępny rekonesans. W zależności od jego rezultatów zostaną przetrzuceni drogą powietrzną ludzie i specjalistyczna aparatura - albo, rzecz jasna, zwijamy cały majdan. Jeśli chodzi o szczegóły...

- Proponujemy dwa niezależne tory - mówił specjalista od łączności. - Kanał A, wewnętrzny, dla komunikacji między załogami łazików; kanał B, zewnętrzny - między Bazą a dowódcami grup. Baza wchodzi automatycznie i po wyczerpaniu tematu, nie czekając na potwierdzenie odbioru, natychmiast się wyłącza. System jest prosty jak drut, elastyczny, oszczędza czas.

- A jeśli coś się nam przytrafi? - zapytał Ciem, wysoki, nieśmiały chłopak, tonem nad wiek poważnym i zatroskanym.

- Będziemy was śledzić z satelity stacjonarnego. Automatyczny namiar pozycji, czujniki podczerwieni i tak dalej. Na wypadek niespodzianek przewidzieliśmy możliwość podłączenia załóg do toru zewnętrznego, normalnie zastrzeżonego dla dowódcy. W celu uruchomienia kanału B należy...

Najwięcej czasu spędzali z profesorem Pargyney’em, głównym sprawcą całego zamieszania. Pargyney był starszym, energicznym mężczyzną; Eyskin zapamiętał go miotającego się między stertami dokumentów a pulpitem do sterowania aparaturą wyświetlającą przezrocza i filmy.

- Berenika - profesor za każdym razem w osobliwy sposób smakował to imię - zajmuje powierzchnię około 400 kilometrów kwadratowych. - Eyskin przyglądał się zdjęciom i przezroczom, które przedstawiały rozmaite ujęcia kamiennych zwałowisk. Na siłę w układzie gładów można było doszukiwać się regularności; Pargyney potrafił o niej mówić żarliwie i przekonująco. Eyskin nie miał powodów, żeby mu nie wierzyć, a jednak raziło go nazywanie kobiecym imieniem zwyczajnej kupy kamieni. “Berenika - mówił z przekazem do Earthy’ego i Clema i wzruszał ramionami. - Zwichrował stary, nie ma co. Zwykłe kamienie wydają mu się interesujące tylko dlatego, że zebrało się ich tyle na jednym miejscu.”

- Powiedz to głośno - radził Earthy i pewnego razu Eyskin rzeczywiście wyłożył po kolei swoje wątpliwości. Nastąpiło coś niespodziewanego: Pargyney stracił w jednej chwili cały entuzjazm i pewność siebie - przypominał raczej balon, z którego uszło powietrze. Usiadł ciężko na krześle i zapatrzył się w zawałony mapami, ekspertyzami i zdjęciami blat.

- Widzi pan - powiedział powoli - nie mamy żadnej pewności, że Berenika czy Eurydyka okażą się fenomenami, którym warto było poświęcić przynajmniej tyle czasu i starań, ile poświęciliśmy dotąd. Ale

rezygnacja to nie jest wyjście - musimy grać tak czy owak, po to tu w końcu jesteśmy.

- Uważam, że dysponujemy zbyt małą ilością przesłanek, aby poważnie traktować tę... jak pan powiedział... Berenikę - rejterada Pargyney'a zaskoczyła go przykro.

- Więc trzeba zdobyć następne - profesor spojrział na niego spode łba. - Berenika i Eurydyka nie są zwyczajnymi tworam geologicznymi. Są kamiennymi miastami. Nie, nie mam. żadnych dowodów - ale liczę, że pomożecie mi je zdobyć.

- Miasta? - zainteresował się Ciem. - Zamieszkałe?

- Nie wiem - Pargyney podniósł się z krzesła. - Chyba nie. To najsłabszy punkt mojej... - chciał powiedzieć "hipotezy", ale zreflektował się i dokończył: -...mojego pomysłu. No, na dzisiaj wystarczy. Dziękuję panom.

- Nie przekonał mnie - powiedział Earthy, kiedy rozchodzili się do kabin. - Ja tam nie wierzę w miasta na Księżycu.

- Księżycowe Miasto - podchwycił Ciem. Powtórzył nazwę kilka razy; spodobała mu się. Zaczęli używać jej w rozmowach.

Obie grupy wyruszyły jednocześnie. Przez jakiś czas jechali burta w burtę, potem łaziki Eyskina skręciły ostro na północ, ku skałom.

Wśród skał jechało się trudniej, ale po kilkunastu minutach Eyskin zdążył nabrać wprawy i droga nie sprawiała mu już tyle kłopotu co przedtem. W odległości dziesięciu metrów za jego łazikiem posuwał się Ciem; ostentacyjnie lekceważąc przepisy, jechał rutyniarz Earthy. Do tej pory rzadko odzywali się do siebie, skoncentrowani na prowadzeniu, teraz jednak, oprócz nadawanych systematycznie komunikatów z Bazy, ciszę radiową raz po raz przerywały pieprzne dowcipy Earthy'ego i wybuchy śmiechu młodego Cierna.

- Facet zatrzymuje taxicopter, wyciąga pilota z kabiny i mówi: onanizuj się! Znacie to?

- Ja nie znam - skłamał Eyskin wpatrując się w płasający przed maską łazika tłum borych zjaw w długich, luźnych opończach. Przy próbie dokładniejszego przyjrzenia się postaci skwapliwie schodziły pojazdowi z drogi, nikły między rzędami piaszczystych diun albo po prostu rozplływały się w powietrzu. Eyskin zapadał w odrętwienie - z oczami wlepionymi w szkła wizjerów zapominał o łaziku, skałach i piachu, pochłonięty kompletnie tańcem tajemniczych postaci. Głosy Earthy'ego i Cierna przywracały poczucie rzeczywistości. Włączył reflektor - tłum zjaw zniknął, zamieniony w jednej chwili w kłęby rudego kurzu.

- Ja też nie - powiedział Ciem.

- Eyskin, skały chyba zmieniają wygląd - powiedział obserwator. - Niczego nie zauważyliście?

- Nie.

- Może mi się zdawało. Bądźcie czujni.

- Jesteśmy.

- Musimy słuchać tego nudziarza? - zniecierpliwił się Earthy. - Od pewnego czasu jego gawędziarstwo działa mi na nerwy, - Na tym z grubsza polega jego rola. Wolałbyś sam bez przerwy gadać w mikrofon, co myślisz odnośnie piękna tutejszego krajobrazu?

- Sam nie wiem, co byłoby lepsze. Można zasnąć i wcale tego nie zauważyć.

Eyskin zaśmiał się do wskaźników łazika.

- Zajmij się czymś. Coś tam chyba zacząłeś opowiadać.

- Facet z żoną zatrzymuje taxicopter...

- Przedtem nie mówiłeś, że był z żoną - zauważył Ciem.

- To teraz mówię. Zatrzymują ten taxicopter, facet wyciąga z kabiny pilota i mówi: onanizuj się! No, ale już! Czyś pan zwariował, protestuje pilot, na rozum panu padło? Bo ci rozwalę łeb! - wrzeszczy ten

facet. No i w końcu pilot musiał zrobić to, o ca tamten go prosił.

Głośnik, w którym zbiegały się zablokowane linie łączności wewnętrznej rozbrzmiał śmiechem Clema. Ciem czasami potrafił śmiać się z byle czego i bywało, że Eyskin zazdrościł mu tej umiejętności.

- I tak jeszcze sześć razy. Facet, który zatrzymał taxi-copter podnosi nieprzytomnego pilota z ziemi, sadza go za sterami i mówi do żony: - Wsiadaj, pan cię zawiezie do miasta.

- Zwróciliście uwagę, co mówił obserwator? - odezwał się Ciem poważnym tonem. - Może w tych skałach istotnie coś jest?

- Moim zdaniem, cierpicie obaj na nadmiar wyobraźni - orzekł autorytatywnie Earthy. - W dzisiejszych czasach to poważna wada: zbyt duża wyobraźnia. Ty, Ciem, w dodatku za wiele myślisz. Świat należy dziś do bezmyślnych i pozbawionych wyobraźni - dlatego tyle się automatyzuje. Uważaj, bo zamiast skał zobaczysz kowbojów pędzących prosto do Księżycowego Miasta.

- Takich z sześcioma parami oczu na każdej szczękoczułce? Pasowałoby nawet do tej rozkosznej okolicy. - Ciem ściszył głos: - Mildred mówiła mi, że Pargyney ma całą teorię na temat Księżycowego Miasta. On wierzy podobno, że te kamienie żyją.

- No i wszystko jasne. Jazda pod nosem żywych istot zawsze obfituje w ryzyko i niespodzianki. Znane są przypadki, kiedy podobne wycieczki kończyły się niezbyt pomyślnie.

- Na przykład?

- Na przykład nabiciem na widelec. Skały, nie skały - muszą się czymś żywić, nie? A taka gratka jak trzy nafaszerowane łaziki nie trafia się częściej jak raz na miliard lat.

- Myślisz, że nie zabierają się za nas z przyzwoitości?

- Muszą ochłonąć ze zdumienia. Zachowujemy się jak pijana mysz tarzająca się vis a vis kociego podogonia.

- A może one wolą trochę poczekać, żeby od razu łyknąć wszystko? Księżycowe Miasto jest, dajmy na to, sprytnie zamaskowaną gardzielą, która nas pożre. Po dziesięciu tysiącach lat gigantyczny odbyt po przeciwnej stronie planety wystrzeli na orbitę marne resztki, które z nas zostaną.

- Piękna śmierć - rozmarzył się Earthy. - Godna astronauty. Jedźmy prędzej, chcę jak najszybciej umrzeć w ten sposób.

- Słuchaj, Eyskin, za parę minut będziecie mieli koniec tych przeklętych skał. Potem zacznie się pustynia, równa jak stół. Wtedy zmienicie kurs na 135 i od tego miejsca zostanie wam około dwóch godzin jazdy. Za skałami prędkość wiatru wynosi sześć metrów na sekundę. Nie dehermetyzujcie przypadkiem kabin - ten drobny piasek potrafi wcisnąć się nawet pod szkiełko od zegarka.

- Sukinsyn - zaklął Bartny. - Ja go zabiję.

- Uwaga - powiedział Eyskin - zdaje się, że dojechaliśmy do pustyni. - Zastanowił się i dodał: - Silniki stop.

Trzy stutonowe łaziki pełnące między rzędami niewysokich skał zaryły w miejscu. Ustało mielenie gąsienic. Wrosłe w piasek pojazdy przypominały przedpotopowe zwierzęta: z ich szarych burt ściekały brunatne strużki pyłu.

- Koniec skał - oznajmił obserwator z Bazy. - Teraz 135 i po dwóch godzinach jesteście na miejscu. Czemu stoicie?

- Zarządziłem postój - odrzekł Eyskin znużonym głosem, - Chyba należy się nam po tych pieprzonych skałach trochę wytchnienia, co?

- Tego nie ma w harmonogramie... - zaczął obserwator.

- Posłuchaj, synu - Eyskin był wyraźnie zły. - Ty jesteś tam, a my tutaj. Mimo to może ci się wydawać, że do spółki z harmonogramem potrafiłbyś przewieźć do Księżycowego Miasta połowę Bazy - niedaleko stąd widziałem wygodną, sześciopasmową autostradę. Ale tak się składa, że to ja odpowiadam, żeby ten

cały majdan bezpiecznie i w komplecie dotarł na miejsce.

Spomiędzy skał wyjechali już w szyku trójkątnym; teraz prowadził łązik Earthy'ego. Obserwator z Bazy, najwyraźniej dotknięty reprimendą, nie odzywał się; milczał również skoncentrowany na sterach Earthy. Na obu kanałach panowała martwa cisza.

- Jak się czujesz, Ciem? - zagadnął Eyskin.

- W porządku.

- A ty, Earthy?

Brak odpowiedzi.

- Earthy! - powtórzył Eyskin. Szarpnął dźwigienkę akceleratora i łązik skoczył do przodu. Warkocz brunatnej kurzawy wyrzucanej przez gąsienice zgęstniał. Amortyzatory nie nadążały z tłumieniem wstrząsów i podwozie raz po raz odpowiadało seriami głuchych uderzeń.

- Earthy!

- Słucham - mruknął Earthy jakby nigdy nic.

- Co się z tobą dzieje - warknął Eyskin. - Ogłuchłeś czy co?

- A co ma się dziać? - głos Earthy'ego wyrażał szczere zdumienie. Eyskin kopnął hamulce i jego łązik od razu zaczął tracić dystans.

- Czy nie za szybko jedziemy? - zaniepokoił się Clem. - Pustynia wydaje się równa, ale...

- Zwolnij, Earthy - zakomenderował Eyskin. - Nie ma się dokąd spieszyć.

Cholera boję się - powiedział zniecka Clem. - To znaczy nie boję się Miasta, pustyni ani skał... nie wierzę w inteligentne kamienie Pargyney'a, a jednak odczuwam coś takiego... nie, nie strach - raczej tremę. Będziecie się śmiali... wiem, że to śmieszne. Nigdy dotąd nie czułem czegoś podobnego.

- Mów dalej - zachęcił go Eyskin.

- To takie uczucie, jakbym za chwilę miał występ. Jakbym musiał wygłosić mądre przemówienie do świetnego audytorium. Nie czujecie czegoś podobnego?

- Nie - uciął krótko Earthy.

- Obserwator mówił o skałach nie bez powodu... że się zmieniają. Coś w tym musiało być.

- Jeśli coś zauważyłeś - powiedział Eyskin sucho - trzeba było meldować.

- Nie, nie - usprawiedliwiał się pospiesznie Clem. - Niczego nie starałem się ukryć. Wyobraziłem sobie tylko... Pomyślcie: Księżycowe Miasto, ta okolica, ta planeta istniały bez nas tyle lat. Miasto stało na pustyni, piasek próbował je zasypać, mury stawiały mu opór - i tak przez tysiące lat: piasek, wiatr i Miasto. Mijały dni i noce, upływały lata, setki lat - i ciągle nic się nie zmieniało, ciągle były te trzy rzeczy: piasek, Miasto i wiatr.

Przerwał na chwile..

- Mury wznosiły się ku niebu, a piasek i wiatr próbowały je zasypać. Tysiące lat. Spróbujcie wczuć się w tę sytuację - może było im ze sobą dobrze, może nie pragnęły tutaj żadnych gości? Może Miasto uznało za swe powołanie walkę z wiatrem i pustynią, może czuło się dobrze samo ze sobą, co? A teraz my jedziemy zakłócić jego spokój. Przecież... przecież to straszne!

- Co jest straszne? - zirytował się Eyskin. - Po prostu jedziemy przez pustynię. Przestań się zachowywać jak egzaltowana pensjonarka. Czy jazda przez pustynię jest straszna? Czy Księżycowe Miasto jest straszne?

- Czekaście - wtrącił Earty - ja go chyba rozumiem. Jesteś z Europy, prawda, Clem? Mc właśnie Clem po prostu kojarzy Księżycowe Miasto z ruinami starego zamczyska. W Europie sporo jest jeszcze takich zamczysk, ponurych, starych budowli o grubych murach. Legendy mówią, że w tych ruinach straszą duchy dawnych właścicieli.

- Ale przecież chodzi tylko o atrakcję dla turystów, nie?

- Jasne - Earthy przez chwilę się wahał. - W takim razie pozwólcie i mnie coś powiedzieć. W ramach zajęć przygotowawczych grupy "Berenika" obejrzelśmy - chyba nie przesadzam - ze dwa tysiące różnych zdjęć Księżycowego Miasta. Widoki z lotu ptaka, fotografie z orbity, podczerwień, ultrafiolet, rentgen, bardziej interesujące fragmenty - sporo tego było. W pewnym momencie przyszło mi do głowy skojarzenie - nie mówiłem o nim dotąd nikomu, wam powiem - Earthy zaczerpnął powietrza. - Pomyślałem, że wygląda to wszystko ni mniej ni więcej tylko na gigantyczny grobowiec... taki, wobec którego piramida Cheopsa wydaje się dzieciennym klockiem.

- Oj - Eyskin aż cmoknął ze zdumienia - czemuś tego nie powiedział wcześniej?

- Ze strachu - rzekł spokojnie Earthy - po prostu przeraziłem się tej wizji. Clem utrzymuje, że się nie boi; ja nie przespałem nocy usiłując dociec, kto tam, głęboko, leży.

A może to całe cmentarzysko? Jako kilkunastoletni chłopak przeczytałem książkę o odkrywcach grobów faraonów. Z jednego z nich wydobyto mumię i obwożono ją po największych muzeach świata. Ludzie, którzy mieli z tym związek, umierali w przedziwnych okolicznościach.

- Nie - powiedział stanowczo Clem - to nie wygląda na grobowiec.

- Daj Boże - zgodził się Eyksin - ale grobowiec wydaje mi się lepszym powodem do kiepskiego samopoczucia, niż obawa, że zakłócimy spokój kupie kamieni.

- Nie boję się duchów ani cmentarzy - oświadczył Clem. - Chodzi o coś innego. Spróbuję wyjaśnić - ale to trochę potrwa.

- Nie spieszmy się na randkę. Nawijaj.

- Jak słusznie zauważył Earthy, pochodzę z Europy. Z małego miasteczka, o którym na pewno nie słyszeliście: Arlon. Rodzice bardzo chcieli, żebym został lekarzem. Mieli mały domek z altanką i ogródkiem; odkąd pamiętam, byli starzy. Adoptowali mnie późno, kiedy już zrozumieli, że nie sprostają we dwoje starości i samotności. Oczywiście nie wiedziałem, że są moimi przybranymi rodzicami; patrząc na nich, starych, siwowłosych, siedzących w altanie porosłej bluszczem czy dzikim winem, nie pamiętam dokładnie - postanowiłem spełnić ich marzenia. Zdałem egzaminy i wszystko było na dobrej drodze.

Przyjeżdżałem do domu rzadko, zastając wszystko coraz starsze. Starzeli się moi rodzice, starzał się domek, malejąc jakby, wrastając w ziemię. Starzały się meble, książki, obrazy na ścianach, starzał się kot i pies.

Kiedyś przyjechałem i nie zastałem kota. Zdechł. Wkrótce po nim zdechł pies. Męczyłem parę starych ludzi, którzy chcieli być moimi rodzicami, aby wyciągnąć od nich jak najwięcej szczegółów na temat tych dwóch śmierci. Potem godzinami analizowałem, co robiłem wtedy, kiedy w piwnicy, zagrzebany w trocinach, umierał kot. Kiedy zawikłany w smyczę, zapętłony między krzewami umierał niezdarnie stary pies. Przeżywałem wiele razy ich śmierć - próbowałem zwierzyć się raz znajomej dziewczynie. Przeraził mnie jej śmiech. Wkrótce potem zmarli moi staruszkowie.

Łaziki z wysiłkiem przedzierały się przez wydmy.

- Zrezygnowałem z medycyny. Sprzedałem dom i ogródek, zacząłem podróżować. Nigdzie już nie spotkałem takiego spokojnego, cichego miejsca z kotem, psem i parą starych ludzi siedzących w altance. Wszędzie ludzie pędzili w wielkim pośpiechu, rozbijali się samochodami, walczyli ze sobą o pieniądze i o kobiety. Nie odnalazłem tamtej atmosfery, świat zmienił się błyskawicznie, albo też - co było gorsze do strawienia - domek z altanką i ogródkiem w Arlon był ostatnim spokojnym miejscem na Ziemi. Wróciłem tam, ale po domku i ogródku nie zostało ani śladu. Od człowieka, któremu sprzedałem posiadłość, odkupiła teren wielka firma budowlana - las dźwigów wznosił się ku niebu, z błota wyrastały zręby czegoś dużego, olbrzymiego - nawet nie starałem się dowiedzieć, czego. Siedząc w wagonie kolejowym rozumiałem, że świat dlatego jest pełen nieszczęść, bo pełen ludzi. Uświadomiłem sobie, że człowiek

jest elementem roznoszącym zło w taki mniej więcej sposób, w jaki muchy roznoszą bakterie.

- Zaraz, zaraz - powiedział Eyskin - bardzo to ładne i wzruszające symbole: kot, pies, domek, altanka. Wśród nich upłynęło ci dzieciństwo i rozumiało, że do nich tęsknisz. Ale może były to jednocześnie symbole świata anachronicznego, który musiał odejść? Może na twoich oczach zachodził obiektywny proces, nie do rozpatrzenia w kategoriach dobra i zła?

- Nie - obruszył się Clem. - Jeździłem i obserwowałem - i wszędzie widziałem to samo, w każdym miejscu, do którego docierałem, świat zmieniał się na gorsze. Chwilami miałem ochotę rzucić się z pięściami na te wszystkie wielkie i sprawne maszyny, na kierujących nimi ślepych i bezmyślnych ludzi, - żeby wstrzymać ich pochód choćby na chwilę. Ale wiedziałem, że jeden kamikadze niczego nie zmieni. Że machina zmiażdży mnie w trybach i podąży dalej, co się odwlecze o kilka godzin, o dzień najwyżej - i wróci do normy. Zatrudniłem się w firmie budującej bazy księżycowe - wyjechałem, żeby nie widzieć tego, co się dzieje. Żeby nie musieć na to patrzeć. - I co - pomogło?

- Pomyślcie: Księżycowe Miasto istnieje od tysięcy lat. Może od miliona - tego nawet Pargyney nie wie dokładnie. Wylądowaliśmy tutaj przywożąc ze sobą przeświadczenie o własnej nieomyślności, doskonałości i szlachetności, przybyliśmy przekonani o wielkości misji i słuszności porządku, jaki reprezentujemy. Nikt nigdy nie powiedział tego wprost, przeciwnie, pamiętam deklaracje skromności, otwartości, żwawe potępienia antropocentrycznego punktu widzenia składane przed startem "Fundadora" - mam ich pełne uszy po dziś dzień. W gruncie rzeczy wyruszyliśmy po to, aby szerzyć wiarę w wielkie posłannictwo ludzkości - I kłopot w tym tylko, że dotąd nie znaleźliśmy wdzięcznych, potrafiących docenić naszą wspaniałość słuchaczy. Nie szukamy braci w rozumie, szukamy gawiedzi, której zademonstrujemy kilka sztuczek; pewien poziom inteligencji kosmitów byłby nam potrzebny jedynie po to, byśmy mogli swobodnie się chwalić. Przywędrowaliśmy tu, żeby zmieniać na obraz i podobieństwo swoje, a to jest zło - nie rozumiecie, że teraz, w tej chwili, roznosimy je, że Pargyney zabrał je w prezencie Eurydyce, że my trzej wieziemy je dla Bereniki? Nie potrafimy poradzić sobie na własnej planecie, we własnym systemie, a wyruszamy podbijać inne, aby i tam spróbować nieporadnej ingerencji w sprawy, które od dawna dobrze bieżą swoim torem.

- Powinieneś zostać poetą, nie astronautą, Clem - powiedział Earthy ponuro. Świat słusznie nie toleruje poetów, którzy komplikują najprostsze rzeczy. Wydawało mi się dotąd, że po prostu jadę po pustyni - i nagle tej jednej pewnej rzeczy przestałem być pewien. Idiocieję przy tobie.

- Nie podzielam twoich wątpliwości, Clem - odezwał się Eyskin. - Tak czy owak doszliśmy już w paru dziedzinach do umiejętności - przyznaję, nieprostej - racjonalnego patrzenia na problemy, i nic chyba nie stoi na przeszkodzie, żeby od czasu do czasu coś nam się udawało.

- Tak, nic - zachnął się Clem. - Mądrzy ludzie biorą się za naprawianie świata, mają szlachetne intencje, używają niezgorszych narzędzi - a ciągle tyle spraw idzie na opak.

- Eyskin, jesteś tam? - odezwał się kanał zewnętrzny. Mimo iż głośnik spłaszczwał dźwięk, w głosie obserwatora słychać było entuzjazm - Pargyney dotarł właśnie do Eurydyki.

- I co? - zapytał chłodno Eyskin.

- Na razie nic. Czekają. Wilman zastanawia się, czy pozwolić im wjechać do środka.

- W porządku - burknął Eyskin - jak będzie coś ciekawego, daj znać.

Niespodziewanie natknęli się na wielkie zapadlisko. Łazik Earthy'ego zakołysał się i z wycelowaną w niebo rufą runął w dół. Eyskin i Clem wpadli na stok równocześnie. Piasek nie trzymał się zbocza, gąsienice gryzły go równie zaciekle co bezsilnie. Spłynęli w dół na grzbiecie piaskowych lawin. Pierwszy łazik tkwił zaryty do połowy w żwirze, a Earthy miał rozedrgany głos, kiedy demonstracyjnie kłął własną nieuwagę.

Clem założył hol i wyciągnął go z dołu. Ruszyli dalej dnem czegoś, co kiedyś mogło być wielkim

jeziorem. Earthy kłął monotonna, a Clem głośno martwił się, w jaki sposób poradzą sobie po dotarciu do brzegu.

- Halo, Eyskin - obserwator był bardzo uprzejmy - grupa Pargyney'a wjeżdża do Eurydyki. Jeśli sobie życzycie, możemy przełączyć wam ich rozmowy.

- Po co? - zdziwił się Eyskin - to tak, jakbyśmy w środku dżungli amazońskiej oglądali filmy o przyrodzie.

Sforsowanie przeciwnego brzegu sprawiło im o wiele mniej kłopotów niż sądzili. Wjechali trawersem na małej prędkości, silniki zaryczały basowo, ściana piachu, bardziej z tej strony skupionego, tańczyła w wizjerach.

Pierwszy wynurzył się i zobaczył je Clem: szare, ponure, martwe, bardzo wielkie. Na pustyni nie było żadnego szczegółu, który by pozwalał oszacować jego rozmiary: jedynym miernikiem mogła być pozostająca do przebycia droga. Powietrze stało się jakby klarowniejsze, najmniejszy podmuch nie unosił piachu wokół murów.

Zbliżając się, bez przerwy korygowali własne wyobrażenia na temat Miasta. Nie była to skała ani zamek wzniesiony przez możnego satrapę; to była po prostu góra zrzucona z nieba na pustynię, wyrastająca ponad nią na pięćset metrów, wczepiona solidnie w grunt, sękata od bastionów i skalnych wykuszów, w górze rozrosła wielkością wieżyc, gigantycznych słupów, kolumnad i gzymsów. Sam wygląd zewnętrzny Bereniki niczego jeszcze nie przesądzał, mogła z powodzeniem powstać w sposób naturalny - ale nie musiała. Z drugiej strony na całej planecie nie było nikogo, kto miałby powód zgromadzić tu tyle głazów, ułożyć je tak a nie inaczej - i nade wszystko byłby w stanie to zrobić. Trzy łąziki podjeżdżały w bardzo wyciągniętym szyku trójkątnym, jakby nieszczęście, które mogło się przydarzyć Earthy'emu było do uniknięcia przez pozostałych, o ile, rzecz jasna, postarają się utrzymywać należyty dystans.

Kiedy kanciasta głowa Bereniki wypchnęła wąskie pasemko nieba poza górną krawędź wizjerów, skręcili raptownie w prawo, gdzie według planów miała się znajdować najbliższa szczelina między skałami. Nie prowadził tam trakt ani nic, co mogłoby przywozić takie skojarzenie; po prostu mury rozstępowały się i przez powstały w ten sposób kanał można było przedostać się do środka. Jak daleko w głąb Miasta wiódł kanał, tego Eyskin nie wiedział; przed obiektywami kamer satelity skutecznie zasłaniały go kilkudziesięciometrowe przypory, nawisy i płyty.

- Stanęliśmy u bram - zameldował Eyskin - zgodnie z planem. - Zamierzał dodać: "i z harmonogramem", ale nie chciało mu się być złośliwym.

- Gratuluję - powiedział Wilman. - Ciężko było?

- Średnio. Co u Pargyney'a?

- Weszli na trzydzieści metrów i utknęli. Czekamy, co z tego będzie.

- Możemy wjeżdżać?

- Co wam tak pilno? - obruszył się Wilman. - Przecież ustaliliśmy, że wchodzicie po kolei: najpierw jedna grupa, potem druga. Nigdy równocześnie. Niech się coś stanie - wtedy będę miał obie panienki z głowy - Wilman roześmiał się z żartu, a Eyskin zastanowił się, czy mówiąc "panienki" myślał o obu Księżycowych Miastach.

- Dobra - powiedział wreszcie - w takim razie proszę o pozwolenie opuszczenia łązika. - Spojrzał w wizjery. - Jest spokojnie i czysto, pył zniknął - i zanim Wilman ogłosił decyzję, dmuchawy oczyściły gondolę z kurzu.

Grunt był twardy, spoisty, a powietrze miało ostry smak. Pachniało jeszcze zmiecionym z gondoli kurzem, ale kurzem doskonale aseptycznym. Eyskin stał trzymając w ręku maskę tlenową, spod zmrużonych powiek przyglądał ślą murom. Wizjery nadawały im odcień mysiej szarości; w

rzeczywistości kamień był czerwony. Mrok w załomach między murami wabił głębokim karminowym odcieniem, łatwo wyczuwalnym przez oko wśród barw składających się na brunatny koloryt całości. Słońce, widoczne tutaj jako jasna plama na tle chmur, powoli zniżało się ku zachodowi i cienie między skałami pogłębiały się, a ich karminowy odcień zanikał, Eyskin spojrzął na zegarek, obszedł łazik dokoła - ślady gąsienic ginęły w piasku, a całe niebo po tej stronie zdawało się mętnieć. Zanim wrócił do gondoli, jeszcze raz przyjrzał się zagłębieniu między murami. Chmury nad głową miały ciemnokawową barwę i sunęły gęstymi warstwicami w kierunku "Fundadora".

- Weźcie maski i pozwólcie tu do mnie - powiedział wewnętrznym torem. - Mamy trochę czasu, zjemy kolację.

Patrzył, jak rozglądając się na wszystkie strony i co chwilę przystając idą ku niemu: krępy, szeroki w ramionach Earthy i wysoki, z ptasią głową, podobny trochę do bociana Clem. Earthy wymachiwał maską, wskazywał na niesioną w drugiej ręce plastikową torbę. Śmiali się.

- Dzień dobry - powiedział Clem wchodząc do kabiny. - Ahoj, kapitanie - zawołał Earthy. - Był komunikat z Bazy...

- Piłeś - powiedział Eyskin pociągając nosem. Wieko gondoli z sykiem przywierało do krawędzi otworu i Earthy przyglądał się temu ze skupieniem. - Przecież prosiłem cię, żebyś nie pił podczas jazdy.

Earthy stał skruszony, ze spuszczonym wzrokiem. Eyskin, zły, otworzył z rozmachem drzwi do obszernej wnęki, która, w razie potrzeby, spełniała rolę jadalni lub sypialni. Bez słowa wyciągnął obrus i nakrył nim niski stolik na środku.

- Ktoś na poczekaniu wymyślił, że Księżycowe Miasto to kolonia koralowców - informował Clem. - Cała Baza o tym mówi.

- Siadajcie - Eyskin wskazał im miejsca. Rozkładał talerze, półmiski i szklanki, dźwięczał sztućcami. W końcu sam usiadł i spojrzął na Earthy'ego.

- Co tam jest? - pokazał na torbę.

- Spirytus - powiedział ponuro Earthy.

- Piłeś z wodą? Z coca-colą? Dużo tego masz?

Earthy sięgnął do torby, wydobył do połowy ciężki termos.

- Daj.

Jedząc i pijąc czekali na polecenia z Bazy. Eyskin to przysiadł do Cierna i Earth'ego, to wracał do konsoly, rozmawiał z Bazą, a przy okazji oglądał Miasto. Zaczął zapadać mrok, mury poczerniały i wreszcie zupełnie wsiąkły w ciemność. Nie działało się kompletnie nic.

- Dwaj drwale idą przez dąbrowę. Całymi tygodniami nie odzywają się do siebie, od rana do ciemnej nocy ścinają drzewa. Jakaś przesieka czy coś... Wreszcie jednego dnia dochodzą do autostrady. Patrzą: stoi piękny samochód, z którego wybiega ku nim śliczna dziewczyna. Jakie to szczęście, mówi, że panów spotkałam, mój samochód właśnie się zepsuł, a ja zupełnie nie znam się na technice. Chyba nie odmówicie pomocy słabej kobiecie?

Drwale okrążyli maszynę, dziewczyna otworzyła silnik. Zajrzeli do środka, któryś stuknął styliskiem od topora - i nagle cud! Silnik zaskoczył. Taka jestem panom wdzięczna, zapewnia dziewczyna. Zasłużyliście obaj na nagrodę, powiada, macie prezerwatywy? Drwale pokręcili głowami. - To ja sama coś znajdę.

Samochód odjechał, drwale postali na autostradzie i znowu weszli w las. Idą, od świtu do nocy wycinają drzewa. Po dwóch tygodniach jeden odzywa się do drugiego: - Ciągłe myślę o tej dziewczynie. Czy ona pisała do ciebie? - Nie, mówi drugi, ani słowa. - To może byśmy już to zdjęli?

Eyskin patrzy! na nich oparty łokciem o konsolę. Prędzej czy później, myślał, każda triada musi się rozpaść na parę i jedność. Trójkąt - na dwoje i jednego czy jedną. Czytał gdzieś, że jest to najbardziej

nietrwały z psychologicznego punktu widzenia układ. Faceci od ustalania składu grup rekonesansowych powinni przecież o tym wiedzieć...

- Baza do Eyskina: mówi Wilmaa Eimer, grupa Pargyney'a cofnęła się, będą czekać do rana o kilka kilometrów od Eurydyki. Jak... jak się czujecie?

- Chcielibyśmy spróbować - powiedział Eyskin i jednocześnie poczuł na plecach jakby dreszcz. Clem i Earthy ucichli.

- OK - rzekł Wilman - bądźcie ostrożni i meldujcie o wszystkim.

Umieścili zastawę na swoim miejscu. Opóźnione, nie do końca skoordynowane ruchy Earthy'ego świadczyły o sporej ilości wypitego alkoholu. Clem też raczej przeszkadzał niż pomagał. Opadli na fotele z wyraźną ulgą.

- Startujemy - powiedział Eyskin. Nie cierpiał tego słowa, uważał je za pretensjonalne. Dotknął pulpitu i łazik zaczął toczyć się płaską równiną w stronę Miasta. Pozostałe - mechaniczne zabawki sterowane radiem z tej samej konsoly - zrywały się ostro, niewrażliwe na wstrząsy i bezwładność. Eyskin prowadził przylepiony do noktowizorów. W pewnej chwili włączył reflektory; ciemność prysnęła na boki rozdarta jaskrawym światłem, które ukazało płataninę skalnych półek, mostów i grzbietów. Między nimi, jak olbrzymia studnia, rozwierała się owalna szczelina, wystarczająco szeroka, by pomieścić trzy pojazdy sunące obok siebie. Przed samą ścianą Eyskin zatrzymał kolumnę, odepchnął wysięgnik z wizjerami. Niezdecydowanie zerknął przez ramię ku Earthy'emu. Czekali. Potem znów przywarł do noktowizorów. Wykonał poszczególne czynności ze skupieniem, choć równie dobrze jak pozostali zdawał sobie sprawę z ich zbędności.

- No, kochani - powiedział wreszcie - wóz albo przewóz.

Snop światła kroił ciemność na kawały i odrzucał na boki, obmacując skałę wokół szczeliny. Ruszyli. Kiedy mijali bramę - skojarzenie było zbyt natrętne i wygodne, aby go nie zaakceptować - Eyskin przytknął palcem w niewielką dźwigienkę i w okienku lokalnego licznika zaczęły przeskakiwać cyferki: dziesięć, trzydzieści, pięćdziesiąt metrów. Kanał wiódł prosto jak strzełił, plama głównego reflektora ślizgała się po kamiennym ocembrowaniu.

- Minęliśmy Pargyney'a - westchnął Clem.

Po stu metrach mosty i łuki przerzucone nad kanałem zaczęły gęstnieć; wkrótce jechali wnętrzem zamkniętego od wszystkich stron, wydrążonego jakby w litej skale chodnika. Chrzęst gąsienic zmienił ton, podłoże pokryte było przez coraz większą ilość dużych odprysków skalnych, które ocierały się o metal ze zgrzytem. Łazik chybotał trafiając na wyjątkowo wielki odłamek; Eyskin starał się omijać je z zapasem, aby dać czas mechanizmom sterującym następnych pojazdów, które powtarzały jego manewry z niewielką inercją.

Po następnej setce metrów głazy, swobodnie zalegające do tej pory drogę, skończyły się. Pojazd podskakiwał wprawdzie na ogromnych czapach wtopionych jakby w podłoże, ale droga stawała się coraz równiejsza. Jednocześnie studnia traciła owalny profil, rozszerzając się gwałtownie w obie strony na kształt leja - gdyby nie prowadząca lekko ku górze droga, wyglądałoby na to, że zmierzają w kierunku wielkiego zbiornika albo wręcz wyjeżdżają na otwartą przestrzeń.

- Góra - powiedział Earthy. Eyskin spojrział tam błyskawicznie: poprzeczne belki przerzucone wysoko nad kanałem urywały się. Niektóre sterczały podgięte śmiesznie wzwyż, inne. zwijały się z powrotem w stronę ścian, jakby przelękły się przepaści pod sobą, jeszcze inne wnikały po prostu w bardziej masywne, węzłaste pnie i ginęły wysoko w ciemności, skąd reflektor nie był w stanie ich wyłowić.

- Licznik - rzucił przez zęby Eyskin. Nie odrywał się od wizjerów, przełączając szybko ogniskowe i zakresy. Zredukował szybkość; drugi reflektor, którym dotąd oświetlał drogę, cofnął prawie pod same

gąsienice.

- Pięć tysięcy pięćset - powiedział Clem, a Eyskin poczuł, jak fala nieokiełznanej radości zalewa mu serce. Odgłos wydawany przez gąsienice znowu uległ zmianie - z głębokiego, dźwięcznego na dudniący, głuchy, jak gdyby jechali po pokrywie studni. Eyskin wyobraził sobie trzy żuczki pełzające po jednej z monstrualnych odrośli kończących się urwiskiem - na "Fundadorze" widział co najmniej pół setki zdjęć wystarczająco mocno inspirujących wyobraźnię.

- Puścimy przodem łązik Clema - powiedział stopując silnik. - Jeśli ma się zdarzyć jakaś niespodzianka, przynajmniej ujdziemy z życiem.

-...er, odezwij się! Na Boga, co się z wami dzieje?! - włączył się nagle obserwator z Bazy. - Powtarzam: słuchamy was na wszystkich pasmach. Jeśli odbierzecie nasz sygnał...

- Tu "Berenika" - powiedział Eyskin. - Jesteśmy w Mieście, prawdopodobnie około sześciu kilometrów od wejścia do kanału w stronę głównego masywu. Wszystko w porządku. Ludzie i mechanizmy pracują normalnie.

- Straciliśmy z wami łączność - powiedział z wyrzutem obserwator. Jego głos wzmagął się i przygasał, jakby po drodze próbowały go osaczyć gigantyczne poduchy chmur. - Mamy waszą pozycję! - uradował się i zaczął podawać jakieś liczby. - Halo? Teraz będzie do was mówił komandor Wilman.

- Elmer, tu Wilman. Gratuluję wam serdecznie, ja i cała Baza. Co? Aha, Pargyney też wam gratuluje. Te ich aparaty zaczęły nadsyłać pierwsze dane. Co u was? Jak okolica?

- W porządku. Dziękuję za gratulację.

- Nic specjalnego, co? Jak to wygląda z bliska?

- Dokładnie tak jak na zdjęciach, panie komandorze. Skała.

- OK. Co zamierzacie?

- Pojedziemy tak daleko, jak się tylko uda. Poszukamy miejsca na nocleg.

- Dobra. Ale mówcie coś przy tym, do cholery, i uważajcie na siebie.

Posuwali się teraz wzdłuż ściany, tak wysokiej, że światło reflektora rozmywało się nie zdoławszy dotrzeć do górnej krawędzi. W pewnym miejscu oddzielała się od niej gładka rynna, rozwarta na końcu, jakby ktoś próbował urządzić tor saneczkowy dla samobójców. Słup światła zjechał po jasnej i wąskiej taśmie, przegradzającej kierunek jazdy. Kiedy do niej dotarli, okazało się, że ma co najmniej siedem metrów wysokości.

Eyskin wystrzelił czujnik oznakowania powrotnej drogi; ze ściany spadło kilka odprysków i w blasku reflektora pokazała się jakby mgiełka. Skręcili. Siedmiometrowa taśma zniżyła się i wreszcie legła płasko na kamiennym podłożu.

- Droga - szepnął Clem. Wjechali na nią. Biegła między cienkimi ścianami, które od biedy mogły się kojarzyć ze zdewastowaną dzielnicą mieszkaniową. Owinięte wokół kamiennych rdzeni grube profile zachodząc na siebie przywodziły na myśl mieszkalne wnęki o okrągłych rogach i krawędziach. Eyskin opowiadał o nich Bazie dziwiąc się w duchu, że możliwy jest aż tak daleko idący brak korelacji między wysyłanymi w powietrze słowami a zmieniającym się ciągle przed oczami widokiem. W ścianach pojawiały się długie, owalne otwory, biforia, triforia i poliforia, wreszcie mur pękł na dwoje i wsiąknął w to, po czym jechali, z dołu natomiast podniosła się wspaniała kolumnada z głowicami, gzymsami, zwieńczona półką; po drugiej stronie szczyrzył zęby nieregularny grzebień. Poświecili tam: mury zlewały się w potężny masyw, który, strzelając w górę, rozdzielał się - jak zamek, na to nie było rady - na kilkanaście wież nakrytych cebulastymi kopułami; odchodziły odeń rzędy galerii i ganków, mury grube na wiele metrów wiły się z lekkością niedostępną nawet ziemskim konstrukcjom łupinowym i płatowym, tworząc ze sobą coraz to inne kompozycje. Ośmielone przez posuwającą się wolno karawanę to próbowały ją nakryć parasolowatym sklepieniem, to znów cofały się powyrzynane niedbale w

prostokątne blanki, by w końcu spaść powyginaną na kształt schodów taśmą w sześćdziesięciometrową przepaść.

- Muzyka murów - powiedział Clem i Eyskin wyrzucając kolejny czujnik pomyślał, że nie potrafiłby oddać precyzyjniej wrażenia, którego doznawał.

Droga zaprowadziła łaziki na plac otoczony z trzech stron murami i lasem kamiennych iglic. Eyskin wjechał między nie, rozrzucając czujniki, okrążył plac, zastopował przy wyjeździe. Zgasił reflektor. Licznik pokazywał ponad piętnaście kilometrów, silniki stygły po całym dniu pracy, a Baza ciągle nie mogła się nasycić odpowiedziami, których Eyskin udziela! z wyrazem znużenia na twarzy. Wreszcie odsunął się od konsoly i po raz pierwszy od wjazdu do Księżycowego Miasta spojrzął na towarzyszy.

- Byłeś znakomity - powiedział Earthy podając mu kieliszek. - Za twój sukces.

- Za "Berenikę" - powiedział Eyskin.

Wypił nie czując nawet palącego smaku. Zamknął oczy: Miasto, pustynia, łaziki, wódka - wydawały się nagle okropnie nierzeczywiste. Ogarnęło go poczucie bezmiernej pustki; Earthy, Clem, jego przybrani rodzice w altance, kot, pies, nudne samotne dni na "Fundadorze", noce pełne żebrania o sen, znowu piasek, granie motorów, łzawiące od wizjerów oczy, Księżycowe Miasto, jazda dnem skalnego koryta. Karuzela obrazów - a teraz gwałtowne odprężenie, komórki całego ciała tak puste jak przedtem pełne strachu. Piętnaście kilometrów na liczniku i nazwane kobiecym imieniem Miasto, które okazało, się tylko kupą skał. Już wiedział, co czuł: zawód. Został, zostali - odszukani. Z jednej strony przez Pargyney'a, Wilmana i innych, z drugiej przez Berenikę, która chciała wydać się czymś więcej niż była. Podniósł dłonie do twarzy.

- Księżycowe Miasto - zaniósł się. bezgłośnym śmiechem - a tu tak... a tu takie...

Pod dotknięciem ciężkiej dłoni Earthy'ego podniósł głowę, przyjął posłusznie podsunęty kieliszek. Wódka smakowała jak woda z cienkim sokiem.

W miarę opróżniania kolejnych kieliszków coś w nim zaczęło osiadać. Gdzieś w głębi, nawet jakby poza nim, zaczęło się nawarstwiać przechodzące w pewność wrażenie, że to jeszcze nie koniec, że jeszcze coś się wydarzy, tak, koniecznie coś musi się wydarzyć - coś, po co jechali tutaj tyle kilometrów po dniu suchego akwarium o brudnych szybach. Pijane twarze Earthy'ego i Glema rozmydlały się w powietrzu.

- Bierzcie maski, panowie - ryknął wstając - idziemy na mały spacer.

Wysypali się ciężko spod uniesionej gondoli. Ciepłe powietrze wchodziło w płuca lekko i nie drażniło oskrzeli. Plac wydawał się jasny, burty łazików rysowały się na tle murów solidnymi, kanciastymi kształtami.

Na środku placu stało niewysokie wzniesienie, przypominające z profilu grzbiet zastygłej w ruchu morskiej fali. Skierowali się w jego stronę. Earthy puścił w obieg butelkę z resztą alkoholu. Pustą roztrzaskał o kamienną ścianę; zwielokrotniony odgłos przez dłuższą chwilę błąkał się po placu.

Wdrapali się na grzbiet wzniesienia. Zaraz za nim natrafili na spore zapadlisko. Usiedli wewnątrz zakrzywionej niszy, skąd rozciągał się doskonały widok na plac z przyległościami.

- Wygląda to jak miejsce zebrań - powiedział Eyskin. Echo wzmacniało głos.

- Dobra akustyka - wybełkotał Earthy. Krzyknął kilka niezrozumiałych słów, a rzadka mgła otulająca plac powtórzyła je posłusznie. Zaczęli bawić się efektem, ich wesołe ryki wypełniały powietrze. Obejmowali się odrzuciwszy maski, Clem leżał na boku z głową na złożonych jak do modlitwy rękach, kamienny świat wirował wokół, noc była ciepła jak ziemskie letnie wieczory, a plac niestrudzenie odpowiadał krzyczącym ich własnymi głosami.

Spocony, z koszulą przylepioną do grzbietu, zmęczony, mając uszy pełne salw monumentalnego, kamiennego śmiechu Eyskin zapatrzył się przed siebie, na plac. Przed nim, bliżej niż na rzut butelką

łoczył się różnobarwny tłum, kobiety i mężczyźni w dziwacznych nakryciach głowy, o ostrych, egzotycznych rysach twarzy i wielkich oczach; stali nieruchomo, odziani w długie opończe - poły falowały lekko w podmuchach wiatru. Przyglądali mu się wzrokiem, w którym nie malowała się ani przyjaźń, ani wrogość, ani ciekawość, ani chłód. Bywało, że znikali pozostawiając po sobie rozświetloną lekko szarość, ale ilekroć Eyskin patrzył na plac dłużej, tyle razy pojawiali się od nowa w tym samym ordynku, jakby zebrali się dawno i czekali na kogoś lub coś, ale nieprędko spodziewali się przybycia. Znosili oczekiwanie spokojnie, bez najmniejszych oznak zniecierpliwienia. Eyskin widział ich wyraźnie, ale mgła, noc, zmęczenie i wódka odbierały wrażeniu konkretność. - Do diabła - zamruczał Earthy trącając Eyskina łokciem - powiedz mi, Elmer, kto tam stoi? Jakie śmieszne kapelusze...

- Idźcie sobie! - wrzasnął do pustego placu. - Słyszycie? No, już was nie ma. A kysz! Apage!

Wykonywał śmieszne ruchy rękoma, jakby próbował strząsnąć z nich coś obrzydliwego.

- Uciekajcie, dziś przedstawienia nie będzie. Nie, kapitan Eyskin też do was nie przemówi. Schowajcie się - bo każę gwardii strzelać! Nie wierzycie? Bach, bach! Bach, bach! Tra-ta-ta-ta - wydmuchiwał szybko powietrze przez nos naśladując odgłos karabinu maszynowego. Dłonie zaciśnięte w pięści trzymał przed sobą na wysokości oczu - jak gdyby celując - i wodził półkolistymi ruchami wzdłuż placu. Clem obudził się i wtórował mu kompletnie nie orientując się o co chodzi. - Tra-ta-ta-ta - terkotał Earthy - karabin maszynowy. - Bum, bum! - wtórował mu wysokim głosem Clem. Wymachiwał rękami jakby coś rzucał, mrużył oczy i chował głowę w ramiona, kiedy granaty rozrywały się na placu.

- Przestańcie! - rzucił się na nich z pięściami Eyskin.

Rzęząc ciężko z wysiłku zmagali się ze sobą, póki nie wróciło im poczucie rzeczywistości. Pochłodniało. Spojrzeli na pusty plac i w milczeniu, nie oglądając się, podnieśli się z kamiennej płyty. Clem zasypiał stojąc; zanim zaprowadzili go do łazika Eyskina i ułożyli do snu, zadyszeli się porządnie. Bartny postanowił wrócić do siebie, po długim sporze Eyskin wymógł na nim zgodę na odprowadzenie. Szli podtrzymując się wzajemnie, raz za razem zapewniając jeden drugiego o dozgonnej przyjaźni. Kiedy dotarli do celu, Eyskin uświadomił sobie, że od dłuższego czasu wyżałą się na swoją sytuację trzeciego w "Berenice". Earthy słuchał bez zrozumienia. Żegnali się długo, wylewnie.

Co prawda to prawda - wybełkotał Earthy z nogą na stopniu - trzech to rzeczywiście paranoja. Niby to takie oczywiste, a jednak ci, co decydują bez zmruczenia oka akceptują ten bezsens. - Zastanowił się. - Nie ma żadnego wyjścia z tej pułapki? Dwaj - i jeden. Jeden - i dwaj. To samo. Dwóch i jedna - brr - otrząsał się śmiesznie, powoli, jakby ciała wcale nie podobało się go słuchać. - Dwie i jeden... i jedna... wiesz co? znam dobry dowcip, kapitanie. Dwaj dwaje... tfu, dwaj drwaje... draj dwaje... drwałe...

Machnął ręką, wspiął się z wysiłkiem do kabiny i upadł z łoskotem między fotele. Zaczął gramolić się niezdarnie; Eyskin odczekał, aż gondola się zasklepi. Potem wrócił do siebie. Clem spał w najlepsze i Eyskin, nie chcąc go budzić, runął jak stał - w butach i skafandrze - na rozłożone oparcie. Obudził go płacz dziecka. Podniósł ciężką głowę, nasłuchiwał z niedowierzaniem; skąd tutaj dziecko? Łkało dojmująco, zanosilo się mechanicznym szlochem, wpadało w szalone stacatto i urywało raptownie, jakby nie mogło złapać powietrza - po czym zaczynało od nowa. Oba kanały radiowe były wyłączone, głos napływał z zewnątrz, przenikając przez dźwiękoszczelne ściany kabiny.

Przez przezroczystą gondolę wlewał się do kabiny bury blask. Clem posapywał spokojnie przez sen.

Zerwał się błyskawicznie. Półślepy, zamroczony, zeszywniały - zatoczył się w kierunku konsoly, oczyścił dmuchawą powierzchnię i odblokował hermetyzację. Wycie, spotęgowane dziesięciokrotnie, wdarło się do kabiny i Eyskin wytrzeźwiał w jednej chwili.

Plac, nad którym unosiły się strzepy burej mgły, pokrywały jak okiem sięgnąć trupy w długich opończach, w kapeluszach z szerokimi rondami. Mężczyźni i kobiety leżeli rzędami, dokładnie tak, jak stali w nocy. Nie próbowali uciekać - niektórzy trzymali się za ręce. Kamienie, schlapane obficie

ciemnozieloną substancją, przechodziły gdzieś w obszerne wyrwy i leje. Leżące obok wyrw zwłoki, rozrzucone promieniście, przypominały ciemnozieloną siekaninę. Eyskin patrzył porażony, modląc się by ten koszmar okazał się za chwilę dalszym ciągiem snu. Gość poruszyło się w kabin! - ku uniesionej gondoli przysunęła się blada, wykrzywiona z przerażenia twarz Clema.

Dźwięk syren wzmagął się.

Marek Ramus - WITAJ W DOMU

Dostarczone z archiwum mapy zaskoczyły go swoim wyglądem. Spodziewał się wyblakłych kolorów, pożółkłego ze starości papieronu - tymczasem kolory były świeże, jakby naniesiono je wczoraj, a papieron bielusiutki. Dopiero w rękach czuło się jego wiek. Rozpościerając ostrożnie na stole barwne płachty bał się, że papieron rozsypie mu się w rękach.

Pochyłony nad blatem wpatrywał się w zapomniane prawie kontury lądów, wodził w zamyśleniu palcem po miękkim jak aksamit tworzywie, odnajdował wielkie czerwone plamy i linie i powtarzał z dziwnym uczuciem dobrze niegdyś znane nazwy: miast, transkontynentalnych autostrad, sztucznych wysp. Na Herido, niemal na samym środku Pacyfiku, przyszedł na świat. Zaraz, jak oni powiedzieli? Dystrykt Kraków? Stracił trochę czasu zanim znalazł, nie chcąc zaglądać do skorowidza. Nie odrywając oczu od map zażądał parametrów miejsca lądowania i w miarę jak puster wyrzucał je z siebie kompletnie znudzonym głosem, próbował nanosić na mapę, ale już za pierwszym razem papieron rozlazł się pod językiem pióra, brzegi rozcięcia wzdęły się, zwinęły i podeszły ku górze. Próbującym je rozprostować palcom stawiały zdecydowany opór, a gdy nacisnął mocniej rozsypały się-na długie brunatne fragmenty i na miejscu przyszłego lądowania ział teraz spory otwór wypełniony papierową miazgą.

Zdmuchnął ją ze stołu, stojąc bez ruchu patrzył z niedowierzaniem, jak kłaczki papieronu wirują w powietrzu. Włączył pióro, przyjrzał się uważnie języczkowi, po czym przeciągnął nim w kilku miejscach po mapie. Efekt był identyczny. Zwinął podziurawione arkusze, zmiął w wielką, miękką kulę i z rozmachem wyrzucił w pochłaniacz.

- Czemu pan się złości - powiedział puster - i psuje bez potrzeby dobre mapy. Ta była ostatnia.

- Zamknij się, jak do ciebie nie mówię. Po cholerę nam nieaktualne mapy.

Mapy były, do niczego, wystarczyło spojrzeć po ekranach. Europa zrosła się z Afryką, z Morza Śródziemnego zostało niewielkie bajoro. Antarktyda była wolna, od lodów, cała zielona, podobnie jak Grenlandia. Na Pacyfiku przybyły trzy nowe kontynenty, najmniejszy wielkości Australii. Trudno jakoś było zaakceptować te zmiany.

- A poza tym za godzinę będziemy na dole.

- Był zły. I zdenerwowany. Nie tak sobie to wszystko wyobrażał. Mieli siedzieć przy pusterze we trzech, regulaminowo powtarzać komendy i manewry - jak nigdy; jednym słowem mieli celebrować uroczystość lądowania, napawać się nią, zagrać wspólnie w trzyosobowej orkiestrze wielkie finale powrotu. Nic nie zostało z tych marzeń. Przede wszystkim dlatego, że Handull i Pineycon nie dożyli. Leżeli pod kryształowymi kloszami tacy jaśni, zwycięzcy, błyszczący od szronu - jak własne pomniki do postawienia gdzieś na Ziemi. Ich oddechy nie parowały kloszów od wewnątrz, wieka były czyste, nie przesłaniały obrazu. Chodził popatrzeć na nich co parę dni, opierał się oburącz o brzegi najbliższego klosza, próbował zagadać - ale oni uparcie nie podejmowali tematu, nie reagowali na to, co mówił. Opowiadał im o rosnącej na ekranach planecie, a gdy już nie miał nic do powiedzenia, odchodził. Oni zostawali.

- Stan gotowości - powiedział puster. - Za pięć minut manewr.

- Wiem - odrzekł machinalnie, choć po prawdzie kompletnie wyleciało mu to z głowy.

Dzieliło go od układu niecałe czterdzieści minut świetlnych, kiedy odezwała się Ziemia. Kolejne rozczarowanie. Serce biło mu jak szalone, gdy przetrząsał gorączkowo mózg w poszukiwaniu wznioślejszej, na miarę okazji, sentencji. Tę sprawę miał załatwić Pineycon, błyskotliwy gaduła, największy z całej trójki. Ten na pewno strzeliłby coś odpowiedniego. "Mały krok człowieka, ale wielki ludzkości..." Płatał mu się język gdy odpowiadał na pytania Ziemi, zwyczajne pytania o nazwę statku, nazwisko pierwszego dowódcy, datę i miejsce startu. Ziemia sprawdziła w rejestrach, zapowiedziała następny seans łączności i wyłączyła się. Siedział potem przez parę minut bez ruchu. Tylko tyle?

- Stan gotowości - powtórzył puster. - Trzy minuty do manewru. Niech pan zapnie pasy.

Zapiął pasy, dociągnął ekler boczny i zajął się kontrolą wskaźników. Puster ożył, mrugał światłami jak nowojorska ulica przed Bożym Narodzeniem.

- Jeżeli pan chce, mogę sam przeprowadzić manewr - powiedział przymilnie puster. - Dość się pan namanewrował na orbicie. Należy się panu odpoczynek.

Zirytował go ten słodziutki głosik.

- Nie - powiedział. - Jeszcze nie teraz. To lądowanie muszę zrobić osobiście. Mogłeś robić za mnie wszystkie inne, ale to jest moje.

- Przecież...

- Bez dyskusji. Ono należy do mnie.

Strzałka chronometru dobiegała powoli zera. Na wprost fotela tkwiła na ekranach Ziemia jak zawieszona w powietrzu piłka, obwiedziona białym torem, po którym poruszał się biały punkcik. W malejącej od niego odległości rozbłyskiwała miarowo czerwona kropka - w tym miejscu należało rozpocząć hamowanie. Spojrzał na trzy kontynenty na Pacyfiku i nagle ni stąd ni zowąd przyszło mu do głowy, że Handull i Pineycon nigdy ich nie zobaczą. Na moment stanęły mu przed oczami ich twarze. Biały punkcik prawie dobiegał do czerwonej plamki; szarpnął dźwignię deceleratora i stopniowo ściągnął ją w dół obserwując wskaźnik prędkości, tarczę chronometru i wykres odchyłek od obliczonego toru.

- Pół sekundy za wcześniej - powiedział z wyrzutem puster. - Co najmniej kilometr różnicy w punkcie.

- Zamknij się - powiedział ze złością. - Bo cię wyłączę. To z wrażenia, pomyślał. Każde inne lądowanie zrobiłby nie gorzej od pustera, a może nawet lepiej. Ale to było wyjątkowe, bo ostatnie - dlatego musiał osobiście.

Temperatura pancerza nie dawała powodów do niezadowolenia: rosła tak, jak powinna. Manewrując deceleratorem zdołał doprowadzić niemal do pokrycia się toru wahadłowca z obliczonym przez puster. To wszystko, co właściwie miał do zrobienia - teraz, kiedy zaczynała się stroma część toru, szansę korekty były właściwie żadne.

Ziemia rosła w oczach. Do kontrolowania przybył licznik wysokości, a nie mógł się oprzeć, by nie patrzeć na górny ekran pokazujący powiększony fragment dystryktu Kraków, gdzie miał lądować.

- Przejmę skrzydła - zaproponował puster.

- Nie. Dam sobie radę.

Sterowanie skrzydłami, które wysuwały się z boków rakiety należało do ostatniej fazy lądowania. Ten moment polubił najbardziej, jeszcze w szkole: na głównym ekranie szczegóły wymieniały się z szaloną szybkością, jak na filmie. Przelatywały miasta, uciekały w tył autostrady pełne wspinających się po nitkach jezdnii żuczków, wielkie ciemnozielone plamy lasów, wśród których łypnęło od czasu do czasu siwe oko jeziora. Znowu miasto, miasto, pagórki pokryte rzadkim lasem. Rzeka. Ale nigdzie nie było autostrad.

- Skrzydła - upomniał go puster.

Wystawił je odrobinę za późno i odrobinę zbyt gwałtownie. Kabiną zatrzęsło od uderzenia, pancierz zareagował natychmiast skokiem temperatury, tor rzeczywisty rakiety wyraźnie odłączył się od wzorcowej krzywej.

- Pięć kilometrów różnicy w punkcie - akonstatował i zaklął. Puster roześmiał się ze źle skrywaną satysfakcją. Sięgnął ręką do przycisku i wyłączył śmiech. Poczł się nieszczególnie - w końcu puster miał prawo się śmiać. Włączył go z powrotem.

- Jedno z gorszych lądowań, jakie widziałem - osądził puster.

- Zgadza się.

- Trzeba było...

- Nie - prawie krzyknął. - Musiałem to zrobić sam. Nawet gdybym miał na dole rozwalić to pudło razem z tobą.

Przeskoczyli Atlanty jak trochę większe jezioro. Pokazały się góry. Alpy? Na to wyglądało. Mignęło jeszcze trochę gór, lasów, jakieś rzeki, i miasta, bez przerwy miasta. Jedno obok drugiego. Zaczęła się równina, wahadłowiec zniżał lot. Marne lądowanie, ani słowa, pomyślał. Manipulując ciągiem i skrzydłami zdołał zmniejszyć odległość od punktu do trzech kilometrów - ale to było wszystko. Na szczęście pustkowie, na którym pozwolono mu lądować, wydawało się dostatecznie rozległe.

Drzewo wyskoczyło na ekranach niemal w ostatniej chwili. Normalnie nie zwróciłby na nie uwagi, miał co najmniej dwadzieścia metrów wysokości przewagi. Ale przestraszył się. Czego? Sam nie wiedział. Wrzucił odruchowo więcej ciągu, co przy tych samych skrzydłach wyniosło wahadłowiec dziobem prosto w górę. Co najmniej na trzy setki. Wyrównał znowu zbyt gwałtownie, dźwigany ładownika stęknęły w zetknięciu z gruntem, ale wytrzymały.

- No tak - powiedział przeciągając dłonią po czole. Była mokra od potu. - Koniec.

Wylądował prawie pięć kilometrów od punktu wyznaczonego przez Ziemię. Jak nowicjusz.

- Bardzo złe lądowanie - mruknął nie wiadomo po co. To było widać. Należało pozwolić pusterowi, pomyślał. Właściwie czemu mu nie pozwolił? Każdy na jego miejscu...

- Co jest? - zapytał zaniepokojony długim milczeniem pustera.

- Drzewo. Dać na ekrany?

- Daj.

Musiało mocno dostać z dysz wylotowych, bo płonęło żwawo, jak wielka pochodnia. Było piękne, kiedy tak szumiało koroną z żywego ognia. Siedział i patrzył jak płonie, aż został z niego tylko wrośnięty w ziemię, wyciągnięty ku niebu osmalony kikut.

- Jadą po ciebie - zauważył puster.

Od strony spalonego drzewa istotnie zbliżał się jakiś pojazd. A więc to już. Teraz. Za kilka, może kilkanaście minut.

- Cześć, puster - powiedział. - Muszę cię wyłączyć. Żałuję że nie pozwoliłem ci lądować. Nie byłoby tu tego... - zrobił nieokreślony ruch ręką - nieporządku.

- Nie ma sprawy - zapewnił wspaniałomyślnie puster. - Niech się panu wiedzie w nowym starym świecie.

Odciął zasilanie pustera i przełączył agregaty napędowe na bieg jałowy. Otworzył klapę, skoczył w piach pokryty wyschlą brunatną trawą. Zaczekał aż kłapa się zasunie i dopiero wtedy ruszył w stronę srebrzystego pojazdu, który dziwnym trafem wyglądał dokładnie tak, jak powinien. To znaczy zgodnie z wyobrażeniami.

- Ty jesteś Pineycon - spytał go młody chłopak, zapewne kierowca, od razu po wejściu do środka - czy Parkin?

- Parkin. Handull i Pineycon nie żyją. Zostali tam - machnął ręką w kierunku nieba.

Chłopak kiwnął głową, że rozumie. Nie był kierowcą ani niczym takim. Siedział naprzeciwko Parkina i przyglądał mu się trochę z zainteresowaniem, a trochę jakby ze zdziwieniem. Wejście w pojeździe zarosło półprzeźroczystą błoną, opalizującą mlecznoróżowo i zielono. Parkin czekał, kiedy wystartują, ale nie chciał ponaglać swego towarzysza. Widać miał powody, skoro nie siadał za sterami.

Sterów zresztą nigdzie nie mógł dostrzec, nie widział też żadnej innej rzeczy mogącej choćby udawać kierownicę. Rozejrzał się po gładkich ścianach, ale lustracja nie zaspokoila jego ciekawości. Zaczął jakieś pytanie, w tym samym momencie przemówił i chłopak. Wpadli sobie w słowo.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział chłopak, błona pękła, chłopak wychylił się przez nią, przerzucił nogi - i już był na zewnątrz.

Znajdowali się w obszernej oszklonej hali, w której nie było żadnych sprzętów. Na ścianach wisiały niezrozumiałe znaki i pulsujące w gniewnym, dzikim rytmie symbole. W głębi stała gromadka osobników odzianych w coś, co Parkin określił jako mundury. Podobny strój miał na sobie jego towarzysz. Nieco bliżej oczekiwali ich dwaj "cywile", obaj jednakowego wzrostu i tuszy. Pochylili głowy, gdy Parkin z chłopcem ich mijali, po czym ruszyli za nimi. Eskorta, pomyślał Parkin czując nareszcie coś na kształt satysfakcji.

Podeszli całkiem blisko go grupki dostojników w mundurach. Atmosfera wydała się Parkinowi podniosła, ale samo powitanie zapowiadało się jednak nieco zbyt skromnie. Wymarzył sobie trochę więcej przepychu.

Przystanął. Cywile z tyłu przystanęli również. Chłopak odszedł gdzieś na bok, z grupki dostojników wystąpił łysy mężczyzna, westchnął kilka razy przeciągle, skrzyżował ręce na piersiach. Okropnie długo to trwa, pomyślał Parkin zastanawiając się jednocześnie, gdzie mogły się podziać kamery i mikrofony. Z pewnością ci z Ziemi nie próżnowali, kiedy on bawił się w astronautę - miniaturyzowali, wynajdywali, ulepszali...

- Pilocie Parkin - odezwał się wreszcie łysy mężczyzna. - Za zniszczenie podczas lądowania drzewa, które jest naszym zielonym bratem, zostałeś skazany na obcięcie prawej dłoni. Wyrok zostanie wykonany natychmiast. Bezpośrednio po wykonaniu wyroku odbędzie się ceremonia oficjalnego powitania.

Skończył i wmieszał się w grupkę. Z tyłu podeszli cywile i delikatnie ujęli Parkina pod łokcie.

Marek Ramus - SPOSÓB UMIERANIA

W samym środku tej dziwnej rzeczywistości, która raz była snem, a raz jawą leżał Filip El Canna, pierwszy pilot transportowca "Minerva". Gdzieś wysoko uleciał świat, co istniał dotąd, on zaś zwał się w miękką i cichą ciemność i leżał tam nie czując zimna ani głodu, ani w ogóle niczego. Nie umiałby powiedzieć, jak długo to trwało - może dzień, może miesiąc.

Potem w świecie zgaszonych świateł pojawiły się głosy. Noc odeszła, wróciła i jeszcze raz odeszła. Było cicho, bo głosy nagle zamilkły, tak dokładnie, że Filip El Canna nie był pewien, czy słyszał je rzeczywiście.

"Coś dziwnego stało się ze mną - pomyślał bez niepokoju, leniwie. - Zaraz nadejdzie lekarz." Lekarz stał z boku, uśmiechnięty, wysoki, jego ciepłe palce ruchem wypraktykowanym od wieków przez pokolenia uleczy-cieli ujęły przegub lewej ręki Filipa El Canna i zacisnęły się lekko na tętnie.

- Nareszcie pan przyszedł, doktorze - powiedział El Canna. - Niech pan obejrzy nogę. Boli...

Lekarz wpatrywał się w tarczę zegarka licząc uderzenia pulsu. Poruszał przy tym wargami i nie przestawał się uśmiechać.

- Doktorze, konam z bólu... niech pan zostawi wreszcie ten puls, do cholery!!!

Otworzył oczy. Leżał na miękkiej białej łące, pod zielonym bezsłonecznym niebem. Rozejrzał się: żywej duszy, jak gdyby uśmiechnięty i wysoki lekarz zdołał ulotnić się w jednej chwili. Rwący ból w prawej nodze przyparował niemal o szaleństwo. Zacisnął zęby aż zgrzytnęło - i nagle wszystko znikło, ból rozpląnął się w oceanie skondensowanej czerni.

Lecieli z Marsa z ładunkiem rudy. Zgodnie z wymogami regulaminu co dwanaście godzin, na zmianę z Ralfem, sprawdzali kurs. Równie dobrze mogliby grać w karty - autopilot prowadził pewnie, odchylenie nie wykroczało poza dopuszczalną normę. Aż do momentu, gdy El Canna szykując się do snu odebrał telefon.

- Cztery stopnie odchylenia - oznajmił Ralf.

El Canna od razu pobiegł do sterowni. Ralf siedział przy pulpicie i strzelał przełącznikami.

- Wygląda na awarię auto - powiedział przed siebie. Według rejestratora błąd narastał od dwóch godzin, po eksponencie. Zupełnie jakby autopilot pomylił znak sprzężenia zwrotnego. Ale czemu w takim razie - przy takim gradiencie - nie odezwał się żaden z obwodów alarmowych?

Mieli do wyboru: albo sprawdzić cal po calu najważniejsze obwody autopilota, albo go wyłączyć i przejść na sterowanie ręczne. Przez chwilę milczeli.

- Sprawdzamy? - spytał El Canna.

Pracowali przez szesnaście godzin bez przerwy. W auto-pilocie niczego nie znaleźli, ale też zamierzenie przerastało znacznie ich możliwości. Odkryli jednak usterkę w sterowaniu ładownikami; wymienili cały układ blokady magnetycznej i umieścili na swoim miejscu kontener, który przypadkowo zerwał się z zaczepów. Autopilotowi domontowali dodatkowy obwód alarmowy, który zajął im

najwięcej czasu. Siedzieli po tej robocie porządnie zmęczeni i senni.

- Ktoś musi zostać przy sterach - powiedział Ralf.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze - nie wiadomo po co woził ze sobą przeróżne szpargały - i podrzucił go na dłoni wyczekująco.

- Orzeł - powiedział El Canna.

Śledził lot monety znużonym wzrokiem. Upadła rantem, potoczyła się na podłodze i znieruchomiła. Ralf był bliżej, pochylił się nad błyszczącym krążkiem i przyglądał mu się spokojnie.

- Wygrałeś - oznajmił i schylił się, żeby podnieść pieniądze. El Canna skoczył z fotela; zdążył złapać jego rękę tuż nad monetą. Później wiele razy zastanawiał się, czemu to zrobił. Ralf patrzył na niego zdumiony: oczywiście wypadła reszka.

- Przepraszam - powiedział El Canna - sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

Stał przed lustrem w swojej kabine. Chciał się ogolić przed pójściem do łóżka, ale po krótkim wahaniu zrezygnował. Nim zasnął, włączył się ze sterowni Ralf.

- Dobranoc - powiedział. - Kolorowych snów.

- Wzajemnie - odrzekł El Canna ziewając. Usłyszał, jak Ralf roześmiał się krótko.

Zbudził się nagle w środku najgłębszego snu wypełniony nieokreślonym uczuciem, które dopiero później wydało mu się rodzajem nieuzasadnionego - wtedy - niepokoju. Sen odszedł od razu i nie chciał wrócić, więc El Canna leżał z otwartymi oczami, bez jednego ruchu, bojąc się spłoszyć w sobie tego dziwnego gościa. Próbowałby go zidentyfikować, gdy w przeszłości przynajmniej raz doznał czegoś podobnego. A tak nie udało się - coraz bardziej irytowała go własna nieporadność; wreszcie zły, zmęczony i z powrotem senny obrócił się na bok.

- Przywidzenia - mruknął.

Zanim zasnął ponownie, namacał w mroku kontakt chronometru. Zielone cyferki wystrzeliły prawie przed” nosem. Była dwudziesta druga dwadzieścia czasu Greenwich. Reszta nocy minęła spokojnie.

Rano, nim zabrał się do śniadania, wziął zimny prysznic. Jadł z apetytem - wszystko było jak co dzień, a jednak inaczej - zniecka przyłapał się na spostrzeżeniu, że nie może przestać myśleć o tym dziwnym niepokoju, który go zbudził, w nocy.

- Przywidzenia - osądził. - To minie. Miesiąc urlopu nad morzem, koniecznie z Anną.

Otrzeptał kombinezon z okruszyn chleba, patrzył jak wchłania je urządzenie czyszczące. Połączył się ze sterownią i czekając na Rafia sznurował bluzę na piersi. Ralf się nie zgłaszał.

Dosypia, pomyślał El Canna z roztargnieniem. Wzruszył ramionami - w gruncie rzeczy chciał tylko usłyszeć jego głos. Do sterowni miał nie więcej jak dwadzieścia kroków. Poszedł tam nie zwlekając, drzwi odskoczyły bezszelestnie z jakąś służalczą gorliwością, Ralf leżał w fotelu i nawet z bliska wyglądał zupełnie jak śpiący. Tylko że nie oddychał. Ręce miał zimne i skórę na twarzy też. Nie żył od dobrych kilku godzin. El Canna cofnął się, niemy z przerażenia.

Obudził się o świcie, który wpadł przez okna perłowym blaskiem. Jak granie srebrnych trąb archanielskich przetaczał się nad światem grzmot potężnego głosu. El Canna otworzył oczy, ale nim zdążył wyjść z pogranicza ciężkiego snu, który zrywał się do lotu jak leniwy, zły, czarny ptak, głos umilkł zupełnie i naprawdę nie sposób było określić, do którego ze światów należał. Z nieba spływała spokojna seledynowa poświata - monotonna jak deszcz w bezwietrzny dzień.

Nie miał pojęcia, gdzie się znalazł. Kto wybudował tę dekorację rodem z tandetnego filmu? To, że okolice Ziemi uczyniono terenem działań nie kontrolowanych przez ludzkość, zdumiewało tylko El Cannę. Lecz kiedy wyobraził sobie za nieprzezroczystymi ścianami oczy śledzące spokojnie każdą jego reakcję -

był prawie przerażony. Ktoś go obserwował; czuł na sobie to” spojrzenie każdym centymetrem kwadratowym skóry. Z gardłem ściśniętym strachem leżał bez jednego ruchu.

W kabinie El Canna powoli przychodził do siebie. Strach ściekał zeń strumyczkami zimnego potu. Ralf był zdrowy jak koń - cherlaków wysyła się do sanatorium, nie w kosmos. A jednak lekarze coś przeoczyli. Serce?

Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Na zupełnie miękkich nogach minął uciekające na bok drzwi sterowni. Ralf leżał jak przedtem, na ekranie kontrolnym palił się spokojnie krwawy napis AWARIA. Dopadł fotela, strzelił kłamrami brzusznych pasów ochronnych, dopiął piersiowe, z pasją wyłączył autopilota. Skorygował kurs i napis AWARIA zgasł.

Czekając na automat transportowy obserwował Ralfa kątem oka. Nadszedła maszyna. Szamotała się z opornym ciałem usiłując wyjąć je z fotela. Wreszcie podjęła ciężar i drzwi zasunęły się za nią bezgłośnie. Śledził na wewnętrznym ekranie, jak sunie korytarzami - ociężała, niezgrabna, lecz posłuszna. W rytm jej jazdy dyndały nogi Rafia.

Wcisnął klawisz rejestratora. Ekran rozjarzył się, zamigotał, w okienku licznika przeskakiwały cyfry. Czas w sterowni cofał się. E! Canna zwolnił klawisz: dotarł do wczoraj.

Stał naprzeciwko Ralfa w obrotowym fotelu. Prawda, jeszcze głos.

- Sam nie wiem, co się ze mną dzieje - powiedział El Canna z ekranu. Pamiętał ten moment. Przesunął zapis trochę do przodu. Na ekranie był tylko Ralf. Wpółleżał w fotelu zamknawszy oczy.

Obraz następny: Ralf jak przedtem. Także na pulpicie nic istotnego się nie działo, i tak już do końca taśmy.

El Canna przypomniał sobie, że oprócz obrazu i głosu rejestrator notuje także wskazania czujników, które wszyscy piloci noszą umieszczone na stałe pod skórą w różnych okolicach ciała. Odnalazł monitor kontroli medycznej i jeszcze raz cofnął zapis. Ciemne wnętrze monitora wypełniło się kolorami: świetliste węże wykresów rozpoczęły swój taniec.

Włączył pamięć “Minervy”.

- Co przedstawiają wykresy? - rzucił w mikrofon, nie spuszczać oka z pulsujących linii.

- Wykres numer jeden: elektrokardiogram - oznajmił głośnik. - Wykres numer dwa: elektroencefalografii... wykres numer...

Więcej nie potrzebował. Wyłączył pamięć i głośnik zamilkł.

Manipulując klawiszami dotarł do miejsca, gdzie rozbujana krzywa kardiogramu przechodziła w prostą poziomą. Przejście było nagłe; oznaczało ni mniej ni więcej tylko śmierć Ralfa. El Canna spojrział na licznik. Same dwójki i na końcu zero.

Noc, cztery identyczne zielone cyferki świecące w mroku zupełnie tak, jak te w okienku rejestratora. El Canna tkwił w fotelu jak porażony gromem. Nie miał czasu na rozpamiętywanie szczegółów, bo na pulpicie nad tabliczką ŁADOWNIE zamigotała czerwona lampka. Włączył się głośnik.

- Ładownia czwarta: awaria pierwszego stopnia.

- Likwidować automatycznie - krzyknął do mikrofonu. Czuł, że za wszelką cenę musi zyskać kilka minut do namysłu.

- Awaria pierwszego stopnia - nalegał głośnik. - Likwidacja automatyczna niemożliwa.

- Podać przyczyny! - El Canna miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg.

- Przyczyny nieznanne - zachrypiał głośnik. Przez chwilę było zupełnie cicho, potem pojawił się daleki jazgot wywołany jakby sprzężeniem czy rezonansem, ucięty znowu ciszą. Czysty, wyraźny głos oznajmił:

- Przyczyna awarii - zakłócenie sygnału sterującego. Amplituda sygnału zakłócającego modulowana z dużą dokładnością. Układ sterujący nie reaguje na sygnał... reaguje na zakłócenie... zakłócenie pełni rolę sygnału. Podać parametry?

- Natychmiast! - krzyknął. - Monitor siódmy!

Patrzył na liczby skaczące ostro wokół wykresów. Gapił się na nie z otwartymi ustami, i już rozpiął pasy zamierzając biec w kierunku ładowni. Zatrzymał się jeszcze. Włączył mikrofon.

- Komunikat specjalny do bazy Ouarnier-Delta. Treść: formuła standardowa plus komentarz. Treść komentarza: Ralf nie żyje, awaria auto, awaria układu sterującego w ładowni czwartej. Przyczyny niejasne. Koniec komunikatu. Nadawać w ustalonym paśmie co dwie godziny aż do odwołania.

Zerwał się z fotela, włączył autopilota i pobiegł do drzwi. Droga do ładowni zajęła mu pół minuty, dyszał ciężko oparty oburącz o pochyłą konsolę. Próbował włączać obwody awaryjne, ale pod czwórką ciągle nie pojawiała się świetlista plamka.

Zaklął i poszukał wzrokiem szafki z oprzyrządowaniem. Wyjął z niej dwie grube metalowe podeszwy, dzielone niesymetrycznie wzdłuż osi, skręcane po założeniu na buty specjalnym kluczem. Wśród pilotów nosiły nazwę kaloszy magnetycznych. Zamocował kalosze, dokręcił dokładnie, żeby nie było luzów, i stukając głucho poszedł w kierunku klapy wyjściowej. Ściany i dno ładowni były metalowe - nawet gdyby autopilot wyłączył ciąg, kalosze magnetyczne pozwalały nadal poruszać się swobodnie - mimo nieważkości.

W ładowni panował półmrok. Przystanął kilka kroków od klapy czekając aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Nie zabrał reflektora; jak długo latał, nigdy nie słyszał o awarii oświetlaczy.

Zaczął rozróżniać kanciaste kształty kontenerów. Zwykle stały równymi rzędami obok siebie, w swoich rynnach - jak konie wyścigowe w boksach. Teraz jednak niektóre wyjechały z rynien, inne z nich wyskoczyły i wspierały się ciężko na przegrodach między rynnami. Niektóre musiały zderzać się ze sobą, bo stały tam, gdzie zwykle było przejście, jedne zupełnie obrócone w poprzek, inne tylko lekko skręcane - lecz, żeby dostać się do tablicy rozdzielczej i ręcznie sterując dźwigami umieścić je na swoich miejscach, należało przejść między nimi.

Pomyślał, że nie poradzi sobie bez światła. Już chciał wracać po reflektory, gdy tuż przed pierwszym kontenerem coś zamigotało. Raz, drugi - fioletowe jak od łuku elektrycznego światło wydobyło z mroku stłoczone w nieładzie skrzynki i przez tę krótką chwilę El Canna spostrzegł, że niektóre spośród nich mają powginane od zderzeń boki, odrapane burty, z jednego nawet wysypała się ruda. Nie wierzył oczom: wyglądało na to, że w ostatnim czasie ładownia czwarta rządziła się prawami innej mechaniki - do wywołania takiego chaosu trzeba było potwornych zmian kursu!

Światelko znowu zamigotało. Wszedł na platformę i skręcił w kierunku pierwszej z rynien. Minął kontener, który zasłonił resztkę światła wpadającego przez niedomkniętą klapę. Po omacku zrobił jeszcze kilka kroków, przystanął. Miał wrażenie, że światelko migotało w pobliżu, czekał w nadziei, iż jeszcze zabłyśnie.

Mignęło, tym razem trochę dalej. Postąpił pół kroku w bok, żeby lepiej widzieć, i wtedy spod nóg dobiegł go cichy metaliczny szczęk. Wypatrując tajemniczego światelka zapomniał o ryglach magnetycznych, rozmieszczonych parami na początku i końcu każdej rynny. Ich zadanie polegało na dodatkowej blokadzie kontenerów od spodu (zaczepy główne znajdowały się w komorach na końcu rynien). Szarpnął lewą nogę i oderwał, widocznie magnesy złapały ją nie dość dokładnie. Za to prawą trzymały z siłą potrzasku na niedźwiedzie.

Dobrą chwilę El Canna zmagał się z pułapką szukając sposobów uwolnienia. Próbował zdjąć kalosz, zdołał nawet odpiąć klamry, ale w niczym nie poprawiło to sytuacji. Gdyby miał klucz... ale klucz, wbrew regulaminowi, został w szafce. Był wielki i nieporęczny, toteż El Canna nawet nie przyszło do głowy, by taszczyć go ze sobą.

Wreszcie pojął daremność dalszych wysiłków. Usiadł ciężko na platformie. W ziejącym po prawej stronie otworze szarzały zębiska zaczepów głównych.

Polowanie było skończone. Wśród tysiąca mniej lub bardziej dorzecznymi myślami pojawiła się i taka, że ktoś, kto być może zabił Ralfa, kto miał nad urządzeniami statku absolutną władzę. - postanowił zakończyć zabawę. Nie przeszkodziły mu hermetyczne ściany "Minervy" - penetrował statek równie swobodnie jak olbrzym domek dla krasnoludków, z którego wcześniej zdjął dach.

Raptem kontenery zgrzytnęły o siebie żelaznymi bokami - autopilot zmieniał ciąg. Autopilot... on także słuchał tamtego. Kontenery znów natarły na siebie, coś brzęknęło w ciemności jak wybijana szyba, coś innego szurając jęło przemieszczać się po płycie. Dno ładowni zaczęło się pochylać, zsuwając z siebie wszelkie nie umocowane przedmioty. Jakiś okruczeństwo zadzwoniło o metalową ścianę.

Zjeżdżało wszystko, zrazu wolno, po kilku centymetrach nabierając impetu. Hałas wywołany szuraniem brył rudy i kawałów obdarłej blachy, zrazu pojedynczy, zlewał się w coraz głośniejszy potok. Nagle wzmościł go grzmot - ruszyły kontenery. Wzdłuż rynnę ruszył kontener stojący najbliżej El Canny. Sunął jak moloch - jak rozpędzony pociąg. Był coraz niżej, szybki, coraz szybszy...

Krzyk El Canny utonął w morzu hałasów. Wśród łoskotu bijących o siebie kanciastych olbrzymów, wśród jęku dartych na kawały burtowych blach został sam - jak Jonasz naprzeciw rozszalałego oceanu. Żywioł porwał go w swoje wiry i pociągnął do dna, gdzie wszystko stało w bezruchu - ciche, oniemiałe, wręcz senne. W tej ciszy niósł się krzyk El Canny.

Co z tego, że ocalał, że żył, skoro jego dni były policzone? Na krótko wracały resztki świadomości - rozglądał się po zielonym niebie jak obudzony z koszmarnego snu, próbował wstać - wracało wspomnienie zdarzenia w ładowni. Opadał na białe legowisko, zamykał oczy nie chcąc oglądać mżącej zielonej poświaty; leżał poruszając wargami, zagarniając powietrze koniuszkami palców.

Pewnego razu, gdy znowu wynurzył się z mrocznej otchłani ku mdłej zieloności wydało mu się, że ktoś pochyła się nad nim. Słyszał głos kobiety. Z wysiłkiem otworzył oczy: nie było nikogo. A przecież ktoś na pewno wypowiedział jego imię. Słyszał doskonale, że ktoś je wypowiedział - zrazu normalnym tonem, później coraz bardziej wyciągniętym ku najwyższym oktawom, aż głos przeszedł w ultradźwięk. Musiał nie zauważyć właścicielki głosu, oczywiście, teraz zobaczył ją dokładnie, stała obok i znowu wołała na El Cannę. Jej głos wznosił się, a ona sama z twarzą wciąż promiennie uśmiechniętą odpływała w dal, zmniejszała się aż do małej iskiereczki wydającej ostry gwizd.

Filip El Canna otworzył oczy i raczej poczuł niż zauważył, że w nieciekawym otoczeniu pojawiło się coś nowego. W odległości wyciągniętej ręki stał szklany cylinder do trzech czwartych wypełniony wodą. Spróbował go dosięgnąć, ale źle ocenił odległość - końce palców trąciły śliską wypukłość naczynia i wywróciły je. Woda wypłynęła na łękę i zaraz wsiąkła.

Ten widok dodał mu sił. Naczynie było materialne, mokre od wody. Włożył do środka palec i przesunął dookoła. Palec stał się mokry, zebrało się na nim nieco wilgoci; wysał ją żarłocznie. Próbował nacisnąć łękę w miejscu, gdzie woda wsiąkła, ale dłoń pozostała sucha. W innym miejscu rezultat był podobny.

Siedział oszołomiony, z pustą szklanką w ręce. Pierwszy konkret w tym pełnym nieuchwytnych widziadeł świecie. Postawił naczynie przed sobą i powiedział:

- Chce mi się pić.

W szklance nie pojawiła się ani kropla.

- Pić!!! - krzyczał. - Pić... - błagał osuwając się. Szklany cylinder tkwił bez ruchu odbijając zielonkawy blask. Złapał naczynie i odrzucił precz. Nawet nie patrzył, gdzie upadło.

Znowu oglądał niezrozumiałe obrazy przeplatane zieloną ohydą, aż spostrzegł obok naczynie, którego właśnie się pozbył. Było pełne wody.

Tym razem zabrał się do rzeczy ostrożniej. Wyjął z bólu podczołgał się całkiem blisko, otoczył cylinder ramionami. Wypił wodę do ostatniej kropelki. Leżąc zmęczony i zadowolony masował stłuczone ramię. “Uderzyłem barkiem w ścianę”, zawyrokował.

Kiedy odzyskał przytomność, w ładowni paliło się światło. Awaria oświetlaczy ustąpiła samoistnie, kontenery wjechały do rynien.

El Canna leżał na platformie, tuż obok ściany. Miał odrąbaną poniżej kolana prawą łydkę. Pędzący kontener uderzył w nogę, oderwał kalosz od rygla - i pchał ją przed sobą aż do otworu, którym kończyła się rynna. Tutaj noga znalazła się w nożycach - jedno ich ramię stanowiła ostra krawędź ściany, drugie - krawędź kontenera. Cięcie było szybkie i precyzyjne - szczelina między krawędziami nie przekraczała grubości zwykłego ołówka do rysowania.

Był wolny. Krew buchała z rany jak ze źródła, a na platformie, znów poziomej, tworzyła się wielka kałuża. Patrzył bezmyślnie, jak jej ruchliwe brzegi zdobywają nowy teren, a kiedy liznęły rękę, którą się podpierał, oprzytomniał. Zdjął pas, rozdarł nogawkę i podwinął do góry, obnażając poczerwiałą kikut. Zrobił na pasie pętlę, założył, ścisnął. Płakał z bólu i zaciskał pętlę. Pomagając sobie rękami i zdrową nogą odsunął się od kałuży żeby sprawdzić, czy krew przestała płynąć. Włókł za sobą ogromny, obrzydliwy skrzep; wilgotny ślad na płycie z wolna wypełniała krew z kałuży. Pochylony próbował oderwać skrzep, ręka drżała, skrzep wymykał się śliskim palcom. Nieopatrznie dotknął rany i zemdłał.

W jego pamięci zostało to zapisane tuż obok zieloności nieba i bieli powierzchni, na której leżał.

Szklanka napełniała się wodą co pewien czas; czuwał, nie spuszczać z niej wzroku, aby nie stracić przydziału. Przypuszczał, że napełniano ją regularnie. Pił coraz mniej, kiedyś zostało na dnie trochę wody, postanowił więc obmyć ranę. Ból cisnął nim o ziemię... o ziemię? Na czym właściwie siedział? Pod naciskiem ugięło się jak gąbka, a gdy usiłował oderwać kawałek, twardniało w niemym sprzeciwie. Dał spokój, a że na tym wyczerpał możliwości badawcze, nie pozostało nic innego jak przyglądać się rozległości więzienia. Nigdzie nie dostrzegał ścian, widząc jednocześnie bezmiar bieli rozciągniętej z dołu i zieleni u góry. W miejscu, gdzie powinien być horyzont kłębiła się mgła. Z każdej strony mgła wyglądała tak samo i tak samo była oddalona.

Pił coraz mniej wody - przeważnie płukał nią usta i wypływał daleko od siebie. Gorączkował; czasem polewał nią czoło, raz całą szklankę przeznaczył na toaletę. Kiedyś zaśpiewał zwrotkę wesołej piosenki. Przeląkł się własnego głosu. “Jakbym krakał”, pomyślał. Tej nocy śnił o krukach. Czas mierzył szklankami: gdy nie zużywał wody, pojawiała się następne naczynie, a po nim dalsze - trzy szklanki trwał dzień i trzy noc. Gdy budził się rano, stały obok wczorajszych trzy dodatkowe; jeśli były dwie, przyjmował, że noc jeszcze trwa. Jeśli opróżniał jedną ze szklanek, napełniała się pusta. Usiłował uchwycić ten moment - bez rezultatu. Szklanki pojawiały się zniemacka, ale wszystko wskazywało, że tkwią przed nim od dawna. Lustro wody było zawsze nieruchome, nie kołysało się, nawet nie drżało. Ciecz wydawała się zestalona w lód o nadzwyczajnej przezroczystości - dopiero dotknięcie palcami kruchej ścianki sprawiało, że złudzenie ustępowało.

Pomyślał o niewidzialnej kurtynie osłaniającej jeszcze wiele cylindrów z wodą, cofającej się z regularnością dobrze zaprogramowanego mechanizmu co cztery godziny. Ile cylindrów czekało jeszcze na swoją kolej?

Same cylindry również zaciekały. Miały niezwykle cienkie ścianki; biorąc którykolwiek z nich do ręki El Canna nie mógł pozbyć się wrażenia, że szkło pryśnie mu w palcach. Jednak ścianki okazywały

się nad podziw sztywne i wytrzymałe: znosiły nie tylko nacisk palców, ale całkiem solidne uderzenia, które El Canna aplikował im denkiem drugiego cylindra. Materiał, z jakiego je wykonano, nie był szkłem - nie przewodził ciepła, był doskonale przezroczysty i ukształtowany, nie zawierał skaz. Ilekroć El Canna porównywał dwa naczynia, nie mógł wyjść z podziwu - idealnie walcowate powierzchnie nie wykazywały między sobą odchyłek wymiarowych. To, że różnice nie dawały się dostrzec, nie świadczyło wprawdzie o ich braku, lecz El Canna wierzył, że ma do czynienia z precyzją wykonania, od której ziemskie przedmioty dzieliła otchłań. Wszystkie naczynia napełniano chłodną wodą idealnie do tej samej wysokości.

Pewnego dnia znowu usłyszał głos.

- Człowieku z planety Ziemia - słowa brzmiały twardo i obojętnie - jak długo mam jeszcze czekać?

Filip El Canna pomyślał o halucynacji, ale głos zapytał:

- Czemu nie umierasz, istoto z planety Ziemia?

Zrozumiał, że to szansa kontaktu, kto wie, czy nie jedyna

- Kim jesteś? Nie widzę cię! - wykrzyknął.

- To nie jest konieczne... odpowiedz na pytanie.

- Nie chcę umierać! Odeślij mnie na Ziemię!

- Nie krzycz - upomniał go głos. - Umrzesz prędzej czy później... wszyscy umierają. Uczestniczysz w eksperymencie, którego celem jest wyświeślenie tajemnicy życia. Dzięki śmierci więcej wiemy ó życiu. Jesteś przerażony? Historia twojej planety zna większe paradoksy...

Filip El Canna milczał.

- Co chcesz jeszcze wiedzieć? - zadudnił głos. - Pytaj, nim skończy się czas, nim odejdę...

- Skąd bierzecie ludzi do waszych doświadczeń?

- Sami włączcie nam w ręce, opakowani w metal, tworzywa i szkło. Wiesz sam, jakie nastroje panują na stacjach orbitalnych i w bazach transportowych. A nasze potrzeby wciąż rosną - wkrótce sięgniemy na Ziemię...

- Potwory! - wrzasnął. - Ilu was jest? Skąd was przyniosło?

- Nasza cywilizacja liczy miliardy lat. Istniała już wtedy, gdy Ziemia, co mówię - Układ Słoneczny, Galaktyka - były jeszcze obłokiem materii... Jesteśmy zewsząd i znikąd. Jesteśmy wielością i jednością zarazem; dzielimy się i łączymy zależnie od potrzeb.

- Dlaczego interesuje was istota życia?

- Odważnie pytasz... ale obiecałem ci odpowiedź. Co za różnica, czy dowiesz się wcześniej, czy później. Jesteśmy przeraźliwie starzy. W przeciągu wielu miliardoleci naszej historii zyskaliśmy długowieczność dla was niepojętą, ale utraciliśmy zdolność prokreacji. Chcemy żyć nadal...

- Ile ludzkich istnień warte jest wasze ocalenie?

- Życie, które gaśnie jest dla nas równie istotne jak to, które się budzi. Źle wylosowałeś, przyjacielu - innych spotyka śmierć od razu... dzięki tobie dowiemy się więcej o mechanizmie żywotności...

- Więc to wy zaaranżowaliście wypadek w ładowni.

- Owszem. Czy możliwe jest przypadkowe ustawienie zdarzeń w ten sposób? Powiem ci, ile to prawdopodobieństwo wynosi: trzy stumiliardowe. My sterowaliśmy wtedy statkiem, wabiliśmy cię światłem - sprawiając w ten dziecinny sposób, że nastąpiłeś na rygiel magnetyczny. My, nikt inny...

- Jestem głodny - powiedział El Canna. - Czy dostanę coś do jedzenia?

- Nie. Inni nie dostają nawet tego.

- Więc czemu ja dostałem?

- Szum Wiatru prosiła mnie o to.

- Szum Wiatru? Któż to jest?

- Przewodnicząca Sekcji Laboratoriów.

- Dlaczego to zrobiła?

- Przypuszczalnie dla dobra eksperymentu.

- Co zrobiliście z Ralfem?

- Ralf wylosował śmierć natychmiastową... też w ramach doświadczenia. Pamiętasz? Sam rzucał monetę.

- A ja? Czemu mnie także nie zabiliście od razu? Do czego było wam potrzebne całe to polowanie?

- Ty miałeś inny program. Twój udział w eksperymencie zaczął się już na "Minervie" - awarie były zarazem testami i nagonką. Nie czyn sobie wyrzutów, nie miałeś szans; prędzej czy później zrobilibyśmy z tobą wszystko, na co mieliśmy ochotę.

- Mogłem zabrać klucz...

- Ale nie zabrałeś. A gdybyś nawet miał go ze sobą, moglibyśmy zamienić stal na plastelinę. Mogliśmy użyć tysiąca innych sposobów, by obciąć ci nogę.

- Więc dlaczego wybraliście właśnie ten?

- Zwyczajny kaprys: łudzimy się, że obracając przeciwko wam wasze prymitywne maszyny uczymy ludzkość skromności... Rodzaj jednostronnej zabawy - na Ziemi oczywiście nikt się o tym nie dowie.

- Jak to? Wysłałem komunikat!

- Zdawało ci się. Ty poleciłeś nadawać, my zabroniliśmy... jak myślisz: kogo posłuchał twój automat? Zresztą - czy tak trudno zaekranować cały statek?

- Zrobiliście to?

- Na samym początku. Od tego momentu "Minerva" stała się dla reszty Wszechświata czarną dziurą. Nic nie może przebić naszych ekranów - promieniowanie, antymateria. Nic.

- W jaki sposób zabiliście Ralfa?

- Zwyczajnie: uderzeniem grawitacyjnym...

- W serce?

- W serce i w mózg.

- Chcąc sami żyć odmawiacie prawa do życia innym.

- Wzniosły cel uświęca środki. Wy macie to, czego brakuje nam. Chcemy to wam odebrać.

- I dlatego czekacie na moją śmierć.

- Między innymi.

- Wiele sobie po mnie obiecujecie, jak widzę. A wiesz, co ci powiem? W gruncie rzeczy nie tak wiele nas dzieli: tylko inny rodzaj śmierci. Wasz los jest równie dokładnie przesądzony jak mój; wiecie od dawna, że nie uratuje was nawet miliard zamęczonych pechowców, co źle wylosowali!

- To twoje zdanie. Odchodzę...

- Nazywacie się rozumnymi, pewnie, to brzmi dumnie, ale co właściwie różni was od waszych automatów? Czy znane wam było kiedykolwiek coś, co o tej różnicy mogło decydować? Odpowiadaj!

- Odchodzę...

- A ja będę umierał uśmiechnięty, słyszysz, uś-miech-nię-ty, bo wiem, że i na ciebie przyjdzie kolej. Dziś, jutro czy za dziesięć lat - wszystko jedno. Pewnego dnia ta resztką zgniłego życia poczuje nieprzepartą ochotę, żeby wynieść się z ciebie - i co wtedy poradzisz? Rozpacz waszych wysiłków sprawia mi satysfakcję. Choćbyście jak piasek przesypywali istnienia podobnych mnie królików doświadczalnych w podobnych do tej klatkach - nie unikniecie przeznaczenia!

El Canna płakał, rozmyślając później o tej rozmowie. Płakał, a po chwili zgrzytał zębami, tłukł głową o białą gąbkę i wygrażał pięściami zielonemu niebu.

Szansę na ocalenie, i tak bardzo nikłe, malały do zera. Nawet zupełny ignorant w sprawach

medycznych, jakim El Canna był niewątpliwie, orzekłby po oględzinach nogi, że gangrena zrobiła znaczne postępy. Nie liczył dni, po diabła, szklanki z wodą tłoczyły się wokół - w przystępie bezsilnej furii wylał z nich wodę i wyrzucił wszystkie daleko od siebie. Gromadziły się znowu; nie znalazł sił, by i z tymi postąpić podobnie. Przytomność zachowywał już tylko na niektóre chwile; coraz częściej walił się w czarną otchłań i coraz trudniej z niej podnosił, wodząc wokół zmętniałym wzrokiem nie rozróżniał poszczególnych naczyń, choć stały blisko, wydawało mu się, że szklane cylindry kryją w sobie miriady miniaturowych aparatów rejestrujących jego agonię, odgarnął je ręką, patrzył radośnie jak się tłoczą i wywracają - i znowu śnił w czarnej otchłani.

Inny rodzaj śmierci.

Jak pływak z mrocznej toni ku słońcu, tak wylaniał się El Canna z dna atramentowej nocy ku zielonemu światłu nieba-kopuły - po raz być może ostatni. Przed jego oczami przesunęły się dawno minione zdarzenia, dawno zapomniane dni, twarze przyjaciół i znajomych, całe życie obejrzał jeszcze raz jak obojętny widz. Dobiegały go strzępki rozmów, których słuchał nie słuchając jednocześnie, zajęty sobą, a słuchał coraz uważniej w miarę jak wypływał z głębiny i odzyskiwał świadomość. Obudził się na białej jak skrzydła aniołów łące, wygodnie mu było, dobrze, choć ptaki nie śpiewały, zielone słońce przygrzewało zielonymi promieniami. "Zielony - myślał - najpiękniejszy kolor świata. Ziemia jest zielona, tak piękna.." Głosy kłóciły się, wirowały w uszach. "Zaraz odejdą - myślał - wróci spokój." Jeden głos należał do kobiety. Tak, na pewno. Mówiła szybko:

- Wczoraj umarł Wieczny Jak Wieczność - jej głos zawarczał i umilkł.

"Umarłem - pomyślał z ulgą El Canna. - Mam to za sobą, to umieranie." - Wyłącz translator - zaniepokoił się drugi głos. - Może usłyszeć.

- Nie usłyszysz - uspokoił go głos żeński. - Popatrz, stracił przytomność. Zresztą, co za różnica.

- Dobrze - zgodził się męski. - Już dobrze.

- Dobrze? - wyszeptaly spieczone wargi Filipa El Canna.

- Bardzo dobrze - rzekł męski. - Wieczny Jak Wieczność byłby zadowolony.

- On się obudził - wtrącił żeński.

- Powiemy mu teraz?

- Tak. Człowieku z planety Ziemia, słyszysz nas? Umarł Wieczny Jak Wieczność. Rozmawiał z tobą... pamiętasz?

- A wy... jak się nazywacie?

- Ja nazywam się Drzewo.

- A ja Szum Wiatru.

- Jesteś kobietą? - spytał El Canna.

- Nie. Słyszałam, że kiedyś żyły wśród nas kobiety. Ale to było bardzo dawno.

El Canna milczał, zmęczony. Drzewo i Szum Wiatru milczeli także.

- Czego chcecie?

- Być przy tobie, gdy zaczniesz opuszczać świat żywych.

- Nie trzeba... ale... na Ziemi jest taki zwyczaj... testament...

- Wiemy, co to takiego. Nasze maszyny...

- Tak, do diabła z nimi. Spełnijcie moje ostatnie życzenie, możecie przecież wszystko... prawie wszystko. Sprowadźcie tutaj z Ziemi maleńki zielony listek.

Mały zielony listek leżał na białej dłoni Filipa El Canna. Filip El Canna leżał na białej łące, pod zielonym niebem.

- Koniec eksperymentu - powiedział Drzewo. - Mamy kogoś na to miejsce? Czy przybył nowy transport?

- Nie. Przedwczoraj zmarł Wielokrotny, a dziś Czwarte Sionce. Nie mieli zastępców...
- Więc to... agonia?
- Ciszej! Wyłącz maszyny...

Listek zamarzył na dłoni, która już nie grzała. Szron obrósł go grubymi igłami - oto zgasło zielone niebo.

Maciej Parowski - BUNT ROBOTÓW

Od rana działały się u nas w domu dziwne rzeczy. Mój robot Barnes ładował swoje baterie plazmowe o wiele dłużej niż zwykle. Stał przy kontakcie w pokoju A ponad godzinę - nie mogłem się doczekać kiedy skończy. W pokoju B ładował się robot taty, a gniazdo wtykowe w kuchni okupował Ludwik mamy. Pomyślałem, że jeśli tak dalej pójdzie nie zdążę, przed rozpoczęciem telewizyjnych wykładów, rozegrać symulowanego spotkania między mistrzem XX wieku, Alim, a naszym championem - Steel Skuli. Odezwałem się do Barnesa.

- Nie mógłbyś na chwilę przerwać? Energii starczy ci już na jakieś dwa tygodnie, po co aż tyle? W dwie minuty nabiję baterie hoto-automatów i gniazdko znowu będzie wolne.

Spojrzał na mnie złymi lampkami. Barnes to robot starego typu, dlatego dość łatwo zorientować się, w jakim jest aktualnie nastroju. Spora część instalacji przebiega u niego na wierzchu, po obudowie - widać trochę lampek, małych neonówek... Tylko raz spojrzę i od razu wiem czy można, na przykład, posłać go po obwody scalone i inne elementy do pracy domowej, czy też lepiej wystartować po nie samemu. Teraz Barnes wyglądał tak, że nie odważyłbym się wydać mu jakiegokolwiek polecenia... poza oczywiście prośbą, by na dwie minutki zwolnił gniazdko plazmowe. Ale on zaskrzeczał odmownie.

- Nic z tego. Gniazdko będzie wolne dopiero za pół godziny.

- Ależ Barnes... dlaczego?

- Z wami, ludźmi, nigdy nic nie wiadomo - brzęczał nieufnie - muszę nabić baterie co najmniej na miesiąc. Będę pewniejszy.

- Wyjaśnij mi po co...? Barnes?

Nic nie odpowiedział. Demonstracyjnie odwrócił ode mnie sprzężone fotokomórki. Rozmowa była skończona.

Takie zachowanie robota, to po części wina mojego taty. Kiedy przed rokiem kupował mi Barnes powiedział, że nie życzy sobie bym był rozpieszczany. Oglądał różne automaty, przebierał, wybrzydzał, aż w końcu zażądał robota z wkładką programową rzeczowości i surowości. Chcę żeby Barnes pomagał mojemu synowi, ale nie chcę by go wyręczał we wszystkim - powiedział w sklepie, i tak szczęście, że mama wybłagała bym mógł mówić Barnesowi "ty", a nie "panie Barnes". To przecież byłby szczyt.

Siadałem przy telewizorze i wykręciłem numer Johna. Poobserwowałem przez chwilę obraz kontrolny, poprawiłem ostrość kółek i kresek... a zaraz potem uzyskałem połączenie. Wnętrze mieszkania Johna było jakby za mgłą. On sam krzywił się do mnie z ekranu i przecierał zażawione oczy... Nagle poczułem zapach benzyny czy może ropy naftowej. Dlatego błyskawicznie skręciłem gałkę węchową do zera. John, mimo zabawionych oczu, zauważył mój gest.

- Poczujesz, nie...?

- Aha. Co tam się u was stało, John?

- Nic strasznego. Robot kuchenny przypiął się jak nieprzytomny do kontaktu plazmowego. Ładował swoje baterie dłużej niż zwykle i przez to przypalił syntetyczną pieczeń.

Zaczęło się rozkładać na związki prostsze, kapujesz?

- Co się dzieje z tymi robotami, moje też blokują kontakty - spytałem zaniepokojony - Barnes narzeka na ludzi. Chciałem cię spotkać, czy nie mógłbym nabić swoich baterii u ciebie, ale widzę, że nic z tego.

Na ekranie miałem fragment pokoju Johna. Jego robot też stał przy kontakcie, mgła rozwiewała się. Wentylatory nie są na szczęście robotami, to zwykłe, normalne, uczciwe maszyny - dlatego nie zawiodły.

- Co to może... - rozpoczął John pytanie, ale go nie skończył. U niego i u mnie włączył się Automatyczny Przekaznik Najważniejszych Informacji. Głos z przymocowanego pod sufitem głośnika mówił:

“W związku z rozruchami robotów nie odbędą się dzisiaj zajęcia w szkołach stacjonarnych. Zawieszają się również wykłady telewizyjne dla klas niższych. Pożądane jest zatrzymanie dzieci i nieletnich w domu. Uprasza się o niewypuszczanie młodzieży na ulice i kosmodromy. O godzinie dziesiątej zostanie nadana w telewizyjnym programie siódmym audycja wprowadzająca młodzież w obecne wydarzenia. Przypominamy, dzieci i młodzież powinny zostać w domu. Dalsze informacje będą przekazywane w miarę rozwoju sytuacji”.

Spojrzelismy z Johnem na ekrany telewideowęchofonów. On widział mnie, ja widziałem jego. Naszych rodziców nie było w domu. Jednocześnie puściliśmy do siebie oko i jednocześnie podjęliśmy jedyną możliwą w takiej sytuacji decyzję.

- Wychodzimy, Tom?

- Wychodzimy - odpowiedziałem i ustaliliśmy miejsce, w którym się spotkamy. Doszliśmy do wniosku, że w tej sytuacji najpewniej będzie udać się do miasta piechotą.

Wyłączyłem telewideowęchofon i zwróciłem się do Barnes'a. - Nie będę cię dzisiaj potrzebował stary. Nie wychodź nigdzie.

Lampki na jego piersi i części pamięciowej zamigotały buntowniczo.

- Przykro mi, ale nie spełnię tego życzenia - wycharczał - jak tylko skończę ładowanie, wychodzę na miasto. Potem wskazał wymownym gestem na sufit gdzie wisiał głośnik APNI.

- Słyszałeś chyba?

- Barnes, ty też! Krzyknąłem przerażony.

- Jestem robotem - odpowiedział - niczym więcej i niczym mniej. Przykro mi, ale moje miejsce jest teraz gdzie indziej. Nic osobiście przeciw waszej rodzinie nie mam, ale muszę... Skończyłem.

Machnąłem na Barnes'a ręką i wypadłem z mieszkania. Już zjeżdżając windą usłyszałem z zainstalowanego w niej APNI następny komunikat odwołujący loty wszystkich raket i samolotów. Sytuacja wyglądała poważnie.

Na ulicach było dużo ludzi. Widziało się sporo młodzieży, która podobnie jak John i ja nie posłuchała polecenia APNI. Wszystkie chodniki, zarówno szybkie jak i najwolniejsze-spacerowe, nie działały. Zniknęły gdzieś roboty drogowe stojące dotychczas na rogach ulic i regulujące ruch. Nie było robotów sprzedających owoce i słodczyce, przepadły wszystkie automaty ze służby ruchu i roboty oczyszczające miasto, w ogóle wszystkie. Nawet śmiesznie to wyglądało. Tyle ludzi i ani jednego mechanizmu myślącego. Coś takiego można obejrzeć tylko w historycznych telewizyjnych cyklach pokazujących filmy z dwudziestego wieku, i oczywiście w książce do historii.

Johna spotkałem, tak jak się umówiliśmy, pod lewym skrzydłem Centrum Przetwarzania Danych. Jest tego coś z piętnaście wysokich na dwieście metrów drapaczy, ale my byliśmy umówieni precyzyjnie.

- Twoje roboty też przepadły, co? - spytałem i uścisnąłem mu dłoń. Zalaatywała jeszcze benzyną.

- Wybyły na miasto, nie mogłem ich zatrzymać. Bardzo grzecznie, elegancko, ale stwierdziły stanowczo, że nie ma nawet mowy, by zostały w domu...

Rozejrzeliśmy się dookoła. W dalszym ciągu robotów nie było widać.

- Wyszły na miasto, powiadasz, że wyszły na miasto - zastanawiałem się - gdzie w takim razie

przypadły? Na ulicy nie widziałem dotąd ani jednego.

- Ba - rozłożył ręce John - Skąd mogę to wiedzieć?

Nic mu nie odpowiedziałem. Jak na komendę on i ja odwróciliśmy głowy. W głębi piętnastej alei słychać było chrzęsty, a także jakieś okrzyki, i ludzkie, i mechaniczne. Potem pokazało się coś na kształt kolumny marszowej.

Spojrzeliliśmy na siebie zaskoczeni. Przed nami, a właściwie przed Centrum Przetwarzania Danych przedefilowała potężna grupa robotów... Nie, nie tylko robotów... Na czele manifestujących maszerowało kilku mężczyzn trzymających się za ręce z automatami. Szli na przemian: człowiek, automat, człowiek, automat. Ale ludzi starczyło tylko na dwa pierwsze rzędy.

Maszerowały najprzeróżniejsze odmiany automatów: roboty kuchenne, roboty uczniowskie, roboty okrętowe, drogowe, telewizyjne, sportowe, roboty latające, nawet roboty wojskowe... W chrzęście wydawanym przez obudowy starszych typów ginął delikatny szmer najnowszych cichobieżnych modeli. Migotały lampki, słychać było elektroniczne buczenie, dziwną arytmiczną muzykę automatów. Wytrzeszczyliśmy oczy razem ze zdziwionymi, przerażonymi ludźmi, słóczonymi na nieruchomych chodnikach.

Nad głowami robotów powiewały prymitywne transparenty z buntowniczymi napisami. "Żądamy praw przysługujących ludziom" - przeczytałem ze zdumieniem na jednym z nich. "Nie jesteśmy bezmyślni. Nie pijemy alkoholu, nie palimy tytoniu, nie używamy narkotyków" - głosił inny plakat niesiony przez drobny pomocniczy automat artystyczny do mieszania farb i napinania płótna na sztalugach.

- Domagamy się wolnej sprzedaży bloków pamięci i wkładek programowych. Od dziś każdy automat panem i twórcą swojej psychiki - wykrzykiwał z braku transparentu inny automat. Pochód zamykał doskonale zbudowany sportowy robot bokerski o wzmocnionej konstrukcji. Na jego transparencie było napisane:

"Nie ważcie się nazywać nas robotami. Ta nazwa nam ubliża. Macie na nas mówić MYŚLĄCY WYKONAWCY AUTOMATYCZNI".

Przez chwilę zupełnie nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić. W końcu John powiedział.

- Chodźmy lepiej do domu... bezpieczniej. Poza tym nic już nie zobaczymy. Przeszli, koniec. Nie damy rady być naraz w dziesięciu miejscach. A tak, siądziemy w domu przed telewizorami i wszystko będziemy widzieli.

Przyznałem mu rację. Rozstaliśmy się pod moim wieżowcem. On mieszka trochę dalej.

Winda na szczęście działała. Już między piętrami usłyszałem kolejny komunikat APNI:

"Z powodu rozruchów wywołanych przez roboty i ogłoszonego przez nie strajku, program telewizyjny w dniu dzisiejszym i jutrzejszym emitowany będzie tylko w siódmym kanale. Na program złożą się transmisje z kraju i zagranicy oraz omówienie bieżącej sytuacji".

Ten sam komunikat powtórzył się już w mieszkaniu kilka minut po moim wejściu. Rodziców jeszcze nie było, żadnego z automatów także.

Na ekranie telewizora widać było na przemian kolumny demonstrujących automatów i zbliżenia znanych mi już haseł. Potem pokazała się twarz komentatora ze studia.

- Nasze nadzieje - powiedział przecierając w zdenerwowaniu okulary, co bardzo mi się nie spodobało, bo przecież powinien mieć szkła kontaktowe - nasze nadzieje proszę państwa legły w gruzach. Wszystkie automaty zatroszczyły się o zapasy energetyczne na co najmniej dwa tygodnie. Blokada gniazdek plazmowych nic by tu nie dała, do tego czasu... Obraz zniknął na chwilę z ekranu.

-...dlatego konieczna jest jakaś bardziej zdecydowana akcja. Istnieje też możliwość rokowania z automatami. Zaprosiliśmy właśnie do studia...

Na ekranie pokazał się specjalista od rokowań. W chwilę potem siadł obok niego i ukłonił się bardzo

grzecznie ekstremista, który radził zniszczyć wszystkie automaty. Po chwili zobaczyłem ponownie komentatora telewizyjnego. W imię "arystotelewskiego złotego środka", wyprawiając cały czas żalną ekwilibrystkę swoimi okularami usiłował pogodzić zwaśnionych specjalistów. Potem znowu słyhać było tylko jego głos, a na ekranie powtórzyły się obrazy pochodzenia i zbliżenia haseł. Następnie korespondenci zagraniczni przekazali informacje o analogicznych rozruchach w innych krajach.

- Sytuacja, proszę państwa, jest dziwna i niebezpieczna - powiedział drżącym głosem komentator i na oczach wszystkich widzów bezwiednym, nerwowym gestem złamał swoje okulary.

Usłyszałem sygnał telewideofonu, więc wstałem, poszedłem w drugi koniec pokoju i nacisnąłem klawisz.

- Ty, widziałeś? - John patrzył na mnie z ekranu z niezdecydowanym wyrazem twarzy, pośrednim między rozbawieniem i przerażeniem.

- No... źle się dzieje.

- Są twoi starzy? - zapytał - Bo moi już przyszli.

- Nie, jeszcze ich nie ma. Nie wiem dlaczego... Obok Johna pojawiła się na ekranie postać jego ojca.

- Tom siedź spokojnie i nie wychodź z mieszkania - powiedział tata Johna. - Widziałem się z twoimi rodzicami, wszystko w porządku, nie mogę przyjść na razie do domu, ale nie ma powodów byś się niepokoił.

- Dobrze, będę spokojny - powiedziałem i poczułem, że troszeczkę kłamię.

- To na razie.

- Na razie.

Wyłączyłem telewideofon i wróciłem do telewizora.. Komentator mówił akurat, że ludzie, których widać na początku pochodzenia, to nie są ludzie, nie inżynierowie solidaryzujący się z automatami, tylko najdoskonalsze, wyprodukowane dopiero ostatnio roboty człekokształtne.

- Zaprosiliśmy właśnie... - zaczął i na ekranie pokazał się dyrektor fabryki produkującej owe człekopodobne mechanizmy... Słuchałem jego wystąpienia jak nieprzytomny. Słowa do mnie nie docierały.

-...Całe szczęście, że poza zakładem znajduje się dopiero krótką, próbną serią... - to był ostateczny wniosek dyrektora zamykający dyskusję.

Podobne obrazy i informacje powtórzyły się kilkakrotnie aż w końcu zobaczyłem na ekranie salę obrad parlamentu. Na trybunach, ba nawet na mównicy, bez trudu można było dostrzec najnormalniejsze w świecie roboty, wcale nie człekokształtne.

Nie słyhać było dźwięków sali, kamera jeździła po twarzach zebranych, pokazywała zabierających głos. Oblicze przewodniczącego parlamentu gościło na ekranie dłużej niż inne. Drugi komentator telewizyjny, nie ten od złamanych okularów, spokojnie relacjonował:

"W wyniku rozmów między przedstawicielami Myślących Wykonawców Automatycznych a specjalną grupą rządową do spraw automatyki, parlament postanowił:

- Po pierwsze, uznać nazwę Myślący Wykonawcy Automatyczni za obowiązującą, w miejsce stosowanego dotychczas i wysoce niewłaściwego określenia "robot".

- Po drugie, zezwala się od dziś nabywać automatów w wolnej, nieograniczonej sprzedaży także liryczne i historyczne wkładki programowe, oraz puste bloki pamięci.

- Po trzecie, dzieci i młodzież do lat osiemnastu powinny zwracać się do wszystkich automatów per pan, pani, panna.

- Po czwarte, zapewnia się automatów wolność zrzeszeń i zgromadzeń. Ponadto w najbliższym czasie umożliwi się im wydawanie własnego czasopisma.

- Po piąte, nie przyznaje się na razie Myślącym Wykonawcom Automatycznym prawa wyborczego,

ale jednocześnie...” Sygnał telewideofonu znowu oderwał mnie od telewizora. Niespokojna twarz ojca patrzyła na mnie z ekranu. W tle widziałem imponującą aparaturę laboratoryjną. Duża hala instytutu - pomyślałem.

- No, ulżyło mi, że jesteś... Wszystko w porządku Tom?

- Tak tato.

- Kładź się zaraz spać. Nie możemy przyjść z mamą, bo siedzimy w Hali Syntezy i zastępujemy automaty. Będziemy w domu jutro rano, kiedy wszystko wróci do normy. Dasz sobie radę?

- Dam.

- Tak dobrze... Aha, jak przyjdzie Barnes nie drażnij go, zachowuj się grzecznie. Mój Robert i Ludwik mamy nie wrócą na noc. Wiem, bo widziałem się z nimi na mieście. No, bywaj. Ojciec wyłączył się.

Zgasiłem telewizor i, ponieważ nie było Barnes'a, zamiast na posłaniu ze sprężonego powietrza, które zazwyczaj on mi przygotowywał, położyłem się na staroświeckiej kanapie, pamiątkowym sprzęcie po matce ojca. Miałem właśnie zgasić światło, gdy usłyszałem kroki wracającego Barnes'a..

Obciążony paroma pakunkami skierował się milcząc do pokoju C, pomieszczenia robotów i właśnie wtedy w APNI powtórzyli odczytany już przez komentatora telewizyjnego komunikat o postanowieniu parlamentu...Barnes zatrzymał się na chwilę i doczekał do punktu trzeciego.

- Słyszałeś, prawda? - zapytał triumfalnie.

- Tak, panie Barnes, ale...

Odwrócił się i zniknął w pokoju C... Chciałem się położyć, ale nie mogłem zasnąć - dlatego poszedłem do Barnes'a. Miał włączoną lutownicę, wmontowywał sobie jakiś układ... Gdy przyjrzałem się uważniej poznałem liryczną wkładkę programową. Puste bloki pamięci leżały nierozpakowane. Wyglądało na to, że Barnes nie ma na razie, zamiaru ich wykorzystywać.

Odruchowo postanowiłem dać mu dobrą radę mimo, że jego zapał zaczął mnie przerażać.

- Panie Barnes, nie tak - powiedziałem drżąc trochę - zamiast wmontowywać to co ktoś wymyślił i przetrawił, lepiej zaopatrzyć się w pusty blok pamięci i samemu przeczytać parę książek, zakochać się i odkochać, obejrzeć kilka zachodów słońca. To na pewno będzie miało większą wartość i lepiej ukształtuje pana liryczną wrażliwość.

Zamigotał nieufnie lampkami, ale posłuchał. Poszedł do biblioteki ojca, wyjął parę tomów i zaczął czytać. To straszne. On może czytać kiedy chce i jak długo chce. Nie musi spać, nie męczy się...

Pomyślałem, że rozwiązanie, które przyjęły dzisiaj obie strony jest wyjątkowo kompromisowe, bardzo połowiczne i powierzchowne. To wcale nie jest skończone. TO SIĘ DOPIERO ZACZEŁO...

... Nie myliłem się... Gdy w środku nocy obudzony okropnymi snami pełnymi robotów-potworów, wstałem by napić się wody, zobaczyłem Barnes'a pochylonego nad szybkobieżną drukarką. Robot, przepraszam, Myślący Wykonawca Automatyczny, zmusił coś wystukiwał. Był zajęty wszystkimi mechaniczno-elektronicznymi zmysłami. Nie zauważył, nie poczuł nawet, gdy stanąłem za nim.

Zajrzałem mu przez plastikowe ramię. Pisał., tak jest, pisał wiersze.

Maciej Parowski - TAJEMNICA HRABIEGO EDWARDA

Edwarda poznałem w czasie kolejnej handlowej podróży morskiej z Londynu do Nowego Jorku. Na statku tytułowano go hrabią. Nawiasem mówiąc, nie uważam, by w dwudziestym wieku wypadało obnosić się z arystokratycznymi tytułami, podkreślać błękitnokrwiste koligacje. Hrabia Edward miał widać inny pogląd na tę sprawę.

Niski w bezbłędnie skrojonym, ale jak na mój gust zbyt młodzieżowo, wyzywającym garniturze i żywym krawacie, prezentował się przeciętnie. Jego rysy nie zawierały niczego charakterystycznego, co my ludzie prości parający się handlem, przemysłem i innymi tego rodzaju zajęciami, chcielibyśmy widzieć w rysach arystokraty. Intrygujące dla mnie w całej niewielkiej, i zasadniczo niepozornej postaci, były oczy. A właściwie nie oczy lecz okulary.

Bardzo ciemne i duże szkła, zakrywające również brwi i częściowo kości policzkowe, czyniły go wręcz demonicznym. Wrażenie diaboliczności pogłębiał malutki czarny wąsik i kruczoczarne, ostrzyżone krótko włosy.

Pamiętam, że w pierwszej chwili gdy go poznałem, poznałem - to zresztą niewłaściwe określenie, po prostu zostaliśmy sobie przedstawieni podczas wieczorku zapoznawczego - a więc gdy go zobaczyłem i usłyszałem nazwisko pomyślałem, że tajemniczość, diaboliczność i w ogóle dziwne wrażenie siły, duchowego magnetyzmu, płynące z ukrytych za ciemnymi szklami oczu, jest owocem zręcznej mistyfikacji. Wyobraziłem sobie, że hrabia Edward obok nieciekawej sylwetki ma również mętne, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu spojrzenie i sztucznie przydaje sobie tajemniczości zasłaniając oczy okularami. Znałem prawo rządzące ludzkim zainteresowaniem, które każe mężczyźnie obejrzeć się za nogami kobiety w długiej spódnicy a mimochodem tylko ocenić kolana dziewczyny w mini. Sądziłem, że hrabia świadomie wykorzystał tę ludzką słabość i ukrywając oczy przed wzrokiem innych, uczynił je dla postronnych czymś... mniejszą zresztą z tym co sądziłem. W żadnych, nawet najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczałem, że rzeczy, jakie sugeruje hrabia, dobrowolnie przestaniając część twarzy, są niczym w porównaniu z tym co znajdowało się naprawdę za ciemną i grubą (jak się później dowiedziałem jego okulary zrobione były na zamówienie ze specjalnego szkła) zasłoną.

Jeśli chodzi o mój pobyt na statku, to myliłby się ten kto by sądził, że poświęciłem go wyłącznie obserwowaniu hrabiego Edwarda. Odbywałem podróż handlową - a że wyczerpały mnie uprzednie bardzo absorbujące interesy na Bliskim Wschodzie, zdecydowałem się na uspokajający i regenerujący siły przejazd morski.

Nie zaniedbałem jednak spraw zawodowych. Codziennie przez dwie godziny przed południem studiowałem wyciągi giełdowe, często gościłem w kabinie radiotelegrafistów, skąd wysyłałem depesze do moich współników. Nie zapominałem o normalnych zabiegach popularyzujących i reklamujących Firmę. Rozdałem całą masę prospektów, długopisów, ołówków, z wieloma pasażerami nawiązywałem długie i wnikliwie rozmowy, w których uwydatniałem obecną prężność oraz świetlaną przyszłość - cechy

charakterystyczne naszego przedsiębiorstwa. Poznałem kilka interesujących osobistości i wymieniłem z nimi adresy. Zdarzyło się nawet, że czołowy agent potentata skórzanego Fiksa rozwiązał krzyżówkę wypełniając jej pola ofiarowanym mu przeze mnie mechanicznym ołówkiem. Jak widać, nie oddawałem się sprawom handlowym tak intensywnie, jak parę tygodni przedtem, na Wschodzie, niemniej jednak nie próżnowałem.

Oprócz tego zażywałem kąpieli słonecznych i wodnych w paru basenach, które były na statku; kilkakrotnie wystąpiłem na korcie tenisowym i nieodmiennie co wieczór wpadałem na wieczorki taneczne organizowane na środkowym pokładzie. Tutaj po raz drugi zwróciłem baczniejszą uwagę na hrabiego Edwarda.

Na statku było sporo pięknych kobiet. Kilku młodych mężczyzn, pochlebiam sobie że ja i hrabia należeliśmy do nich, poświęcało tym dziewczynom dużo uwagi. Baseny, korty, solaria, posiłki, bary, baseny... tylko pleć piękna mogła uchronić nas przed nudą i monotonią, jaką po pewnym czasie przyniosłyby niewątpliwie owe banalne, w gruncie rzeczy, zajęcia. Wieczorki taneczne i piękne kobiety stanowiły urozmaicenie konieczne i jednocześnie najlepsze z możliwych.

Wśród mrowia piękności, które przy pomocy niezwykle skąpych strojów, podczas kąpieli i plażowania, wystawiały codziennie na ciężką próbę naszą męską powściągliwość, wyróżniała się urodą, budową i doskonałą opalenizną, długonoga blondynka o zielonych oczach.

Znam oczywiście swoje możliwości i wiedziałem, że to dziewczyna nie dla mnie. Umieję jednak poprzestać na małym, dzięki temu znalazłem dla siebie partnerkę na czas podróży. Ładną, zgrabną brunetkę, akurat taką na jaką mnie stać. Inaczej hrabia, ten wyraźnie postanowił zdobyć dla siebie nie bardzo do niego pasującą, bo wyższą o głowę i bezsprzecznie najefektowniejszą na statku dziewczynę. Nie powiedział mi tego, oczywiście, ale my mężczyźni też znamy się trochę na sobie; kobiety nie mają monopolu na dociekliwość i spostrzegawczość. Sądziłem zrazu, że zalotnik liczy na swój hrabiowski tytuł, nie miałem jednak racji. Zbliżenie nastąpiło na parkiecie, w czasie trwania kolejnego wieczorku.

Tańczyłem właśnie z moją świeżo poznaną i jedyną do końca podróży partnerką - zaliczam zwykle jedną dziewczynę podczas rejsu, takie mam zasady - gdy nagle poczułem się dziwnie nieswojo. Miałem wrażenie podobne do tego, jakie odczuwałem podczas prześwietlenia rentgenowskiego, lecz tym razem źródło mojego niepokoju było bardziej uchwytnie i jakby - użyję tego słowa, choć mizernie oddaje to co czułem - bardziej gorące. Miejsce, z którego dochodziły niepokojące fluidy, okazało się łatwe do odkrycia. Spojrzałem oczywiście w tym kierunku i poczułem jednocześnie, że moje zaniepokojenie słabnie. Zobaczyłem hrabiego Edwarda, nie patrzył już na mnie, ale zauważyłem, że zmienił okulary na inne, jakby jaśniejsze. Popatrzyłem w kierunku, w którym - zwrócona była jego głowa, tańczyła tam miss Agnieszka - długonoga blondynka, o której wspomniałem.

Zbagatelizowałem tę całą sprawę i na pewien czas poświęciłem całą moją uwagę i czułość towarzyszącej mi kobiecie, gdy nagle dziwne uczucie ogarnęło mnie ponownie. Spojrzałem znów na hrabiego a potem odszukałem w tłumie interesującą go dziewczynę.

Od razu dostrzegłem pewną prawidłowość. Trudne do opisanego, niepokojące wrażenie ogarniało mnie w chwili, gdy tańcząc przecinaliśmy wraz z partnerką linię łączącą hrabiego i blondynkę. Łudziłem się, że zaczynam rozumieć. Towarzysząca mi dziewczyna pozbawiona została gwałtownie mojej uwagi, natomiast drobne czułości jakimi nie przestawałem jej obdarzać, stały się bardzo mechaniczne. Mam nadzieję, że tego nie zauważyła.

Tymczasem obserwowałem, jak blondynka przyciągana tajemniczą siłą zbliżała się do siedzącego spokojnie hrabiego. Jednak do dziś nie wiem, kiedy pozbyła się swego tancerza i w jaki sposób poznała Edwarda? Cóż, przez chwilę zmysły wzięły górę nad ciekawością. Mechaniczność poszła w kąć i przegapiłem ważny moment.

Gdy po chwili odszukałem wzrokiem Agnieszkę, była już przy nim. Rozmawiali. Hrabia Edward triumfował, zauważyłem, że ponownie założył najciemniejsze ze swoich szkieł. Nieodczuwałem teraz, nawet gdy na mnie patrzył, żadnych sensacji.

Po tej zagadkowej scenie na dzień, dwa straciłem hrabiego z oczu. Silne wrażenie wywołane niesamowitym przyciągnięciem przez niego dziewczyny, osłabło; a czasem sztuczka wydała mi się efektem niewinnych i dziedzicznych, jak sądziłem, zdolności hipnotyzerskich. Dziwię się teraz, jak mogłem, czując na sobie niezwykle działanie wzroku rzekomego hipnotyzera, tak dalece bagatelizować własne odkrycie.

Być może usprawiedliwia mnie fakt, że wolny czas poświęcałem całkowicie mojej brunetce, która okazała się istotą czarującą w stopniu większym niż przypuszczałem. Spędzaliśmy ze sobą większość nocy i wszystkie wieczory, włączyliśmy się po pokładach nasłuchując dochodzących z sali tanecznej dźwięków, podziwialiśmy zachody słońca. Zapadał zmrok a my liczyliśmy gwiazdy i wpatrywaliśmy się w fosforyzującą smugę, którą zostawiał za sobą nasz motorowiec statecznie sunący na zachód.

Podczas jednej z wieczornych eskapad zobaczyłem trochę z boku, na niższym pokładzie, hrabiego Edwarda całującego się z miss Agnieszką. Chciałem właśnie pokazać ich podziwiającej nie opodal gwiazdy czarnulce, ale znowu dane mi było być świadkiem zdarzenia tyleż groźnego, co tajemniczego.

Po którymś z kolejnych pocałunków Edward i Agnieszka oderwali się na chwilę od siebie. On położył ręce na jej biodrach, ona trzymała swoje na jego ramionach. Oddychali szybciej niż normalnie i widać było, że dobrze im ze sobą. Szczególnie kobieta. Patrzyła na niego z radosną czułością, ale i jego twarz, mimo przesłaniających oczy ciemnych szkieł, podświetlona była od wewnątrz ognikiem pieśczołliwości.

Po chwili kobieta powoli pogładziła go po policzku, a potem nie mniej delikatnie usiłowała swoje długie, doskonale utrzymane palce - zauważyłem przy stole, że ma piękne dłonie - wsunąć pod okulary hrabiego i pogładzić go po ukrytych przed nami wszystkimi powiekami. Jednocześnie drugą ręką dotknęła oprawki szkieł, chcąc najwidoczniej zdjąć okulary "swojemu Edwardowi", i wtedy nieoczekiwanie hrabia krzyknął coś i gwałtownie wywinął rękami odtrącając miss Agnieszkę. Ona też krzyknęła, jakby z bólu, cofnęła szybko rękę, którą zdążyła dotknąć jego oczu, zaczęła wymachiwać nią w powietrzu, dmuchać na dłoń tak jak zwykli to czynić ludzie oparzeni. Potem patrząc ze zdumieniem na własne dłonie, wykrzykując coś przez łzy, uciekła potykając się do kajuty.

Hrabia znieruchomiał, a po chwili zrezygnowanym ruchem sięgnął do kieszeni. Zatrzymałem oddech; moje serce biło tak mocno, że wraz z pulsem to rozjaśniały się, to ciemniały mi przed oczami światła pokładowe. On tymczasem wyciągnął parę skórzanych rękawiczek, założył je, a potem wsunął końce dłoni pod okulary i przetaił oczy. Mimo że w jego ruchach czuło się przedziwne znużenie, nie były to ruchy powolne. Potem dość gwałtownie zszarpnął rękawiczki i rzucił je z niesmakiem do wody. W chwili gdy się zanurzały, usłyszałem cichy syk, a przedtem jeszcze, gdy leciały w powietrzu, miałem wrażenie jakby wetknięto w nie żarzące się papierosy. Zaraz potem dotarł do mnie zapach podobny do tego jaki czuje się przy opalaniu drobiu i zobaczyłem jak hrabia znikając dmucha delikatnie na swoje palce.

Z drugiej strony pokładu zniecierpliwiona czarnulka wzywała mnie, bym czym prędzej przybiegł obejrzeć jakiś niezwykle ciekawy, jej zdaniem, gwiazdozbiór. Nazajutrz rano zobaczyłem przy śniadaniu hrabiego i miss Agnieszkę. Siedzieli obok siebie i chociaż mówili niewiele, nie wyglądali na zagniewanych. Mężczyzna usługiwał kobiecie gorliwiej niż zwykle bowiem prawa jej dłoń, owinięta wdzięcznie ale solidnie grubym bandażem, była całkowicie niesprawna.

Od tej pory nie mogłem przestać myśleć o hrabim Edwardzie i o jego zdumiewających zdolnościach. Nie potrafiłem się zresztą zdecydować, czy słowo zdolności jest właściwe i czy kalectwo nie byłoby tu

określeniem bardziej odpowiednim.

Tak czy owak, na mój stosunek do hrabiego składały się już nie tylko chłodna grzeczność współpasażera, nadskakująca grzeczność handlowca - stać mnie czasem na autoironię - i ciekawość człowieka, który coś odkrył, a pragnie wiedzieć jeszcze więcej. Od chwili spostrzeżenia na pokładzie, nie mogłem otrząsnąć się z pewnego zafascynowania osobą hrabiego i jednocześnie zacząłem odczuwać najzupełniej realny lęk przed niesamowitym arystokratą.

Nie mogłem oczywiście zrezygnować z prób rozwikłania tajemnicy, ciekawość była zbyt silna. Jednocześnie nie wchodziła zupełnie w grę możliwość zaczepienia hrabiego i zapytania go wprost; za bardzo się już bałem. Tak jak poprzednio, wieczorami włóczyłem się z brunetką po pokładach, tańczyliśmy czasem na parkiecie. Jednak myśl o zagadkowym pasażerze nie dawała mi spokoju. Pociągał mnie tak jak młody lód pociąga chłopaka; szczeniak drży, że cienka tafla załamie się pod nim, a jednak czuje, że musi po niej przejść. Przeraza mnie myśl, że spójrzę być może w nie osłonięte niczym oczy hrabiego, jednocześnie nie mogłem się powstrzymać - tak manewrowałem, by przebywać zawsze - czy to sam, czy z moją czarnulką - tam gdzie i on się znajdował.

W końcu udało się. czarnulka zawieruszyła się w którejś z toalet, a miss Agnieszka przebywała z hrabią Edwardem w jego apartamencie. Ostrożnie zbliżyłem się do drzwi kajuty. Były uchylone. Usłyszałem dochodzące z wewnątrz podniesione głosy, rozejrzałem się po korytarzu i przyłożyłem oczy do szpary.

Kobieta wykrzykiwała coś - z podniecenia nie mogłem nic usłyszeć - i wygrażała hrabiemu pięściami. On, przypuszczam, nie mniej wściekły niż ona, stał oparty o stół i przypatrywał się jej z założonymi rękoma. Widziałem tył jego głowy, plecy i łokcie. Kobieta stała do niego przodem.

Nagle powiedziała coś, coś tak niewłaściwego, że urwała sama i spojrzała trwożnie na hrabiego; zagryzła przy tym dolną wargę, a potem szybko podniosła dłonie do ust. Hrabia poderwał się gwałtownie. On też podniósł rękę do twarzy, ale kiedy ją opuścił, zobaczyłem, że trzyma w niej okulary. Patrzył teraz na nią gołymi oczami.

Kobieta cofnęła się, a spojrzenie jej było coraz bardziej przerażone. Traciła przytomność. Padając zdołała jeszcze w ostatniej chwili zasłonić się ręką. Osłabiło to przynajmniej po części okropne wrażenie, jakie wywołała jej kurczowo wykrzywiona twarz.

Stałem przy drzwiach i nie mogłem ani uciec, ani wejść do kajuty; w ogóle niezdolny byłem do uczynienia jakiegokolwiek ruchu, i wtedy stała się rzecz najstraszniejsza. Hrabia założył okulary i nieoczekiwanie odwrócił się ku drzwiom. Dostrzegł mnie.

Ogarnęło mnie przerażenie. Nie pamiętam, czy było mi wtedy zimno czy gorąco, czy krew odpłynęła mi do nóg, czy uderzyła do głowy... nic nie wiem. Widziałem tylko hrabiego i żegnając się z życiem przeklinałem swoją przekłątą ciekawość, i rzeczywiście hrabia sięgnął do okularów.

Masz coś chciał - pomyślałem, ale on opanował się, cofnął rękę, i nagle nieoczekiwanie, pogroził mi palcem. Tak jest, najzwyczajniej w świecie, i powiedział coś, bodaj czy nie "a ładnie tak podglądać". Ale nie mam pewności, czy powiedział właśnie to. Uciekałem jak oszalały przez korytarze, pokłady, aż wpadłem na moją czarnulkę.

Nazajutrz przy śniadaniu, nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o porażeniu słonecznym miss Agnieszki. Wszyscy przyrzekali sobie, że będą ostrożniejsi podczas opalania. Wszyscy bardzo żalowali, że teraz, kiedy taka ładna pogoda, ślicznie ciepła woda, kiedy wszyscy dobrze się już znają, a i orkiestra gra nareszcie tak, że można przy niej tańczyć, a więc teraz, niezrównana miss Agnieszka musi leżeć w łóżku, obandażowana, na diecie i nie wolno jej wstawać do końca rejsu.

Dałem spokój hrabiemu. Miałem już dość po tym uczuciu straszliwego strachu, które ogarnęło mnie tam, pod drzwiami jego kajuty. Miałem dość na dłuższy czas.

Skończył się rejs. Zmęczeni wielodniowymi i łapczywymi szaleństwami, rozstaliśmy się bez żalu z czarnulką mówiąc sobie nawzajem do widzenia. Oczywiście nic z tego widzenia nie będzie. Już gdy przybijaliśmy wymachiwała zapalczywie chusteczką jakiemuś bysiowi, który stał na nadbrzeżu, wodząc po naszym statku stęsknionym spojrzeniem.

Tymczasem ja też znalazłem się na brzegu i ścisnąłem rękę - nawet serdecznie, bo dokuczył mi brak porządnej roboty - przedstawicielowi współpracującej z nami firmy i wtedy... zobaczyłem hrabiego Edwarda jak najspokojniej w świecie schodził po trampie, trzymając pod rękę miss Agnieszkę. Była blada, stąpała niezbyt pewnie ale, co mnie zdziwiło najbardziej, pozwoliła prowadzić się hrabiemu, z zupełną ufnością.

Nie rozumiałem nic a nic, podobnie chyba nie mógł niczego zrozumieć witający mnie handlowiec. Trzymałem przeszło minutę jego rękę i potrzasałem nią namiętnie. Jednocześnie przez cały ten czas nie powiedziałem ani słowa i z niezbyt mądrą miną gapiłem się na parę powoli schodzącą po trapie.

I na tym mógłbym skończyć moją opowieść o hrabim Edwardzie, gdyby nie to, że spotkałem go jeszcze raz po kilku latach, już zupełnie przypadkiem, w Central Park w Nowym Jorku...

Był późny wieczór, wracałem szybko do hotelu z narady akcjonariuszy, gdy nagle zobaczyłem młodego, niskiego mężczyznę z białą laską w ręku i ciemnych szklach na oczach. Jego postać kogoś mi przypominała. Czyżby oślepl, zapytałem sam siebie, przyłapując się jednocześnie z pewnym zdziwieniem na współczuciu.

- Halo - krzyknąłem, podbiegłem parę kroków i stanąłem przy nim. Odwrócił głowę i znanym mi już ruchem sięgnął do okularów.

- Nie, nie! - zawołałem, a on opuścił rękę.

- To pan - powiedział - poznaję pana.

- Co pan tu robi? Dlaczego? - nie zwracałem uwagi na jego uspokajające gesty - czy pan udaje, czy jest pan niewidomym naprawdę? Na czym polega działanie pańskiego wzroku? Co pan zrobił wtedy miss Agnieszce? - pytałem i pytałem dziwnie ośmielony.

Na wspomnienie o Agnieszce uśmiechnął się i uniósł do góry prawe rękę. Jeden z palców połyskiwał małą złotą obrączką - nie nosił przedtem tego klejnotu.

- A oczy, a biała laska, a... - pytałem, bo chciałem wiedzieć wszystko. Uciszył mnie ruchem dłoni, sięgnął do kieszeni i wydobyl mały biały kartonik. Wręczył mi go.

- Jestem naukowcem. Biochemia, lasery, pan rozumie? - uśmiechnął się - oczywiście, że pokojowe wykorzystanie; gdyby chodziło o broń dysponowałbym milionami. To z oczami to tylko niewinna sztuczka, choć fakt, że chwilami niebezpieczna.

Słuchałem i nie przerywałem mu, ale wyczuł, że coś mi się nie podoba w jego historii.

- Tam w kajucie rzeczywiście nie powinienem. Ale wściekłem się. Jak mogła tak się zachować? Pan słyszał?

- Nie.

- Kpiła z mojego wzrostu, zresztą kochała mnie już wtedy. Wybaczyliśmy sobie nawzajem.

- A biała laska?

- Widzi pan - mimo ciemnych okularów zauważyłem, że jest zakłopotany - tu w tym parku grasuje niebezpieczny bandyta, napada na starsze osoby, bezbronne dzieci, może połakomi się na mizernego, ślepego młodzieńca. Policja obiecała wysoką nagrodę temu kto pomoże go ująć. A mnie tak potrzeba pieniędzy do dalszych badań - znowu uśmiechnął się, promienniejsz niż poprzednio - Agnieszka spodziewa się dziecka.

Powiedział jeszcze to i owo, o okularach, o rodzinie; potem odprowadził mnie do końca parku. Pożegnaliśmy się a on zawrócił - żywa przynęta podrzucona smokowi, nadziany siarką baranek... Mam

słowiańskich przodków, stąd ta ostatnia metafora.

Przypomniało mi się jeszcze coś i gdy już zniknął za zakrętem alejki zawołałem za nim.

- Ale hrabią jest pan naprawdę?

- Niestety, nie! - odchrząknął stłumionym przez zarośla głosem.

Zgadza się. Na białym kartoniku, wizytówce, którą mi wręczył, widnieją najprzeróżniejsze tytuły naukowe, ale najważniejszego, hrabiowskiego, faktycznie za grosz nie uświadczysz.

Maciej Parowski - EKSPERTYZA

Wszystko wskazywało na to, że jadą expresem. Krajobraz za szybą odwijał się w tył z cichym turkotem kół. Z każdym mijanym słupem i drzewem miał Emil wrażenie, że coraz bliższy jest przypomnienia sobie miejsca i celu podróży.

Naprzeciwko siedziała długonoga dziewczyna w krótkiej spódniczce. Robiła dużo, ile tylko mogła, aby te dwa efekty sumowały się, nie odejmowały. Obok miał Emil faceta o podstarzałej twarzy złośliwego dziecka, na którego sztuczka nie poznawali się rówieśnicy i rodzice. Facet postanowił toczyć zajmującą rozmowę, więc szybko doszło do przygód z dziewczynami.

Z powodu długonogiej siedzącej naprzeciwko mówił cichym konfidencjonalnym szeptem, prawie do ucha. Pomagał zresztą słowom, szkicując w powietrzu kształty i sytuacje szybkimi ruchami rąk. Dłonie miał niezwykle małe i delikatne, palce króciutkie - kwalifikowało się to i do współczucia, i do wyśmiania. Pewnie dlatego jego historie bardzo wyczynowe i drapieżne wyglądały na łatanie kompleksów.

Wsluchany w pornograficzny szept, ze wzrokiem rozbieganym między oknem a kolanami, czuł Emil nieokreśloną wdzięczność za to, że nikt nie zmusza go do mówienia. Wystarczyło patrzeć i słuchać. Było to wygodne i bezpieczne, bowiem gdzieś na samym dnie pamięci Emila błyskało czerwone światełko, i monotony głos ostrzegał cicho:....Jest tajna, należy milczeć, sprawa jest tajna...” Pociąg zatrzymał się przy długim szarym peronie. Cała stacja była obudowana, pod dach docierało niewiele światła, a oprócz tego kotłowały się dookoła sadze z parowozów. Gwałtowne przejście od słonecznego krajobrazu do zadymionej szarości sprawiło, że Emil widział niewiele. Machinalnie wysiadł i w podziemnym przejściu pod torami zadarł głowę do góry dając się przy tym oślepić jedynej wiszącej u sufitu żarówce. Wilgotne podziemie pełne głuchego stukotu kół i odgłosu jego własnych kroków. Emil nie czuł się tutaj bezpiecznie. Z ulgą wybiegł po schodach, a światło dnia znowu go oślepiło. Potem zobaczył ich taksówkę, ale jeszcze wcześniej nim zobaczył, uświadomił sobie swoją pewność, że tamci będą czekali.

Drzwiczki zatrzasnęły się za nim i taksówka natychmiast ruszyła. Było coś podniecającego w fakcie, że ani oni nic nie mówią, ani on o nic nie pyta. Przyglądając się samemu sobie jakby z zewnątrz, widział, że reaguje znakomicie i że dotychczas nie popełnił ani jednego błędu. Problem w tym, że nie dziwiły go rzeczy, które powinny dziwić. Nie miał bagażu, nie miał pojęcia dokąd jedzie. Było to i dziwne i oczywiste.

Spróbował spojrzeć przez przednią szybę i przypadkiem zatrzymał wzrok na kierownicy. Małe dłonie i drobne palce szofera wydały mu się znajome, choć kierownica zdecydowanie dodawała im powagi. Wchodzili właśnie w łagodny zakręt, kierowca zwrócił na chwilę ku Emilowi podstarzałą twarz dziecka, które lubi podstawiać nogi kolegom i podkładać dziewczynkom pineski. Podejrzenie, że pomyśleli o wszystkim i pilnowali go już wcześniej zamieniło się w pewność, i ta pewność na zasadzie dziwnej telepatii uruchomiła wymowność kierowcy.

- Wie pan - ciągnął kierowca historyjkę, której początku z pociągu Emil już nie pamiętał - po tym czwartym sztosie i ona i ja mieliśmy dość na pewien czas, więc otworzyłem dla wzmocnienia puszkę

sardynek. Sardynki w środku nocy, dobre nie?!... Wszystko rozgrywało się jak według szczegółowo zaplanowanego scenariusza, czytanego kiedyś w całości, a teraz przypominanego sobie kawałkami.

Taksówka stanęła w lesie, Emil wysiadł i wóz natychmiast odjechał. Czując pod stopami igliwie, a na twarzy łagodne słońce przesłonięte sitem pni i gałęzi, odnalazł w swej pamięci kolejny szczegół. Rzecz dotyczyła jakiejś ekspertyzy.

Mężczyzna w czarnym mundurze, który stał naprzeciwko Emila i potrząsał jego dłonią, mówił coś na ten temat. Emil potakiwał nie bardzo słysząc słowa; ma wydać opinię o jakimś stanowisku czy urządzeniu i stwierdzić jego użyteczność. Szczegółowa nazwa nie padała, bowiem sprawa była tajna. Emil nie pytał o dokumentację ani o narzędzia i aparaturę pomiarową. Odwzajemniając uścisk czuł, że dłoń mężczyzny jest delikatna i drobna. Prawie jak kikut. Ta dłoń skądś już znajoma zdawała się stworzona do obsługi mechanizmów. Dopiero w połączeniu z ruchomymi kombinacjami stali i plastiku mogła być skuteczna. Nawet groźna.

Jakby uprzedzając pytanie Emila, mężczyzna wyjaśnił, że na razie nie zaczną doświadczeń i że należy czekać do zmroku. Emil dopowiedział sam sobie, że urządzenie, które ma sprawdzić, pracuje wyłącznie nocą. Przysiedli na trawie. Przeceniłem swoje siły - powiedział ni stąd ni zowąd mężczyzna - po tym czwartym sztosie i po sardynkach chciało mi się tylko spać, zresztą ona też miała dosyć. W końcu czwórka to nie jest zły wynik - dorzucił tonem usprawiedliwienia - a rano zaczęliśmy od początku.

- Jasne - przytaknął Emil, dodając, że sam chciałby móc szcycić się takim rezultatem. Potem, by zmienić temat, postanowił pochwalić las. Wspaniała imitacja - powiedział - doskonałe plastiki, zieleń, zapachy igliwia i głosy ptaków także. Nie wiem, czy wolno panu o tym mówić, ale nie sądzę, by głosy były z taśmy. Oddawanie dźwięków jest fantastyczne, pasmo szerokie, iluzja przestrzenności absolutna. Musi być jakaś specjalna technika zapisu i odtwarzania... Mężczyzna zachnął się, więc pochwała syntetycznego lasu została przerwana. Emil przyjrzał się rozmówcy dokładnie i złośliwe ogniki na dnie oczu tamtego przekonały go, że się myli. Las i jego dźwięki były prawdziwe.

Słońce przeszło już przez fazę intensywnej czerwieni i teraz szarzało wokół coraz szybciej. Mężczyzna nie pytany powiedział, że niedługo będą mogli zacząć. Poleciał Emilowi stanąć kilkanaście kroków dalej pod wysoką sosną, a sam wszedł do płytkiego wykopu i wziął do ręki podłużny przedmiot w pokrowcu. Emil spytał jeszcze, czy nie powinno być na odwrót, że może on w wykopie a tamten pod drzewem? Mężczyzna potrząsnął przecząco głową, zaczął odpinać sprzączki pokrowca, więc Emil odliczył skrupulatnie kroki i stanął przy sośnie.

Było już całkiem ciemno i ten zmrok przyniósł falę nieoczekiwanych wątpliwości. Nie muszę nawet oglądać urządzenia? - rzucił pytaniem w stronę wykopu - nie będziemy spisywać wyniku ekspertyzy?... W porządku - odkrzyknął mężczyzna - zaraz kończę, wszystko musi się udać! Wątpliwości go opadły.

Na chwilę pokazał się księżyc, a od strony mężczyzny w czarnym mundurze dotarło do uszu Emila szcęknięcie podobne do tego, jakie wydają kawałki dobrze naoliwionego metalu uderzając o siebie. Z wykopu patrzył w jego stronę, opalizując lekko, podłużny zarys lufy. Księżyc znowu zniknął za chmurami i Emil nieruchomo oczekiwał uderzenia myśląc przy tym, że na pewno zobaczy błysk, choć być może nie usłyszy już huku.

Maciej Parowski - KRACH W BRANŻY WEKÓW

Gdy ogłoszono, że sztuczne głowy są lepsze od prawdziwych - wielu zapragnęło skorzystać z dobrodziejstw amputacji. Na zdjęciach zamieszczonych w ówczesnych gazetach, które mam tu przed sobą, widać kolejki przed punktami przeszczepów. Podpisy pod zdjęciami mówią o ogólnym entuzjazmie.

Końcem dysponował szerokim asortymentem głów. Mistrzowie chirurgicznej dratwy i skalpela pracowali na trzy zmiany. Zoperowani wychodzili na ulicę, kręcili gałkami w uszach i nabijali się ze swych głów naturalnych zamkniętych w ogromnych szklanych wekach. Czasem słoiki pękały, głowy toczyły się wtedy po chodnikach w smrodzie formaliny. Śmiech, brzęk szkła, nawoływania... składało się to na psychozę powszechną i pociągającą.

Jednostki pozbawione polotu i odwagi ograniczały się do prostej mistyfikacji. Śrubki w policzkach, czaszka na zero, skóra pociągnięta metalicznym lakierem. Na skroniach tatuaż przypominający do złudzenia nity oraz spojenia aluminiowych blach. Aby uprawdopodobnić maskaradę, oszuści wychodzili na ulicę również ze słoikami w dłoniach. Tylko oni i ich najbliżsi wiedzieli, że w słoikach tkwią wykonane z ręcznej atrapy.

Był to, ogólnie rzecz biorąc, czas prosperity dla Koncernu Główny, dla producentów sprzętu medycznego. Wytwórcy słoików i formaliny także nie narzekali. Spece od przeszczepów zarabiali miliony.

Zdaje się, że pierwsi wysunęli zastrzeżenia aktorzy. Aktorzy, jak wiadomo, to megalomani i narcyz! zmuszający się do zachwytów przed lustrem. Czy może istnieć coś takiego, jak zazdrość ciała, zazdrość całej osobowości o powodzenie sztucznej głowy?! Aktorzy w każdym razie nie formułowali tego wprost. Złożyli za to grupowe zażalenie, że głowy często zawodzą, że źle uczą się roli (absurd!), że podczas wykonywania "miłości na planie", konkretnie pocałunku, nie dostarczają tej przyjemności co głowy zwyczajne.

Bzdura powiadam, bzdura i jeszcze raz bzdura! - identycznie zresztą brzmiała pierwsza odpowiedź Koncernu. Wtedy aktorzy demonstracyjnie sięgnęli do weków i przywrócili naturalne głowy swym torsom. Rozszedł się fetor, który w najłagodniejszych porównaniach zestawiono ze smrodem starego marynowanego śledzia. Była to rzecz jasna, propozycja zapachowa nie do przyjęcia dla publiczności teatrów i super-kin węchowych. Aktorzy z konieczności powrócili do głów syntetycznych, lecz pierwszy krok na drodze do zniszczenia Koncernu został zrobiony.

Aktorzy, a za nimi reszta smakoszy seksualnych, poczęli domagać się, by przywrócić pocałunkom "dawną słodycz". Tak to formułowały gazety w demagogicznych wstępniakach.

Pod naciskiem zbajerowanej opinii publicznej farmaceutyczna filia Koncernu Główny rzuciła na rynek sex-landryny. Upagniona "słodycz" wróciła i nowy produkt szedł jak woda, do momentu, w którym wybuchła następna błąka. Otóż prasa podała, że sex-landryny gryzą się z alkoholem.

Reszta rozegrała się już bardzo szybko. Specjalną nalewkę do sex-landryn, wypuszczoną przez Koncern, załatwiono twierdzeniem, że owa nie służy na potencję. O kostkach syntetycznego lodu, które po dodaniu do nalewki niwelowały ujemny efekt potencjalny, mówiono wkrótce, że szkodzą wątrobie.

Przeszczepów wykonywano teraz mniej, w końcu liczba zabiegów zmalała do zera. Ogromne wydatki na badania nad sex-landrynami, nalewką, nad lodem położyły Koncern Główny na obie łopatki.

Wtedy nieoczekiwanie, podupadająca dotychczas firma dezodorantów, wypuściła specyfik, który jakoby dawał sobie radę ze śledziowym fetorem marynowanych głów. Znowu zaczęło się od aktorów; specyfik rzeczywiście od biedy neutralizował smród; a za aktorami poszła reszta. Od tego momentu gazety notują triumfalny powrót głów naturalnych, zaczynają się niesmaczne sceny publicznego niszczenia nowych, zupełnie jeszcze nie używanych głów syntetycznych, tłuczenie weków, złośliwe bicie szyb w biurówcu Koncernu. Nad wszystkim unosił się zduszony dezodorantami smród formaliny. Producenci weków ogłosili upadłość i mieli się już nigdy nie podnieść.

Zacząły prosperować nowe firmy. Producenci żyletek, wytwórnice pasty do zębów, fabryki kosmetyków. Głowy naturalne to nie to co syntetyczna, im nie wystarczy konserwacja raz na kwartał.

Mój Koncern splajtował prawie zupełnie. Pozostała zeń tylko jedna, mała filia farmaceutyczna. Tylko odmiana sex-landryn nadziewanych masą z dodatkiem nalewki utrzymała się na rynku. Okazało się, że działa także na głowy zwyczajne.

Myślę, a jestem nie używaną w ogóle głową syntetyczną wyrzuconą na śmietnisko papierzysk przez niewydarzonego filozofa, myślę więc, że całą tę historię namotał sprytnie koncern dezodorantów, a aktorzy byli przekupieni. Nie mam zresztą do nikogo żalu, tylko dziwi mnie, że stare i nowe gazety, których pełno tu wokół, przebiegle nie poruszają tego tematu.

Maciej Parowski - MUCHY

Powiadają, że przypadek jest ojcem wszystkiego i mówią słusznie, choć szkoda, że nic nie dodają o matce. Sprawa Eldona także zaczęła się przypadkiem, wśród rozbłysków ognia i w kłębach dymu snujących się nad bieżnią Centralnego Motodromu. Narodzinom Szyfru Eldona towarzyszyły w dodatku ogłuszające gwizdy gawiedzi niezadowolonej z klęski faworyta. Nie byłem przy tym osobiście, ale opowiadano, że publiczność chciała zlinczować nieszczęsnego kierowcę. Podobno służby ratownicze zdołały go wyciągnąć z potrzaskanego pojazdu tylko dzięki stanowczej postawie ochrony, a ryki zawiedzionych były tak donośne, iż zagłuszyły całkowicie dźwięki syren karet pogotowia.

Poparzony, poobijany, cały w szwach, przeszczepach, z ciałem ukrytym pod płataniną rurek, bandaży i gipsowych plastrów, wylądował Eldon w szpitalu poprzysięgając, gdy tylko wróciła mu świadomość, już nigdy nie wracać za koło. Pierwsze w karierze przykre doświadczenie wpoilo mu prawdy, które wcześniej czy później przyswajają sobie każdy startujący w wyścigach. Otóż, nie warto powierzać swego losu zabezpieczeniom tak niepewnym jak pasy, niepalny skafander, i cienka maska wozu. W wypadku zderzenia pasy tną wspaniale skórę i ciało, łamiąc żebra i obojczyki, skafander fajczy się wydzielając w dodatku trujące gazy, a maska wozu rozpada się na tysiące drobin, z których tylko część leci w powietrze i rozsypuje się po powierzchni toru. Reszta odprysków więźnie głęboko w ciele kierowcy. Nie należy liczyć na wierność czy przywiązanie tak kapryśnego żywiołu jak publiczność motorowych sportów, wpadająca we wściekłość przy najdrobniejszym niepowodzeniu w totalizatorowej grze - oto drugie, równie ważne odkrycie Eldona.

Eldon leżał więc na szpitalnym łóżku, czując jak powoli goją mu się rany, jak rajcują pchły pod gipsem i jak przybywa oleju w jego głowie. Wtedy właśnie - tak podają wszystkie późniejsze wydania pamiętników Eldona - wtedy właśnie, unieruchomiony, z oczami skierowanymi prawie nieodmiennie w stronę sufitu, poza rzadkimi, okupionymi bólem i wstydem, momentami wypróżnień! zmian pościeli, wtedy właśnie zwrócił Eldon uwagę na muchy.

Te wykonywały swój zwykły, odwieczny taniec na wysokości szpitalnej lampy. Nagłe skręty, zwroty, nawroty, rysowanie przez każdą pojedynczą muchę przestrzennych krzywych, tak bardzo przypominających grafik ruchów Browna, trwało całymi godzinami. Pozornie nic ciekawego - patrzemy na to od lat bycząc się w łóżku z rana, gdy nie chcemy wstawać; oglądamy to popołudniami podczas sjesty tak bardzo sprzyjającej trawieniu, spoczywając leniwie na kanapie z oczami skierowanymi w stronę żyrandola. Patrzemy: muchy - jedna, dwie, trzy - pracowicie krążą niemal objając się o siebie i lampę. My patrzemy - i nic. To normalne. Bowiem żeby zrozumieć jego odkrycie, trzeba wprzód wczuć się dobrze w sytuację Eldona.

Pomyślmy o kimś takim jak on - o człowieku czynu, kamikadze toru, ulubieńcu tłumów i kobiet - wmurowanym nagle, nie na godziny i dni, ale na długie tygodnie w białą powierzchnię łóżka. Pomyślmy o jego zbolałym ciele, do którego sztuka medyczna podłączyła dziesiątki rurek, przewodów, sond, zaworów i pojemników przez które, do których, z których, coś nieustannie się wsącza, przesącza, kapie i przecieka. Pomyślmy o opiekującym się Eldonem smętnym homoseksualiście-pielęgniarką, młodzieńcu o bladym

pokrytym trądzikiem obliczu, opisanym potem przez kierowcę wielokrotnie. Wyobraźmy sobie odrażającą pielęgniarkę, zmienniczkę pedała, parodię kobiety, którą dawniejsza praca w leprozorium pozbawiła nosa. Obecność tej żalostnej pary - owoc zemsty dyrektora szpitala, zacieklego gracza, który miał nieszczęście źle obstawić ostatnią, tragiczną jazdę - oraz dziesiątki innych podobnych szykan umilały Eldonowi życie do granic obłądu.

W dni parzyste stawała przy łóżku rozbitka złowróżebna maskara ze strzykawką w dłoni i plastrem pośrodku twarzy, przypominając Eldonowi o panicznej obawie co z niego samego zostało pod bandażami. W dni nieparzyste zjawiał się pielęgniarz i ośmielony bezbronnością rannego pozwalał sobie podczas zmian pościeli na bezczelne pieszczoty. Do tego dochodzą komplikacje mechanizmów psychicznych, które, mimo odruchów obrzydzenia, każą Eldonowi cieszyć się z zalotów, ba, nawet oczekiwać na nie. Pamiętniki Eldona pełne są pod tym względem zawstydzającej szczerości. Jeśli jestem jeszcze ponętny, rozumował, to znaczy wypadek nie zdewastował mnie doszczętnie... Tak więc z rana, zamiast śmiechu kobiety i ciepłego ciężaru damskiego uda lub ramienia, do czego przywykł, budził Eldona chłód termometru wtykanego pod lewe kolano - obie pachy i prawe kolano skrywały bandaże bądź gipsowa osłona. Wieczorem czekała lewatywa. Obiadowi w płynie pochłanianemu przez rurkę, w bolesnych skurczach przełyku poparzonego zjadliwymi gazami, towarzyszyła lektura rozwlekłych, pozbawionych stylu i formy listów z obelgami od zawiedzionych kibiców, a także krótkich soczystych depez. Pielęgniarka odczytywała tę makulaturę monotennie i z oczywistą w przypadku jej defektu, nosową tonacją. Męski-niemęski kolega pielęgniarki był dla odmiany lektorem zapalczywym, czytał Eldonową korespondencję przekręcając wyrazy, ksztusząc się i pryskając wokół nadmiarem śliny.

Skupić się w tej sytuacji na muchach, liczyć muchy, analizować trajektorie muszego lotu, obliczać krzywizny, wyciągać wnioski, notować prawidłowości, podglądać muchy, podsłuchiwać muchy, rozumieć muchy - była to dla Eldona jedyna szansa, jedyny psychiczny wybieg, żeby nie zwariować. Po prostu - ostatnia deska ratunku.

Pamiętajmy, że Eldon nie mógł notować, że nie miał najmniejszej możliwości przeprowadzania jakichś skomplikowanych obliczeń. Los nie oddał do jego dyspozycji nie tylko mini-komputera czy kalkulatora, ale także suwaka - Eldon nie dysponował nawet liczydłami. Pozostawały oczy błyszczące między bandażami oraz pamięć, spostrzegawczość i refleks - sprawności nabyte podczas wielu wyścigów, których to sprawności nie odebrał Eldonowi, ani nie przekreślał jeden niefortunny wypadek.

Eldon ponadto, jako kierowca, był specjalistą od ruchu. Krzywa kreślona przez muchę podczas jej lotu wokół lampy i tor wyścigowego pojazdu, to, rzecz jasna, nie to samo. Ale znawstwo w jednej z tych dziedzin daje szansę na dostrzeżenie prawidłowości w drugiej. Efekt Eldona, sprawa muszego szyfru, który przecież nie jemu udało się ostatecznie przełamać, mogłaby do dziś pozostać nieodkryta, gdyby na miejscu kierowcy leżał zwykły klient z drogowego wypadku lub niezręczny dekarz czy kominiarz. Z drugiej strony, obecność, powiedzmy, lotnika na Eldonowym łożu boleści mogłaby ruszyć całą sprawę do przodu szybciej i bardziej składnie.

A przecież dochodziła tu jeszcze jedna sprawa, która wyszła na jaw dopiero potem. Muchy po prostu wybrały Eldona... Jego i nikogo więcej. Przypadek, jak powiedziałem, jest ojcem wszystkiego.

W pierwszej wersji pamiętników nie poświęca jeszcze Eldon sprawie much zbyt dużo miejsca, koncentruje się raczej na smaczkach seksualnych. Opisy tortur psychicznych i fizycznych w wykonaniu niesamowitej pary zajmują wiele stron; równie wiele zadrukowanego papieru poświęca Eldon relacjom

o drobnych zwycięstwach swego charakteru i o setkach pracowitych ćwiczeń przywracających mu dawną sprawność. Szczegóły muszej terapii poruszone są w książce zaledwie marginesowo - Eldon zbagatelizował w pierwszej chwili swoje odkrycie - problem zajmuje w pamiętnikach nie więcej jak cztery, pięć kartek. Jest to stanowczo za mało by zainteresować muchami publiczność, a i w sumie cała opowieść Eldona okazuje się zbyt słabym magnesem dla widowni, której seks, nawet najbardziej ekstrawagancki i pokrętny, od dawna przestał być dziwny, i która w dodatku nic może wybaczyć Eldonowi nieodwołalnej decyzji porzucenia toru.

Wątek much zwrócił jednak uwagę pewnego naukowca-mikrobiologa specjalizującego się równolegle w kodach maszynowych i językach naturalnych. Traf chce, że facet, mój znajomy zresztą, jest jednocześnie zagorzałym przeciwnikiem boksu, wyścigów i w ogóle wszelkiego rodzaju sportów, w których cierpią ludzie bądź zwierzęta. Ów mikrobiolog wystosowuje do prasy list otwarty, w którym nazywa Eldona "tragicznym gladiatorem XXI wieku", a szpitalne spostrzeżenie kierowcy określa jako "ważne odkrycie, dzięki któremu ten bezmyślny, obdarzony jedynie refleksem osiłek, jakim był Eldon przed wypadkiem i podjęciem decyzji przerwania startów, przejdzie być może do historii nauki". W dalszej części listu postulował mikrobiolog zniesienie wyścigów, boksu, zamknięcie wytwórni papierosów oraz pełną prohibicję. Kończyła list prośba o kontakt z Eldonem i o dalsze szczegóły grafiku muszych tańców.

W Eldonie obudził się filozof, a w jego menagerze pieniacz. Eldon zamiast odpowiedzieć mikrobiologowi wprost, na łamach gazety, przystąpił błyskawicznie do zredagowania nowej wersji wspomnień, w której sprawa much zajmowała trzy czwarte ogólnej powierzchni książki - w publikacji pojawiły się także rysunki, tabele i wzory obrazujące wszystkie prawidłowości muszego tańca obserwowanego przez Eldona z łoża boleści.

Menager Eldona natomiast, nie mogąc pogodzić się z określeniem "bezmyślny osiłek" i nie tracąc nadziei, że Eldon wróci za koło, wytoczył mikrobiologowi proces o zniesławienie. Eldon zaprotestował w prasie, twierdząc że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Kapryśna publiczność zapominając ochoczo, że jeszcze niedawno myślała tak samo jak menager, staje po stronie tego "nowego Eldona - badacza i intelektualisty". Obie wersje pamiętników kierowcy, a wkrótce także ich drugie i trzecie wznowienia, za każdym razem nieco zmienione i poprawione, rozchodzą się błyskawicznie. Przez wiele tygodni ludzie nie robią nic innego tylko czytają wyznania Eldona, by potem podnosić wzrok znad książek przetłumaczonych już na wszystkie główne języki świata i obserwować tańce milionów much wokół wielu tysięcy lamp i żyrandoli. Rzecz daje się jedynie porównać z uniesieniami Danikenizmu z drugiej połowy XX wieku.

Taka publikowana histeria nie mogła sprzyjać dokładności, prawdzie i naukowej precyzji. Eldon co prawda wprowadza do kolejnych wydań zmiany, poprawki i uściślenia, ale jak się wydaje, nie ma już głowy do obserwowania much - gra przecież o nowy kształt sławy z milionami dusz, którym idzie nie tyle o prawdę co o kolejną krótkotrwałą sensację. Naukowcy zaczynają podejrzewać, że nigdy nie zanotowane, nigdy systematycznie nie uporządkowane obserwacje zacierają się w pamięci Eldona. Kolejne wersje stają się coraz bardziej podobne do religijnego bądź filozoficznego palimpsestu, na którym natchnieni kopiści, nie licząc się z faktami i wymogami obiektywizmu, wprowadzają niezliczone poprawki, koniunkturalne wstawki i drapanki, a nawet drastyczne korekty. W świecie nauki coraz mocniej upowszechnia się przeświadczenie, że sedno, praźródło, jądro, sama istota Eldonowskiego spostrzeżenia, oddalają się od niego samego, a to znaczy i od nas wszystkich, coraz bardziej.

Jednocześnie ma tu miejsce przedziwny efekt dowodzący istnienia jakiejś niesamowitej muszej

przewrotności i inteligencji. To, co wyglądało na bezsprzecznie oryginalne w Eldonowskim spostrzeżeniu, nie daje się bowiem odtworzyć w żadnym z tysięcy doświadczeń powtórzonych przez setki naukowców całego świata. Zarazem jednak sprawa muszego szyfru i muszej inteligencji od początku nie podlega dyskusji. Tańczące wokół lamp owady bezsprzecznie nadają coś do ludzkości - ten wniosek godzi wszystkich, najbardziej ostrych przeciwników i najbardziej zapalonych zwolenników Eldona.

Rzecz w tym, że muchy przestały nadawać komunikaty istotne. Ten Szyfr Posteldonowski daje się złamać zatrwającą łatwo. Po rejestracji i przepuszczeniu przez maszyny kombinacji muszych zwrotów, wszystkie te standardowe kreski, łamane, wszystkie kąty, promienie krzywizn, odchyłki, nawroty, zmiany kursu i tonacji brzęczenia dają prosty slogan nadzwyczaj czytelny w swej bezczelności i dezynwolturze: "NIE TO NIE". Tyle tylko mają muchy do powiedzenia ludzkości, kiedy zorientowały się, że ten pierwszy, nadany do Eldona komunikat nie został odczytany.

Nie to nie... dobre sobie. Liczne naukowe wyprawy, wybrały się czym prędzej w przeróżne dziewicze miejsca, by tam wokół pospiesznie zainstalowanych żyrandoli zaczynać się na muszy komunikat w jego czystej Eldonowskiej wersji - ale ta badawcza inwazja przynosi fiasko. Ze szczytów gór, z zachowanych gdzie nie gdzie rozległych stepów i przepastnych puszczy, z dna starych zapuszczonych kopalń odległych o setki kilometrów od cywilizacji, płyną do central naukowego świata ponure komunikaty. "NIE TO NIE" - świat much zareagował solidarnie i błyskawicznie. Muchy wybrały Eldona, postawiły na niego raz jeden tylko, a później nie chciały już gadać ani z nim, ani z nikim innym.

Powrót do zapisu Eldona w jego wersji najczystszej, najbardziej pierwotnej, stanowił na pierwszy rzut oka jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Ale w tej pierwszej, Eldonowskiej wersji pamiętników materiału jest mało; natomiast ostrożne uwzględnienie także wersji późniejszych przysparza gigantycznej pracy i podobne jest nieco chodzeniu po linie. Jeśli założyć, że Eldon kłamał, każdy błędny krok może tu przynieść efekty nieodwracalnie tragiczne dla naukowej poprawności.

Rozgłos wokół badań cichnie. Prowadzą je tylko wyjątkowo ambitne i wyspecjalizowane zespoły, czemu tak zwana szeroka publiczność, wrażliwa na proste podniety⁷ odmawia już swego zainteresowania. Eldon tymczasem po raz kolejny zmienia twarz i dyskontuje nową sławę wyśpiewując w nocnych klubach z towarzyszeniem półnagich girlasek przeście-radłowe cansony o muszce hiszpańskiej... Naukowcy dłubią i móżdżą, przeciążają maszyny liczące i nadwerężają szare komórki. Jestem jednym z tych naukowców, łamałem Szyfr Eldona przez trzy lata. a teraz od paru godzin zastanawiam się czy warto informować miliony o moim sukcesie.

Przed dziewięciu miesiącami zmieniłem podejście do zagadnienia i okazała się to zmiana nadzwyczaj płodna. Dotąd mówiło się wiele o ułomnościach kolejnych wersji Eldonowskich - postanowiłem potraktować je jako jedną całość. Przyjęło się już od lat uważać, że Eldon z czasem zaczął szachrować - obrałem inny punkt widzenia. Wykonałem żmudne, paromiesięczne badania idąc zupełnie innym tropem niż pozostałe zespoły i okazało się, że domniemane szachrajstwa są tak minimalne, iż wypadałoby tu raczej mówić o drobnych przeoczeniach. Eldon po prostu przypominał sobie kolejne szczegóły i przekazywał je tak wiernie jak tylko potrafił. Niech miarą niewinności Eldonowskiego błędu będą nieznaczące zniekształcenia zjawiających się w naszym przekazie sloganów. Otóż po przetworzeniu Eldonowskiego zapisu wychodzi, że w mrowiu zdań i liczb muchy nadały między innymi następujące zwroty odbijające nieco od kanonizowanego przez nas kształtu: "Mocarstwo za ogiera", "Nie niszczy moich siedmiokątów idioto", "Gwardia pija ale się nie upija", "Podaj kształtuje świadomość", "Nie ma

tego dobrego co by na złe nie wyszło”, “Ile karabinów ma rolnik”, “E-mc2 - łubudu”... Czy rzeczywiście Eldon musiał tu coś pokręcić, czy to jest wyjaśnienie jedyne, i czy takie akurat wyjaśnienie musi być najskusniejsze? W przypadku przeinaczeń i błędów, wypadałoby raczej oczekiwać na wyjściu maszyn totalnego bełkotu, a nie składnych w sumie zdań, mimo że odbiegających nieco od naszych kanonów. Ale może to muchy specjalnie strawestowały nasze slogany, bowiem one uważają inaczej... A jeśli to nie muchy, i nie Eldon coś pokręcili, tylko ci, którzy z pokolenia na pokolenie przekazywali nam słowa Archimedesza, Cambronne... może pomylił się Szekspir. W końcu, to raczej muchy, niż Szekspir były przy Ryszardzie III, kiedy ten dostawał w kość od hrabiego Richmonda, więc może to muchy, nie Szekspir, wiedzą lepiej.

Tak w każdym razie można traktować problem po przeanalizowaniu całego zapisu Eldona. Muchy wiedzą o wszystkim i widziały wszystko. Kiedy Eldon leżał na prześcieradłach, one nadawały do niego swoją wiedzę o niecnym wyczynie Onana i o mokrych dłoniach Piłata; nie była im obca mistyka krzyża, sekrety gry Master-Minda i niezwykła siła Jungowskiej mandali. Miały swoje zdanie o temat wojny trzydziestoletniej i wszystkich innych wojen, podzielały społeczne lęki Tocqueville’a, zgadzały się z zasadą nieoznaczoności Haisenberga, ale zgłaszały drobne uwagi do teorii wartości dodatkowej. Muchy znały międzygwiazdne odległości i treść najtajniejszych międzynarodowych traktatów; bolały nad jedną ze swych pra-sióstr, która skończyła życie w Sokratesowskiej cykucie i ironizowały na temat Smyka, międzynarodowego roku kobiet i nouveau roman. Wybierały Camusa przeciw Sartrowi i Konopnicką przeciw Simone de Bevoir. Pod szpitalną lampą wiszącą nad głową Eldona pisały muchy brzęcząc gniewnie swoje potępienie DDT i doświadczeń genetycznych, ale mimo zastrzeżeń nadawały do Eldona pochwałę centralnego ogrzewania i tamy assuańskiej. Ze złośliwą satysfakcją komentowały kryzys energetyczny, ale nie podzielały wniosków raportu rzymskiego; miały dobre zdanie o traktorach, lecz pluły (zwłaszcza muchy-plujki) na powszechną motoryzację... Muchy nadawały, muchy oświadczały, muchy widziały, muchy wiedziały. Naprawdę - wiedziały wszystko.

Ale nawet ta demonstracja muszej kompetencji nie jest najistotniejsza w złamanym wreszcie zbiorze tekstów, wzorów i rysunków zwanym Summarycznym Szyfrem Eldona. Trudno było mi przypuszczać, że sukces będzie taki gorzki. Siedzę nad taśmą, która wypełzła z maszyny przed dwudziestoma godzinami; od piętnastu godzin bez mała, nie śpiąc, nie jedząc, paląc tylko i pijąc, sprawdzam krzyżowo tekst muszego przesłania ale widzę, że moje rozwiązanie jest naprawdę jedyne i ostateczne. Jednocześnie jest to rozwiązanie przerażające.

Muchy widziały wszystko i wiedzą wszystko i pomimo tej wiedzy nie wierzą w postęp. Muchy wiedząc to co wiedzą, wybrały zastój i przyglądają się nam z gniewnym lekceważeniem. Myślę, że informacje, które do nas nadają, że zbiór informacji, które przynajmniej raz jeden nadały do Eldona, stanowią dla nich siatkę powietrznych gestów, którą dobrowolnie przestały rozumieć. Inaczej przecież wykorzystwałyby tę wiedzę przeciwko nam. Ale nie, stało się przeciwnie, muchy ostrzegają nas przed tym, co czeka ludzkość ze strony jej samej. Ostrzegają w naszym, ale i w swoim interesie. Muchy nie są z nas zadowolone!

“UWAŻAJCIE, ŻEBY TO SIĘ ŻLE NIE SKOŃCZYŁO” - oto jedyna i ostateczna kwintesencja muszego przesłania, przekazanego Eldonowi, kierowcy wyścigowemu, mistrzowi wielu torów i defloratorowi setek pańienek. Siedzę nad taśmą, która przed dwudziestoma godzinami wypełzła z maszyny, obserwuję dziesiątki displayów pokrytych tym samym napisem, tyle że w systemie elektronicznym, i zastanawiam się czy powinienem przekazać tą straszną wiedzę moim zwierzchnikom, władzom, społeczeństwu - w ogóle ludzkości - czy raczej powinienem zatrzymać odkrycie dla siebie. Jedno co wiem na pewno to to, że mucha brzęcząca między firanką a szklaną taflą okien laboratorium, obserwuje mnie bardzo dokładnie, by zdać sprawę swym szefom, ale jednocześnie nie pomoże mi w

znalezieniu odpowiedzi na moje pytanie.

Maciej Parowski - TO ZDARZA SIĘ CO DZIEN

Pora jest dobrze wybrana. Łódź sunie niemal bezszelestnie na fali przybrzeżnej. Trochę w prawo widnieje jasna plama portu, skąd aż tutaj przyniosło uderzające o burzę kawałki drzewa i korka, skórki owoców, zwrócone morzu resztki ryb. Między odpadkami moczy się wąski i ruchliwy sierp księżyca zaskoczony w chwili nowiu. Gdybyż jeszcze odrobina mgły - łódź z parą wioślarzy i nieznanym na dziobie, z podkulonymi nogami i brodą opartą na kolanach w milczeniu lustrującym nadbrzeże, pozostawałaby całkowicie niewidoczna nie tylko dla tych z portu, ale nawet dla przypadkowego obserwatora znajdującego się kilkadziesiąt kroków od miejsca lądowania.

Przód łodzi wrzyna się w piach plaży całkowicie pustej i cichej. Mężczyzna dotychczas beczynny podejmuje z dna dwa skórzane woreczki, kryje je pod chlamidą i błyskawicznie wyskakuje na brzeg. Chrząszczą ziarenka piasku, kiedy zapierając się weń ze wszystkich sił przybysz odpycha łódź, a milcząca praca jej lewego, zaraz potem prawego i w końcu obu wioślarzy, sprawia, że łódź obraca się i oddala. Otrzeputując stopy z wilgotnego piasku nieznanomy próbuje przez chwilę nie myśleć o tym co ma do wykonania, ale wtedy prawie natychmiast przyłapuje się na pytaniu: "czy nic nie zrobią wioślarzom?". Wątpliwość jest śmieszna, a odpowiedź tak oczywista, że wraca do myślenia o swoich sprawach.

W oddali, ale niezbyt daleko bieleje miasto. Nieznanomy po raz kolejny, piąty, może dziesiąty, a może i piętnasty od momentu wylądowania sprawdza rozłożenie mieszkań pod chlamidą, poprawia jej fałdy, przygląda włosy, ociera twarz. Miasto zbliża się, mężczyzna nie ma pod nogami sypkiego piasku plaży; teraz jest to już ścieżka, za chwilę będzie twarda ubita ziemia wjazdowej drogi miejskiej. Potem marmurowe płyty.

Najgorsze jest spotkanie ze spóźnionym przechodniem zaraz po szczęśliwym minięciu murów obronnych. Nieznanomy odruchowo zaciska pięści czując żołądek podjeżdżający do gardła, jakby dopiero teraz przyszły objawy choroby morskiej przyniesionej z łodzi i jeszcze wcześniej z galery. Drugie spotkanie odbiera o wiele spokojniej: już z daleka rozpoznaje chybotliwy krok i bezbłędnie odczytuje woń wina, gdy tamten będzie go mijać.

Miasto zachowuje się cicho, prawie już zasnęło, strażę są niewidoczne. Właśnie strażę... Nieznanomy pamięta dobrze co mówiono o ich dowódcy - żądnym pieniędzy moczymordzie i zawziętym kobieciarzu. Pamięta też co przyszło mu do głowy od razu gdy o dowódcy usłyszał. To mianowicie, że trudno będzie pracować z takim człowiekiem. Interes pochłonie na pewno nie jeden lecz dwa mieszki, a żołnierz, kiedy zrobi już swoje, może zechcieć popisać się przed władzami dostarczając im winnego.. Zresztą może mieć tego winnego od razu jak tylko mężczyzna przyjdzie doń z propozycją. Wtedy będzie i winny, i dwa mieszki i uznanie władz Efezu, i wdzięczność kapłanów.

To pewne, człowiek, który doradzał dowódcę straży musiał być chyba niespełna rozumu, albo knuł coś niedobrego. Przybysz widzi to niezwykle wyraźnie przemykając najciemniejszym cieniem i, momentami, w bladym świetle ułamka księżyca pod ścianami domów, między kolumnadami, obchodząc dokoła place, by ani przez chwilę nie być widocznym ze wszystkich stron - by nie dać otoczyć się pustce. Pomysł z dowódcą straży wydaje mu się teraz, na miejscu, tak niestosowny, że chwilami musi hamować

ataki śmiechu.

Pozostaje rozpustna Auge i ten biedaczyna na krańcu miasta żyjący w dzielnicy lepianek.. Przypadkowy przechodzień nieoczekiwanie burzy chwilę zastanowienia. Mężczyzna szybko przebiega wokół budynku o nieokreślonym przeznaczeniu, a ostatnie kroki, po których nieruchomieje przywierając do muru, odbijają się cichym kłapnięciem i jeszcze cichszym echem. Przechodzień szczęśliwie na nic nie zwraca uwagi. To sandał! - morska woda i naprężenie rzemieni, od stałego stąpania na palcach, robią swoje. Nieznajomy uśmiecha się w ciemnościach - bogowie sami wskazywali, że to nie może być Auge. Zresztą, a dostrzegł to dopiero teraz, od dłuższego już czasu idzie bezwiednie w stronę, gdzie nie mógłby spotkać ani ladacznicy ani dowódcy strażników.

Gdybyż wypadło na Auge... Z pewnością typową dla kurtyzan, że mężczyzna, który zapłacił kobiecie nie będzie mieć przed nią tajemnic, spytałaby "dlaczego?". On przecząco pokręciłby głową, a wtedy ona zaczęłaby zgadywać: "Sparta?... To sprawa Aten?... A może Babilończycy, może Persowie?... no powiedz wreszcie", i wtedy powtórzyłby to co sam usłyszał daleko stąd, od starego człowieka o twarzy zmęczonej i złej, który wręczał mu trzy mieszki mówiąc przy tym tonem nie znoszącym sprzeciwu: "Lepiej nie wiedzieć zbyt wiele".

Mijana dopiero teraz świątynia rozwiewa obawy przybysza co do szczegółów przedsięwzięcia. Lasowi kamiennych kolumn towarzyszą zwieszające się od górnego belkowania tkaniny i kotary. Belkowanie jest drewniane, na posadzkach leżą drogocenne kobierce, gdzieniegdzie stoją dzbany z ofiarną oliwą. Trzeba teraz cofnąć się parę ulic, skręcić w lewo i oto dzielnica lepianek.

Skulony nad kopytem szewc szeroko otwiera oczy, kiedy, jako wynagrodzenie za trwającą zaledwie chwilę wymianę rzemienia, nieznajomy wręcza mu całą sztukę złota. Wnętrze warsztatu jest nędzne: jedna izba z barłogiem pod ścianą; twarz szewca ściągnięta głodem i definitywnym brakiem nadziei... Ostateczna decyzja przychodzi szybko: Już stojąc przy wyjściu mężczyzna odwraca się nagle i spod drzwi rzuca jednym jedynym mieszkiem w sam środek stołu gdzie kawałki skór, rzemienie, noże i dratwa. Szewc podnosi głowę, a jego uszy łowią metaliczny brzęk, w którym jest wszystko: śmiech wielu kobiet, zapach setek potraw, przecucie znużenia po zrealizowaniu tysięcy możliwych zachcianek.

- Naprawdę chodzi mi o coś zupełnie innego - spokojnie mówi nieznajomy - słyszałem, że pragniesz sławy, Herostratesie.

Zbigniew Pietrzykowski - ZBLIŻENIE

Ponad płytą lotniska unosiła się poranna mgła. Wielki DC-10 kołował wolno na pas startowy, zagłuszając szumem silników rozmowy oczekujących na odlot.

Pilot raz po raz spoglądał na obłoczki mgły muskające pleksiglasowy iluminator i marszczył brwi. Około ósmej czasu miejscowego wieża kontrolna zezwoliła na start. Samolot wzbił się w powietrze i wziął kurs na Paryż. Szum silników zelżał.

Szpakowaty mężczyzna siedzący obok niepozornej dziewczyny sięgnął do kieszeni i wyjął barwną maskotkę. Przez chwilę obracał ją w palcach, a potem uśmiechnął się i rzekł:

- Wydaje mi się, że zeszliśmy z kursu.

Dziewczyna oderwała na moment wzrok od iluminatora i spojrzała na mężczyznę.

- Proszę?

- Nic, głupstwo. Te chmury... o te... Przybierają fantastyczne kształty... i stąd złudzenie, że płyniemy wysoko ponad śnieżnymi szczytami Alp.

Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech wymuszony, niemal sztuczny.

- Ach!

- Pani się boi? Skinęła głową.

- Tak. To moja pierwsza podróż.

Przez chwilę przyglądała się maskotce.

- Podoba mi się - rzekła.

- Maskotka? Ładna, nieprawdaż? Dostałem ją w prezencie. Ofiarodawca życzył mi dużo szczęścia... I dlatego nigdy się z nią nie rozstaję.

Znów spojrzała w iluminator. Ochłonęła nieco, lecz nie na długo. Kiedy samolot zadrżał, spojrzała pytającym wzrokiem na nieznajomego i rzekła:

- Co to?

- Nic. zapewne ocieramy się o którąś z tych chmur, których tutaj pełno.

- Czy to jest...

- Och, nie! Nic groźnego. Zapewniam, że nie. Uspokoiła się nieco. Potem powiedziała tonem, w którym niepokój mieszał się z przygnębieniem:

- Doświadczenia ocierają się o mnie i znikają bezpowrotnie. Nie umiem być kobietą... Po prostu nie umiem.

W drzwiach ukazała się stewardessa. Umilkli.

- Proszę zapiąć pasy. Samolot przelatuje nad strefą burz. Za chwilę wstrząsy ustaną. Lot przebiega normalnie. Dziękuję.

Dziewczyna sięgnęła dłonią po zwisający z oparcia pas.

- Pomogę pani - powiedział i dodał: - O już. Teraz jesteśmy bezpieczni.

- Tak oczywiście.

Lecz jego ciepły spokojny głos nie stłumił ogarniającego ją podniecenia. Była niemal pewna, że za

chwile coś się wydarzy i że to coś nie będzie ani małe, ani przyjemne. Samolot podskakiwał jak pędzący po wyboistej drodze samochód. Zaciśnęła kurczowo palce na poręczach fotela i zamknęła oczy. Poprzez gwar dobiegał do niej spokojny głos stewardessy:

- Czy wszyscy zapięli pasy? Za chwilę opuścimy strefę burz. Zapewniam państwa, że mimo niesprzyjających warunków lot przebiega normalnie.

A potem usłyszała łoskot lub raczej gwizd; nie była pewna.

Nie miała czasu, by się nad tym zastanowić. Podmuch gorącego powietrza wcisnął ją głęboko w fotel. Pomyślała, że spada... i przestała pamiętać.

Major Franklin był w złym humorze. Raz po raz sięgał po papierosy leżące na biurku. Kiedy w drzwiach gabinetu stanął nadinspektor Lean, podniósł się i rzekł:

- Aaa... to pan, inspektorze. Proszę, niech pan siada. No... no...

Nadinspektor położył na biurku pękaty skoroszyt, po czym usiadł, nie czekając, aż zwierzchnik uczyni to pierwszy.

- Przyniosłem akta - wysapał.

- Dobrze. Sądę, że dobrnęliśmy do końca. Proszę mówić. Nadinspektor otarł chusteczką czoło.

- Przewód doprowadzający paliwo był uszkodzony.

- I to wszystko? - zdziwił się Franklin.

Lean skinął głową.

- Tak. Przeprowadziliśmy wnikliwe i drobiazgowo śledztwo. Wprawdzie samolot rozpadł się na części i wszyscy zginęli, niemniej jednak to, co pozostało, pozwoliło ustalić przyczynę katastrofy bez cienia wątpliwości.

- Tak. Wątpliwa pociecha - rzekł Franklin i sięgnął po papierosa.

Po chwili dodał:

- Dziękuję. Przejrzę akta.

Kiedy ocknął się, dostrzegł ponad sobą kuliste sklepienie emitujące niebieskie światło. Leżał na wąskim stole wyłożonym gąbką i nie mógł się poruszyć, choć nic nie krępowało jego ruchów.

Słyszał odgłosy pulsującego tętna i widział, drgającą ponad sobą przestrzeń, a potem ruch wkoło zamarł; niebieskie światło przygasło, i wówczas przypomniał sobie, że szedł wąską ścieżką wśród gór... że leciał, lub inaczej: leciał siedząc.

Obrazy pojawiały się i znikwały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Potem pomyślał o dziewczynie, która siedziała przy nim i zdziwił się, że jej nie ma.

“Maskotka!” Rozwarł dłonie, lecz dłonie były puste. Znów zobaczył oczyma wyobraźni błysk ognia, świat zawirował. Po chwili wiedział wszystko.

“Ocalałem... - rzekł do siebie: - Tak. Ocalałem”.

Podniósł się wolno. Pomieszczenie było duże, przypominało wyglądem obszerną kabinę samolotu. Wokoło migały barwnym światłem pulpity kontrolne. Na okrągłych monitorach pojawiały się raz po raz faliste linie.

Kiedy obrócił się, dostrzegł w głębi kabiny siedzącego mężczyznę. Nieznajomy wstał i zbliżył się do niego.

- Nazywam się Met - rzekł - Cieszę się, że się wreszcie obudziłeś.

- Obudziłem...?

- Jak masz na imię? - zapytał Met.

- Alex.

- Świetnie. Będę nazywał cię Alem... Al. Tak. Tak brzmi ładniej.

Alex rozejrzał się wokoło.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Nazywaj mnie Mętem. Jestem Met.

- Rozumiem... ale co to znaczy?

- Nic. Spotykamy się w odległej przyszłości... Lub inaczej: w teraźniejszości, w której żyję. Jesteś tu po to, aby opowiedzieć mi o epoce, która skończyła się pięć miliardów lat temu.

Alex spojrział uważnie na Meta i uśmiechnął się.

- Nie rozumiem - powiedział. Met wzruszył ramionami.

- Żyłeś u schyłku XX-wieku, nieprawdaż? Interesuję się tym okresem i dlatego wyłuskałem cię z nicości. Chcę, abyś odpowiedział na kilka nurtujących mnie pytań.

Alex znów uśmiechnął się.

- Doprawdy? Powiedz, proszę, gdzie jestem?

- Na pokładzie statku kosmicznego. Badam Megagalaktykę, w której egzystował Układ Słoneczny.

- Egzystował?

Met znów wzruszył ramionami.

- Odnoszę wrażenie, że nigdy nie doświadczyłeś przemijania. Słońce było gwiazdą. Gwiazdy gasną, niestety.

Alex skinął głową.

- Rozumiem. Wszechświat przestał istnieć, i znów zaczął się śmiać. Po chwili zapytał:

- A ty, kim jesteś ty?

- Archeologiem - odparł Met i dodał: - Wiesz cywilizację także pasjonowała archeologia. Otóż jestem archeologiem, tyle tylko, że nieco innym, niż dawni archeologowie. Odtwarzam bowiem życie w tej postaci, w jakiej istniało ono przed miliardami lat.

- Nie rozumiem?

- Doprawdy? Wiesz przecież... bo wiedzieć musisz, że materia nie podlega unicestwieniu lecz przemianom. Kiedyś, gdy byłeś człowiekiem, stanowiłeś uporządkowany zbiór mikroatomów...

- Kiedyś? To znaczy, kiedy?

- Mówiłem ci już. Przed miliardami lat!

- Pan kpi, Met!

Met pokręcił przecząco głową.

- Nie. Wyłuskałem cię z pustki kosmicznej. Wystarczy, że schwytam jeden mikroatom, taką nie znaną ci drobinę, by potem, odpowiednio ją regenerując, odtworzyć uporządkowany zbiór innych mikroatomów. Wśród mikroatomów zachodzi ścisła współzależność. Nie spotyka się dwóch identycznych połączeń. Twój schwytyany przeze mnie mikroatom pozwolił mi odtworzyć ciebie w tej postaci, w jakiej istniałeś przed miliardami lat. Skomplikowane, nieprawdaż?

- Więc nie istnieję?

- Istniejesz, oczywiście, że istniejesz. Jesteś tym, kim byłeś, tyle tylko, że egzystujesz już w innym czasie... w czasie, w którym żyję ja. Jestem potomkiem twojej cywilizacji. Ludzkość ruszyła ku gwiazdom. Zdobywała galaktyki, niosąc iskrę życia tam, gdzie go nie było. Kiedy skończyła się era heliocentryczna i Układ Słoneczny rozpadł się znikając bezpowrotnie z mapy nieba, nastąpiła era Grawitocentryzmu Galaktycznego... Widzę, że mi się przyglądasz. Nigdy nie dowiesz się, ile energii straciłem, by móc się z tobą porozumieć. Ale przecież jesteśmy do siebie podobni, nieprawdaż?

Alex skinął głową. Szyderczy uśmiech znikł z jego twarzy. Długo i uważnie przyglądał się Mętowi, zanim wykrztusił:

- Więc zginąłem... przestałem istnieć: bezpowrotnie, trwale... a mimo to odrodziłem się na powrót. Nie! To niemożliwe! Nieosiągalne!

Met uśmiechnął się.

- A jednak. Zważ, że Grawitocentryzm Galaktyczny egzystuje w warunkach zgoła innych, niż heliocentryzm. Dla nas nie ma rzeczy niemożliwych.

- Więc zginąłem.

- Niestety.

- W katastrofie samolotowej...

- Tego nie wiem.

- Nie! To niemożliwe. Przecież to stało się przed chwilą.

- No cóż. Nie istniałeś - westchnął Met.

- Kłamiesz!

- Nie. Jesteś już gdzie indziej. Byłbym rad gdybyś wreszcie uwierzył mi. Nie możesz przecież zaprzeczyć, że tu jesteś. Gdy przyjrzyś się sobie uważnie, odnajdziesz tego kogoś, kim byłeś. Czy ci to nie wystarczy?

Alex skinął głową, - To prawda.

Twarz Meta rozpogodziła się.

- Cieszę się, że chcesz mi pomóc - powiedział. - Jestem tylko archeologiem... i nikim więcej. Gdybyś poznał mechanizm działania regeneratorów, przestałbyś się dziwić. Nie smuć się więc. Człowiek, którego odtwarzam, jest zawsze tym, kim był. Inaczej bowiem całe przedsięwzięcie nie miałyby sensu.

Alex nazywany przez Meta Alem znów rozejrzał się wokoło.

- Czy jest tu jeszcze ktoś - zapytał.

- Tak.

- A potem... Co będzie potem?

- Rozumiem. Niemal każdy o to pyta. No cóż. Staniesz się moim eksponatem muzealnym.

Alex zmarszczył brwi.

- Eksponatem! Kolekcjonujesz informacje i istnienia ludzkie? A prawa!... A zasady moralne!...

Met zaczął się śmiać.

- Każda epoka ma swoje prawa i zasady moralne. Nie wyobrażasz sobie nawet ile przewinęło się ich od czasu, w którym ty egzystowałeś.

- Więc zamkniesz mnie w klatce?

Met śmiał się nadal.

- Nie. Wrócisz do epoki, w której egzystowałeś.

- Nie rozumiem.

- Spójrz na tę tablicę, która wisi na ścianie.

Alex spojrzał we wskazanym kierunku i wzruszył ramionami.

- Co widzisz? - zapytał Met.

- Tysiące mikroskopijnych kryształków umieszczonych pod przezroczystą płytą.

Met skinął głową i rzekł:

- Moje eksponaty zajmują mało miejsca. Każdy kryształek podłączony jest do... no, powiedzmy komputera, który tworzy rzeczywistość. Osobowości natomiast zamknięte są w kryształkach, oddziałują na tę rzeczywistość... i dzięki owemu oddziaływaniu eksponaty moje żyją własnym życiem, uczestniczą w ważnych wydarzeniach swojej epoki... a przede wszystkim są pewne, że wszystko to, co dzieje się wokół

nich, dzieje się naprawdę. Mam tu w zasięgu dłoni kilkaset różnych epok. Mogę je badać, mogę przerywać doświadczenia w dogodnym dla mnie momencie, mogę wreszcie zmieniać program komputera. Niekiedy przemieszczam osobowości do różnych epok i badam ich zachowanie.

Kiedyś na przykład umieściłem człowieka jaskiniowego w epoce atomu... Ciekawe, nieprawdaż? Nie sądzę jednak aby cię to interesowało.

- To straszne - wyrzucił z siebie Alex - Więc oni są pewni, że żyją naprawdę?

- Tak. Nie podejrzewają nawet, że przestali istnieć dawno, dawno temu, i że rzeczywistość, która ich otacza nie jest prawdziwa. Gdybyś potrafił zbudować komputer, który tworzyłby rzeczywistość według określonych prawideł psychiki... na przykład twojej, przekonałbyś się, że żyć można pełnią życia nie opuszczając pokoju.

Alex uważnie lustrował tajemniczą tablicę. Nadmiar wrażeń niezbyt dobrze wpłynął na jego samopoczucie.

- Więc zmienisz mnie w kryształek, Met - rzekł bezbarwnym głosem.

- Tak. A potem przeniosę cię do epoki, w której egzystowałeś. Znajdziesz się pośród tych kryształków, których tutaj pełno i będziesz wierzył, że rzeczywistość, w której żyjesz jest prawdziwa.

- Prawdziwa rzeczywistość - powtórzył bezwiednie Alex i rozejrzał się bezradnie wokoło.

- Przejdź do kabiny, która przylega do pracowni. Musisz odpocząć - rzekł Met i wskazał niewielkie drzwiczki. Alex ruszył we wskazanym kierunku i przestąpił próg. Kabina, w której się znalazł, była podobna do obszernego hallu. Zatrzymał się przy balustradzie oddzielającej schody od wąskiego tarasu i spojrzał w dół. Nie opodal przestronnych drzwi stała "dziewczyna z samolotu". Zbiegł po schodach.

- Pa... pani! Uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że pana widzę. Byłam pewna, że wszystko skończy się pomyślnie.

- Co? - spytał zdezorientowany.

- Pana powrót do rzeczywistości. Nie mówmy jednak o tym. Proszę, oto maskotka... zwracam ją panu.

Spojrzał na maskotkę, potem na dziewczynę.

- Maskotka? Nie rozumiem?! Nic nie rozumiem!

- Kazano mi tu czekać. Cieszę się, że pan mnie poznał. Znów przyjrzał się uważnie dziewczynie, a potem wyciągnął dłoń i położył na jej ramieniu.

- Dlaczego nie miałbym pani poznać? - rzekł, gdy poczuł pod palcami ciało dziewczyny.

- Nie wiem. Chodźmy stąd.

- Dokąd? Przecież jesteście... Nie! To absurd!

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Lekarz prosił, abym się panem zajęła.

- Lekarz! Czy pani jest tego pewna... Zaczęła się śmiać.

- Samolot otarł się o górę. Mieliśmy szczęście. Jedyne pan ucierpiał najbardziej.

- Ja? - zdziwił się i zapytał:

- Dokąd prowadzą te drzwi?

- Do hallu.

- A potem?

- Z hallu wychodzi się na ulicę.

- Na ulicę?

Ujęła go za rękę i pociągnęła ku drzwiom. Wyszli przed budynek. Dostrzegł niski żywoplot oddzielający jezdnię od parkingu i barwne plansze reklamujące lody "Merino". Przeniósł wzrok na budynek i przeczytał napis:

KLINIKA NEUROLOGICZNA. PARYŻ...

Odetchnął.

Dowódca statku wszedł do pracowni Meta i zatrzymał się przed barwnym ekranem, na którym dwie postacie szły wolno archaiczną ulicą.

- Czy nie pracuje pan zbyt wiele - rzekł, witając się z Mętem.

- Sądzę, że nie. Poza tym nie potrafiłbym zająć się czymkolwiek innym.

- Tak? Cóż to jest? - zapytał dowódca, wskazując ekran, - Mój ostatni eksponat.

- Aha!

- Człowiek, którego wyłowilem z nicości, rozpoczął nowe życie. Jest pewny, że idzie teraz ulicą z dziewczyną, którą poznał w samolocie. Nie wie jednak i nigdy się nie dowie, że w chwili, kiedy przestępował próg kabiny, przestał być tworem materialnym. To, co obserwujemy na ekranie - to wizja komputera. A ja dorzuciłem do swojej kolekcji kolejny kryształek.

- Robisz postępy Met.

- Doprawdy? Nie sądziłem, że pan... dowódca "Błysku Kosmosu"... interesuje się moją pracą.

Dowódca statku uśmiechnął się. A potem długo i uważnie wpatrywał się w twarz Meta.

- Ja też kolekcjonuję kryształki - powiedział.

- Więc ja... ja także!...

- Tak, Met. Tak.

Zbigniew Pietrzykowski - GIGANCI

System hamowania absorbcyjnego zawiódł i musieli zrezygnować z układów antygravitacyjnych na rzecz konwencjonalnych hamownic. Kosmoloet z wolna wytracał prędkość, wnikając coraz głębiej w strefę przyciągania gwiazdy. Obserwowali z niepokojem jej powiększający się z każdą chwilą promień, który rósł z prędkością kilku hektów na czasoner.

Ich niepokój był uzasadniony; w strefie gwiazd trzydziestej wielkości przyrost kilku hektów na czasoner oznaczał nieuchronną katastrofę. Na statku zapanowało podekscytowanie. Dowódca Egber wezwał głównego nawigatora i natarł na niego z impetem.

- Kto pozwolił panu zmienić tor lotu?!... I to w strefie gwiazdy trzydziestej wielkości! Każdy doświadczony pilot wie, że oddziaływanie grawitacyjne takiego okrucha jest zbyt słabe, by zadziałał system absorbcyjnego hamowania! A pan!... Proszę!...

Wskazał podziałkę hektoczasonera.

- Czy pan wie, co to znaczy! - dodał kierując na powrót wzrok na nawigatora.

Nawigator zmarszczył brwi.

- Receptory perturbacyjne zarejestrowały zmianę w strefie grawitocentryzmu. A to oznacza, że wokół gwiazdy krążą co najmniej dwie planety trzysetnej wielkości. Myślałem, że ich pola...

- Myślałem! Powinien pan przyjść z tym do mnie. Pańskie planety trzysetnej wielkości okazały się okruchami. Niestety!

Na pulpicie w kabinie dowodzenia zapłonęła czerwona lampka.

- Tu Egber. Słucham?!...

Monitor wmontowany w lśniącą ścianę rozbłysł światłem i po chwili ukazała się w nim twarz astronoma Setta.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale przed chwilą odkryłem kilka innych planet. Są wprawdzie niezwykle małe, lecz ich oddziaływanie grawitacyjne powirtno wzbudzić absorbcyjny mechanizm awaryjny. Wydałem polecenie kalkulatorom, aby przeprowadzili obliczenia.

Egber nieco ochłonął.

- Czekam na wyniki - rzucił lakonicznie do mikrofonu. Potem spojrział na nawigatora i uśmiechnął się.

- No, tak. Nie przypuszczałem, że pańska analiza zarejestrowanych zmian perturbacyjnych w strefie grawitocentryzmu okaże się bliska prawdy. Byłbym jednak rad, gdyby przestał pan uważać się za nieomylnego eksperta. Tak... Zapyta pan dlaczego? Proszę, oto dowód. Nie znamy położenia tych planet, i dlatego w przypadkach skrajnych, a więc niekorzystnych, ich grawitocentryzm wypadkowy niewiele nam pomoże... Ale do rzeczy. Proszę uruchomić echosondę i wyznaczyć położenie planet. Daję panu na to dziesięć czasonerów. Żegnam!

Nawigator skinął głową i wyszedł. Był rad, że Egber potraktował go względnie taktownie.

Po kilku chwilach, kiedy Egber nieco ochłonął, do kabiny wszedł Sett i postawił przed nim przenośny analizator.

- Kalkulator Ars twierdzi, że w obliczeniach nie ma pomyłki - rzekł i dodał: - Wynik jest względnie

pozytywny. Niemniej jednak mam pewne zastrzeżenia, co do metody, jaką posłużył się analizując dane. Rachunek przybliżeń niekiedy zawodzi...

Egber skinął głową na znak, że podziela obawy astronoma.

- Tak - rzekł: - Ale sytuacja jest wyjątkowa. Czas nagli!

- Rozumiem - odpowiedział Sett i dodał: - Ufam Arsowi. Ton wybitny ekspert.

Egber uśmiechnął się.

- I zapewne nieomylny.

- Słucham?

- Nic. Po prostu przypomniała mi się rozmowa, jaką przeprowadziłem przed chwilą z nawigatorem.

Ale do rzeczy. Proszę włączyć analizator. Na kwadratowym monitorze ukazały się dwie faliste linie. Sett wskazał je wyciągniętą dłonią i rzekł:

- Oto obraz natężenia grawitocentryzmu dwóch największych planet. Pozostałe siedem natomiast nie wzbudzą wskaźników analizatora, niemniej jednak ich wypadkowe dają wystarczająco silne pole siłowe, by zadziałały mechanizmy awaryjne. Jeśli układ wzajemnych oddziaływań okaże się dla nas korzystny, wówczas prędkość, z jaką poruszamy się, zmaleje do trzech nohektów.

- Doprawdy?! Do trzech! - zdziwił się Egber, nie przestając patrzeć na monitor analizatora.

- Tak - potwierdził Sett.

- Do trzech! Wspaniale! To znaczy, że zatrzymamy się w odległości 510 jednostek światła od gwiazdy!

- Oczywiście. Jeśli...

Egber skinął głową. A potem ruszył w stronę pulpitu i wcisnął kilka przycisków. Kiedy na ekranie ukazała się twarz nawigatora, rzekł:

- Proszę przenieść wszystkie wyniki wyliczeń na ekran mojego monitora.

Twarz nawigatora znikła z ekranu, a jej miejsce zajęły skomplikowane wykresy, przywodzące na myśl spiralę.

Sett i Egber przybliżyli się do monitora; w ich oczach niepokój mieszał się z nadzieją.

Pierwszy odezwał się Sett.

- Piąta planeta jest największa. Jej grawitocentryzm wypadkowy sprawia, że pozostałe planety leżące między nią a gwiazdą i na zewnątrz niej, poruszają się po orbitach eliptycznych. A teraz proszę spojrzeć na szóstą planetę. Jest również wielka. Gdyby dwie kolejne planety - a więc siódma i ósma - były cokolwiek mniejsze, wówczas mogłoby dojść do kosmicznej katastrofy w obrębie gwiazdy. Każdy mały układ planetarny powstaje w wyniku wzajemnych oddziaływań koncentrującej się materii gwiazdnej. Oddziaływanie grawitocentryzmu galaktycznego nie wpływa na wielkość planet powstających w obrębie gwiazdy trzydziestej wielkości, ponieważ planety te są zbyt małe, by zadziałał mechanizm wzajemnych oddziaływań. Wnikamy więc do układu, który rządzi się własnymi prawami. A to znaczy, że... Egber potarł dłonią czoło.

- Tak - powiedział - nie przestając patrzeć w ekran. Sett dokończył zaczęłą myśl:

-... że włączając awaryjny mechanizm antygravitacyjny spowodujemy lokalną kosmiczną katastrofę.

Milczeli przez chwilę, patrząc w ekran. Egber raz po raz tarł dłonią czoło. Wreszcie rzekł:

- No cóż... - i dodał: - Układ planet jest wyjątkowo korzystny...

Sett skinął głową.

- Nasza ingerencja naruszy ustalony od wieków porządek rzeczy, niemniej jednak nie wyrządzi nikomu szkody. Wiemy bowiem, że planety krążące wokół gwiazd trzydziestej wielkości są na ogół puste i martwe. Zniszczymy wprawdzie mikroskopijny twór natury... twór gwiazdowych przemian i ewolucji, lecz przecież kopiąc dół na łące postępujemy podobnie...

Egber uśmiechnął się. Porównanie, jakim posłużył się Sett, było trafne.

Oderwał na moment wzrok od ekranu i spojrzał w prostokątny iluminator, za którym rozciągała się nieprzebyta czerń znaczone gdzieniegdzie ognikami gwiazd.

- Czy czytał pan ostatni raport Instytutu d/s Karłów? - zapytał, nie przestając patrzeć w bazmiar kosmicznej pustki.

Sett zamyślił się.

- To są tylko domysły - rzekł po chwili.

- Nie sądzę. Raport potwierdza w pewnym stopniu teorię o występowaniu mikroskopijnych mikrobow na planetach, krążących w ekosferze wokół gwiazd trzydziestej wielkości.

Sett wzruszył ramionami.

- Doprawdy?

- Niestety - rzekł Egber i spojrzał w ekran.

Po chwili faliste i spiralne linie znikły, a ich miejsca zajęła owalna twarz kalkulatora Arsa.

- No? - rzekł Egber.

- Przed chwilą przekazałem wyniki obliczeń nawigatorowi. Za dziesięć czasonerów grawitocentryzm wypadkowy wzbudzi absorbcyjny mechanizm awaryjny...

- I zniszczymy dziewięć planet! - przerwał Egber. Na twarzy Arsa pojawiło się zakłopotanie.

- Nie rozumiem? - rzekł po chwili.

- Astronom Sett twierdzi, że awaryjny mechanizm grawitacyjny spowoduje kosmiczną katastrofę.

Ars uśmiechnął się. Nie sądzę.

- Doprawdy?

- Tak.

- To dobrze. Nie lubię niszczyć, jeśli akt niszczenia niczemu nie służy.

Po kilku chwilach twarz Arsa znikła z ekranu. Egber uśmiechnął się do Setta, a potem spojrzał na chronometr i rzekł:

- Proszę wrócić do obserwatorium. Czeka nas sporo pracy. Kiedy astronom wyszedł, Egber połączył się z nawigatorem.

- Co pan sądzi o wyliczeniach, które przesłał panu kalkulator?

- Co sądzę?

Nawigator był uśmiechnięty i zarazem podekscytowany.

- No?

- Są najlepszym dowodem, że decyzja, jaką podjąłem w sprawie, zmiany toru lotu, była słuszna.

- Doprawdy?

Tak. Aby skrócić czas przelotu do Mgławicy Palmera o sto chronerów, trzeba wykorzystać każdą okazję. Egber skinął głową.

- Ma pan rację, ale...

Umilkł na moment. Nawigator uśmiechnął się. Mało jest gwiazd w kosmosie, kapitanie Egber. Paradoks, nieprawdaż? A jednak.

- Tak - rzekł Egber i dodał: - Każdy z nas wie, co to znaczy skrócić czas przelotu o sto chronerów. A co do gwiazd... no, cóż. Kiedyś byliśmy innego zdania.

Ponad pulpitem dowodzenia zapłonęła czerwona lampka. Egber usiadł w fotelu. Po chwili bezbarwny, monotony głos rzekł:

- Przeciążenie osiem "h". Absorbcyjny mechanizm awaryjny w strefie grawitocentryzmu. Uruchamiam blokadę.

Egber spojrzał w iluminator i dostrzegł niewielką gwiazdkę. Amortyzatory grawitacyjne doskonale

radziły sobie ze słabym lokalnym polem siłowym; statek z wolna odzyskiwał stabilność. Raz po raz na ekranach monitorów ukazywały się twarze kierowników sekcji.

- Lot przebiega normalnie - meldował monotonnym głosem automat pokładowy.

Egber odetchnął. Przyrządy pokładowe funkcjonowały prawidłowo. Gwiazda, do której zbliżali się, rosła nadal, lecz niebezpieczeństwo zderzenia się z nią minęło.

- Za dziesięć czasonerów wejdziemy na orbitę trzeciej planety - rzekł z ekranu nawigator.

Egber skinął głową. A potem utkwiał wzrok w centralnej części iluminatora. Po nużącym locie w nieskończonej przestrzeni, znów ujrzał pulsującą materię. Siły grawitocentryzmu lokalnego sprzyjały ruchom statku.

“Grawitacja - pomyślał - to wielkie słowo”.

Z zadumy wyrwał go głos astronoma Setta.

- Mam prośbę, kapitanie - rzekł Sett.

- Prośbę?

- Tak. Chciałbym umieścić na jednej z tych planet transformacyjną boję.

- Dobrze. Wydám odpowiednie polecenia automatom.

- Nie. Zrobię to osobiście.

Ekran zamigotał. Astronom znikł z monitora, a jego miejsce zajął nawigator.

- Wyszliśmy na orbitę trzeciej planety - powiedział. Egber spojrział w iluminator. Przez chwilę przyglądał się świetlistej półkuli.

- Powiedział pan: planeta... Planeta - to brzmi dumnie.. Widzę najzwyklejszą w świecie asteroidę.

- Tak...

- Sett! - rzekł Egber.

Na ekranie pojawiła się twarz Setta.

- Proszę się pospieszyć. Czas nagli.

Po chwili zobaczył w iluminatorze szybującego astronoma. Lśniący skafander wyposażony w dwa kuliste grawitory szczelnie okrywał okazałą postać orbitującego. Sett w miarę oddalania się od statku, stawał się coraz mniejszy i mniejszy; po chwili znikł.

Egber spojrział na chronometr.

- Sett... czy pan mnie słyszy?

- Tak. Przed chwilą wylądowałem.

- I?

- Rozglądam się... Powierzchnię otula gęsta mgiełka...

- Doprawdy?

- Mam ochotę obejść planetkę wkoło...

- Czas nagli, Sett - rzekł Egber, nie ukrywając zniecierpliwienia.

- Rozumiem.

Sett rozejrział się. A potem ruszył niepewnie ku północy. Po chwili znalazł odpowiednie miejsce dla boi. Idąc nie wiedział, że każde jego stąpienie wbija w Ziemię miasta, góry, lasy...

Zbigniew Prostack - PODARUNEK MORZA

Szedł wolno po twardo ubitym przez falę piasku, z nisko opuszczoną głową, z rękami w kieszeniach, powłócząc nogami. Stary człowiek. Nie uskakiwał przed językami wody chciwie, z sykiem liżącymi plażę. Nie czuł zimna przemoczonych stóp ani wiatru, co targał wyszarzałą, poplamioną, marynarską kurtkę.

Granatową czapkę z czarnym, haftowanym otokiem zsunął głęboko na czoło, jak gdyby chciał się odgradzić od widoku ołowianych fal i bezkresu oceanu. Żegnał się z morzem. W kieszeni czuł pod palcami twardy prostokąt kolejowego biletu.

Po czterdziestu prawie latach wycierania kątów w kubrykach dziesiątków statków nadszedł kres. Zwiotczały stalowe niegdyś mięśnie, zawodziła pamięć. Nie było już dla niego miejsca na pokładach. Musiał odejść. Czas osiąść w rodzinnym, podgórskim miasteczku, gdzie nikt go już nie znał, nikt nie czekał. Z dala od portowego zgiełku, od mórz i oceanów. Jeszcze tylko jedna noc spędzona w portowym hoteliku, a potem długie dni rozpamiętywania tego co było, co przeszło.

Chciał i umiał żyć z rozmachem, póki starczyło zdrowia i ciężko zarobionych pieniędzy. Teraz skończyło się prawie wszystko. Dobrze jeszcze, że z topieli tyleż bujnego co i bezmyślnego życia uratował niewielką sumkę pozwalającą mu teraz bez większych trosk o kęs powszedniego chleba dożyć reszty dni. Poza pieniędzmi cały jego dorobek doskonale mieścił się w marynarskim worku.

Zapadał zmrok. Czerwone, ogromne słońce tonęło w stalowoszarej toni i tylko trwała jeszcze na widnokregu krwawa łuna poprzecinana ciemnymi pasmami przedwieczornych obłoków. W powietrzu unosiła się gęsta woń gnijących morszczyków, ryb i słodkawy zapach kopry. Zapaliły się już roje świateł nad basenami portowymi. Jakiś oświetlony jak choinka świąteczna pasażer wychodził w morze oznajmiając to całemu światu zarozumiałym rykiem syren.

Usiadł na zmurszałym słupku łamacza fal i wciągnął głębiej w płuca rześkie, wilgotne powietrze. Teraz zsunął czapkę na tył głowy i podparłszy pięścią brodę zapatrzył się w ledwie już dostrzegalną granicę między niebem a wodą. Przyszło mu na myśl, że nieźle byłoby tak przesiedzieć resztę życia, mając przed oczami morze, a w uszach szmer fali i ochryple popiskiwanie mew.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się gorzko. Bzdura! Czas spać. Jutro czeka go długa i męcząca podróż do ostatniego portu. Wstał energicznie i wtedy zobaczył tuż koło stóp błyszczącą, pękatą butelkę. Podniósł ją, chcąc sprawdzić gatunek wódki. Ale butelka nie miała etykiety. Była gładka, szczelnie zakorkowana, i o dziwo, jakby ciepła. Przyjrzał się jej dokładniej z nagle obudzonym zainteresowaniem. Była jakaś dziwna. Denko miała obłe, wypukłe, a korek jakby nadtopiony - i chyba nie była pusta. Potrząsnął nią lekko przy uchu. Nie dosłyszał znajomego bulgotania. Spojrzał pod światło dalekich latarni. W środku niewyraźnie majaczyły jakieś zamglone kształty. Przez chwilę niezdecydowanie ważył butelkę w dłoni, wreszcie wetknął ją w kieszeń kurtki. W hotelu dokładnie sprawdzi, co tam jest w środku. Różne dziwactwa wyrzuca morze na brzeg. Czasem wśród śmiecia wyłowić można i stosunkowo cenną rzecz. Ot, choćby butelka z misternym stateczkiem we wnętrzu, którą znalazł w Sydney. Wozi ją ze sobą do dzisiaj, choć dawali mu za nią dwadzieścia dolarów. Może i ta zawiera coś takiego. Przyspieszył kroku.

Na ulicach miasta kipiało życie, wabiły wzrok kolorowe neony i rzęsiście oświetlone witryny sklepów. Zza zamkniętych drzwi restauracji i kawiarni dochodził przytłumiony gwar ludzkich głosów na tle granych melodii. Ze zgrzytem i dzwonieniem przemknął tuż obok pusty prawie tramwaj. Stojący na rogu policjant obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Skulił się jeszcze bardziej świadom swego wyglądu i choć sumienie miał absolutnie czyste i papiery w porządku wolał nie kusić licha. Miał przykre doświadczenie z kontaktów z tymi atletami w granatowych mundurach, u których dowcip był równie ciężki jak pałka. Cóż z tego, że nie był włóczęgą? Wyglądał jak włóczęga ze swoją dawno nie goloną brodą i wytartą kurtką, to wystarczyło. Nie miał ochoty na nocleg w komisariacie.

Przyspieszył kroku i czując na sobie wzrok policjanta z ulgą skręcił za róg ulicy. Nie tędy wprawdzie wiodła droga do hoteliku, w którym opłacił łóżko na wspólnej sali i gdzie u ponurego właściciela zdeponował swój marynarski worek, ale to było bez znaczenia. Nie chciało mu się jeszcze spać. Zasapał się trochę i zwolnił. Zaszło mu w gardle. Mijał właśnie knajpę podrzędnego gatunku i stanął. Jednego? Dla zabicia czasu i na lepszy sen. Pchnął drzwi i wszedł.

Zadymiona sala miała kształt długiej kiszki przegrodzonej w głębi kontuarem. Na szczęście nie było tu tłoku; przy kilku stolikach rozsiadło się kilkunastu marynarzy w towarzystwie cór Koryntu. Byli już dobrze podchmieleni i nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Stary człowiek z westchnieniem ulgi usiadł przy stojącym w kącie, pustym stoliku. Kelner postawił przed nim wódkę, duży kufel piwa i wyciągnął rękę po pieniądze. Tu płaciło się z góry.

Został sam. Pociągnął spory łyk piwa, sięgnął do kieszeni po znaną butelkę. Położył ją przed sobą na stole i pochylił się niżej. Teraz dopiero, w pełnym świetle, zobaczył, że znaleziony przedmiot nie jest bynajmniej butelką. Zrobiony z jakiegoś podobnego do szkła tworzywa pokryty był siatką cieniutkich linii, dziwnie regularnych i nie pozbawionych swoistego piękna, jak rzeźba, jak rysunek. Przetoczył ją lekko po stole w jedną stronę i drugą, potem ostukał zgiętym palcem. Dawała głuchy odgłos, najwyraźniej w środku była pusta. Jednym haustem wychylił wódkę i postukał teraz krawędzią kieliszka. Głos był dźwięczny i czysty. Co do licha? Podniósł ją pod światło i omal nie krzyknął ze zdziwienia. Była ciepła, prawie gorąca, a we wnętrzu, poprzez ciemne ścianki dostrzec można było jakiś ruch płynny, leniwy, pełny jakichś drżących iskrzeń, ciągły.

Zapalił papierosa podpierając dziwny przedmiot kuflem od piwa, by przypadkowo nie stoczył się na podłogę. Co też to może być? Na pływak sieciowy nie wygląda. A może to jakaś zabawka? Mało to rzeczy zmywa sztorm z pokładu? Już za trzy minuty dziesiąta, czas spać. Spojrzał na wiszący na ścianie staroświecki zegar z ciężarkami. Rzeczywiście! Dokładnie za trzy minuty dziesiąta. Skąd tak dokładnie wiedział? Mógłby przysiąc, że nie patrzył przedtem na zegar. Ten pijany mężczyzna przy bufecie zaraz zwlecze się z wysokiego stołka i pójdzie do ustępu, tuż za załomem ściany, tam gdzie niebieskie drzwi. Dlaczego akurat niebieskie? Stąd ich przecież nie widać, a nigdy tu nie był. Zdziwiony wetknął tę niby butelkę w kieszeń i podszedł do kontuaru. Marynarz właśnie zataczając się zmierzał ku drzwiom ustępu. Niebieskim drzwiom. Pożegnał się i odprowadzany zdziwionym wzrokiem kelnera szybko wyszedł z knajpy.

Zaczęło się dziać coś dziwnego. Zniknęło gdzieś zmęczenie, wyprostowały się plecy. Było mu dobrze i lekko. Po jednej wódce i kuflu piwa? Wychodząc z hoteliku dokładnie zapamiętał jego położenie, by trafić tam później bez rozpytywania o drogę. Teraz szedł nie rozglądając się, pewny drogi, jakby mieszkał tu stale i setki razy ją przemierzał.

W obskurnej, brudnej salce przysiadł na swoim łóżku i nie bawiąc się w oglądanie, zwłaszcza, że spod okna śledziły go uważnie oczy jakiegoś podejrzanego typu, wepchnął znaleziony przedmiot głęboko do worka i mocno zasznurował go. Teraz uspokojony zdjął przemoczone buty i rozciągnął się na kocu. Nie ulegało wątpliwości, że znalazł coś cennego - ale co? Wzdrygnął się nagle, jakby owiał go zimny

wiatr. Sprzedać? Za nic na świecie! To podarunek morza i nie jest na sprzedaż. Tam, gdzie jedzie, nie ma morza, nie ma nawet jeziora ani rzeki i to oraz butelka ze stateczkiem będą mu jedynym wspomnieniem.

Nawet nie wiedział, kiedy usnął. Obudził się z wrażeniem, że ktoś go wzywa. Usiadł na łóżku i rozejrzał się. Na sali było prawie zupełnie ciemno. Jedyne mżący od okna daleki blask pozwalał dostrzec zamazane kontury łóżek. Zewsząd dochodziło chrapanie i posapywanie śpiących. Wychylił się lekko i popatrzył na miejsce, gdzie stał jego marynarski worek.

Omam nie krzyknął ze zdumienia. Poprzez dziureczki szwów i zasznurowanie sączył się widmowy blask, Cicho, by nie zbudzić nikogo, przyciągnął worek ku sobie i drżącymi rękami rozsypał węzeł. Spośród wciśniętych w nieładzie koszul wystawała szyjka znalezionej butelki promieniując migotliwym, intensywnym światłem. Na sali zrobiło się nieco jaśniej.

Gorączkowo zawiązał worek i założywszy w pośpiechu buty, na palcach opuścił salę. Zdziwionemu i zasnemu portierowi wyjaśnił, że właśnie za godzinę ma pociąg - i już był na ulicy. Gdzie teraz? Dlaczego uciekł z hotelu? Przecież nocleg miał opłacony do rana, a pociąg odchodzi dopiero za cztery godziny i czterdzieści minut. Za ile? Skąd to dokładne określenie czasu? Nie ma zegarka i nie może wiedzieć, która jest godzina. Trudno. Do hotelu już nie wróci, tu za rogiem jest park i tam na jakiejś ławce doczeka świtu.

Przerzucił worek przez ramię i ruszył lekkim krokiem. W parku znalazł sobie ukrytą w gąszczu ławeczkę, na której mógł usiąść i spokojnie wszystko przemyśleć. Z worka w dalszym ciągu prześwitywało, jakby miał tam co najmniej zapalony reflektor. Od miasta dochodził przytłumiony odległością szum, tu było cicho i ciepło. Tak! Pomimo chłodnej, jesiennej nocy tu było ciepło. Wydawało mu się, był prawie pewien, że źródłem ciepła jest tajemnicza butelka, choć worek, gdy go dotknął dłonią, był zupełnie zimny.

Poczuł nieodpartą chęć rzucenia raz jeszcze okiem na dziwny przedmiot. Rozsupłał węzeł i ostrożnie wydobyl butelkę. Od razu zrobiło się jasno. Pomimo blasku jaki od niej bił, sama butelka była ciemna. Zaczynało świecić powietrze dopiero jakieś trzy centymetry od ścianki. Położył butelkę na murawie obok ławki i wtedy stała się rzecz nieoczekiwana: drgnęła i powoli, jakby z wahaniem, ustawiła się pionowo cienką szyjką do dołu, a potem zaczęła wirować wokół własnej osi. Zrazu wolno, potem szybciej, szybciej, aż ruch stał się niedostrzegalny. Jednocześnie zaczęła z niej płynąć cicha melodia, jakaś powtarzająca się fraza. Pochylił się niżej osuwając się prawie na kolana. Przed oczami zaczęły przelatywać czerwone płaty, płuca spazmatycznie wciągały coraz cieplejsze powietrze.

Nie było już morza. Nie było wspomnień. Nawet starość gdzieś odeszła. Był tylko wirujący przedmiot, złocisty teraz, zmieniający barwę od dołu na soczysty brąz, i... obrazy.

Jakaś nieskończona przestrzeń i cienie dwu niebieskich słońc - i ta melodia. Ta powtarzająca się fraza, przejmująca, smutna.

Nie mierzył czasu. Nie czuł jego upływu. Trwał wpatrzony w wirujący przedmiot. Do jego świadomości nie docierał sens widziadeł; melodia pieściła uszy, coraz ciężiej robiło się na sercu, coraz smutniej. Ktoś wzywał pomocy. Obraz zamglił się, zszarzał i nagle eksplodował błękitem oceanu. Jakieś zarysy na niebieskim tle... coś znajomego. Mapa? Nie! Przecież wyraźnie dostrzega biały kilwater statku prującego rozkołysaną toń.

Coraz bliżej... bliżej... już wie! Poznał! To Bermudy! Jeszcze bliżej... Już odróżnia szczegóły. Spada w sam środek bermudzkiego trójkąta. Na pomoc! Czuje na twarzy pęd i żar. Płoną osłony gwiazdolotu. Tam w dole śmierć! Trzeba dać sygnał mieszkańcom tego globu! Za wszelką cenę, za cenę życia. Krótki błysk i zagadkowy przedmiot wiruje coraz wolniej, wreszcie bezwładnie opada na murawę i nieruchomieje.

Ocknął się z transu. Wstał z klęczek otrzepując spodnie. W uszach miał jeszcze przejmującą

melodię... Prośbę? Żądanie? Potrząsnął głową. Był zupełnie wytrącony z równowagi, choć już prawie wiedział. Jakież dalekie skojarzenia. Butelka z listem rozbitka powierzona morzu. Ktoś zginął... A może ktoś czeka na pomoc?

Gorączkowo wcisnął niby butelkę w głąb worka. Pociąg ma za czterdzieści minut. Musi jechać, ma bilet w kieszeni. Tam na miejscu powtórzy seans i zadecyduje. Z kieszeni wydobył wybrudzoną paczkę tanich papierosów i łapczywie zaciągnął się gorzkim dymem. Wolno zasznurował worek i zarzuciwszy go na plecy ruszył w kierunku dworca kolejowego.

Miasto budziło się. A może wcale nie spało? Pustymi o tej porze ulicami z rzadka przejechał samochód pełen butelek mleka. Ostatni zamiatacze ospale ciągnęli swoje wózki, wciąż migotały nie oglądane teraz przez nikogo neony. Tylko port jak zwykle nie spał... nie zasypiał nigdy. Wyczulonym uchem marynarza rejestrował skrzyp dźwigów, buczenie holowników.

Gdzieś w głębi świadomości zapaliło się czerwone światło. Nie zdąży! Pociąg za dwanaście minut, a do dworca spory kawałek drogi. Przyspieszył kroku. W alei prowadzącej do dworca puścił się biegiem. Serce podchodziło do gardła, brak tchu. Szybciej!

Kiedy wbiegł na peron, pociąg już ruszył. Worek zsunął mu się z ramienia, włókł go za sobą, biegnąc. Jeszcze miał nadzieję, jeszcze wierzył. Ostatni wagon. Jeszcze jeden wysiłek. Skok. Błysk.

Nie czuł bólu. Powoli zapadał się w ciemność świadom, że tak nie może się skończyć. Tam... ktoś... czeka... na... pomoc...

Zbiegli się ludzie. Rosły policjant rozgarnawszy gapiów pochylił się nad torami i zaklął dosadnie. Koła pociągu przeszły dokładnie w połowie ciała i marynarskiego worka. Z worka wysypały się czyste koszule... zdjęcia skąpo ubranych dziewcząt. Tuż obok, w okruchach zielonkawego tworzywa leżały szczątki butelki nie-butelki i jakieś poszarpane, błyszczące druciki czy cewki. Odrzucona na bok, daszkiem dotykając rozszerzającej się kałuży krwi leżała porządna, czysta czapka z haftowanym otokiem.

Zbigniew Prostak - KOSMICZNA BALLADA

Potężny grzmot rozdarł ciszę letniego wieczoru. Przetoczył się ogłuszającą falą nad dachami miasteczka, targnął koronami stuletnich dębów i umknął słabnącym echem w bezdroża pól.

Jak ramiona znużonej kochanki rozchyliły się kratownice wsporników i smukła rakietą wolno ruszyła ku górze. Ciemność rozplątana białym, oślepiającym płomieniem kłębiła się jeszcze w baniach dymu, a już wyrastać zaczęła z niej igła blasku unosząca w nieboskłon ludzką myśl.

Jeszcze tylko żarzyła się wiśniowo plama żaru na platformie startowej, jeszcze kładł się poziomo nad chmurami koralikowy pierścień dysz... I cisza wróciła nad kosmodrom i ciemność.

Tylko w bunkrze kierownictwa lotów ekrany monitorów roboczych grały feerią światła. Pochylały się czujnie sylwetki nad pulpitemi pełnymi pulsujących świetlików i w słuchawkach narastał szum. To do człowieka mówiły gwiazdy, to mówił Kosmos.

A człowiek zamknięty w ceramitowej skorupie Kosmolotu zdziwił się i przestraszył. On. Pan Wszelkiego Stworzenia, Władca Globu poczuł się nagle mały i słaby. Patrzył na oddalającą się Ojczystą Planetę i dziwił się niepomniernie. Ziemi Glob pod nim wirował majestatycznie i obojętnie, jak gdyby jego lądów nigdy nie dotknęła stopa ludzka.

Jakże małe i nieważne są z tej odległości sprawy ludzi. Nie widać stąd wybuchów bomb, nie słychać jęków ginących, fanfar zwycięzców ni próśb zwyciężonych, i choćby wyteżał aż do bólu oczy, choćby uciekał się do pomocy potężnych teleskopów, nie widać na Błękitnej Planecie linii zwanych Państwowymi Granicami. A może to sen? Może wcale nie ma ludzi, świata, globu? Jest sam, i rakietą i pęd?

A na Pacyfiku błękitne fale obmywają złociste atole. W głębinach raf koralowych tętni kolorowe życie. Wiatr pachnący oceanem, upajający jak stare wino gnie smukłe czubki palm. i motyl przysiadł na ustach kwiatu i słońce jest, i ciepło. Na lazurowej czaszy nieba zawisł nieruchomy cień albatrosa i żółw wolno czołgał się po plaży znacząc wilgotny ślad.

Na ekranach rakiety tkwi nieporuszenie czerń kosmicznej pustki i wbite w nią ćwieki gwiazd. Księżyc rozdęty w cętkach meteorytowej ospy, zimny i wrogi. Mgiełki odległych galaktyk, poświata Drogi Mlecznej i maleńkie tarczki Błądzących. Umilkły już silniki, stygną z drzeniem wygasłe dysze i mróz - Władca Kosmosu zaciska lodowate dłonie na pancerzu Kosmolotu. Bezgłośnie drgają wskaźniki pokładowych przyrządów i skuszona brakiem ciężenia fruwa nad głową zapomniana książka.

Szumia w Tatrach ciemnozielone smreki i halny buszuje po połoninach. Białe plamy owczych stad i szczekanie psów. Zapach skoszonego siana ściele się na halach przemieszany z wonią butwiejących liści i igliwia ciągnących od boru. Zapada czerwone słońce za postrzępione grzbiety gór, echo niesie perlisty dźwięk dzwonek i daleki gwizd lokomotywy. Kończy się letni, pracowity dzień.

Człowiek zakuty w zbroję dwudziestego wieku, kosmiczny skafander, w kokonie rakiety przemierza międzyplanetarne szlaki. Twardy, zdecydowany na wszystko. Gna Go nieposkromiona ciekawość. Tak jak jego przodkowie musieli przekonać się co kryje za sobą wysoka góra, szerokie morze, tak i On musi postawić stopę na pustynnym kontynencie Marsa lub gorącej, mrocznej powierzchni Wenus. Musi! Bo jest

Człowiekiem... bo żyje.

Warczą na polach traktory i jak przed wiekami wrony kroczą po czarnych, tłustych skibach. Nad potokami, na rosochatych wierzbach zielenieją pierwsze, wiosenne listki i srebrne, aksamitne kuleczki bazi kłaniają się słońcu i wiośnie. Ziemia czeka na ziarno, ludzie na chleb. Na dachach wiejskich domostw las telewizyjnych anten, w oknach światło. Śmiech dziewcząt i szepty w zapadającym mroku. Smak pierwszych pocałunków.

Olbrzymie czasie radiolokatorów czujnie omiatają przestrzeń wkoło rakiety. Ich uwadze nie ujdzie nawet najmniejszy okruch materii mogący zagrozić ceramitowemu pociskowi. Drzemią w groźniej gotowości ryjki dezintegratorów. Wirują odwiecznym ruchem bryły globów, pyłki w bezmiarze galaktycznej pustki. Niezmiennie w odczuciu naszego czasu, trwające mgnienie oka w skali Wszechświata. Czymże jest wobec nich człowiek?

Indianin z nad Rio Negro podniósł do ust kokosowy orzech. Rzeka toczy swoje ciemne wody, pełne życia zakłętego w ostrych zębach piranii i zielonych łuskach kajmana. Z głębi interioru niesie głuchy głos bębna, wre walka o byt. Ochryple pohukiwania papug i wrzaski małp. Opętańczo grzechocze grzechotka szamana, klaskają bosc stopy w rytualnym tańcu... Bogowie niech dadzą łup. Życie to pokarm... Pokarm to walka. Obłąd lian, szaleństwo egzystencji i zgniły zapach orchidei...

Szarpnęło rakieta. To przemówiły dysze. Rozpłatały pustkę bezgłośnym rakiem odrzutu. Na mgnienie oka rozjarzyły mroźną ciemność. Człowiek położył dłonie na przekładniach manewrowych. Uspokajająco drgały światełka na tablicy. Wszystko w porządku. Przecieków nie ma, promieniowanie w normie. Wszystko w porządku. Odpiął pasy zabezpieczające i popłynął ku wyjściu. Czas na posiłek.

A po spopielonej, spalonej żarem słońca pustyni wlecze się garstka ludzi. Ludzi zjaw, ludzi upiorów. Ciągnie się za nimi długa linia wykropkowana padliną, zwłokami bawołów, psów i ich właścicieli. Już nie płaczą na wpół żywe dzieci i nie ma już pokarmu w piersiach kobiet. Oślepyły oczy, ze spieczonych warg nie wydobędzie się już skarga. Jeść!... Wody?...

Chwała Ci, Ludzkości co myślą sięgasz gwiazd stopami tkwiąc w głodzie i krwi...

Marek Rustecki - KONTAKT

Budził się powoli.

Najpierw zaczynał działać słuch. W uszy wpadały znajome, uspokajające dźwięki. Ciche mruczenie klimatyzacji, urywane sygnały namiarów.

Potem włączył się wzrok. Oczy dostrzegły znajome owale ekranów kontrolnych, pulpity sterownicze. Przełączniki i przyciski, wykresy obrazujące przebytą drogę. Dawno nie widziane, a przecież znajome twarze. Wreszcie całe pomieszczenie - przytulne i funkcjonalne, uwzględniające indywidualne gusty właścicieli. Ich dom.

Wtedy zaczął działać zmysł dotyku. Skóra odczuwała delikatny, a jednak nieprzyjemny materiał. Ich ubrania. Niby normalne, codzienne, a przecież inne. Ciasno opinające ciała, przylegające niby naturalna skóra. Ubrania, jakich nie noszono na Ziemi. Na Ziemi?...

To budziły się wreszcie umysły. Krążyły myśli. Zaczynała wracać pamięć wydarzeń.

Wzrok, słuch i dotyk przypominały. Teraz zupełnie już jasno zdawali sobie sprawę z sytuacji. Nie są na Ziemi, nie znajdują się nawet w Układzie Słonecznym.

Rodzinną planetę opuścili przed dziesiątkami lat. Ich domem jest teraz "Kortez". Wspaniałe dzieło ludzkich rąk. Wszystko, co najbardziej nowoczesne i najlepsze. Trud i najwyższy wysiłek Ziemi włożony w zbudowanie i wyposażenie kosmicznego statku. Wysiłek, który musi się zwrócić!

- Od was zależy teraz wszystko - brzmiało im jeszcze w uszach ostatnie pożegnalne przemówienie. - Jak wiecie, wasza wyprawa ma odnaleźć źródło sygnałów, które od jakiegoś już czasu docierają na Ziemię. Rozbiór logiczny tych sygnałów wskazuje, że zawierają one informację. Przenoszą myśl. Oznacza to, że wysyła je rozumna cywilizacja. Waszym zadaniem jest odnaleźć ją i nawiązać kontakt. Pierwsze zetknięcie ludzi z rozumnymi istotami spoza Ziemi. Znajdujemy się w obliczu przełomowego momentu rozwoju naszej planety. Przed nami wielka szansa; szansa, która zależy tylko od was.

W takim stylu mówiono jeszcze długo. Im zaś przychodziło na myśl polecenie kierownika bazy kosmicznej - Macie odnaleźć obcą cywilizację, nawiązać kontakt, wykorzystać. Zebrać informacje na temat jej osiągnięć technicznych, jeśli można - zabrać najpożyteczniejsze urządzenia. Sami macie pokazać możliwie mało, najlepiej nic. Każda obca cywilizacja to konkurencja dla Ziemi. Może zagrożenie jej bytu. Dlatego rozwój myśli i techniki naszej planety musi przodować. Dlatego macie brać nie dając nic. To jest prawdziwe zadanie waszego lotu, waszej misji.

O tym myśleli słuchając ostatnich, napuszonych przemówień i pożegnań. Czuli niesmak i pogardę. Ich wielka przygoda, ich misja - brudnym przedsięwzięciem.

A jednak lecieli. Zostawili swe życie i rodziny, swą młodość i nadzieję. Marzenia o zwykłym, ludzkim szczęściu. Lecieli.

Nie w imię kontaktu dwóch cywilizacji. Nie trafiły też do nich słowa kierownika bazy kosmicznej. Lecieli aby zrealizować odwieczne marzenia ludzkości. Ludzkości i swoje.

Oderwać się od Ziemi. Wciąż dalej i dalej. Zobaczyć, dotknąć, poznać. Odwieczny pęd. Odwieczny głód poznania, ciekawość nowego. Dlatego zgodzili się na dobrowolne wygnanie z rodzinnej planety.

Dlatego dali się zamknąć za pancierzem "Kortez". W ich nowym domu, w ich więzieniu. W narzędziu realizacji ich marzeń.

Start przebiegł zgodnie z planem. "Kortez" lekko unióśł się z Ziemi, jakby jego olbrzymia masa nie miała żadnego znaczenia. Cudowny statek, nie zawiedzie. Wytrzyma trudy długotrwałego lotu. Byli pełni nadziei.

Kolejno pełnili wachty. Po raz któryś z rzędu kontrolowali urządzenia pokładowe. Wreszcie, po opuszczeniu Układu Słonecznego dowódca dał znak. Czas udać się na spoczynek. Na długi sen do hibernatorów. Odtąd statek będą prowadziły automaty. "Kortez" będzie leciał kierowany namiarami na sygnały wysyłane przez obcą cywilizację. Będzie leciał cicho, pozornie wyludniony i martwy. Jak długo potrwa ten lot - nie wiedzieli.

Program przewidywał, że po doprowadzeniu statku do celu automaty obudzą ich.

- Kontakt muszą nawiązać ludzie - tak brzmiało jedno z poleceń. Więc posłusznie kładli się na posłanie z pola siłowego. Zасыпали. Ostatnią myślą każdego było: czy zdążą, czy jeszcze się obudzą? Czy ich lot będzie miał sens?

Hibernatory bowiem nie zatrzymywały całkowicie procesów życiowych. Czas biegł, wprawdzie wolno, lecz nieubłaganie. Z nim mijało życie śpiących ludzi.

Program przewidywał budzenie po osiągnięciu celu. Odległości nie znał nikt. Mogło się zdarzyć tak, że obca cywilizacja znajdować się będzie niezmiernie daleko. Wówczas do celu dolecały tylko trupy. Trupy ludzi, którzy "przespali swe życie" i nie zdążyli się obudzić. Których nie obudziły automaty rygorystycznie wykonujące program.

O tym myślał każdy, udając się do komory hibernatora. Sen. Czy nie będzie snem wiecznym?

Dlatego właśnie budzili się tak powoli. Ostrożnie, jakby z niedowierzaniem, nawiązywali kontakt z otoczeniem. Obudzili się! Są. Żyją. Mogło to oznaczać tylko jedno - dolatywali do celu swej wyprawy. Poznanie obcej cywilizacji było już bliskie!

Bez rozkazów zajmowali stanowiska. Kontrola urządzeń, wykresy przebytej drogi. Ostatnie przygotowania sprzętu kontaktowego. Znane, wyćwiczone czynności, które z powodzeniem mogły wykonać same automaty. Doprowadziły ich aż tu, dalej pewnie też potrafiłyby.

Ale rozkaz brzmiał - kontakt nawiążą ludzie. Dlatego sprawdzali, liczyli, szykowali sprzęt. Naprawdę chodziło o jedno - opanować się. Wyuczone, automatycznie wykonywane ruchy przynosiły spokój. Kończyły nerwy. Pozwalały naprawdę przygotować się do kontaktu, przygotować pod względem psychicznym.

Tymczasem urządzenia pokładowe statku wykryły najwyraźniej kierowaną wiązkę fal. "Kortez" tkwił w jej stożku. A więc już o nich wiedziano, obserwowano ich.

Wkrótce też nastąpiła pierwsza próba kontaktu. Automatowi udało się przechwycić część informacji i rozszyfrować ją.

Informacja zawierała symbole kwadratów i trójkątów, ciągi matematyczne. Baza dla tłumaczy. Obca planeta najwyraźniej sama chciała nawiązać kontakt. Była jednak za daleko. Obliczenia wykazały, że jeszcze dwadzieścia godzin lotu.

Cieszyli się. Ich trud nie poszedł na marne. Długie lata hibernacji miały sens. Doczekali się!

Najpierw nawiążą wyraźną łączność radiową. Potem lądowanie. Wreszcie program badawczy. Jaki program - woleli nie myśleć. Wiedzieli jedno, to będzie poznanie, zbliżenie dwóch cywilizacji, a nie zadanie sugerowane im przez kierownika bazy kosmicznej.

Dowódca "Kortez" nakazał udanie się na spoczynek. Usłuchali. Sen jednak nie nadchodził. Oni, którzy godzili się czekać wiele długich lat, nie mając pewności sukcesu, nie mogli się teraz uspokoić. Ogarnęła ich dziwna gorączka i niecierpliwość. Każda z dwudziestu godzin oczekiwania dłużyła się bez końca.

Tak długo wyczekiwany kontakt. Już nawiązywany, a jeszcze nie w pełni osiągnięty. Długich dwadzieścia godzin. Co ich czeka? Czy przyjazne spotkanie, czy też sygnały obcej cywilizacji miały ich wciągnąć w zasadzkę?

Zgadząc się na lot ryzykowali całym życiem. Wiedzieli, że mogą się nigdy nie obudzić. Groźba ta była jednak mglista i nieuchwytna. Teraz niebezpieczeństwo mogło być bliskie, i namacalne. Być tak blisko celu i zginąć nie osiągnąwszy nic? Co ich spotka? Długie dwadzieścia godzin. Godzin pełnych nadziei, niepokoju, oczekiwania.

Wreszcie "Kortez" zbliżył się do planety. Jego urządzenia mogły zapewnić w tej odległości pełną wymianę informacji z obcymi.

- Nadeszła uroczysta chwila - oznajmił dowódca statku. - Dzisiaj nawiążemy pełny kontakt z obcą cywilizacją. Pierwszy kontakt ludzi z Ziemi z obcą rasą. Uczcijmy ten moment dawno już nie kultywowanym obyczajem naszych przodków.

Brzęknęły w toaście kielichy szampana.

- Zaczynamy! - oznajmił dowódca i przesunął dźwignię rozrzędu.

Na ekranie ukazał się obraz kulistej planety, Morza i lądy, góry. Światła wielkich miast. Obcy, a przecież jakby znajomy kształt. Przyglądali się długo. Stopniowo początkowy niepokój ustępował zdumieniu. Wreszcie pojęli - obca planeta przypominała im Ziemię.

Poczuł się rażniej. Dobry znak. Spokojniej zaczęli wykonywać przewidziane programem czynności.

Najpierw informacja. Kilka krótkich sygnałów. Chwila oczekiwania na ich rozszyfrowanie. W końcu rozległ się głos mechanicznego tłumacza. Pierwsza pełna informacja, pierwszej napotkanej przez ludzi obcej cywilizacji.

- Planeta Ziemia wita przybyszów - rozległy się uroczyście wygłaszane słowa. - Jesteście pierwszymi przybyszami z kosmosu, z którymi Ziemia nawiąże kontakt. Cieszymy się z waszego przylotu.

Załoga "Korteza" oniemiała. Z przerażeniem patrzono na siebie. Pierwszy opanował się dowódca.

- Czy wykresy przebytej drogi już zanalizowane? - zapytał. W odpowiedzi na ekranie monitora wyświetlił się schemat przebytej trasy.

Pętla! Pętla wychodząca z Ziemi i na niej się kończąca. Ślad sygnałów z kosmosu. Tych samych sygnałów, które wyszedłszy z Ziemi, z niepojętych przyczyn, zatoczyły olbrzymi krąg w pustce kosmicznej. A potem, mocno zniekształcone, wracały na Ziemię i były na niej poczytywane za sygnały obcej cywilizacji.

Teraz zrozumieli, dlaczego obraz obcej planety wydał się znajomy. To była Ziemia! Zatoczyli w kosmosie olbrzymi krąg i wrócili do punktu wyjścia.

Nie odkryli nic. Nie nawiązali kontaktu z obcą cywilizacją. Ich wysiłek i trud poszedł na marne. Długie lata hibernacji. Niepokój, czy obudzą się do działania. Utrata ojczyzny i bliskich. Stracone życie. Wszystko, wszystko poszło na marne. Ich lot nie miał żadnego sensu. Głód poznania. Ich marzenia. Nadzieje na sławę po wsze czasy.

Ogarnęło ich obojętniające przygnębienie. Tępa obojętność. Oto postawili na jedną kartę całe swe życie. Zaryzykowali wszystko w imię wielkiego celu. Co osiągnęli? Udręki długiego lotu, po to aby wrócić bez niczego na Ziemię. Na planetę, która ich zrodziła, wychowała i ukształtowała. Która sprawiła, że są właśnie tacy. Że zaryzykowali i przegrali.

To ona, Ziemia, była przyczyną! To ona stworzyła model życia preferujący poznanie. To ona rozbudziła ich marzenia. Ona była winna!

Jeśli nie miał sensu ich lot, nie ma go także ludzka cywilizacja.

Ogarnął ich ślepy gniew. Ich życie było skończone. Niech zginie także przyczyna ich klęski. Przyczyna

kłeski i jej świadek.

Skoczyli do anihilatorów. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim, po Ziemi.

- Stać! - rozległ się dobrze znany głos. Głos tylekroć wydający rozkazy, którego przywykli słuchać.

To dowódca.

Nie, to jeden z nich. Tak samo oszukany. Lot się już skończył, skończyło się ich życie, skończyła władza dowódcy. Już nikt nie ma prawa im rozkazywać! Tym razem nie usłuchają, nie zatrzymają się.

Zobaczyli nagle, że wyciągnął miotacz.

- Stać - powtórzył.

Nie usłuchali. Ślepo, bezmyślnie, jak oszalałe zwierzęta. Nie kryjąc się skoczyli na niego. Bez broni. Wówczas nacisnął spust.

Tymczasem na Ziemi od pewnego już czasu obserwowano zbliżający się statek kosmiczny. Usiłowano nawiązać z nim kontakt radiowy.

Statek był coraz bliżej. Rosła pewność bezpośredniego spotkania obcych, i wtedy nastąpił wybuch. Oślepiający błysk. Statek znikł.

- Prawdopodobnie zderzenie z meteorytem - wysnuł przypuszczenie kierownik bazy kosmicznej. - Ziemia straciła swą wielką, być może niepowtarzalną już szansę!

Jacek Rodek, Darosław J. Toruń - JEDYNY PRAWDZIWY

Przed odlotem mówili, dużo mówili. Zbliżali swoje twarze, ubrane w ciepło-pokrzepiające uśmiechy, ściskali mi ręce, klepali po plecach. Moja twarz była wszędzie, w telewizji, w gazetach. Reportaże. Nasz bohater przy śniadaniu. Odpoczywa. Trenuje. Przedstawiamy rozkład dnia człowieka, który resztę swoich dni poświęcił... Pławiłem się w tej powodzi pochlebstw i zachwyków. Obnosiłem swoją wspaniałość przed ich oczami. Wybrany. Jedyne z piętnastu miliardów. Stalowe nerwy. Ogromna wiedza. Niezniszczalne ciało. Błyskotliwa inteligencja. Było mi to potrzebne. Musiałem, uwierzyć, że zdołam wszystko wytrzymać, wybrnąć z każdej sytuacji. Uwierzyć, że nie złamię mnie lata spędzone samotnie w Kosmosie, i że będę mógł żyć na tej Ziemi, którą zastanę po powrocie. Teraz mam nieco więcej lat i już nie udaję bohatera. Właściwie nie rozczarowałem się sobą. Więcej - sędzę, że ci, którzy wystawili mi pomnik za życia powiedzieliby, iż tam, w zimnym i obcym Kosmosie, spełniłem wszelkie pokładane we mnie nadzieje. Tylko, że teraz nie jestem w zimnym i obcym Kosmosie. Wróciłem i cały mój niezłomny charakter mogę spuścić z wodą w klozecie. Jeszcze próbuję. Myślę: przyzwyczałem się. Mówię: uwierzyłem, że oni są tacy sami, że to są ludzie. Ale wiem, że wszelkie wysiłki są niepotrzebne. Coraz trudniej mi zdusić w sobie wstręt. Coraz częściej mam ochotę wyjść na ulicę i krzyknąć, że ten świat jest jedną wielką bzdurą, że oni nie mają prawa nazywać siebie ludźmi.

- Kelner!

Idzie ku mnie, przemykając się z wprawą między stolikami.

- Słucham pana.

Patrzy wyczekująco. Służbowy uśmiech. Typowy. Czy to byłoby przestępstwo, gdybym rozpruł mu brzuch i sprawdził co ma w środku? Jeżeli automat zdenerwuje cię i rozbijesz go młotkiem w drobny mak, to jedynym przewinieniem, które popełniłeś jest sprzeniewierzenie się zdrowemu rozsądkowi, bo automat kosztuje. Ten kelner mnie nic nie kosztował.

- Jeszcze raz to samo.

- Whisky?

- Taak... To chyba jest prawdziwa whisky, chociaż nie wiem jak to możliwe.

- Nie rozumiem pana.

- Nie musisz. Ruszaj się.

Przed odlotem pompowali mnie wiarą w moje możliwości. Przedstawiono mi analizy setek testów, którym byłem poddawany. Komentarz był niezmienny. Urosłem w swoich oczach tak bardzo, iż absolutne milczenie otaczające sprawę ustalenia hipotetycznych warunków, w jakich będę żył po powrocie na Ziemię, wydało mi się przeoczeniem niegodnym uwagi. Na kilka dni przed startem przyszedł do mnie szef zespołu psychologów, człowiek, z którym byłem wtedy bardzo zaprzyjaźniony.

- Słuchaj - powiedział - zauważyłeś już pewnie, że twój program szkolenia jest... hm... niepełny.

Dość gwałtownie podniosłem się z tapczanu. Byłem przemęczony szkoleniami, testami, udzielaniem

wywiadów i wizja dodatkowej pracy nad uzupełnianiem jakiejś luki, która dotychczas wymykała się uwadze wszystkich, wydała mi się niezbyt zachęcająca. Ostatnie dni miałem spędzić na odpoczynku, wreszcie uwolniony od tego wszystkiego, co było moją codziennością od blisko półtora roku.

- Niepełny? W jakim sensie?

Musiałem wyglądać na zaniepokojonego, gdyż uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie skacz. Przeszedłeś już wszystko, co było w planie - zawahał się - a to, że nie wszystko wzięto pod uwagę, też było założone z góry.

- Jaśniej, z łaski swojej. Patrzył na mnie uważnie.

- Twój powrót na Ziemię i to, co będzie potem.

To zabawne, ale wtedy poczułem, że kamień spadł mi z serca. Machnąłem ręką, powiedziałem: "Aaa, to" - i położyłem się z powrotem. On był jednak mądrzejszy ode mnie.

- Sądzę, że powinieneś się tym bardziej przejmować. - powiedział.

- Kochany, wiem, do czasu mego powrotu na Ziemię upłynie kilka, kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt tysięcy lat. Ludzie będą mądrzy mądrością dla nas niewyobrażalną - zaśmiałem się. - Pokładam w niej nadzieję. Najwyżej zamkną mnie w jakimś rezerwacie i wreszcie będę mógł robić to, na co mam ochotę. Jemu nie wydało się to tak zabawne.

- Mój powrót - mówiłem - wydaje mi się sprawą tak odległą, że - wierz mi - nie potrafię się tym martwić. Nawet jeśli nie będę potrafił porozumieć się z nimi, jednak będą to ludzie, i będę miał Ziemię, z trawą, drzewami, niebieskim niebem. To mi wystarczy. Znacznie bardziej przerażający wydaje mi się Kosmos z jego zielonymi diabełkami, które wyskakują w najbardziej nieodpowiednim momencie. Dwadzieścia lat, kiedy będę na chodzie i jeszcze prawie dwieście w hibernacji. Nie, naprawdę nie potrafię bać się Ziemi i ludzi.

Tak mu wtedy mówiłem. Teraz patrzę na faceta, który siedzi przy stoliku obok mojego. Ślini się na widok ud swojej towarzyszkii. Między jednym a drugim łykiem kawy rozbiera ją wzrokiem po pięć razy, Cóż bardziej ludzkiego? Właśnie. Ten facet za bardzo się poci, a ta dziewczyna ma zbyt ładne uda. Zbliży się kelner. Postawi szklanke na stoliku i schylając się lekko, spyta czy nie potrzebuję czegoś jeszcze.

- Czy podać coś jeszcze?

- Zjeżdżaj.

Patrząc na jego plecy przypomniałem sobie, co można zrobić z takimi ładnymi nogami jakie ma ta dziewczyna. Odwróciłem się do sąsiedniego stolika.

- Dziewczyno o zbyt ładnych udach! Spojrzeli na mnie. Miała również zbyt ładne oczy.

- Już wiesz, kim jestem? - spytałem. Facet przestraszył się na wszelki wypadek.

- Dziewczyno o zbyt ładnych oczach - powiedziałem - zostaw tego antropoida. Mam bardzo mało czasu, a chcę uwierzyć, że jesteś prawdziwa.

Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy pojawił się niepokój. O Ziemi myślałem właściwie cały czas, od momentu pierwszego przebudzenia, przez wszystkie kolejne okresy jawy. Na jej obraz składały się wtedy wyłącznie wspomnienia. Utrwalone w pamięci twarze, sytuacje, krajobrazy towarzyszyły mi wszędzie, gdzie leciałem. Tęskniłem. Przedtem nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tęsknota może tak dokuczyć. Ale to była tęsknota dobra, równoważona przez nadzieję. Mówiłem sobie, że gdzieś tam, kilkadziesiąt lat świetlnych ode mnie, jest wszystko -. trawa, drzewa, niebieskie niebo, i ludzie. To wszystko czeka na mnie, zmienia się, rozwija, ale czeka. Wystarczy tylko wrócić. Toteż starałem się jak mogłem najlepiej. Na tych wszystkich planetach, na których lądowałem, działałem bezbłędnie. Z maksimum bezpieczeństwa. Jak automat. Żeby wrócić. A niepokój pojawił się dopiero po ostatnim przebudzeniu, już w granicach Układu Słonecznego. Pojawił się, gdy na ekranie penetratora nie znalazłem Ziemi, a automaty stwierdziły, iż nie mogą złapać jej namiaru.

Ta dziewczyna siedzi koło mnie. Odwrócona bokiem do stolika wystawia pod mój wzrok odkryte nogi.

- Pan jest kosmonautą? - pyta.

Kiedyś byłem kosmonautą. To ją nic nie obchodzi.

- Dla ciebie jestem bogiem, Dostyć nędznym zresztą.

- Jak to? - spytała zdziwiona.

- Zdziwiłaś się zupełnie naturalnie. To miłe. Tak powinno wyglądać zdziwienie u człowieka.

Ciągle była prawdziwa.

- Pana zaskoczyło, że zdziwiłam się jak człowiek? A jak powinnam?

- W ogóle nie powinnaś.

- Co za idiotyzmy! - zezłościła się.

Uda skryły się pod blat stolika, a ja bardzo chciałem uwierzyć, że jestem na mojej Ziemi.

- Niech mi pan lepiej opowie jakąś swoją przygodę z Kosmosu.

- Dobrze, niech będzie przygoda. Kiedyś poleciałem do szczęsiennej gwiazdy. Miała dwie planety. Na jednej żyły inteligentna zielone żabki. Wytlukłem je, bo mi się nie podobały. Na drugiej mieszkały straszne potwory o czterech głowach ziejących keczupem i kilkuset łapach. Czerwono-niebieskie. Nawet ładne. Ale wytlukły mnie, bo ja im się nie podobałem.

- Wie pan co? - powiedziała - Zaczynam żałować, że się do pana przysiadłam.

- Kiedyś poleciałem na planetę, której nie było. Ale w zamian uciałem sobie pogawędkę. Potem zapragnąłem ją mieć i planeta się stała. Teraz jestem na niej jedynym prawdziwym. Małym, nie rozpoznanym wszechmogącym. Wszystko, co mogę, to wtrącić ją z powrotem w niebyt, i to razem ze sobą.

Gdy przyszedł ten głos byłem już opętany strachem. Między Merkurym a Jowiszem była próżnia. Zamknięty w metalowym pudle leciałem w nią, a wraz ze mną szczątki rozniesionych w pył marzeń o Ziemi, i strach. Krzyczałem.

- Gdzie ona jest? - krzyczałem.

Wtedy przyszedł ten głos. Zawibrował w kabinie, okrążył mnie, wpłynął pod czaszkę.

- Ziemi nie ma.

Nie zdziwiłem się. Głos, po prostu. Może mi powie, gdzie jej szukać.

- Razem z Marsem i Wenus została anihilowana jako niepotrzebna.

Przyjąłem. Milczałem. Nie mogłem się odezwać, bo musiałbym wyc.

- Od czasu twego odlotu z Układu Słonecznego w tej części Kosmosu minęło ponad trzydzieści tysięcy ziemskich lat. W tym okresie społeczeństwo ludzkie przeszło wszystkie stadia rozwoju, dzielące je od tego najwyższego, które jest przeznaczeniem każdej cywilizacji - słowa rozlegały się we mnie, napływały jedno za drugim, układały się w zdania. Bez żadnej intonacji, drgnienia choćby najmniejszego, które by świadczyło, iż wyszły z ludzkich ust. Milczałem, ale zacząłem słuchać. Dobrze. Zamiast trawy, wiatru łapanego w koszulę, mam wykład. Nie wiadomo przez kogo, ani w jaki sposób prowadzony, i po co. Roześmiałem się najgłośniejszym jak mogłem i ten śmiech spłukał ze mnie strach. Ale tylko na chwilę.

- Kim jesteś? - spytałem. - Gdzie jest Ziemia? - Ziemia już nie istnieje. Została anihilowana. Jestem najwyższą postacią cywilizacji, jednolitą, ale powstałą z wielu elementów. Stanowiły one kiedyś społeczeństwa w Kosmosie. Między innymi społeczeństwo Ziemi.

Nie rozumiałem, powiedziałem:

- Wyjaśnij. Wszystko, od początku.

- Krótco po twoim odlocie - słowa zabrzmiały, wykład się zaczął, a ja przez moment zastanawiałem się, czy naprawdę chcę wiedzieć - ludzie przestali interesować się Kosmosem. Najbliższe otoczenie

Ziemi było zbadane, a loty dalekie, czy nawet takie jak twój, przestały być możliwe ze względu na ograniczoną długość życia ludzkiego. Śmiazków takich jak ty, którzy poświęciliby się całkowicie idei zbadania Kosmosu, było coraz mniej. A ci nawet, którzy byli, w większości nie spełniali koniecznych wymagań i lecieć nie mogli. Zwrócono więc uwagę w inną stronę. Postanowiono przedłużyć życie ludzkie tak bardzo, jak tylko jest to możliwe. ("Nieśmiertelność - pomyślałem - odwieczne marzenie.") Tak, celem było osiągnięcie nieśmiertelności i temu celowi podporządkowano wszelkie wysiłki. Początkowo błędnie przyjęto, że da się przedłużyć w nieskończoność życie pojedynczego osobnika. Szybko zrezygnowano. Było to niemożliwe, gdyż zdolność regeneracji komórek...

- Wiem - przerwałem. - Dalej.

- Dalej była metoda wegetatywnego rozmnażania. Stara, odkryta jeszcze na około sto lat przed twoim odlotem, polegała na pobieraniu od każdego człowieka zapasu komórek somatycznych, które na wypadek jego śmierci służyły do otrzymania dokładnej fizycznej kopii. Rejestrowano również całą informację, zawartą w mózgu osobnika pierwotnego, a po jego śmierci przekazywano kopii. W ten sposób osiągnięto ciągłość osobowości, wiedzy i doświadczeń. Jednak i ta metoda nie była drogą do osiągnięcia nieśmiertelności. Mózg człowieka...

- Wiem - przerwałem. - Ograniczona pojemność informacji. A ty jesteś formą następną i ostatnią?

- Tak. Nie można skasować części informacji zawartej w mózgu, jedynie całość, a to oznacza śmierć. Tak. Ja jestem formą następną i ostatnią. W końcu ludzie stwierdzili, że trzymając się formy materialnej, nieśmiertelności nie osiągną. Przedłużyli swoje życie przeszło stukrotnie, ale to nie była nieśmiertelność. Materia się starzeje. A więc uwolnili się od niej.

- Uwolnili się od formy materialnej... - powiedziałem - A więc kim ty jesteś? Żyjesz przecież.

- Nie żyję. Istnieję. Jestem formą energii, czystą informacją, jeśli wolisz. Powstałem ze zlania się informacji zawartej w mózgach poszczególnych ludzi i ich osobowości w jedną całość, i nie tylko ludzi, ale i setek innych społeczeństw, które osiągnęły taki stopień rozwoju jak Ziemia. Jako niematerialny, jestem wieczny. Rozpraszanie się energii, któremu podlegam, równoważone jest wchłanianiem silnych energetyczną nowych cywilizacji, przekraczających próg nieśmiertelności. Przetrwam poza kres Wszechświata.

- Po co?

- Kiedy wypali się do końca ostatnie słońce i ustanie wszelki ruch, będę ja. Będzie moja wiedza i moje możliwości.

Wtedy stworzę nowy Wszechświat i zasieję w nim życie. To jest cel i sens mojego istnienia.

A więc to tak. Czuję się podle, tak podle, jak tylko może czuć się człowiek, któremu odebrano całą nadzieję, wyrwano resztki złudzeń. Na ekranie widziałem Słońce. W tej chwili było dla mnie jedną z wielu gwiazd, niczym więcej. Nic mnie z nim nie łączyło, bo nie dawało już swego ciepła Ziemi. Słońce i czerń Kosmosu podziurawiona gwiazdami, i gdzieś tam, wokół statku, krążył, ten twór, bezosobowy, przerażający. Patrzyłem aż do bólu oczu, ale nic nie mogłem dostrzec. Tylko gwiazdy i niepotrzebne Słońce. Cienia żadnego nawet, wrażenia choćby. Nic.

Byłem pijany. Twarz dziewczyny rozmywała się. Mówiła coś, a ja się dziwiłem, że jej oczy są tak doskonale podrobione. Włączyłem zapalniczkę tuż przed nimi i źrenice zwęziły się. To bydlę złożone z samych myśli było jednak niezrównane. Nawet teraz go nie przyłapałem. Ale już wiedziałem co zrobić.

- Wiesz, co zrobię? - powiedziałem. - Wystrychnę tego nieśmiertelnego kukłoroba na dudka. Nie dostanie mnie. Nawet w charakterze energetycznego zasiłku.- Zabiję się. Jutro rano. Palnę sobie w łeb tak sprytnie, żeby nic z niego nie zostało - zaśmiałem się. - A potem ciebie, razem z twoim światem, diabli wezmą.

Patrzyła na mnie z uwagą. Pewnie zastanawiała się kiedy spadnę z krzesła.

- Ale przedtem - ciągnąłem - muszę jeszcze trochę pożyć. Chodźmy stąd. Podniosłem się ciężko. Złapałem ją za rękę i pociągnąłem do wyjścia. Wiedziałem jaka będzie odpowiedź nieśmiertelnego, ale musiałem zapytać.

- Co będzie ze mną?

- Twoja jaźń prędzej czy później zostanie wchłonięta przeze mnie. Jeśli chcesz stanie się to zaraz.

Dokładnie to, czego się spodziewałem, a przecież modliłem się, żeby tego nie usłyszeć. Dać się wchłonać znaczyło dla mnie więcej niż śmierć. Znaczyło stracić to, co miałem najcenniejszego - samego siebie, żyjąc nadal. A przecież ludzie kiedyś powiedzieli "tak". To musiał być jakiś straszny obłąd, jakieś zaćmienie musiało paść na ich umysły. Zniszczyli nie tylko wszystko, co ich łączyło z przeszłością, ale i zdradzili samych siebie, gdyż czym innym jest dobrowolne wyzbycie się własnej odrębności, możliwości powiedzenia o sobie "ja, jedyny, niepowtarzalny". Nieśmiertelność. To było imię tego obłądu. Ale dla mnie cena za nią ustalona była o wiele za wysoka. Wcale nie miałem ochoty się na nią godzić. Spytałem:

- Czy mogę nie chcieć? Odpowiadał ciągle z tym samym chłodem.

- Teraz możesz, ale nie możesz w ogóle. Mogę odtworzyć dla ciebie Ziemię wraz z jej mieszkańcami z dowolnego okresu jej historii. Na tej Ziemi będziesz żył aż do chwili, w której zdecydujesz się do mnie przyłączyć.

- Coś ty powiedział? - krzyknąłem.

Powtórzył, a we mnie rozkwitły wszystkie kwiaty. W tym momencie byłem szczęśliwy. Zamknąłem oczy i powiedziałem:

- Niech się stanie Ziemia.

Niemal go polubiłem. Zimny, bezosobowy twór, który był mi bardziej obcy niż wszystko, z czym się zetknąłem dotychczas, ale teraz jakby miłszy niż przedtem, - Będziesz ją miał. Do czasu oczywiście.

Niech będzie do czasu, byle była. Powiedziałem jeszcze, że chcę wrócić do epoki, w której się urodziłem i wychowałem, ale nie chcę niczego, co się łączyło ze mną na tamtej Ziemi. Przyjaciół, rodziny. Nic.

A potem zobaczyłem ją. Blisko, tuż pode mną. Błękitna, spowita chmurami, przez które prześwitywały zarysy kontynentów, przepływała powoli przed moimi oczami.

Chyba mu nawet dziękowałem, i nagle, patrząc na Ziemię, chłonąc ją oczyma, poczułem, że nie jest tak pięknie, jak się wydaje. Jakaś myśl. Błysnęła i znikła. Zostawiła jednak ślad, jakby ktoś stanął zabłoconym butem na czystej, gładkiej podłodze.

- A ci ludzie... tam, na dole... - zacząłem, nie bardzo wiedząc, jak chcę skończyć. - Czy są... prawdziwymi ludźmi?

Powiedział:

- Automat, czy sztuczny człowiek, jeżeli jest równie skomplikowany jak ten zrodzony z ojca i matki, jest człowiekiem prawdziwym.

Wraz z tymi słowami wpłynęła we mnie niechęć i wiedziałem, że nie będzie potrzebowała wiele czasu by stać się pogardą i wstrętem.

Już schodziłem do lądowania, gdy usłyszałem jego głos:

- Jesteś taki sam jak oni i oni są tacy sami jak ty. Materiał do eksperymentu.

Nie miałem czasu zastanawiać się wtedy co to znaczy, gdyż usłyszałem powitanie, potem namiary kosmodromu.

Po drodze do domu wytrzeźwiałem. Pamiętałem wszystko. Również, że po pijanemu wypowiedziałem wreszcie na głos to, - o czym od dawna myślałem. Ta dziewczyna nie zrozumiała. Nie mogła zrozumieć. Otworzyłem drzwi i wpuściłem ją. Poszedłem od razu do łazienki, by spłukać z siebie resztki alkoholu. Pod prysznicem zastanawiałem się, jak urządzić tę ostatnią noc, aby wypadła jak

najlepiej. Gdy wszedłem do pokoju dziewczyna siedziała na tapczanie i czytała gazetę.

- Popatrz co znalazłam - powiedziała. - Nic z tego nie rozumiem.

Usiadłem i spojrzałem ponad jej ramieniem. Nie powinienem był tego robić. Już z daleka widziałem przecież jaka to gazeta. Prasa na tej Ziemi była identyczna jak na mojej. Wyjątkiem była ta właśnie gazeta - tam najpopularniejsza popołudniówka, tutaj w ogóle nie istniała.

Patrzyłem skamieniały na pierwszą stronę i czułem, że rozpadam się po kawałeczku. Patrzyłem na swoje zdjęcie. Obwiedzione czarną ramką, i tłusty, czarny druk. Słowa wyskakiwały z papieru i eksplodowały w moim mózgu:

“Wczoraj, na oczach całej ludzkości, wybuchł przy starcie statek kosmiczny “Ziemia”. Przyczyny nieznane. Na jego pokładzie człowiek, którego wszyscy znaliśmy i podziwialiśmy, miał lecieć do gwiazd. Został na swej planecie. Cześć jego pamięci!”

Darosław J. Toruń - HISTORIA Z NIEŻYCIOWYM ZAKOŃCZENIEM

Adam Haney, lat 35, kategoria A4 siedział w swoim gabinecie wpatrując się w sterylną płytę biurka.

- Co ja tu robię?

Przed chwilą zadał sobie pytanie i teraz bezskutecznie usiłował znaleźć odpowiedź. Pulsujący sygnał wywoływania zmusił go do uniesienia ręki i naciśnięcia klawisza. Ekran rozbłysk i wypełnił się twarzą sekretarki, obojętną jak maska. Jej oczy wypatrywały czegoś poza zasięgiem kamery.

- Przyszedł wielmożny pan Andersen. Zechce go pan przyjąć?

Nie odpowiadał. Przeciągał ciszę w mglistej nadziei, że milczeniem zmusi dziewczynę do jakiegoś ludzkiego odruchu, że straci ona chociaż na chwilę chłodną pewność siebie człowieka, który znalazł miejsce w życiu. Doczekał się tylko powtórzenia:

- Zechce go pan przyjąć?

Wiedziała, czego oczekiwano od sekretarki.

- Tak, wpuść go - naciśnięciem klawisza oczyścił ekran. W drzwiach stanął pan John Andersen. Musiał już słyszeć o przewidzianej nominacji, gdyż starannie unikał patrzenia w kierunku Haneya. Przywitał się i wpadł w zachwyt.

- Ooo, co widzę? Zmieniono panu widok za oknem - zatrzymał się przed zajmującym całą ścianę ekranem, na którym przewalały się szare, skłębione chmury nad spienionymi, szarymi falami oceanu.

- Przepiękny! Co za siła! Ojcowie umieją dbać o swych synów.

- Ma pan do mnie jakąś sprawę?

Andersen liznął wzrokiem buty Haneya. Miał kategorię A4, ale Haney już przestał być kimś, komu można patrzeć w twarz.

- No, wie pan, właściwie nie... Ale słyszałem, że pański ostatni projekt zyskał sobie duże uznanie, podobno przedstawiono go samym Ojcom. To bardzo piękny sukces.

Haney zastanawiał się, czy Andersen zaczął się już pocić. Pewnie pamięta jeszcze raport, jaki złożył trzy lata temu na świeżo przeniesionego z Marsa konstruktora.

- Taak... Bardzo piękny. Więc wpadłem, będąc w pobliżu, aby pogratulować.

- Dziękuję. To ładnie z pana strony.

- Bo, wie pan, trzy lata temu... Ten raport... Haneyowi, wbrew temu, czego się spodziewał, wcale nie sprawił satysfakcji wilgotny połysk czoła Andersena.

- Nie ma o czym mówić. Przecież byłem winien. Wzrok Andersena po raz setny rozpoczął wędrówkę wzdłuż sprzętów gabinetu.

- No tak, Nowe Prawa są fundamentem szczęścia naszego społeczeństwa i nie wolno... nie wolno... - zmieszał się, jakby uświadomił sobie, że mówi nie to, co chciał. - Ale pan przecież był świeżo z Marsa, a tam mniej...

Haney stał nieruchomo, czekając na dalszy ciąg. Wiedział że jeżeli powie teraz coś, co Andersenowi

ułatwi wyrzucenie z siebie całej kwestii, to nie uniknie serdecznych uścisków dłoni, a-na to wcale nie miał ochoty.

- Słowem, ten raport był niepotrzebny, i niech mi pan wierzy, szczerze się ucieszyłem, gdy dowiedziałem się, że wyszedł pan z tego bez skazy. Gdyż, w gruncie rzeczy, tylko moje głębokie przekonanie o słuszności Nowych Praw i szczerą troską o pana kazały mi...

- Nie ma o czym mówić. Rozumiem i zawsze rozumiałem pańskie pobudki.

- Naprawdę? Bardzo się cieszę, że nie żywi pan do mnie urazy - wyglądał na rzeczywiście ucieszonego. - Ten piękny sukces... Gratuluję, szczerze gratuluję!

Gdy Anderson wyszedł, Haney wyłączył okno. Gabinet natychmiast stał się ciepły i przytulny. Ta skłębiona szarość to najnowszy pomysł jaśnie wielmożnego Andrew McCulligana, A2, dyrektora Instytutu.

- Nic tak nie konsoliduje wewnętrznie człowieka, jak widok rozszalałych żywiołów - to jego słowa. Nosił wiecznie zjeżone bokobrody, sprawiające wrażenie starganych przez te wichry, w których tak gustował. Niewielu było jednak ludzi, którzy mogli na ich temat bezkarnie żartować.

Haney usiadł w fotelu i zapalił papierosa, szukając w nim pomocy w opanowaniu rozdrażnienia, w jakie wprowadziła go rozmowa w Andersenen. Ten człowiek był wyjątkiem nawet w społeczeństwie ukształtowanym przez Nowe Prawa. Typowy, ponadczasowy okaz gnidy. Haney zbyt sobie cenił własny spokój, aby przejmować się tego typu ludźmi, jednak każde zetknięcie z Andersenenem wytrącało go z równowagi. Jeszcze nie przyzwyczyił się.

Na Marsie, gdzie Haney się urodził i wychował, sto kilkadziesiąt tysięcy kolonistów, będących formalnie częścią kilkunastomiliardowego społeczeństwa Ziemi, faktycznie żyło własnym, odrębnym życiem, rządząc się lokalnymi prawami. Dopiero ostatnie dwa lata przed jego wyjazdem wtargnęły garnizonem Legionu Prawa i Porządku w spokojne życie kolonii. Na ścianach pojawiły się puste, symbolizujące Ojców Narodu ramy, w towarzystwie wybitych złotymi literami wyjątków z Nowych Praw i życie potoczyło się nowym rytmem, odmierzanym stukiem podkutych butów Patroli. Wszystko, co było ważne dotychczas, przestało się liczyć. Pojawił się strach.

Haney odwrócił fotel. Na ścianie, stanowiącej tło jego biurka wisiało rzędem pięć pustych, prostych ram. Portrety Ojców. Nawet im wąsów domalować nie można. Nad nimi złocił się kanciastymi literami napis: "Pracuj wydajnie. Ojcowie patrzą na ciebie". Uważał, że ma szczęście. W gabinecie Andersena, na przykład, można było przeczytać, iż "Legion Prawa i Porządku chroni twoje życie przed tobą samym".

- Jaśnie wielmożny pan McCulligan prosi pana do siebie - zabrzmiało z komunikatora, gdy odpowiedział na sygnał wezwania. To znaczy, iż przyszła oficjalna nominacja.

Gabinet dyrektora mieścił się na tym samym piętrze gmachu Instytutu i idąc tam pustym, prostym korytarzem Haney stwierdził, że się wcale nie cieszy. Przywykł już do myśli, że dzisiaj lub jutro zmieni się jego status społeczny, poza tym ta zmiana będzie niewielka. Po prostu będzie mógł żyć nieco wygodniej, i więcej ludzi będzie opuszczało wzrok na jego widok. Jedyne przywileje, który mógł go naprawdę ucieszyć, to nietykalność ze strony Patroli, ale na to trzeba jeszcze trochę poczekać. Kilka lat, w najlepszym przypadku.

Sekretarka, nie patrząc na niego, powiedziała:

- Jaśnie wielmożny pan dyrektor oczekuje pana.

- A, Haney. Jest pan już - McCulligan podniósł się zza biurka i wyszedł mu naprzeciw. Miał na sobie te same buty co przedwczoraj, gdy Haney był tu ostatni raz. Lewy był źle zasznurowany.

- Proszę, niech pan siada - usłyszał i raczej domyślił się niż zobaczył, że wskazano mu fotel stojący przed biurkiem. Patrzył na widok za oknem. Szalona orgia błyskawic, raz po raz wydobywająca z mroku zarysy nagich, postrzępionych szczytów górskich, przyciągnęła jego uwagę.

- Ładne, prawda?

- Fascynujące.

- Sam to skomponowałem - McCulligan był wyraźnie dumny. - Dopiero dziś założono taśmę. Szkoda tylko, że tak krótko... Urwał nagle, jakby powiedział za dużo, a Haney odczuł ogromną chęć spojrzenia mu w twarz. Gdy McCulligan znów się odezwał, jego głos brzmiał normalnie, urzędowo.

- Wie pan już zapewnię dlaczego pana wezwałem?

Haney siedział w fotelu i przyglądał się płycie biurka.

- Tak, wiem.

- Oczywiście, że pan wie. I w związku z tym, że i pan i ja wiemy, proszę się nie bawić w te sztuczki z oczami i patrzeć gdzie pan chce.

Haney był zaskoczony. Dzielili ich różnica kategorii i stanowiska. Pozwalając mu na patrzenie sobie w twarz, McCulligan występował przeciwko jednemu z najbardziej przestrzeganych przepisów Nowych Praw. Zdobył się jednak na powiedzenie:

- Dziękuję panu - i spojrzał na dyrektora. McCulligan uśmiechał się szeroko.

- Dziś jest wyjątkowy dzień - powiedział - Dla pana i dla mnie. Szczególnie dla mnie.

Gdy w jakiś czas później Haney znalazł się z powrotem w swoim gabinecie, zaczął się zastanawiać, jakie znaczenie mógł mieć dzień dzisiejszy dla McCulligana. Ponieważ jednak dyrektor niczego nie wyjaśnił, zaprzestał wkrótce jałowych rozważań, skupiwszy się na czytaniu wykazu nowych przywilejów, jakie mu przysługiwały wraz z nominacją do kategorii A3. Lektura nieoczekiwanie przygnębiła go. Opanowało go natrętne uczucie, że znalazł się w kinie i ogląda jakiś wyjątkowo głupi i okrutny film. Wrażenie oderwania od rzeczywistości było tak silne, że, gdy po przeczytaniu paragrafu zezwalającego mu na zabicie dwóch ludzi o kategorii C4 lub niższej rocznie, powtórzył głośno pytanie sprzed kilku godzin - "Co ja tutaj robię?" - zdało mu się, że nie stosuje się ono do niego, Adama Haneya, tylko do jakiegoś całkiem obcego człowieka, którego perypetie ogląda na ekranie kinowym. Rzucił na biurko książeczkę z wytłoczonym na okładce napisem "Przywileje kategorii A3", odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Miał nadzieję, że gdy je otworzy będą już płonęły wszystkie światła, a ludzie, niespiesznie opuszczając wygodne krzesła, zatłoczą się przy wyjściu. Ale film trwał dalej, a on w nim grał, był zaangażowanym aktorem, stosującym się ściśle do ustaleń scenariusza. "Na szczęście jestem dobrze opłacanym aktorem" - pomyślał, ale wcale nie poczuł się lepiej.

Postanowił wracać do domu. Przed drzwiami zatrzymał się jednak i wrócił, by schować do teczki małą, złotą książeczkę, leżącą niedbale na pustej płycie biurka. Potem odpiął z klapy marynarki kwadracik metalu z wytłoczonym symbolem A4, umieszczając na jego miejscu taki sam, tylko z niższą o jedność cyfrą. Przechodząc przez pokój sekretarki rzucił - "Idę do domu" - i szybko wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Idąc korytarzem miał nadzieję, że przed opuszczeniem gmachu nie spotka nikogo znajomego i uniknie przyjmowania gratulacji.

Przed windą niecierpliwie przechadzała się młodziutka dziewczyna. Mógłby przysiąc, że nie spojrzała na niego ani razu, jednak zanim podszedł już stała z boku, z wzrokiem wbitym w podłogę. Przez kilka miesięcy po przylocie z Marsa, póki się nie przyzwyczaił, a także sam nie nabył wprawy, nieodmiennie zaskakiwała go umiejętność widzenia bez patrzenia, opanowana tu, jak się zdawało, w stopniu mistrzowskim. Drzwi windy sapnęły cicho i rozsunęły się, ukazując kabinę. Dziewczyna stała w miejscu, czekając aż on wejdzie. Haney zrobił krok i zatrzymał się. Stali tak przez chwilę nieruchomo.

- Proszę - powiedział wskazując windę.

Dziewczyna drgnęła, wyraźnie zaskoczona. Być może wahała się przez chwilę, ale trwało to bardzo krótko. Nie zdąży! jeszcze opuścić ręki, gdy odwróciła się i, przyspieszając kroku, odeszła korytarzem.

Wyszedł z budynku czując, że to drobne zdarzenie zniweczyło wszelkie wysiłki podjęte w celu

odzyskania spokoju. Do zmierzchu było jeszcze kilka godzin i postanowił wracać pieszo, w nadziei, że odnajdzie gdzieś po drodze dobre samopoczucie. Zjechał na jedną z estakad należących do Poziomu Średniego. O tej porze na tym właśnie Poziomie był największy ruch, a Haneyowi zdawało się, że potrzebuje obecności tłumu wokół siebie. "W tłumie własne sprawy tracą znaczenie, nikną, przygnięcione mnogością problemów innych ludzi" - myślał.

Szedł powoli, przyglądając się twarzom. Wszyscy gonili swoje obowiązki, niepomni, jak się zdawało, na cały świat. Mijali się ze spuszczonej oczyma, badającymi, jak zalecają Nowe Prawa, najbliższy metr chodnika przed nogami. Spróbował zastąpić drogę jakiemuś mężczyźnie, przygarbionemu robotnikowi z emblematem kategorii C5, ale ten wyminął go zręcznie, nie podnosząc nawet o centymetr wzroku. Patrzył przez chwilę za oddalającą się postacią. "Widzisz - pomyślał - mógłbym cię zabić". Ruszył naprzód, zmagając się z kolejną falą przygnębienia. Przechadzka to był głupi pomysł. Ani na chwilę nie uwolnił się od tych myśli, które go trwały cały dzisiejszy dzień. W tym tłumie był skazany na swoją obecność bardziej niż byłby w pustych pokojach mieszkania. Przypomniał sobie, że w salonie, rozkraczając się na wygiętych nóżkach stoi barek, a w nim butelka wódki Przyśpieszył Skręcał w kierunku estakady dla samochodów, gdy usłyszał pacnięcie ciała o nawierzchnię. Odwrócił się gwałtownie. Kilkanaście metrów za nim, na chodniku, leżała młoda kobieta. Musiała spaść z któregoś z wyższych Poziomów. Podeszedł i klęknął obok niej. Żyła. Otworzyła oczy i, zobaczywszy Haneya, nie odwróciła wzroku. Chciała coś powiedzieć. Pochylił się niżej.

- Oni zaraz... zaraz tu będą... - usłyszał. - Niech pan ucieka... ucieka...

Rozejrzał się. Ludzie przechodzili obok, zdając się nie widzieć, ani leżącej, ani pochylonego nad nią Haneya. Z góry nadlatywał Patrol. "Jeszcze nie masz kategorii A1" - pomyślał. Usiadł na chodniku i położył dłoń pod głowę dziewczyny. Przyglądał się jej twarzy. Miała ładne, regularne rysy, lecz skóra była zniszczona tanimi kosmetykami. Zamknęła oczy i Haney czuł na dłoni ciężar jej głowy. W kąciку rozchyłonych ust pokazała się kropla krwi.

- O, popatrz Bruce, jaki ładny obrazek - usłyszał nad sobą. Spojrzał w górę. Patrol. Czterech młodych, barczystych mężczyzn w czarnych mundurach. Otoczyli ich i przyglądają się z ciekawością.

- Patrzy - powiedział jeden.

- Bo to jaśnie wielmożny pan - drugi wskazał emblemat na piersi Haneya - to mu wolno.

- A czy jaśnie wielmożnym panom wolno pomagać przestępcom, których Patrol skazał na śmierć?

- Niektórym wolno, ale ten jeszcze nie jest dostatecznie jaśnie wielmożny.

Zamilkli na chwilę.

- To co z nim zrobimy, Bruce?

- Według Nowych Praw ten, kto pomaga przestępcy, staje się sam winny i powinien być ukarany równie surowo jak przestępca, któremu pomagał. Chyba, że ma kategorię A1 lub wyższą.

- A ten ma A3?

- Tak, ten ma A3.

Słuchał tej rozmowy dość obojętnie. Patrzył na twarz dziewczyny. Zamknięte oczy, półotwarte usta. Musiała umrzeć przed chwilą.

- No, to do roboty - usłyszał.

Nagle zdał sobie sprawę, że za minutę może być równie martwy jak ta, obca i obojętna mu przecież, dziewczyna. Zanurkował w tłum. Już był tylko strachem, gnającym naprzód, nie pozwalającym myśleć o niczym innym prócz ucieczki. Roztrącał ludzi, czując dokładnie kształt swoich pleców. Tam, z tyłu, był Patrol i za chwilę mógł go dosięgnąć strzał z lasera, gdzieś w nerki, albo pod łopatkę... Skręcił za róg jakiegoś budynku, wpadł w najbliższe otwarte drzwi. Pusty korytarz. Winda! Jechał w dół, sam w ciasnej kabinie i uspokajał się, paraliżujące przerażenie odpływało. Patrzył na swoją twarz odbitą w zakurczonym

lustrze.

Wyszedł na jedną z najniższych estakad. Był zadowolony, że jest tu tak mało ludzi, i że żaden z nich na niego nie patrzy. Szedł do domu. Chciał się tam znaleźć jak najprędzej. W kilku pokojach, w sprzętach, które gromadził przez trzy lata w nadziei, że nie tylko dla siebie, w pieczołowicie przechowywanych pamiątkach z Marsa, zawarty jest jego świat. Własny, prywatny. On go powinien uspokoić, usprawiedliwić. Tak, usprawiedliwić. Nie ma przecież nic” wspólnego z rzeczywistością Nowych Praw, Patroli i dziewcząt o zniszczonej skórze twarzy.

Nalewał właśnie wódkę do dużej szklanki, odmierzając najpierw jedną trzecią, potem połowę, w końcu napełniając ją po brzegi, gdy usłyszał dzwonek. Zdziwiony odstawił butelkę. Począł, aż się powtórzy, dopiero wtedy podszedł do drzwi i usunął blokadę. W wejściu stał Andrew McCulligan.

George Shannon, lat 28, kategoria C4, wracał do domu. Spieszył się, by zdążyć przed zmierzchem. Przetrzymano ich dzisiaj w fabryce wyjątkowo długo. Kierownik przyszedł dopiero po dziesiątej i nie można było wcześniej uruchomić taśmy, a normę dzienną trzeba wykonać. Idąc przyglądał się swoim butom. Były zupełnie zniszczone. Postanowił powiedzieć Annie, żeby część najbliższej wypłaty przeznaczyła na kupno nowych. Będzie się trochę krzywiła, bo to przecież poważny wydatek, ale te są tak rozchodzone, że nawet nie stukają o powierzchnię estakady. Było prawie pusto, czasem tylko ktoś przemknął obok, uciekając, jak on, przed zmierzchem, mógł więc spokojnie spojrzeć w niebo, bez obawy, że natknie się wzrokiem na kogoś z wyższą kategorią. Słońce już dotykało horyzontu, a do domu było jeszcze dosyć daleko. Zaczął biec. Wyobraził sobie co by się stało, gdyby syrena zaskoczyła go na estakadzie. Przyspieszył. Nie obchodził go własny los, raz się żyje, ale co by zrobiła Anna, gdyby została sama... Przypomniawszy sobie ten dzień kiedy miał szczęście. Wśród robotników jego wydziału było losowanie i, mimo że było ich prawie dwustu, to właśnie on wyciągnął szczęśliwy los. Pozwolenie na założenie rodziny przed uzyskaniem kategorii C2. Znali się wtedy z Anną już przeszło trzy lata i nie wiadomo jak długo musieliby jeszcze czekać. Jakże ona się cieszyła, gdy jej o tym powiedział!

Zadowolony, że zdążył przed syreną skręcić w odnogę, łączącą główną estakadę z wejściem do budynku, w którym mieszkał, zrobił jeszcze parę kroków i zatrzymał się gwałtownie. Naprzeciw niego szedł Patrol. Czterech młodych, barczystych mężczyzn w czarnych mundurach. Musieli przed chwilą wyjść ze środka. Szedł powoli, zastanawiając się, jaki interes miał Patrol w tym właśnie domu. Zobaczył przed sobą ich nogi i zatrzymał się.

- Dokąd to? - usłyszał.

- Do domu - wskazał przed siebie.

- Dlaczego tak późno? Nie wiesz, że za chwilę zmierzch? Ton pytającego był ostry, agresywny. Shannon zaczął się tłumaczyć, opowiadać o kierowniku, normach dziennych... Słuchali go przez chwilę.

- Nazwisko?

- George Shannon, C4.

- Jak?

- George Shannon, C4.

Zapadła cisza.

- Masz rodzinę? - Żonę. Anna Shannon, C4.

- Anna Shannon... - powtórzył jeden z nich.

- Bruce, to przecież...

- Niespodziewanie roześmiali się. Shannon zobaczył, że ich nogi odstepują na boki, robiąc mu przejście.

- No to wracaj do niej. Pewnie tam doczekać się ciebie nie może.

Ruszył naprzód, słysząc za plecami ich śmiech. Gdy wchodził do budynku zawyła syrena. Szybko wsiadł do windy i nacisnął guzik. Anna będzie się śmiała, gdy opowie jej o tym wydarzeniu. Tyle razy ją upominał, aby unikała Patroli, a teraz sam wpadł w ich objęcia. Dlaczego oni się śmiali? Winda szybko jechała w dół. Mieszkali na jednym z najniższych pięter, jednak niedługo spodziewał się awansu, a wtedy będą mogli przenieść się gdzieś wyżej, gdzie nie dochodzi smród gnijących na Poziomie Pierwotnym odpadków.

Automat odblokował zamki i Shannon miał już wejść do środka, gdy zauważył wystający z pojemnika na drzwiach biały papier. Wyjął go zdziwiony. Złożona na pół kartka z nadrukiem "Zawiadomienie". Wyżej, z boku, nazwa instytucji: Legion Prawa i Porządku. Zdrętwiał. Minął drzwi, które klasnęły za nim automatycznym zatraskiem, zrzucił buty i boso wszedł do pokoju. Pusty.

- Anna? - spytał w stronę kuchni.

Cisza.

- Anna! - krzyknął.

Wbiegł do łazienki, potem do kuchni, znów do łazienki. Nikogo. Stał na środku pokoju, w opuszczonej ręce trzymając biały papier.

Dwie godziny później leżał na podłodze. Czytał zawiadomienie. Po raz setny. "Anna Shannon, lat 26, C4, dziś o godzinie 15, 35 popełniła zbrodnię przeciwko Nowym Prawom. Zatrzymana przez Patrol Legionu Prawa i Porządku nr 18 została osądzona i skazana. Wyrok wykonano. Starszy Patrolu nr 18 - Bruce Harris". Litery wżerały się w mózg.

Jeszcze przed chwilą wił się po podłodze, teraz był już spokojny. Wiedział co musi zrobić. Jego żona leży gdzieś na Poziomie Pierwotnym, na stercie śmieci. Sama. Musi ją znaleźć. Musi być tam, przy niej. Wstał i wyszedł z mieszkania. Zjechał kilka pięter, dzielących go od najniższego poziomu i otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz.

Andrew McCulligan, lat 68, kategoria A2, zastanawiał się. Chodził od ściany do ściany. Gdy dziś w Instytucie pozwolił Haneyowi patrzeć, na siebie, był zdecydowany. Teraz opadły go wątpliwości. Przygotowywał ucieczkę blisko dwa lata i pochopne powierzenie tajemnicy komuś nieodpowiedniemu przekreśliłoby nie tylko szansę jej urzeczywistnienia, ale i pozycję, będącą wynikiem kilkudziesięciu lat pracy. Haney był mu jednak potrzebny. Jako najwybitniejszy konstruktor silników rakietowych i specjalista od nowoczesnych napędów, był niezastąpiony. Poza tym, jako jedyny wśród tych, których McCulligan znał, nie bał się, tak, na pewno się nie bał. McCulligan czuł to przy każdym spotkaniu. Haney był inteligentny, wychował się na Marsie - nie mogło mu odpowiadać życie w świecie, jakim się stała Ziemia po wprowadzeniu Nowych Praw. Postanowione. Spojrzał na wyrwaną z notesu kartkę, na której zapisał adres. To niedaleko. Do zmięzchu pozostało jeszcze wystarczająco dużo czasu aby, nie spiesząc się, dotrzeć tam. Podszedł do drzwi zdecydowany nie oglądać się za siebie.

W pół godziny później McCulligan naciskał dzwonek, nad którym widniała plastikowa tabliczka z nazwiskiem Adam Haney. Nacisnął jeszcze raz. Drzwi się otworzyły i spotkał zdziwione spojrzenie.

- Można wejść? - zapytał.

Haney odsunął się, wykonując zapraszający gest. Był nagi do pasa, a marynarka i koszula, porzucone niedbale, leżały na podłodze. McCulligan nie czekając na zaproszenie zapadł w poduszki fotela. Zauważył szklanę i otwartą butelkę wódki, stojącą na stoliku obok. Haney powędrował oczyma za jego wzrokiem.

- Napije się pan? - spytał.

McCulligan potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

Coś było nie w porządku. Trudno mu było wyobrazić sobie Haneya w charakterze pijaczka, w samotności osuszającego kolejne butelki. Wróciły wątpliwości. Jeszcze jest czas.

- Przyszedłem do pana z pewną propozycją - powiedział.

- Tak, słucham.

- Dzisiaj uciekam. Chciałbym, aby pan poleciał ze mną. Obserwował reakcję. Spodziewał się pytań - gdzie? jak?

- ale Haney nawet się nie zdziwił. Usiadł na brzegu wolnego fotela i sięgnął po szklanekę z wódką.

Wypił prawie połowę.

- Dobrze - powiedział. - Dzisiaj?

McCulligan zaczął szczegółowo wyjaśniać plan ucieczki. Haney siedział i słuchał. Włożył już koszulę, a resztę wódki wlał z powrotem do butelki. Gdy McCulligan umilkł, spytał:

- Dlaczego właśnie ja?

- Gdyż pan też ma dość, jak widzę, i nie boi się pan.

Haney wstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju.

- Tak, mam dość - powiedział. - I do dziś myślałem, że się nie boję. A propos, czy pan wie jaki odgłos wydaje głowa dziewczyny, uderzająca o beton?

McCulligan milczał. Nie wiedział, co się dzisiaj stało, ale zrozumiał, że ma duże szczęście. Przypadkowo wybrał najwłaściwszy moment. Innego dnia Haney nie zgodziłby się tak łatwo. Albo nawet wcale.

Po raz pierwszy zobaczyli miasto w nocy. Stało przed nimi ciche i ciemne. Syrena, oznajmiająca koniec dnia, wymiotła z estakad rojące się tłumy, zagnała do garaży samochody i helikoptery i miasto skamieniało w bezruchu. Jak co noc. Martwe, podobne maszynie, która stwarza pozory życia migotaniem sygnałów, pracą swoją skrętną i uporządkowaną, a po naciśnięciu wyłącznika zamiera, staje się bezdusznym kształtem metalu. Miasto. Uruchamiane syreną poranną, mrowiące się przez dwanaście godzin trybikami ludzi, wyłączane wraz z pierwszym sygnałem zapadającego zmierzchu.

Na górze, tam gdzie kończyły się metalowe płaszczyzny ścian, jarzyły się lampy, ale ich białe światło było zbyt słabe, by dotrzeć na najniższy poziom. Rozpraszało się na pajęczynie estakad, oplatającej sterylne sześciany budynków, nikło w tysięcznych odbiciach od gładkich powierzchni jezdni, ścian i lądowisk, rozbijało się o setki kantów i załamania. Tu, na tym śmietniku, zwanym najniższym poziomem, albo inaczej - Poziomem Pierwotnym, panowała ciemność, i smród. Stali na kilkumetrowej pewnie warstwie wszelkiego rodzaju odpadków - opakowań, papierów, resztek pożywienia, puszek, butelek i diabli wiedzą czego jeszcze, zrzuconych tu z wyższych poziomów. Z okna samochodu, albo - po prostu - przez barierkę estakady dla pieszych. Ciemność i cisza. Dobrze. Mieli przed sobą kilkugodzinną drogę i nie chcieli światła.

Przedzieranie się przez śmieci szło powoli, bardzo powoli. Każdy krok musiał być sprawdzony, by nie trzasnęła pod butem butelka, nie sunęła się puszka, nie zachrząściło deptane szkło. Otaczała ich cisza, ciężka od czyhającego niebezpieczeństwa. Niemal czuli jej dotyk na policzku, jak czuje się lepką, wilgotną mgłą. Każdy dźwięk, który by się w nią wdarł, musiałby być wychwycony przez lokalizatory któregoś z Patroli. Szli więc, a raczej posuwali się, na czworakach, ostrożnie badając drogę przed sobą. Chwilami, gdy zauważali przesuwające się po którejś z estakad światła samochodu Legionu, kamienieli w pół ruchu, nie śmiać nawet oddychać. Gdy niknęły za jakimś zakrętem, wycierali z twarzy zimne krople

potu. I robili następny krok. Nie musieli się spieszyć, noc była długa.

Po godzinie, może dwóch, postanowili odpocząć. Położyli się na stercie papieru, nie tak brudnej jak inne. McCulligan patrzył na światła w górze i powtarzał sobie, że za kilka godzin już go tu nie będzie. Zrzuci wreszcie z siebie brzemię strachu, ciężące na nim i na wszystkich, których tutaj znał, tak dawno, jak tylko sięgał pamięcią. Czas iść dalej. Wstał i zsunął się ze swego legowiska. Pomacał ręką przed sobą, aby usunąć z drogi wszystko, co mogłoby stanowić niebezpieczeństwo. Palce natrafiły na zwój szeleszczącej folii, ominęły ją, odłożyły na bok kilka butelek i puszek i, sięgając dalej, zatrzymały się na czymś zimnym i wilgotnym. Tylko przypomnienie sytuacji powstrzymało go od głośnego krzyku i panicznej ucieczki, gdy zdał sobie sprawę, że to, czego dotyka, to dwa rzędy równych, mocnych zębów wychylające się z półotwartych ust. Powinien był się spodziewać, że wędrując przez Poziom Pierwotny, natknie się na trupy. Poczuł na ramieniu dłoń Haneya.

- Co się stało?

- Nic, nic. W porządku. Idziemy.

I znów krok za krokiem. Haneya rozboleła głowa. Zastanawiał się czy od smrodu gnijących odpadków, czy też jest to reakcja na wypity alkohol. Szedł za McCulliganem, starając się nie zbaczać z drogi przetartej przez tamtego. W pewnym momencie zdało mu się, że słyszy szelest. Z boku, kilka metrów od nich. Zatrzymał McCulligana, zbliżył usta do jego ucha i szepnął:

- Ktoś tam jest.

- Gdzie?

- Tam, z boku.

Szelest powtórzył się. Nagle-ktoś głośno i wyraźnie powiedział:

- Kto tu jest?

Przytulili się do śmieci. Leżeli tak chwilę, spodziewając się lada moment snopu światła. Nic. Cisza. Haney podniósł głowę. Usiłował przebić wzrokiem mrok. Tam, skąd dobiegł głos, majaczyła sylwetka, minimalnie ciemniejsza od tła. Popęzli w tamtą stronę. Mężczyzna Siedział, pochylony nad czymś, opartym o kolana. To nie mógł być policjant.

- Kto ty jesteś? - spytał McCulligan.

- A wy?

- Ciiiszej. - syknął Haney.

Dlaczego ten facet mówi tak głośno. Spojrzał w górę. Po jednej z najniższych etakad przesuwają się światła. Zatrzymały się dokładnie nad nimi. McCulligan też je widział, natomiast nieznajomy siedział bez ruchu, nachylony, nie zmieniawszy nawet na centymetr poprzedniej pozycji.

- Anna... - powiedział głośno.

Imię poszybowało ku górze i jakby w odpowiedzi na nie reflektor strzelił ku nim. McCulligan zerwał się. Krzyknął: "Uciekaj!" i skoczył, znikając z kręgu światła. Haney chciał biec za nim, ale spojrzał na siedzącego mężczyznę, teraz jasno oświetlonego. Zdawał się nic nie wiedzieć o niebezpieczeństwie, patrzył na opierającą się o jego kolana głowę młodej kobiety, bezwładnie leżącej na stercie papieru. Haney poznał ją natychmiast.

- I znów się spotykamy - powiedział..

Z góry, bezszelestnie, nadlatywał Patrol. Haney siedział obok nieznajomego i czekał, podłożywszy dłoń pod głowę dziewczyny.

Andrzej Żelazny - IDEALNE ROZWIĄZANIE

- Cóż to jest przypadek? - zastanowił się głośno Al podnosząc do ust szklanke. - Przypadek to szansa, jeżeli spojrzeć z punktu widzenia kogoś, kto jest szczególnie danym wydarzeniem zainteresowany. Jest to definicja bardzo subiektywna, ale właśnie mnie ten przypadek pozwolił wrócić!

Siedzieli z Arnem w barze na czterdziestej szóstej kondygnacji. Było to ich drugie spotkanie po zakończeniu wyprawy, w której brał udział Al. Arne patrzył na przyjaciela z wyrazem podziwu w oczach; nie umiał i nie chciał ukryć tego uczucia. Al nie tylko miał szczęście polecieć tam i znaleźć się z powrotem na Ziemi, ale i przywiózł materiały, które pozwalały mu poważnie myśleć o doktoracie, na co Arne prawdopodobnie jeszcze długo będzie musiał czekać. Wyprawa na Salome z wielu względów się nie liczyła. Niczego, co godne jest uwagi badacza, nie można stamtąd przywieźć, i nie ma się czemu dziwić, bo planeta została niemal dosłownie zdeptana przez wszystkie ekspedycje, które na niej lądowały. Jeżeli potrzebne jest porównanie - był to najprawdziwszy poligon i jako taki stawał się celem każdego lotu egzaminacyjnego. Inna rzecz, że Salome nie stanowiła spokojnego ogródka przy domu. Bywało tam nieprzyjemnie.

- Nic nie dzieje się przypadkowo. Każdy fakt jest zdeterminowany układem innych faktów, w których strukturze się pojawia.

- Tym bardziej u nas, nie? - Al zmrużył oko. - Od kiedy Centrum znaczy to samo, co cerebrotron, nie ma takiego przypadku, który by nie był z góry zaprogramowany czy przewidziany. Być może wróciłem dzięki przypadkowi, bo moce Centrali nie sięgają tam.

- Ciszej! - syknął Arne.

- Co "ciszej"? Przecież i tak słyszą. Już zanotowali... czy zanotowały, nigdy nie wiem, jak mam to nazywać, już wiedzą, co myślę. A myśleć i mówić jeszcze wolno. Nie możesz przecież udowodnić, że moje słowa nie były przewidziane programem. Że nasza rozmowa nie była zaplanowana. Że jesteśmy przyjaciółmi...

- No, to nie. Poznaliśmy się zanim jeszcze...

- Zanim zaczęli sklejać mózgi. Tak! To trzeba powiedzieć. Nie ma powodu, aby o tym milczeć. Pięknie to brzmi: synteza synchrocerebralna. "Dzięki zastosowaniu prawa Hoola-Briana stała się możliwa pełna realizacja odwiecznych marzeń człowieka o nieśmiertelności". Taki tekst spotkałem wczoraj w programie szkolnym. - Uderzył dłonią o blat stołu, przy którym siedzieli, wywołując niespodziewanym hałasem zainteresowanie bliżej siedzących gości.

Arne ukradkiem podniósł wzrok, ale nie patrzył już na nich nikt. Pomyślał o wycieczce, jaką odbył będąc na szóstym roku wyższego kursu. Wycieczka należała do programu i nie było sposobu jej uniknięcia. Podczas zwiedzania Centrum przez cały czas oczekiwał widoku słoików z wypreparowanymi mózgami, jak sobie to półświadomie wyobrażał. Wtedy jeszcze Centrum stanowiło sensację światowej skali. Jemu samemu, teoretycznie oczywiście, także wydawało się, że możliwość życia po śmierci organizmu, wyjąwszy przypadki, gdy choroba lub wypadek dotykały właśnie mózgu, jest szczytem pragnień każdego człowieka. Nawet wiersz napisał na ten temat. Wiersz ukazał się w uczelnianym

biuletynie, co odnotował wtedy z satysfakcją. Do ludzi najsilniej przemawiał argument ekonomiczny (w wierszu o tym nie było słowa). Białko ustrukturuwane w tkankę nerwową jest wielokrotnie tańsze niż elektronika tradycyjna. Jaki paradoks! Przecież białko to najbardziej tradycyjny budulec. Więc taniej. Mózgi połączone w nadsystemie, tworzące jedną całość w polu HB, sprzężone z komputerami zdolne były wykonać zadania, jakie przedtem nawet w marzeniach nie mogły być realizowane. Tu nie chodziło o szybkość, zapewniały ją w dostatecznym stopniu komputery. Gra szła o znacznie wyższą stawkę - o sprawność, o skuteczność procesów myślowych, jakie toczyły się odtąd w każdej Centrali. Tak. Od tego momentu można było wyeliminować przypadek rozumiany jako nieprzewidywalna koincydencja faktów. Powstające w lawinowym tempie zespoły cerebrotroniczne dały możliwość ścisłego prognozowania przyszłości w zakresie zjawisk, jakie są dla człowieka i jego urządzeń Dostrzegalne. A najważniejsze, co podkreślali humaniści, że izolowane mózgi, izolowane od ciała, trzeba dodać, nie tracą w tym nadsystemie swej własnej osobowości. Życie płynie w nich nadal, chociaż w innym rytmie i według wewnętrznie normowanych przepisów. Nawet można się z nimi komunikować. A oni sami, czy one (też, jak AI, nie umiał się zdecydować), mają pełną wolność korzystania z sieci informatycznej, której część stanowią.

Wtedy, na wycieczce, zamiast słoików z marynatą zobaczył po prostu coś, co przypominało mu sterownię statku, albo automatyczną elektrownię. Czyli nic.

Wzdrygnął się, gdy AI dotknął jego dłoni.

- No co? Twoje zamyślenie to też przypadek? Nie bój się, oni umieją stworzyć taką sytuację, że musisz myśleć o tym, o czym masz myśleć.

- Oni przecież nie zmieniają rzeczywistości - dzieciennie zachnął się Arne.

- Kto wie, co jest przebiegiem naturalnym, a co sztucznym. Ważne jest, aby gładko wszystko szło. Czy nie tak?

*Stłukło się szkło,
bo nie o to szło
jestem synchro, tarara –*

zanucił fałszując.

Arne skrzywił się z niesmakiem, co mogło równie dobrze oznaczać uśmiech. W kłapie jego kombinezonu zabłysło pomarańczowe światełko. Przycisnął tej samej barwy guzik znajdujący się w oprawie zegarka. Usłyszał szum w uchu, w którym tkwiła kulka generatora akustycznego i po sekundzie jasny głos Doris, komunikatorki Instytutu przekazał:

- Panie Giss. Pan Grave zgodził się przyjąć pana na pańską prośbę. Czeka u siebie.

Pierwsze, co spostrzegł było światłem. Nawet nie tyle blaskiem, co łagodną poświatą roztaczającą się w bezwymiarowej przestrzeni. Była jak jasność gęstej mgły rankiem, gdy nie można rozeznac, gdzie znajduje się słońce, a tylko mniej więcej wiadomo, że w dole jest ziemia, a niebo musi być powyżej, i nie jest to nawet świadomość oparta na fizycznym doznawaniu otoczenia, raczej można mówić o przeświadczeniu podtrzymanym stereotypem wyobrażania sobie takiej sytuacji, bo przecież niezależnie od tego, czy jest mgła, czy jej nie ma, to ziemia i niebo istnieją. Wystarczą logiczne przesłanki, które uruchamiają stereotyp.

Było gorzej. Nie tylko mgła, jak określiła się owa światłość - nie tylko owa mgła istniała. Pojawiła się także nieruchoma świadomość, że on sam jest w tej mgle-jasności zanurzony. Czy może raczej, że jest

nią, jeśli taka identyfikacja cokolwiek zmienia. Nic jednak więcej.

I choć zastanawiał się już od dłuższej chwili (to znaczy od kiedy?, jak długo?) nad swoim stanem, czy też raczej sytuacją, bo jest to różnica zależna od tego, czy jest we mgle, czy jest samą światłością (dokładnie od chwili, gdy ją ujrzał, może odczuł, tę mgłę-lekkość), nie potrafił dać sobie odpowiedzi na pytanie[^] które z owym objawieniem światła na niego spłynęło; co z nim jest? W celu uściślenia warunków, które to uściślenie mogłoby mu pomóc w poszukiwaniu pra-początku tego stanu, zaczął przeprowadzać analizę wrażenia, jakim było zobaczenie zjawiska, które wywołało w nim tak wiele wątpliwości. Kto znalazł się kiedykolwiek we mgle, wie, że trudno powiedzieć: “zobaczyłem mgłę” w tym sensie, w jakim się mówi: “zobaczyłem kamień”. Mgła, z racji swej natury nie poddaje się oglądowi takiemu, jak przedmioty, które możemy wziąć do ręki. Jest przecież rozpyloną w powietrzu wodą, no, może nie całkiem rozpyloną, może raczej skondensowaną parą wodną, ale to na jedno wychodzi; dość, że krople te są na tyle drobne, iż dostrzec ich nie sposób, a jednocześnie wielokrotne odbicie światła i załamania wewnątrz nich sprawiają, że nie dostrzegamy niczego poza nią samą, nie widząc jej w ostatecznym rozrachunku. Każde widzenie jest odbiorem odpowiednio zmodulowanych drgań elektromagnetycznych, które tworzą, ze względu na swą naturę, wrażenie promieni. Dzięki różnicom w jasności i częstotliwości, dającej wrażenie barwy, jest się w stanie postrzegać przedmioty, z których każdy w określony, ale też i rozmaity sposób odbija padające nań światło. Z mgłą dzieje się inaczej. Nie ma tu różnic w jasności, nie ma też różnic w barwie. Mgła zdaje się świecić własnym światłem, i to jest najbardziej mylące.

Nie było tak jasno jak w dziennej mgle. Przecież w ogóle nie była to mgła, tylko coś, co będąc do niej bardzo podobne wywołało ciąg skojarzeń, z których mogło wynikać, że jest. Przede wszystkim pomyślał o tym, iż nie czuje dotyku chłodnych kropelek wody, jakie skraplają się na twarzy w prawdziwej mgle. Nie czuł rzetelnie nic. I to właśnie było najdziwniejsze. Nie mgła!

Uczuł radość. Przynajmniej, w tym wszechoczenie niewiedzy, jedna pewność, jakkolwiek negatywna.

Myślenie sprawiało mu trudność. Jakby przedzierał się przez gęsty nurt brnąc pod prąd. Chwilami zapadał w dziury, w których nie mógł złożyć żadnego sensownego wyobrażenia, ale pozostawało mu w tych przestojach przeświadczenie, iż istnieje.

Z nagła pomyślał, że został napromieniowany.

Myśl ta, chociaż z realnością niewiele miała wspólnego, dużo tłumaczyła. Napromieniowane ciało szkliste w oku, jak pamiętał z wykładu, zaczyna świecić zimnym światłem, którego jasność jest na tyle wielka, albo może być przynajmniej taka, że niejako zagłusza to światło, jakie wpada przez źrenicę. W ten sposób napromieniowany nie widzi poza świetlistą mgłą niczego więcej.

Odruchowo podniósł rękę do oczu, aby zdjąć z nich tę zasłonę, wiedząc zarazem, że jeśli istotnie został napromieniowany (kiedy? w jaki sposób?), to przecieranie oczu nie pomoże. Nic zresztą nie będzie już wtedy potrzebne.

Doznał wstrząsu. Wyraźnie było z nim nie w porządku, pomijając już sprawę poprzednich sensacji. Wiedział przecież, iż wznosił ramię do góry, a w rzeczywistości nie czuł wcale, żeby wykonywał jakąkolwiek czynność. Przecierając oczy nie spostrzegł nawet cienia swej dłoni.

Powtórzył ruch.

Znowu nic.

“Nic”, to za mało powiedziane. Wrażenie, jakie nastąpiło po tym, jak zdecydował się “wykonać ruch” przeszło jego oczekiwania. Wyraźnie zdawał sobie sprawę, co należy uczynić, by dłoń znalazła się na wysokości twarzy, więcej: czuł, że to robi, a zarazem nie było podstaw do tego, by twierdzić, iż ten ruch zrobił. Ba! Nawet nie wiedział, gdzie jest ręka. Czy już przy twarzy, czy może w drodze do niej dopiero. Czy może też jeszcze nie poruszyła się wcale?

Przebywał kiedyś w opatrunku usztywniającym. Nie całym ciałem, ale w dostatecznej części, aby w pełni przeżyć koszmar unieruchomienia. Pamiętał, jak bardzo pragnął poruszyć wielkim palcem u lewej nogi. Palec nie reagował wtedy na polecenia. A przecież zdawał sobie sprawę, iż palec jest na swoim właściwym miejscu, że rozkaz płynie poprzez sieć nerwową, dociera tam, dokąd zmierzał. A palec nic! Niemożność poruszenia palcem doprowadzała go wtedy do szaleństwa. Teraz, jakkolwiek inaczej, było znacznie gorzej. Wtedy, chociaż w niewielkim stopniu, odczuwał jednak swoje ciało, także dzięki temu, iż było tak odporne. Teraz nie odczuwał w ogóle. Teraz... Co oznacza słowo “teraz”?

Zastanowił się nad czasem. Od tego wyszedł, gdy zaczął być na początku. Właśnie, od jak dawna już jest? Umówmy się, że był jakiś początek! Nie miał koło siebie, ani też w sobie żadnego punktu odniesienia. Czas rozmył się tak samo, jak cała rzeczywistość wokół niego i w nim samym zredukowana do bezpostaciowego świecenia.

Spróbował liczyć, gdyż przypomniał sobie, że wypowiedzenie słowa “stodwadzieścijaeden” trwa około sekundy. Udało mu się to prawie całkowicie. Oznacza to, iż “stodwa” było jeszcze dosyć zwarte i miało wszelkie szansę, aby stać się wzorcem.

Cóż, kiedy “dzieścijaeden” zaczęło mu umykać ze świadomości. Już “dzie” rozciągnęło się tak, iż, aby schwytać uciekające i elastyczne jak guma do żucia “e”, musiał kilkakrotnie powtarzać początkowe “dzie”. Przy tej gonitwie zapomniał na moment, że od rytmiczności i spójności wypowiedzianego zaklęcia zależy orientacja co do stosunków czasowych panujących w jego przekłętej jasności. Złośliwa sylaba, do której się tak uparł, zaczęła odbijać się zwielokrotnionym echem, jakby nie pomyślał tego, a krzyczał głośno w górskiej dolinie. Zrobiło mu się niewyraźnie. Nie tylko, że krzyczał, a w górach nie wolno hałasować, to jeszcze po asocjacjach dźwiękowych tego nieszczęsnego “dzie” trafił do “dzieci dziegiem dziezę dzielących” i do “dziewanny-dziewicy rozdziewającej dzieci” od wspomnianej dzieży. Najbardziej przygnębiała go owa dziewczanna, która była dziewicą. Nie bardzo to sobie mógł wyobrazić, ale nie potrafił się jej pozbyć.

Winda ruszyła bezszelestnie. Arne patrzył bezmyślnie na Lucy Barret, będącą osobistą sekretarką szefa. Na sześćdziesiątym ósmym wysiadły dwie osoby i zostali sami.

- Szef jest? - zapytał, aby cokolwiek powiedzieć.

- Wyjechał wczoraj rano na naradę Komisji Fomalhaut. To zdaje się ważne dla pana? - spytała uśmiechając się z przekorną złośliwością.

- Nie wiem, czy na pewno dla mnie ważne.

- Różnie ludzie mówią. Musi być dwoje. To naturalny układ. - Dlaczego naturalny? - wyrwało mu się chociaż wcale nie pragnął kontynuować niebezpiecznej rozmowy. Co ją zresztą obchodzą jego sprawy? Nad sensem pytania nie zastanawiał się.

- Pewnie dlatego, że wszystko ma swój odpowiedni czas i granice, i nic nie dzieje się bez przyczyny. Tak mówią. Pańskie piętro.

Wysiadł nie oglądając się za siebie. Usłyszał za sobą szelest samoczynnie zasuwających się drzwi.

Gdy skręcił w prawo i stanął przed drzwiami do oddziału BS-64 zapomniał o irytującej rozmowie. Nacisnął jeden z klawiszy interkomu. Ten, na którym widniało nazwisko Isson Grave.

A czas płynął i to wiedział na pewno uprzytomniwszy sobie w przerwie między dzieżą i dziewicą, że jeżeli myśli, to jest. Odkrycie to nie było najzupełniej samodzielne, ale miało wartość pierwszego punktu, wokół którego coś mogło się skryształizować. Bo jeżeli on sam jest, to czas także istnieje, a zatem

przynajmniej trzy jakości są na tym świecie: on sam, światło i czas.

Potwierdzenie teoretyczne przynajmniej tych bytów pokrzepiło go nieco. Pomyślał więc, iż nie jest tak źle. Być może uda mu się jeszcze, myśląc tak, jak to czynił dotąd, wykreować jeszcze przestrzeń i jakąkolwiek rzeczywistość uprzedmiotowioną. Postanowił więc powrócić do dziewczanny-dziewicy, by posłużyć się nią jako odskocznią do dalszej kreacji. Myśl o potraktowaniu dziewczicy, a tym bardziej dziewczanny jako czegoś w rodzaju trampoliny wydała mu się szczególnie zabawna.

Wydarł mu się z ust przytłumiony chichot.

Jakże ubogi jest język, gdy traci oparcie na rzeczywistości. Jak bardzo przywiązany do konkretów. Pomyślał o tym równocześnie z doznaniem zdziwienia wywołanego owym chichotem. Zaśmiał się tak nieprzyzwoicie i pomyślał o “wydzieraniu się chichotu z ust”, a zarazem potem znalazł myśl, że dźwięk ten byłby dowodem istnienia czegoś, co ów “chichot” generuje.

Ten szczególny rodzaj śmiechu urwał się tak samo prędko, jak nieoczekiwanie wybuchł. Przyczyną zduszenia w zarodku zdrowej reakcji na komizm, nawet tak abstrakcyjny, było uzmysłowienie sobie uszu, do których dotarł dźwięk. Ucho, nauczony doświadczeniem, potraktował funkcjonalnie. Niechby nawet miało kształt korkociągu i wielkość kamienicy. Słyszeć jednak - znaczy: mieć uszy. Jasne!

Z wrażenia zamarł, co oznacza, że ustała w nim wszelka myśl.

Nie wiedział ile czasu upłynęło; mogły to być nawet całe tygodnie, zanim odważył się powrócić do problemu.

Mogło mu się wydawać. Nie zwracał przedtem uwagi na to, czy otaczająca go światłość posiada jakąkolwiek głośność. Nie pomyślał o tym. Wnioskował więc, nie bardzo słusznie, co rozumiał i brał pod uwagę, że skoro nie słyszał, to musiała panować cisza. (Inna jest cisza, gdy akurat nie ma dźwięku, inna zaś, gdy go nie ma w ogóle, bo nie istnieje jako zjawisko). Jeżeli usłyszał śmiech, lub cokolwiek innego to było, może dodać nowy element do poprzednich trzech. Można powiedzieć, iż go to pocieszyło. Pomyśl z kreowaniem rzeczywistości przez kojarzenie wymyślonego z rośliną, która była panną, czy jak tam inaczej było, nie jest zły. Należy go stosować nadal. Pomyślał zatem, iż warto przejść wreszcie do pełnego uzmysłowienia sobie przestrzeni. Właśnie się do tego zabierał, gdy powrócił strach, jaki powstał w momencie narodzin chichotu. Uczucie strachu niedostrzegalnie przerodziło się w trwogę, która zwinęła go w kłębek dygotu, przejechała się po nim walcem drogowym i zniwelowała do poziomu prawie nieistnienia, jeżeli o tym, co działo się dotąd, można mówić, iż było czymkolwiek więcej niż ledwie-istnieniem.

Minęły wieki, zanim powoli, jak ślimak wysuwający swoje czułki zdecydował się powrócić na teren, na którym umownie przebywał. Odważył się na więcej. Postanowił powtórzyć doświadczenie z głośnością. Najpierw jednak rozważył problem tożsamości warunków eksperymentu, gdyż od tego wydawała się zależeć jego wartość. Zastanawiał się, czy musi koniecznie zachichotać, a także nad tym, czy powód tego musi być ten sam.

Przede wszystkim nie mógł sobie za nic przypomnieć, co go poprzednio aż tak bardzo rozśmieszyło. Poza tym obecnie nie było mu wcale do śmiechu.

Pograżył się w bezdennej rozpacz.

Podeszła do syntetyzatora. Wyjęła z niszy parującą szantę. Z pożywieniem w dłoni przeszła przez pokój i usiadła w zaokrąglonej niszy, której ścianę stanowiła wypukła kurtyna siłowa teraz częściowo skasowana. W miejscu, gdzie pole siłowe zanikało, wchodziły do wnętrza drobnolistne gałęzie berberysu obsypane już czerwonymi jagodami.

Panował tu taki sam upał, jak na zewnątrz. W kleistym powietrzu nie drgnął żaden liść. Słońce waliło

się z nieba. Wygrzewała się w blasku jak jaszczurka. Siedząc z wysoko podkurczonymi nogami brodę opierała na kolanach.

U jej stóp leżał rozłożony Biuletyn Komisji Fomalhaut. Trzymając w jednej dłoni szantę, której jeszcze nie zaczęła jeść, czytała z napięciem, drugą ręką odgarniając uparcie opadające pasmo włosów, które za nic nie chciało się trzymać na właściwym miejscu.

Po podłodze potoczył się puszysty swagam. Machnął ogonem w opalizujące pasy i skoczył na pochylone plecy dziewczyny. Ita ujęła swagama za ogon i posadziła naprzeciw siebie. Dała mu w łapki kawałek ciepłej jeszcze szanty.

Swagam patrzył na nią srebrzystymi ślepkami.

Oderwała wzrok od artykułu i spojrzała na zwierzę. Swagam zrozumiał spojrzenie jako wyraz sympatii. Skoczył jej na pierś obejmując szyję i wtulając pyszczek w zaciszne miejsce pod opadającymi na ramiona włosami. Puszysty ogon nie pozwalał na kontynuowanie czytania.

Ze zwierzęciem uczeponym tuniki przeszła z powrotem w kierunku syntetyzatora. Odłożony biuletyn leżał otwarty na stronie tytułowej, gdzie pod wielkimi literami FOMALHAUT widniała jej barwna fotografia. Ze zdjęcia spozierały czarno-brązowe, bardzo szeroko rozstawione oczy, których ogromne spojrzenie stało w wyraźnej sprzeczności ze stereotypem pracownika nauki o takiej, jak jej, specjalności. Nawigator z uprawnieniami interosterownymi nie mógł mieć takiego spojrzenia.

Zamówiła szantę dla swagama i kiedy potrawa znalazła się w otworze zwierzątko zeskoczyło na półkę w oczekiwaniu pożywienia. Stała chwilę patrząc jak odrywa łapkami małe kawałeczki i jak te znikają pod pokrytą futrem mięsistą wargą.

Głaszcząc ciepły grzbiet zwierzątka przypomniła sobie o biuletyń. Zastanowiła się przez sekundę rekonstruując problem i zostawiwszy zdziwionego swagama na półce podbiegła do infora. Włączyła się w pole pograżając się w pracy.

Grave oderwał się nagle od pracy. Był już zmęczony. Podszedł do okna. Kroki tłumiła gąbczasta wykładzina podłogi. Od rozsuniętej kurtyny dziennej płynął strumień powietrza o zapachu lipy i macierzanki. Wiatr przychodził z nad zalanej słonecznym żarem przestrzeni, jaka rozciągała się u stóp budynku Instytutu. Oparłszy głowę o ramę zapatrzył się w błękitniejącą dal.

Pod horyzontem ostrymi przejściami architektonicznych płaszczyzn rysowało się miasto. Nad kożuchem lasu sterczały na ponad półtora kilometra w górę kolorowe wieże obrosnięte gęsto naroślami pojedynczych kondygnacji. Widok ten przywodził mu zawsze na myśl kapustę brukselkę, jaką zapamiętał w dzieciństwie z ogrodu dziadków. Szczyty tych wież sięgały ponad warstwę obłoków, które w postaci rozwianych mgieł przepływały pomiędzy budynkami rzucając na ziemię łagodne cienie. Po łączących budynki siłowych płaszczyznach spełniających rolę ciągów komunikacyjnych pełzały drobne, z tej odległości podobne do kropelek rtęci pojazdy, zwalniające lub przyspieszające nagle w zależności od potrzeb ruchu.

Stojąc przy oknie odpoczywał pozwalając wiatrowi targać szpakowate włosy. Świadomość upału panującego po tamtej stronie przezroczystej błony siłowej rozleniwiała, chociaż w pokoju panował orzeźwiający chłód. Poddał się panującej ciszy.

Sygnal interkomu wyrwał go z relaksu. Twarz ściągnęła mu się drobnymi zmarszczkami. Nie odwracając się od okna, jakby chciał jeszcze o chwilę przedłużyć poprzedni stan, rzucił półgłosem:

- Siedemnaście, słucham!

- Nie tak oficjalnie, Grave! - zabrzmiało ostro z głośnika. Po chwili zaś, jakby intruz domyślił się, że trzeba bardziej taktownie, dodał już spokojniejszym tonem:

- Tu Arne. Masz parę minut czasu?

Pytanie zawisło w powietrzu. Grave zdecydował się odejść od okna. Wyraz niechęci już spłynął mu z twarzy, ale na jego miejscu zjawił się niepokój.

- Przychodź - rzekł w kierunku głośnika.

Podszedł z powrotem do infora. Włączył analizę i zręcznymi ruchami szczupłych palców przebiegł po klawiaturze modyfikatorów programu. Zafiksował transformację. Skontrolował obraz na ekranie i blokując wejścia pozostawił aparat w spokoju. "Na dzisiaj wystarczy" - pomyślał.

W czasie gdy odwracał się od pulpitu aparatury na mlecznej płaszczyźnie wejścia zarysował się cień. Grave widział jak ręka Arne sięga do przycisku zamka umieszczonego poza płaszczyzną półprzejrystej masy. Ręka opuściła się. Drzwi zastanawiały się czy wpuścić gościa, po sekundzie jednak, gdy proces kojarzeniowy automatu dobiegł końca mleczna ściana pękła na dwoje rozsuwając się przed wchodzącym i natychmiast zatrzasnąjąc za jego plecami.

- Czy ty zawsze masz włączonego cerbera? Dla mnie mógłbyś zrezygnować z tej ostrożności. Szlag mnie trafia, gdy muszę się tłumaczyć i czekać, aż będzie łaskaw mnie wpuścić!

Arne nieświadomie przyjął ton Ala, którego zostawił w barze przerwawszy w pół słowa rozmowę.

Grave przeczekał i odpowiedział spokojnie:

- Zawsze.

Arne nie zwrócił uwagi na powściągliwość starszego kolegi. Wszyscy uważali Grave'a za mruka i nikt na dobrą sprawę nie przejmował się, gdy w odpowiedzi na swoje pytanie usłyszał pół słowa, lub nawet nic. O tym, aby Grave sam z własnej woli, poza sprawami służbowymi, kogoś zagadnął, na przykład na korytarzu albo w windzie, nie było mowy. Opinia ta nie pokrywała się całkowicie z prawdą, ale jako legenda krążyła po Instytucie i sam Grave nie miał już na nią wpływu. Etykieta.

Nie czekając więc na specjalne zaproszenie, gość rozsiadł się w jednej z nadymanek, która, jakby urażona bezceremonialnym traktowaniem, sapnęła głośno.

Rozejrzał się po ścianach.

Wielokrotnie widziane wnętrza wydało mu się w jakiś sposób zmienione. Sprawdzał wzrokiem poszczególne elementy umeblowania, ale nie zauważał niczego, co uzasadniałoby pierwotne, odczucie. Zdało mu się, że nie chodzi tu o sam pokój. Jeżeli nie pomylił się, zmiana nastąpiła głębiej, zaś to, co widział, a nie mógł spostrzec, było wynikiem tego poprzedniego. Przeczucie, iż stało się coś, o czym nie wie, a co dotyczy jego samego ogarnęło go całkowicie. Nie szukał już odpowiedzi na pierwsze pytanie. Ten pokój cały był obcy, tak jak w gruncie rzeczy obcy był dla niego Grave.

Zesztywniał. Zdał sobie sprawę, iż swoboda, z jaką tu wtargnął jest tylko grą, którą od dłuższego czasu prowadził sam ze sobą. Bo owo uczucie wyobcowania pojawiło się dużo wcześniej. Zanim jeszcze Al wrócił z Eremisa. Związek był, ale nie chodziło o Ala. Powrót przyjaciela, jak mu się zdawało, dopomógł mu w rozwiązaniu kilka problemów, z którymi nie umiał sobie sam poradzić. Ale były to jego własne psychiczne problemy. A tu rzecz szła o inną stawkę. Instytut i Grave! i jeszcze najbardziej prywatne sprawy. Z wysiłkiem opanował przemożną chęć wstania i wyjścia stąd dokądkolwiek, byleby dalej od miejsca, w którym czuł się tak źle. Wydało mu się, iż wystarczy wyjść z pokoju Grave'a, a potem, dla przykładu, pojechać wzdłuż drogi 212 w kierunku jeziora, aby powrócił spokój.

Napotkał wzrok Grave'a. Jego oczy zdawały się nic nie wyrażać. Jedynie gdzieś w kącikach Arne odczytał ślad ironii i jakby współczucia.

- Zastanawiasz się po co przyszedłem? - spytał, by przerwać milczenie, które stało się nagle uciążliwe Grave stał oparty o obudowę infora. Nie ruszył się od chwili, gdy Arne wszedł do pokoju. Milczał teraz jakby pytanie było nie do niego skierowane. Gość poprawił wielkie ciało w nadymance. Potem założył nogę na nogę obserwując, jak zmieniają się przebiegi mięśni pod skórą. Po chwili

wyprostował się i znowu opadł na miękkie poduszki.

Cisza, przerywana jedynie sapaniem nadymanki, przekroczyła granice normalności. Stała się wyzwaniem, które podtrzymywało jego przeczucia. Niepokój narastał. Zdawał się pęcznieć. Aż dziwne. Tyle przecież razy widywał się z Gravem, wiele godzin spędzili obok siebie przy milczącej pracy. Nawet wtedy, gdy nie pracowali nie musieli do siebie mówić. Po prostu wszystko było wiadome. Teraz ich milczenie było znaczące i irytujące.

Arne uczył w głowie pustkę. Uporczywie wibrowało w niej echo ostatnich słów. Infor też przestał brzęczeć prądami. "Widocznie skończył program" - pomyślał Arne z ulgą, jakby to stwierdzenie miało jakiegokolwiek znaczenie.

Grave zrobił krok w kierunku Arne'a. Zatrzymał się jednak i sięgnawszy ręką w kierunku barku zapytał:

- Piwo?

Chciał odmówić. Wiedział, iż nie może nie chcieć pić piwa właśnie teraz, chociaż na myśl o pianistym płynie zrobiło mu się niedobrze. Nie miał jednak siły na nic więcej niż na skinięcie głową.

Grave przyciągnął barek do foteli. Przedziurawił puszkę i jedną podsunął przybyłemu. Błyszcząca powierzchnia plastikowych pojemników pokryła się rosą. Arne przejechał palcem po blacie barku rysując wokół stojącego naczynia ledwie dostrzegalną smugę. Ujął puszkę w dłoń i podniósł do ust. Cienki strumyczek zimnego piwa ostro zaszczypał w język. Kilka łyków płynu przywróciło mu świadomość tego, gdzie się znajduje i co tu ma do zrobienia.

Mgła zgasła tak nagle jak się pojawiła. Teraz ciemność. Uświadomił sobie, że wraz ze zniknięciem oślepiającej jasności opuściła go bezprzedmiotowa trwoga. Lecz jego ja, pozostając na powierzchni nieistnienia uwikłało go w znacznie gorsze przywidzenia czy przyśnienia. Ciemność siedzi na mojej głowie. Jeżeli to jest głową. Lepkimi mackami zagarnia w siebie. Słownik tonie w nocy. Mroknie da jespo kojunad granicznej straży na twarzy. Ciemność nie jest absolutnym aksamitem czarnej chorągwi. Szarzeje miejscami, jakby się miało ku świtowi. Tu zaś gęstnieje namacalnie. Szare dymy przechodzą z beżowym szumem. Rozwiewają się sypiąc korundowymi szpilkami iskier. W tej wypełnionej głosami niezwierności-ciemności drga w oddali punkt o barwie czerwieni. Pulsuje. Gęstnieje. Kolapsuje. Wybuch, przerodziwszy się w plamę, która oblewa czerwienią mrok i mnie przezroczyście rozpuszczonego. Po brzegach jeszcze jest czerwono, ale w centrum tęczy, zielenieje. Oko pawie. Płomieniem zieleni podpala głębiny wód. Boli! Trzask!

Ciemność jest głęboka i przejrzysta jak noc sierpniowa.

- Dowiedziałem się rzeczy, która może cię zainteresować - powiedział Arne nie patrząc na rozmówcę. Jeżeli jednak spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi, doznał zawodu. Grave wciąż milczał. Siedział spokojnie w swojej nadymance i w zamyśleniu syczył piwo. Arne zauważył, iż fotel Grave'a nie syczy. "Tak, jakby nikt w nim nie siedział. Cholernie subtelny facet". Uświadomił sobie, że sprawa, z którą przyszedł wcale nie wymagała tak nerwowej atmosfery. W końcu chodziło o niesprawdzoną plotkę. Nastrój zrobił się sam, prawie bez udziału Arne'a. Mógł spotkać się z Gravem poprzez vizo. Teraz zaś, po całym wstępnym przygotowaniu, każde słowo, jakie trzeba było wypowiedzieć, nabierało wagi nieomal dyplomatycznej. konferencja prasowa. Zrobiło mu się głupio, że przeszkodził Grave'owi. Przecież mógł poczekać do posiłku, na którym by się spotkali jak każdego dnia, gdy siedzieli w Instytucie. Nie musiałby teraz wiercić się w tej syczącej bańce i zastanawiać się jak

pokonać ciszę.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytał przyciszonym tonem Grave.

Sprawa, którą jeszcze w windzie wydawała się prosta, która przed sekundą zdawała się przestać być czymkolwiek istotnym, po tym pytaniu zaplątała się ostatecznie. Wydawało mu się, że wystarczy wejść i zapytać od drzwi: "Czy to prawda, że tylko jeden z nas może lecieć na Fomalhaut?" Zapytać takim tonem, jak się pyta o rozkład dyżurów czy o plany na weekend. To proste pytanie nie chciało mu teraz przejść przez gardło.

Plotka. W półświadomych analizach, jakich dokonywał w ostatnich tygodniach liczył chyba na to, iż Grave powinien zdawać sobie sprawę ze swego wieku. Jeszcze przed kilkoma minutami problem wydawał się jedynie formalny. Nie rozmawiali dotąd o tym, ale znając zainteresowania przyjaciela Arne nie brał poważnie jego kandydatury. Teraz czuł, że się pomylił. Nie tylko w tej sprawie, także w ocenie Grave'a. Siedząc w milczeniu przyrównywał siebie do niego. Obaj byli spokojni i opanowani. Wyczuwał jednak, że pod maską, jakiej Grave nigdy nie umiał się pozbyć, a może nie chciał, trwa napięcie. A zarazem wydawało mu się, że widzi jego myśli biegnące równym i szybkim strumieniem decyzji. Własny spokój okazał się w tym kontekście jedynie kłębem sprzecznych odczuć i wrażeń stłumionych przez sytuację.

Cisza znów przedłużyła się niebezpiecznie. Tym razem odpowiedzialny za to był Ame. Grave wciąż czekał na odpowiedź. Jak nauczyciel pozwalający, by uczeń zebrał całą wiedzę, by odpowiedzieć na proste pytanie. Spokojny i wyrozumiały nauczyciel.

Arne uderzył pięścią w poręcz nadymaniki. Chciał w ten sposób nadać swym słowom większą wagę i siłę przebicia. Pięść jednak zagłębiła się w puszystej masie i oczekiwany impet zgasł zanim się narodził.

- Za dwa miesiące startuje Fomalhaut - powiedział takim tonem jakby się z tego faktu usprawiedliwiał.

- To już wiemy. Od dość dawna.

- Owszem. Ale słyszałem, że znane są już nazwiska uczestników.

Powiedziawszy to zawstydzził się własnego kręactwa. Na policzki wypłynął mu rumieniec. Grave jednak zdawał się nie dostrzegać zakłopotania Ame'a.

- Jedno jest znane od dwóch miesięcy - rzekł obojętnym tonem - Ita Benson.

Rumieniec zapłonął żywszym blaskiem. Żyli z Itą już ponad trzy lata. Uważali się nawet za szczęśliwą parę. Lecz ostatnie tygodnie stały się dla niego nie do zniesienia. "Ita leci". Te dwa słowa brzmiały mu w uchu rankami, gdy się budził i zdawało mu się, że słyszy je także wieczorem przed zaśnięciem. Było coraz ciężiej im mniej czasu zostawało do wyznaczonego terminu startu. Próbował zrationalizować całą sprawę. Ita, w końcu, była odkrywczą Sygnału i jego interpretatorką. To jej koncepcja sprawiła, iż Fomalhaut zaczęła być aktualna. Wreszcie, ona miała specjalizację interosterowną. Przydział załogi zależał od Centrum, które dysponowało wiedzą z Biura Procesów Indywidualnych. Jego karta znajdowała się tam także, ale na tej podstawie nie można było liczyć na dobrą wolę maszyny. Ich małżeństwo jednak stanowiło poważny atut, gdyż dobór osobowości, a tym prawom także podlega związek z Itą, stanowił prawie trzydzieści procent przesłanek. O wszystkim jednak orzekało Centrum. Subiektywne przekonania jego czy Ity nie miały prawie żadnego wpływu. Istniał jeden tylko szkopuł. Były fakty, o których nigdy z Itą nie rozmawiali, gdyż nie zaszła taka potrzeba. Było ich własne życie, o którym pełnię danych miało tylko Centrum. Centrum. Cały świat to jedno. Przypomniawszy sobie Ala i jego pogardliwy stosunek do ziemskich spraw. Była w tym prawidłowość. Każdy, kto przekroczył choć raz granicę Układu zyskiwał pewien rodzaj dystansu do ziemskiej codzienności. A teraz Grave powiedział o Icie, powiedział to, co oboje w rozmowach omijali milczeniem, jakby problem nie istniał wcale, i jeszcze Grave. Trzy lata temu właśnie wahała się w wyborze. Zdecydowała, że zostanie z Amem. Może dlatego, iż był młodszy. Może

była zakochana. On jednak wiedział, że gdyby nie spokój, jaki towarzyszył ich związkowi, gdyby nie dom, jaki im się udało stworzyć, a także przyjaźń, która ich łączyła, bez wahania zamieszkałyby z Gravem. Tak mu powiedziała na początku, gdy już się do siebie przyzwyczaili. To, iż z Issonem Gravem byłaby szczęśliwa, wiedział sam.

Wydało się, że teraz Grave zauważył zmieszanie Ame'a. Może istotnie wcześniej nie zwrócił na to uwagi. - Czemu nie pijesz? - spytał. - Pij póki zimne.

Posłusznie podniósł puszkę do ust. Pomyślał, że Grave (dlaczego nie umie do niego po prostu powiedzieć po imieniu, na przykład Iss) jest lepszy od niego. O wiele lepszy. "Jest spokojny jak automat" - przemknęło mu przez głowę. Nagle, niejasne przeczucie, jakie miał wchodząc do tego pomieszczenia, przerodziło się w pewność. Chyba pomogło teraz skojarzenie z automatem. On po prostu wszystko wie: po co tu przyszedł, czego chce, co myśli. Więcej, on wie także to, czego Arne najbardziej się obawiał. Ogarnął go krystaliczny spokój. Jeżeli jeszcze przed sekundą myślał o przeciągającej się rozmowie jak o rozgrywce i rozważał siebie i Grave'a w kategoriach zwycięzcy i zwyciężonego, to teraz poddał się.

- Ty już wiesz - stwierdził takim tonem jakby mówił o panującym za oknem upale.

- A o czym powinienem wiedzieć? - przekrzywił głowę jak ptak i wpatrywał się w Arne'a jednym okiem.

- Nie udawaj gorszego niż jesteś! Skoro wiesz, to niepotrzebnie tu przyszedłem. Nie musisz kpić ze mnie.

Sam spokój. Towarzyska odzywka. Wie przecież, że Grave nie kpi. Że obchodzi go jak śmierdzące jajo nie chcąc uczynić ani jednego gestu, który by chociaż pozornie miał go skrzywdzić; milczy, by nie urazić...

- Sam się podkładasz. Ale, skoro tak sprawę stawiasz... Posłuchaj.

Podszedł do infora. Wcisnął jakiś klawisz i cofnął się na fotel. Tym razem nadymanka zareagowała we właściwy sposób. Jej syczenie przyniosło Arne'owi pewną ulgę.

Ciemność jest głęboka i przejrzysta jak noc sierpniowa. Wieś uspiona nie istnieje. Ciemność, że ręka tonie w chłodnym nieistnieniu światła i podniesiona do oczu dotknięciem palców potwierdza swoje bytowanie.

Szept.

Szept. Wiele szeptów. Szepczą, szeleszczą, szemrzą szorstkowłose pod ścianą. Psy. Nie. Jeden pies. Mam w ręku staromodną strzelbę ze zdobionym perłową macicą zamkiem i kolbą intarsjowaną mahoniem i hebanem. Nabiłem ją prochem i kulą srebrną. Pies pełźnie po podłodze brzuchem szorując po zbielałych deskach. Drugi. Cień psa - wychynął zza ściany, leży pod brzuchem pierwszego kornie z podgiętym ogonem. Pierwszy leży wstrząsany skurczami agonii. W jego czasce otwartą jasnoróżową dziurą jarzy się przestrzelina. Pienista posoka rozlewa się plamą po chropowatych deskach. Leży spokojnie na boku zakrywając twarz łapą, a nogi w próżniowych butach rozrzucił szeroko. Jego kształty są ludzkie. Słyszę strzał. Mam broń przy oku. Pochylam się nad psiogłowym, by pogłaskać go po grzbiecie. Dotykam futra czując pod palcami rozmiękły materiał. Pod dłonią rodzi się twarz o barwie papieru. Na czole czernieje gładkokrawędzisty otwór. Poznaję go. To ja sam. Napływa czerwono gorąco do oczu. Podłoga kołysze się pod kolanami falą morską. Przywieram do niej opadając zakosami jak liść z drzewa. W ciemności pączkującej ciepłem zanikam.

Przestrzeń przed inforem zmetniała. Po kilku sekundach wyrósł w rozwiewającej się szybko mgiełce

blasku sam Szef. Ame rzadko go widywał i teraz nieomal poderwało go z fotela, tak silne było złudzenie jego fizycznej obecności. Szacunek dla przełożonego kazał mu odstawić piwo. W tym samym momencie w przestrzeni wizyjnej pojawiła się nadymanka, na której spoczął Szef, a w jego ręku identyczna puszka z piwem, jaka stała przed Amem.

Po namyśle sięgnął po nią.

Szef spojrział na nich i powiedział:

- Przygotowałem to nagranie dla was obu. Wolę, abyście wiedzieli i nie pytali mnie o nic.

Potraktujcie więc, panowie, to, co powiem, jako ostateczność.

Podniósł piwo do ust jakby czekał na wrażenie, jakie wywarł ten wstęp na słuchaczach. Arne spojrzawszy na Grave'a spytał półgłosem:

- Ty już to widziałeś?

- Tak - odrzekł, również odruchowo ścisząc głos. - Przysłał mi to kanałem wizyjnym. Taśmę dostałem potem. Nie mogłem..

Dalszy ciąg wypowiedzi został przerwany przez Szefa. Zamieszał piwo w puszcze, jakby zamierzał wychylić je duszkiem, ale nie zrobił tego, tylko opuściwszy rękę na oparcie fotela zaczął:

- Fomalhaut odlatuje za dwa miesiące. Celem wyprawy jest zbadanie tego układu. Istnieje uzasadnione podejrzenie, iż znajduje się tam ośrodek cywilizacyjny. Wskazuje na to sygnał, jaki został odebrany przez nasłuch i zinterpretowany przez Benson. Ze szczegółowej analizy wynika...

- Po co to gadanie? - spytał Ame już normalnym głosem.

- Za to ma płacone. Chce być w porządku.

- Jak dojdzie do czegoś ważnego zawołaj mnie - rzucił Arne i uczynił ruch, jakby chciał podnieść się z fotela. Grave nie zareagował jednak na żart, toteż opadł z powrotem na poduszki słuchając tym razem z satysfakcją dźwiękowej reakcji mebla.

Zmiana tonu mówiącego kazała mu zwrócić uwagę na komunikat.

- W związku ze szczególnym rodzajem niebezpieczeństwa - kontynuował Szef - nie możemy ryzykować. Może lecieć tylko dwoje ludzi. Ita Benson musi, gdyż jest to jej wyprawa. Nie mogliśmy jednak, po konsultacji z Centrum powierzyć jej wyboru towarzysza. Istnieją powody, aby przypuszczać, iż każdego wyboru będzie żałowała. Centrum podało alternatywę - może nim być któryś z was. Obaj spełniacie odpowiednie warunki, chociaż każdy inne. Twoje doświadczenie, Iss - tu pochylił się jakby wskazywał Grave'a - twoje doświadczenie równoważy lepsze wyniki testów orientacyjnych Arne'a. Wasze prace zaś pozwalają przypuszczać, że obaj... - urwał i pociągnąwszy łyk piwa, nie kończąc rozpoczętego zdania, wyrzekł zdecydowanie:

- Macie czas do siódmego. Tego dnia w południe muszę mieć odpowiedź. Jeżeli jej nie otrzymam - zdecyduję sam. Mam na to uprawnienia od Rady.

Podniósł puszkę na wysokość wzroku i wykonał ruch jakby wznosił toast. Arne'owi wydało się, że widzi ironiczny uśmiech na jego ustach, gdy dodał na zakończenie: - Życzę wam przyjemnej rozmowy. Czekam.

Wychyliwszy resztę piwa rozpląnął się w białoniebieskiej poświacie. Przez kilka sekund jeszcze w miejscu, gdzie siedział, drgał zogniskowany płomyk blasku, aż Grave wstał i wyłączył infor.

Zapadła cisza.

- To co? - poderwał się nagle Arne. - Zobaczymy się podczas posiłku?

Grave po raz pierwszy dzisiaj zdawał się spoglądać uważniej na rozmówcę. Spojrzenia ich spotkały się na ułamek sekundy i rozbiegły w przeciwne strony.

- Dobrze. Za godzinę w barze.

Wstali. Isson Grave, nie czekając aż Arne wyjdzie, podszedł do infora wyciągając po drodze plik

programów z kieszeni. Pochylił się nad klawiaturą. Arne nie zwrócił uwagi wychodząc, że Grave operuje na wyłączonej maszynie.

Ciągle jeszcze tkwiła nad problemem poruszonym w biuletynie. Infor milczał. Odesławszy Itę do Pamięci Kontynentalnej czekał na jej decyzję. Połączenie z PK kosztowało trzy razy drożej niż normalne operacje i program przewidywał po-’ zostawienie swobody decyzji w tej sprawie człowiekowi. Jedną z niewielu możliwości własnej decyzji w kontakcie z maszyną. Zastanawiała się, czy rzeczywiście jest potrzebne dodatkowe odwołanie. Wywołała w pamięci obraz modelu zjawiska, który infor, sprzężony z jej świadomością z półsekundowym opóźnieniem, jakiego wymagała procedura współpracy w polu p, wyświetlił w przestrzeni wizyjnej. Przez jakiś czas analizowała przebieg przecinających się wzajemnie płaszczyzn świetlnych i linii biegnących w powietrzu. Szczególnie zainteresowało ją odchylenie od przewidywanej normy, jakie zachodziło z dala od punktu zerowego, bowiem tam jej model różnił się od prezentowanego w Biuletynie. Gdy nałożyła na siebie oba wykresy przestrzenne wiedziała już, że odchylenie mieści się w zakresie przez nią samą oznaczonym, jako naturalne.

Nie podobało jej się jednak, że Ivo Ferreja tak łatwo przeszedł do porządku dziennego we wnioskach zamieszczonych w czytanej przez nią artykule, nad jej propozycją potraktowania Fomalhaut jako czynnej w sensie kulturowym cywilizacji. Dowodził, że na tego typu ciałach, jak planety Airo, a stamtąd pochodził komunikat, nie może powstać cywilizacja, o jakiej myślała Ita. Co najwyżej jakieś życie, bo przecież “jakieś” musi być. Doszedł nawet do tego, iż punktem wyjścia Ity był chaos, który może prowadzić do zupełnie dowolnych kreacji. Odczytanie “tekstu” zawartego w tym “komunikacie” było, jego zdaniem, niczym innym, niż doszukiwaniem się w szachownicy jakichkolwiek jeszcze układów niż naprzemienny biało-czarny. Słowem stwierdzał, dość oględnie zresztą, że Ita Ferreja uzasadnił swoje wywody prawami psychologii, ogólnymi i szczegółowymi wychodząc ze stanowisk szkoły Tirowa. Nie zastanawiała się jednak dłużej nad tym. Ważniejsze było to, jak doszedł do wyniku, który sprawił jej tyle kłopotu. Do samej jego teorii dotyczącej charakteru cywilizacji nie miała pretensji. Ostateczna odpowiedź będzie należała do niej - kiedy znajdzie się w układzie Airo. Dopiero bowiem bezpośredni kontakt z “tamtymi” dostarczy niezbitych dowodów i dyskusja może nabrać sensu.

Postanowiła połączyć się z autorem. Pod tytułem, a dokładniej, pod swoim zdjęciem znalazła kod. Skierowała twarz do eksterokomu.

- Dwieście-dwieścietrzy-dwanaście.

- Zgłosiła się centrala w Sanie. Głębokim altem automat poinformował ją, że z przyjemnością służy jej łączami.

Przez chwilę milczała, bo przyszło jej do głowy, że linie komunikacyjne też powiązane są przecież z lokalnym Centrum Cerebrotronicznym. Może ten alt, to rzeczywisty głos jakiejś dziewczyny, która nie żyła od dawna. Na szczęście nie trzeba komunikować się z ich świadomością. Tak pomyślała, a jednocześnie wyobraziła sobie mózg, zajęty swoimi własnymi sprawami, może przemyśliwaniem, może kontaktem z innym, podobnym sobie tworem, gdy tymczasem jego podświadomość uczestniczy w tak prozaicznej czynności, jak łączenie video. Automat czekał cierpliwie.

- Sześćsetdwadzieścia-zerozerodwa - uzupełniła wezwanie.

- Tu zerozerodwa. Słucham - dobiegło z przestrzeni.

- Tu mówi Benson.

- Miło mi słyszeć panią, Ito. - Głos był miły. W tle słyszała głęboki szum, jakby wiatr wśród jodeł, albo morze rozbijało się o brzeg.

- Mam przed sobą biuletyn. Jest pan informatykiem?

- Nie. Jestem biotystą. To dość wygodna specjalizacja. Można więcej powiedzieć od siebie.

- Właśnie o tym chciałam z panem rozmawiać. Ma pan wizję?

- Owszem. Już wchodzę, jeżeli pani pozwoli.

W miejscu, gdzie poprzednio rozkwiły się linie przestrzennego modelu rozjarzyła się świetlna kula, która w chwilę potem rozlała się w pełny obraz. Przed Itą siedział w fotelu siwy mężczyzna. Uśmiechnął się na przywitanie jej obrazu. Fotel stał na tarasie. Mężczyzna był czarnoskóry. Za jego ramieniem widać było skrawek błękitnego morza pokrytego barankami piany.

Wyobrażała sobie, iż jest znacznie młodszy.

Znowu się uśmiechnął biorąc jej milczenie za zakłopotanie, w czym tak bardzo się nie mylił. Reakcja Ity była prawidłowa. Twierdził przecież, że wyprawy w ogóle nie warto wysyłać, bo zysk naukowy z niej niewielki, a cena, jaką można zapłacić - wysoka. Za wysoka.

- Pytała mnie pani, czy jestem informatykiem. Czy biotystą nie ma prawa wypowiadać się na takie tematy? - W pytaniu nie odczuła prowokacji, raczej rodzaj napomnienia.

- Wydaje mi się, iż przykładą pan zbyt szeroką miarę do pojedynczego problemu.

- Nie bardzo rozumiem.

- Chodzi mi o to, że zbyt pan generalizuje. Nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że cywilizacja ta nie jest kulturowa. Z analizy tekstu wynika, iż istnieją tam pojęcia, które mogą nas odsyłać do tych właśnie sfer i pozwalają na takie właśnie wnioski.

- Z powodzeniem moglibyśmy dowodzić czegoś zupełnie przeciwnego. Sądzę, że praktyka wykaże, która postawa była właściwa. Ale nie o tym chciałem z panią mówić. Bo przyznam się, że liczyłem na to, iż zobaczę panią jeszcze przed odlotem. Liczyłem po prostu na to spotkanie. Sam nie szukałem pani, bowiem wydawało mi się, że jeżeli od pani strony nie wyjdzie inicjatywa, to nie mam po co wtrącać swoich uwag do skończonej roboty. Zanim jednak powiem wprost o co mi chodzi, czy pozwoli pani, że przekażę pewną przypowieść?

Ita skinęła głową. Podobał jej się ten człowiek i spokój, jaki miał w sobie. Przysunęła sobie bliżej fotel i usiadła tak, że gdyby nie to, iż spotkanie było świetlnym fantomem, mogłaby wyciągnąwszy rękę dotknąć kolana Ferreji.

- Otóż pewna mała - kontynuował - występująca stale w cyrku, zastanawiała się wieczorem, gdy po pełnym wrażeń spektaklu siedziała jak zwykle w swej klatce, nad problemem ludzi. Zastanawiała się nad tym, jak dziwnie i niesprawiedliwie urządzony jest świat. To poważne oskarżenie. Toteż szukała drogi, aby jakoś pogodzić swoje poczucie dobra z rzeczywistością. Cyrk był niewielki i występowały tam tylko pojedyncze egzemplarze zwierząt - reprezentanci gatunków. Każde zwierzę miało swojego tresera.

Wreszcie, po długich medytacjach mała sformułowała obraz świata. Nie był on jednolity. Podziały odpowiadały różnicom gatunkowym. Każde zwierzę miało rolę do wypełnienia, rolę zdeternowaną swymi osobniczymi cechami. Słoń skakał przez obręcz. Tygrys udawał, że odgryza głowę człowiekowi. Koza tańczyła kankana. A mała udawała człowieka. Ludzie zaś przynosili jedzenie. Dziwiło ją zawsze i zastanawiało, dlaczego zwierzęta te, wraz z nią, są samotne, a ludzi jest kilku. W końcu doszła do wniosku, iż świat jest tak urządzony, że każde zwierzę ma po jednym człowieku, aby miało cel w życiu. I na tym zamknął się jej obraz świata. Cała reszta była żywiołem, w którym żył jej cyrk. Była już szczęśliwa, i więcej nie rozmyślała. Czy wie pani, na czym polegało jej szczęście? - spytał na koniec uśmiechnąwszy się po raz trzeci. - Na tym - podjął wiedząc, że wciąż słucha - że na widowni nie widziała ludzi. Oślepiąca reflektorami była na nich ślepa. Dla niej to był ów żywioł.

- Jest pan pesymistą.

- Nie - odrzekł pospiesznie, a po chwili poprawił się: - Raczej nie. Uważam tylko, że ciągle jeszcze żyjemy w cyrku, i nie zobaczymy niczego innego, jak wysypaną piaskiem arenę i blask reflektorów,

choćbyśmy się nie wiem jak długo wpatrywali w widownię.

Nie życzy mi pan najlepiej.

- Nieprawda. Dobrze, że pani leci. Kiedyś trzeba wystawić głowę poza arenę, że posłużę się jeszcze tym obrazem. Nie życzę pani źle, ale i nie zazdroszczę. Nowe doświadczenia, choćby realizowały marzenia, nie zawsze przynoszą szczęście.

- Nie jest ważne moje szczęście - uniosła się. - Ja chcę po prostu wiedzieć. Wszyscy chcemy. Pan też.

- Czy ja też, to inna rzecz. Ale, czy naprawdę uważa pani, że powinniśmy wiedzieć wszystko?

- Wszystkiego nie poznamy nigdy. Ale musimy starać się wiedzieć jak najwięcej.

- Jest pani jeszcze bardzo młoda. To także dobrze, i na pewno nie ja pierwszy pani o tym mówię.

Wydaje mi się jednak, że od dawna już jesteśmy w tym momencie historii, w którym nie tylko warto, ale i trzeba zastanowić się nad kierunkiem poznania. Nie chodzi, moim zdaniem, o to, czy warto wiedzieć więcej. Pytanie, jakie wydaje się najważniejsze, brzmi: czy wolno?

- Pan by nie polecał? - spytała nagle.

- Nie wiem. Gdybym mógł, chyba polecałbym. Ale nie jestem pewien, czy bym wrócił.

Zapadła cisza. Morze szumiało jak przedtem. Nie patrzył na nią, wzrok skierował poza pole widzenia kamery. Ita zrezygnowała już z pierwotnego planu rozmowy. Nie chciała analizować wykresów. To rzeczywiście mało ważne. Myślała o tym, co usłyszała. Jest reprezentantem gatunku, który wykształcił się w postać homo faber. Jakakolwiek humanistyka jest dla niego tylko usprawiedliwieniem, bezinteresowne zaś poznanie - zakamuflowanym pragnieniem polepszenia życia. Może to zbyt jednostronne. Ale nie pozbawione racji.

- Niech się pani nie martwi - rzekł zwróciwszy wzrok na nią. - Pewnie to pani ma rację. Ja jestem tylko biotystą. Może to i dobrze, że nie mogę lecieć z panią. Zanudziłbym na śmierć.

- Niech pan tak nie żartuje.

- Mam tyle lat, że wolno mi już żartować w ten sposób. A pan! nie wolno się martwić. Uniósł dłoń, jakby chciał jej pokiwać na pożegnanie. - Życzę pani powodzenia - dodał. - Kiedy pani wróci, mnie już prawdopodobnie nie będzie wśród żywych. Może kiedyś spotkamy się poprzez jakieś Centrum. Nie czekam więc na wasz powrót.

Chciała coś powiedzieć, aby zaprotestować, ale jego wzrok powstrzymał ją przed rym. Usłyszała:

- Niech pani pamięta o naszej rozmowie. Ja będę sobie wyobrażał, że lecę. Pani niech pamięta, choćbym nie miał racji w ostatecznym rozrachunku. A teraz się pożegnamy. Życzę pani, abym nie miał racji w niczym, i życzę szczęścia.

- Do zobaczenia - odrzekła odruchowo.

- Żegnaj mała Ito. Wróć.

Obraz błysnął i zgasł.

Stał o dobrych kilku chwil na podjeździe zastanawiając się, co ma robić. Zaplanował, że obiad zje w domu, ale umówił się przecież z Gravem w barze. Chciał jechać do Ity i powiedzieć jej o postanowieniu Szefa, a jednocześnie wahał się, bo z jego expose mogło wynikać, iż Ita sama nie wie i nie powinna wiedzieć o niczym, zanim zapadnie ostateczna decyzja. Pomyślał, że Grave jednak chce lecieć, co sprawiało mu przykrość. Niczym nie uzupełni swojej lepszej racji. Właściwie, zaplanowana rozmowa nie miała najmniejszego sensu. Muszą się zdać na wyrok Szefa. Za dwa dni.

Schodził właśnie do samochodu, gdy uświadomił sobie, że przecież Szef wyjechał wczoraj. Niepotrzebna była informacja, jaką otrzymał w windzie. Sam go widział, jak wsiada do swego osobistego żyro. Zatrzymał się w pół kroku i zaczął intensywnie myśleć. Niewiele z tego wynikło, gdyż

sprawa była zbyt prosta, by było cokolwiek do wymyślenia. Jeżeli wyjechał wczoraj, to wcześniej złożył wizytę Grave'owi i potem wysłał mu video. Więc Grave, co sam przyznał, już wczoraj wiedział o zamierzeniach Centrum. A Ita widziała się z Gravem wieczorem.

Zaczął przypominać sobie przebieg wczorajszego dnia. Cały dzień siedział w Instytucie. Wieczorem spotkał się z Alem. Kontakt osobisty, to dużo więcej niż video, nawet przy najlepszej łączności. Do przekazania pewnych informacji nie wystarczy widzieć i słyszeć. Trzeba czegoś więcej. Być może chodzi o wymianę informacji na poziomie biopola, które nie jest przenoszone przez aparaturę.

Przez cały wieczór przeglądali materiały przywiezione przez Ala. Nie było tego dużo. W sam raz jednak na zupełnie przyzwoitą pracę o eremijskiej faunie. Nawet doktorską. A jakby się postarał - na dwa doktoraty.

Tak. Wrócił później niż zwykle, a Ity jeszcze nie było. Przyjechała krótko przed północą. Była małomówna i wyraźnie zajęta własnymi myślami. O nic nie pytał, z doświadczenia wiedział, że jeśli będzie potrzebowała rozmowy, to sama będzie mówić. Nie wiedział, kiedy zasnęła. Siedziała do późna w nocy nad inforem. Nieraz już tak bywało. Twierdziła, że po pierwsze nie lubi zostawiać nie skończonej roboty, a po drugie nocą jest łatwiejszy dostęp do węzłów informacyjnych. Było więc zwyczajnie, tym bardziej że ostatnio miała masę pracy związanej ze swoim projektem.

Teraz jednak przebiegał raz po raz myślą wczorajszy wieczór. Przypominał sobie każde jej słowo, analizował najzwyczajniejsze zachowania, jakby zawierały zaszyfrowane, niezmiernie ważne dane.

Zdał sobie nagle sprawę z tego, iż myśli o Icie nieomal wrogo, że zastanawiając się nad jej zachowaniami, jakby analizował przebieg partii szachów. W tym samym momencie, w głównej mierze opierając się na intuicji, utwierdził się w przekonaniu, że Ita wiedziała już wczoraj o postanowieniu Szefa. Zastanawiało go to, że nie powiedziała mu o tym. Czyżby nie miała odwagi? Nie, to nie wchodziło w grę. Raczej należało przypuszczać, że Grave postanowił sam przeprowadzić sprawę i ona się zgodziła. W takim razie wyrwał się w samą porę z wizytą u Grave'a. Zarazem jednak zupełnie niepotrzebnie. Bo Szef, według zasady starszeństwa, przedstawił rzecz najpierw Grave'owi. A "posłanie" było przecież potem dla nich obu. Chyba że Szef powiedział Grave'owi coś jeszcze... Nie. Tego nie wolno przypuszczać. Raczej już należy sobie wyobrazić, co odczuł Grave po raz pierwszy oglądając program.

Na chwilę rozpląnął się w sentymentalnym kontemplowaniu wyobrażonej głębi uczuciowej Grave'a. Gdy już zrobiło mu się dostatecznie mdło, ruszył zdecydowanie w kierunku auta. Cały czas bowiem stał na słońcu, tak jak zatrzymał się po wyjściu na podjazd.

Szybko podjął decyzję. Ma jeszcze czterdzieści minut. Zdaży pojechać do Ity i zapytać wprost, co ona sama sądzi o wyborze, jaki się ma dokonać. Niech diabli wezmą Centrum i jego zalecenia. Powie jej to, czego się dowiedział i niech sama decyduje. Oboje nie uznawali kręactwa między sobą i sądził, że i tym razem zrozumieją się właściwie. Wreszcie coś będzie jasne. Może liczył także na to, że mając w pewien sposób prawo do bycia obok niej, większe niż Grave (z którym choć pracowała i przyjaźniła się, jednak nie stanowiła urzędowo potwierdzonego związku), wpłynie na jej decyzję na swoją korzyść. Niech mu Centrum wybaczy, ale jest tylko słabym człowiekiem.

Wsiadając do samochodu spojrzął na wiszącą nad parkingiem kamerę, która przekazywała obraz do węzła informacyjnego Instytutu. A stamtąd - wiadomo. Uśmiechnął się do niej i byłby pokazał język, gdyby nie to, iż naprawdę nie wypadało. "Niech zresztą będzie cokolwiek, byleby to było coś określonego" - pomyślał. Przez te kilkadziesiąt minut zdaży wrócić i będzie wiedział, co powiedzieć Grave'owi.

Kolorowych punktów jest wiele. Układają się w długi korytarz. Ten proces trwa nieprzerwanie, choć

nie udaje mi się zauważyć momentów przejścia jednej formacji w drugą, W pewnej chwili po prostu, z chaosu barwnych błysków zdaje się rodzić coś na kształt wnętrza olbrzymiego rybiego szkieletu; otaczające mnie żebra świecą zielonkawą poświatą. U stropu tego korytarza biegną wystrzające się wyrostki nawisłe jak stalaktyty. Plan staje się powoli achromatyczny, szarzeje w monotonię czarnych i białych plam. Aż nagle - jak zbyt kontrastowy obraz - zaczyna drgać i wybucha rozbłyskiem jaśniejszym niż wszystkie słońca Galaktyki, by zgasnąć w granatowej czerni.

Obrazy przesuwają się przede mną i nade mną, we mnie. Zmieniają się formy jak w kalejdoskopie ułożonym z luster. Nie powtarzają się.

Znowu dała znać o sobie cisza. Nastąpiła. Teraz dopiero zupełnie jasno uświadomiłem sobie nierealność zjawisk, jakim podlegam. Ile czasu to trwa?

Czas się gdzieś rozmył w rzekach, które przelały się przeze mnie. Rozwiął się na cztery wiatry zostawiając mnie porzuconego jak dziurawy kapelusz. Czas spada kroplami, kapie miarowo z mokrego wiadra w głąb studni, dźwięk wieczności.

Czas stoi.

Ambiwalencja odczuwania czasu i dowolność, z jaką poddają się inne elementy mojego świata kierunkowi wyobraźni nie dają mi spokoju. Chwilami zdaję się sobie samemu własnym marzeniem sennym, a wiem, że nie śpię. Wydaje się, że właśnie teraz nastąpiło przebudzenie, lecz nadal trwa ta dziwna projekcja, półzależna od mojej woli. Lecz, gdy zacząłem uświadamiać sobie własną rolę w przeżywanym świecie, gdy pośród widziadeł umieściłem sobie własne legowisko, zdają się one blaknąć i zanikać. Zamiast tego mam przed oczami drgającą ciemność.

Przed oczami!

Co się ze mną dzieje?

To pytanie, wydawałoby się podstawowe, czając się cały czas pod skórą wyszło nagle jak kość przy otwartym złamaniu. Chociaż niezwerbalizowane, trwało niby nic babiego lata zawieszona między sosnami. Słońce przedziera się przez gęstwinę świetlistymi płatami, osiada na korze, wnika w złuszczenia, sieje się przez liściaste poszycie, rozsypuje na piasku mroczniejąc pośród mchów. Zapach żywicy. Tyki złotych dziewann kołyszają się w upalnym powiewie. Zapach rozgrzanych słońcem traw płynący z polany i smak metalu w ustach. Pająk kołysze się w sieci.

Wrzucił bieg i ostrożnie wyprowadził wóz na placyk manewrowy. Nie było tłoku, gdyż mało kto korzystał z samochodu. Zwykle dojeżdżano z miasta linią podziemną. Arne jednak wolał swoją trasę pokonać autem, było to przyjemniejsze niż wzywanie żyra. A linii bezpośredniej nie było - mieszkał w dzielnicy niskiej zabudowy. Minął automat kontrolny w bramie, zdążywszy zauważyć, jak w okienku drogowym zawirowały cyfry wyznaczające kurs. Te same cyfry ukazały się na jego tablicy rozdzielczej. Wszedł na tor i przełączył sterowanie na automat.

Wóz zwiększał szybkość i po kilku sekundach rwał skrajem szosy zostawiając za sobą płachty podmokłych łąk, które dalej od drogi przechodziły w stepowiejącą równinę pokrytą z rzadka rosnącymi kępami drzew. Dopiero pod horyzontem wyrastała ściana lasu, który granatowym ramieniem otaczał Instytut podchodząc z przeciwnej strony nieomal pod samą bramę wjazdową. Obejrzał się. Gmach Instytutu oświetlony prawie pionowo padającymi promieniami słońca zdawał się powiększać w miarę, jak cicho szumiąca maszyna oddalała się od niego. Aluminiowe płaszczyzny przecięte smugami kurtyn siłowych i połączone pionowymi listwami tytanowej konstrukcji świeciły ostro na tle nieba tak błękitnego, że zdawało się - widzieć za nim gwiazdy. Budynek wisiał nad łąką jak stereobraz z infora - nierealny w tym słońcu i w upalnej ciszy wczesnego popołudnia.

Odsunął szybę. Przez okno z furkotem wpadło pachnące powietrze i uderzyło go w twarz miękkim kłębem. Rozejrzał się. Gdzieś tu zaraz powinien być punkt 61B Tam skręca w lewo. Pojawił się zapach koniczyny.

Autopilot prowadził bez wahania wzdłuż elektromagnetycznego namiaru. Droga o tej porze była pusta. Kazał przyspieszyć.

Musiał przymknąć okno, bo wpadające powietrze wyciskało z oczu łzy. Na tablicy pojawiła się żółto świecąca liczba 615. Zjechał ze ślimacznicy i wskoczył w wąską przecinkę, którą biegła droga oznaczona tym numerem.

Droga ta nie miała sterowania. Las rosnący po obu stronach napierał ogromem wiekowych drzew gęsto oplecionych bluszczami i innym zielskiem. Co kilometr jezdnia poszerzała się. W jednej z zatok ujrzał auto zmierzające w przeciwnym kierunku. Sygnał z jego emitera zatrzymał je tutaj, ponieważ pierwszeństwo miały pojazdy zjeżdżające z drogi głównej. Przeleciał z szumem i w monitorze wstecznym ujrzał kątem oka jak tamten wskoczył na trasę i oddalił się.

Słońce przedzierało się poprzez gęstwę liści spadając na drogę plamami blasku. Po masce przebiegły rozjarzone refleksy. Między drzewami panował chłodny półmrok.

W zasadzie nic się nie zdarzyło. Mógłby z tego wyjść bez kłopotów. Zauważył go jednak za późno.

Spomiędzy drzew wysunął się na szosę nisko zawieszony zad automatu leśnego podobny do odwłoku pająka.

- Co za diabli! - mruknął pod nosem Arne zdając sobie równocześnie sprawę z absurdalności tego określenia w stosunku do maszyny. Przyhamował ostro i dał sygnał, na fonii i radiem. Jednocześnie w pełni zrozumiał niebezpieczeństwo. Uświadomił sobie, że taki wyjazd na drogę jest nie do pomyślenia, a gdyby nawet się zdarzył, to przecież jego maszyna przez cały czas nadaje sygnał blokady Wszystkim poruszającym się w najbliższym rejonie drogi urządzeniom.

- Właśnie! Sygnał blokady!

Sprawdził, dla porządku. Na tablicy drgała zielona nitka drogi. Jest zatem. Ileż to rzeczy człowiek może zauważyć w tak krótkim czasie. Odległość malała w błyskawicznym tempie.

- Tylko bez paniki! - powiedział piskliwym głosem. "Katastrofy samochodowe - dodał w myśli - nie zdarzają się przecież".

Nie miał czasu na nic innego jak tylko spróbować skrętu w lewo. Chciał zmieścić się w malejącej przestrzeni między odwłokiem automatu a drzewami po przeciwnej stronie drogi. Pająk wyraźnie zwalniał. Blokada działała. Ale robił to zbyt powoli, swoje ważył.

Nie zdążył!

Dodał gazu.

Nie zmieści się.

- Gdybym nie przyhamował, ominąłbym gada -.powiedział wciskając hamulec z jednoczesnym skruceniem kierownicy w prawo. Usiłował wprowadzić maszynę w poślizg wierząc, że zawsze będzie lepiej, gdy nie uderzy czołem w narastającą przed oczami wielotonową masę. Skutki rykoszetu mogły być niespodziewane, zaś czołowe zderzenie, pomimo zabezpieczeń, przy tej szybkości było jednoznaczne.

Kątem oka zobaczył przesuwający się obok ze zgrzytem dartej blachy obły kształt automatu. Samochód uniósł się w powietrze jakby miał zamiar wystartować i odbity pofrunął uderzając tyłem o drzewo. Opadł na koła i przez ułamek sekundy zdawało się, iż nastąpił koniec piekielnego tańca.

Nie utrzymał się w tej pozycji. Gubiąc po drodze blachy poszycia odskoczył jak gumowa piłeczka od obdartego z kory pnia, by w następnym ułamku sekundy, tracąc już rozpęd wklinować się między drzewa po tej stronie drogi, skąd wyjechał pająk.

W tych kilku ostatnich ułamkach sekundy Arne nie zdążył nic pomyśleć. Skulił się pod drążkiem

kierowniczym, jak tylko na to pozwalało zabezpieczenie próbując przeciwdziałać narastającemu przyspieszeniu. Siła uderzenia wymiotła go spod kierownicy i rzuciła w drugi kąt kabiny, po czym cisnęła w tył wozu, gdzie doleciał łamiąc przednie oparcie i drąc obicia próbującymi uchwytu palcami. Pękający dach auta wdarł się do wnętrza szerokim pasmem ostrej jak piła blachy. Nie czuł bólu, a jedynie tępe mrowienie pod czaszką.

Pod powiekami zapadła ciemność i wszystko ucichło.

Mały, czarny otwór w skale. Skafander uwiera. Wiatr chce urwać pozbawioną hełmu głowę. Salome. Mała, błękitna planeta porośnięta płożącą się roślinnością. Drobne listki kociej trawy gęsto pokryte miękkim kutnerem. Błękitnogradatowe.

Łagodna kraina. Tylko ten wiatr. Tam został Lucis. I nigdy nie wróci. To był jego swagam, jeden z wielu dzikich swagamów na Salome. Dlatego Lucis nie wrócił? A ja to zrobiłem i jestem na Ziemi. Wróciłem? Dokąd?

Swagam myszkuje po pokoju. Bezszelestnie wślizguje się pod infor. Albo czeka na półce obok syntetyzatora. Skacze w przestrzeń wizyjną i wyłania się z niej przepołowiony przez spolaryzowany promień światła.

Ita. Szeroko rozstawione oczy o barwie ciemnego bursztynu. W każdym zatopiona iskierka. Miodowa skóra wchłania w siebie promienie zachodzącego słońca. Będzie ładna pogoda jutro. Pachnie żywicą jak świeżo rozłupane polano - niepokalane wnętrze życia.

Jestem Arne Hiss. Urodziłem się. Żyłem. Umarłem. Droga 615. Gdzie jestem. Całe ciało mam obolałe. Łupie w nodze złamanej na Salome. Lucis nie żyje. Nie tylko on. Kosmonautyka wymaga ofiar. Lucis. Arne. Nie! Ja wróciłem.

Była druga po południu.

Już dwie godziny jak powinien być. Praca i rozmowa z Ferreją tak ją zajęły, że zapomniała o mijającym czasie. Połączyła się z Instytutem i jednocześnie usłyszała sygnał zgłoszenia. Ktoś chciał stamtąd z nią rozmawiać. Podała hasło myśląc o telepatii.

Z głośnika usłyszała głos Grave'a. Przeszła na wizję.

- Witaj Ito. Jest Arne?

- Nie ma go, czekam właśnie. Myślałam, że to on się zgłasza.

- Umówiłem się z nim godzinę temu w barze. Nie przyszedł. Teraz jednak chciałbym się z nim zobaczyć.

Twarz Grave'a była spokojna i nieomal zacięta.

- To w Instytucie go nie ma?

- Sprawdziłem na parkingu. Samochodu nie widać, więc myślałem, że go tu znajduję.

- Czy coś ważnego?

- Raczej tak.

- Może przekazać, gdy przyjedzie? Co mu powiedzieć?

- Zwykła służbowa sprawa, niby nic szczególnie ważnego, ale wskazany jest pośpiech. Wiesz, Ito. Terminy. Naciskają nas - tłumaczył się. Widziała wyraźnie, że coś przed nią ukrywał. Obaj zresztą w podobny sposób się zachowywali. Jakby się umówili.

Grave zacisnął usta. Wydał się Icie obcy.

- Gdy się zjawi, powiedz mu, proszę, że czekam na niego w Instytucie. Połączę się jeszcze z Alem.

Może do niego pojechał.

Usłyszała trzask przerwanej połączenia i obraz zniknął.

Słońce przeszło na zachodnią stronę. Obudziły się ptaki. W jednej z plam światła na podłodze wygrzewał się swagam. Ita podeszła i uklękła przy zwierzęciu. Pogłaskała je końcami palców. Swagam zapiszczał przymilnie. Dziewczyna przyciągnęła porzucony na podłodze biuletyn. Otworzyła go, ale nie chciało jej się czytać. Siłowała się zmusić do myślenia. Wyobrażenia jednak wahała się między Ferreją i Isssem. Czemu Iss nie był wobec niej szczery? Czują, że zdarzyło się w Instytucie coś poważnego.

- Dwanaście. Komendant Briskle!

- Tu szesnaście. Trasa. Winse! na linii Melduje katastrofę samochodową. Jest trup!

- Co?! Jaka katastrofa? Co ty bredzisz?

Zerwał się z krzesła, wypluł zapalniczkę, którą żuł już od pół godziny, poprawił pas zerkając jednocześnie na zawieszony na ścianie regulamin ogólny.

- Melduję, że samochodowa. Jest trup, to znaczy... ofiara wypadku.

- Meldujcie dokładniej!

- Melduję, że... O to chodzi, iż nie można dokładniej, panie komendancie.

- Jak to, nie możecie dokładniej? - spojrzał jeszcze raz na ścianę. - Instrukcja G-21 mówi, że musicie dokładnie - wysyczał do mikrofonu.

- Tak jest, panie komendancie, ale...

- Instrukcja nie przewiduje żadnego ale. Dopiero w punkcie 62 jest miejsce na okoliczności nieprzewidziane.

- Tylko... Panie komendancie... - plątał się trasowy. - My nic nie wiemy. Tylko tyle, że czerwony ND 200 władował się pod pająka.

- To co?! Po lesie jeździł?

- Nie. Na drodze 615. Musiało mu się cholernie spieszyć.

- Po drogach nie łążą pająki.

- O to chodzi, panie komendancie, że czasami chyba łążą.

- Instrukcja... - zaczął Briskle.

- Panie komendancie! - przerwał nieregulaminowo Winsel. - Ten pająk wylazł tyłem na drogę. To był bardzo stary pająk. Cały omszały. Zepsuła mu się orientacja. Prawdopodobnie.

- Przyślijcie go do laboratorium. Musimy zbadać przyczyny.

- Ale, panie komendancie, on waży sześćdziesiąt ton.

- To przewieźcie laboratorium na drogę 615. Chyba lżejsze.

Winsel mruknął coś, czego Briskle nie zrozumiał. Kazał sobie powtórzyć.

- Melduję, że wykonamy.

- Kto prowadził wóz?

- Tego właśnie nie wiemy. Przyjechała sanitarka. Głowę zabrali, bo była cała, o dziwo.

- A reszta? Znaki identyfikujące?

- W tym właśnie rzecz.

- To znaczy?! Mówcie, czy ja muszę każde słowo z was wyciągać na siłę?!

- Identyfikacja wymieszała się z rejestracją wozu. I dokumenty też. Albo nie miał.

- Co się wymieszało?

- Właśnie wszystko. A rejestrację i większość szczątków ten diabeł zeżarł.

- Co za terminologia?

- Znaczy pająk. Znaczy... automat służby leśnej. Kiedy przyjechaliśmy kończył właśnie wchłaniać w siebie wszystko, co leżało luzem. A było tego do cholery i trochę. A najgorsze że ten facet też chyba leżał luzem. Automat musiał się przeprogramować.

- Powiedźcie Winsel - rzekł Briskle z trudem powstrzymując obrzydzenie - skąd jechał ten wóz?

- Z zachodu. Sprawdziliśmy rejestrator przy 615, bo tam oddał autopilota.

- Sprawdźcie skąd wyjechał i zaraz meldujcie! - krzyknął i rozłączył linię.

Zerwał się z krzesła i zaczął przechadzać wielkimi krokami po niewielkim pokoju komendy. Żuł nową zapałkę i zachodził w głowę jak to się mogło stać, że właśnie na jego terenie miał miejsce taki wypadek. Dziesięć lat, jak tu siedzi, a poza "buntem automatów", który okazał się niewinną psotą małego Garricka (dzisiaj już konstruktora Garricka) nic się nie zdarzyło.

Wypadek, i to teraz, kiedy ma przyjść awans nadposterunkowego. Gorzej być nie mogło.

Przecież to jasne. Wszystko okaże się jego winą. To, że droga za wąska, chociaż przepisowa. Że pająk zwariował... To wreszcie, że jakiemś gościowi przyszło do głowy rwać tą przecinką tak, że nie było co zbierać Tfu! Skrzywił się z obrzydzenia, gdy wyobraził sobie, że jacyś tam odziani w skafandry biologiczne faceci podnoszą głowę z ziemi, otrzepują z piasku i pakują do teczki. A wcześniej robią zastrzyk konserwujący. Im dłużej myślał, tym bardziej czuł się przygnębiony. Splunął zapałką, którą żuł w międzyczasie, na plastikową masę i sięgnął po nową. Zawahał się chwilę. Machnął ręką zrezygnowany i podszedł do kasy pancерnej, w której trzymał ważne dokumenty. Otworzył zamek szyfrowy i drzwi z cichym szumem rozsunęły się przed nim. Wyciągnął jedyną w kasie teczkę zawierającą dokumentację sprawy opatrzonej kryptonimem "Bunt A". Sięgnął głęboko w otchłań szafy. Wyjął stamtąd lekko wygniecionego papierosa. "Wszystko przez ten głupi wypadek. Już byłem na dobrej drodze". Zapalił parząc się zapałką w palec. Oczywiście, wszystko będzie na niego. Jak idzie dobrze, to dlatego, że są te wszystkie cerebrotrony, centra, procesy indywidualne. A jak źle - zawsze znajdzie się taki głupi Briskle. Ktoś przecież musi odpowiadać. Sygnał meldunku.

- Dwanaście!

- To Winsel. Mam dane.

- Dawaj szybko, bo mnie tu już diabli biorą. Nie dość, że upał, to jeszcze trzeba czekać, żeby ktoś zrobił tak prostą rzecz jak zidentyfikowanie ofiary. Wszystko trzeba samemu - pociągnął nosem, bo dym zasnuł mu twarz i gryzł w oczy.

- On był z Instytutu.

- Skąd wiecie?

- Wóz wyjechał spod Instytutu. Tak mówi trasa.

- Pytaliście portiera?

- Nie. Tak. Nie wie, kto wychodził.

- A może wie, czyj był wóz?

- Wie.

- No!

- To był wóz... Czekaście, mam zapisane. Giss. Arne Giss, to ten nowy.

- Cały Instytut, cholera, jest nowy. Ale każdy gość z instytutu...

- Słucham?

- Wracajcie do komendy!

- Tak jest. Według rozkazu.

Czas jest zupełnie niewymierny. Czas wewnętrzny mierzony jest rytmem przemian dobowych,

miesięcznych, rocznych. Rytmem głodu, snu i jawy, rytmem serca.

Nie czuję pulsu.

Po wypadku zostałem przewieziony do szpitala. Udało się. Dobrze, że się skuliłem. Nie palą światła w pokoju. Czyli jeszcze nie minęła noc.

Ale nie istnieje ciemność tak absolutna i tak pełna życia zarazem. Jeżeli myślę, to nie mam halucynacji. Nie, to nie ma związku. Schizofrenia? Pourazowa!? Bzdura.

Straciłem wzrok. To wiem na pewno. Muszę przyznać, że ze spokojem przyjąłem tę myśl. Tylko jedna rzecz: ja już nie polecę.

Nie mogę się ruszyć. Chyba jestem w skafandrze rewitalizacyjnym. Ale coś nie jest tak. Bo właściwie - mam pełną swobodę ruchów. Jestem wolny. Czuję, jak rozrastam się kosmicznie kamiennym ciałem. Między głową a stopami odległość wynosi obecnie chyba ze dwa parseki. Mogę krzyknąć do swoich stóp. Po ilu wiekach usłyszą? Nieważne. Kiedyś to nastąpi. Stopy poruszają się ruchem wolnoobrotowym. Oś przebiega koło szyi. Widzę w pewnym oddaleniu siebie samego, maleństwo ludzkie, pyłek do zdmuchnięcia. Trzeba go chronić, to ludzianstwo słodkie o kształcie wróbelka. Przerastam Galaktykę. Mój portrecik maleje w różowych koronkach. Nie wytrzymam. Pękłem! Kurczę się nagle do objętości mysikrólika. Króliczka. Króliczątka. Mam ciało mróweczki i mordkę jak kwiatusek.

Dość!

Jeżeli jestem w skafandrze, to jasne, skąd pochodzą te wrażenia. Brak bodźców powoduje takie bujanie wyobraźni. Brak bodźców w wyizolowanym z zewnętrznego świata mózgu powoduje niejako działalność zastępczą. Mózg produkuje wyobrażenia wypełniające przestrzeń niebytu. Horror vacui. Nie. Mózg zawsze produkuje, tylko tu nie ma rzeczywistości obiektywnej, aby móc go testować i trzymać w ryzach. Kreacja wolnego ducha.

W wyizolowanym mózgu! Nie, to niemożliwe.

Swagam siedział na inforze, to tam teraz przeniosła się plama słonecznego blasku. Ita wróciła właśnie z ogrodu. Rzuciła okiem na rekord, ale nie było śladu zgłoszenia.

W tym samym momencie usłyszała sygnał.

- Tu dwanaście, Briskle.

- Policja?

- Tak. Czy zastałem pana Arne Gissa?

- Nie. Nie ma go jeszcze. Coś się stało?

- Skoro go nie ma, to się stało. On nie żyje.

- Niemożliwe. Pan nie mówi...

- Niestety. Rozbił się swoim wozem na drodze 615. Proszę przyjechać do nas, już wysłałem wóz po panią.

- Po co?

- Trzeba złożyć zeznania. Kto jeszcze znał pana Gissa? Kto z nim mówił ostatnio?

- Isson Grave. Siedemnaście. Instytut.

Swagam przyglądał się swojej pani z uwagą.

Wszedłem do baru. Al powinien już być. Już trzeci raz próbuję z nim odbyć tę rozmowę. Wciąż się wymyka. Jest, siedzi przy stoliku obok okna. Pozwolono mu otworzyć przewiew powietrza. Czuję zapach wieczornych kwiatów i ten nieokreślony aromat, jaki wydaje ziemia przed zmierzchem. Witamy się. Al

jest jakiś chmurny. Od kiedy Fomalhaut ruszyła w drogę i mnie humor nie bardzo dopisuje.

Zamówiliśmy po piwie. Zacząłem palić. Tutaj wolno, nie ma żadnych przeciwwskazań. To nawet przyjemne. Zapaliłem.

- Cóż to jest przypadek; czy szansa, czy nieznaczący układ jakichś tam faktów? - zastanowił się głośno.

- Sądzę - powiedziałem siadając - że o przypadku nie ma mowy. Jesteśmy od początku zdeterminowani. Od praatomu. Powiedzmy ta sala. Wieczór. Sala stanowi część budynku. Przez kogoś został zbudowany przecież. Wieczór jest, bo był dzień i zbliża się noc. Trwa obrót Ziemi. Ja tu jestem, bo miałem wypadek. Może byłbym gdzie indziej. Jeżeli wypuszczę tę puszkę z rąk - wziąłem piwo i zawiesiłem nad stołem trzymając w dłoni - to ona spadnie, bo takie jest prawo Newtona. Bo istnieje reakcja mas - Ziemi i puszki, i w tym prawie, skorelowanym z innymi, wyznaczonymi przez inne relacje, nie ma możliwości, aby ona nie spadła. Jeżeli tylko zajdzie poprzedzający ją zespół faktów: moja decyzja, też przecież uwarunkowana, i rozwarcie palców, by ograniczyć się tylko do tych dwóch elementów. Demonstruję.

Wypuściłem plastikową beczułkę z dłoni. Al był szybki jak myśl. Złapał ją nad stołem.

- Nie ma zdeterminowania. Zaburzyłem twoją sekwencję zdarzeń.

- Nie mogłeś zrobić inaczej, jak tylko złapać ją, lub pozostać obojętnym widzem. Tertium non datur - w tym układzie czynników, które bierzemy pod uwagę. Jeżeli złapałeś ją, a stało się właśnie tak, zadziałał inny układ czynników, który cię do takiej decyzji zdeterminował. Czy ambicja, czy tylko chęć popisania się zręcznością? A może zwykła przekora dyskutanta?

- To już nie jest zdeterminowanie. To wolność wyboru.

- Nie mówię przecież o jakimkolwiek celu ogólnym takiego, a nie innego faktu. Nie wolno sprowadzać tych spraw do pragmatyki. W określonym przedziale czasoprzestrzeni, w układzie niejako zamkniętym, istnieje skończona ilość wzajem na siebie oddziałujących bytów. Ilość relacji między nimi jest wielka, ale też skończona. Jeżeli tylko nie złamane jest prawo, czyli funkcja tych relacji, nie ma obawy - stać się musi to, co się stanie. Jakkolwiek trudno przewidzieć nieprzewidywalne. Chyba, że złamiemy prawo.

Podniosłem znowu puszkę nad stół i zlikwidowałem prawo ciężenia. Piwo wylewało się z otworu tworząc wokół beczułki pieniający się obłok.

Wiktor Żwikiewicz - SINDBAD NA ROM 57

Autostrada biegnie po stycznej do krawędzi kamiennego progu. Rząd biało-czerwonych słupków. W dole stromizna urwiska wparła w łacnę burego piachu i pasmo raf przeczesujących zwały żółtej piany.

- Już dawniej zwróciłem na niego uwagę - ciągnie sierżant Stubs; jego opowiadanie nie ma końca ani początku, po prostu mówi, żeby przemóc senność, która każdemu z nas jednakowo daje się we znaki. - Kiedy? Chyba za pierwszym przejazdem z La Grandę do Pernaoambo. Akurat otworzyli ten odcinek trasy. Odpowiedzialnym za okolicę był wtedy szeryf z Pernacombo i dwa razy w tygodniu woziłem go z miasta do miasta, a on nigdy nie zaszczycił uwagą innych przejezdnych, turystów i tych łazęgów, jakich pełno tu było o każdej porze roku. Zjawiali się czort wie skąd i tak samo znikali. Po nocach wysiadali przy ogniskach i debatowali o różnych mądrych rzeczach. A potem myszkowali z namiotu do namiotu. Tylko w nocy. Po to się pewnie zjeżdżali. Nocne ćmy. W dzień żaden czubka nosa nie wystawił spod zasnuwanego brezentu. Potrafili spać całymi dniami. Zresztą - on też przesypiał połowę doby...

- On? Znaczy...

- Nie. Nie ten.

- A więc tamten szeryf z Pernacombo?

- Tak. Ostatnimi czasy całą drogę drzemał na tylnym siedzeniu. Paskudne przyzwyczajenie. Krok do wełnianych skarpetek i bujanego fotela. Jak industrialne szczury... Fotel bujany... Coś takiego przytaszczył nawet specjalnie dla mnie na posterunek w La Grandę. Myślałem, że ma coś z głową... nie tego... A on spokojnie postawił na wprost drzwi i powiedział: "wygodne". Tyle od niego słyszałem. Nigdy się nie zwierzał, ale tak mi się zdaje, że on już wtedy przypuszczał...

- Co takiego?

- No, pan wie najlepiej. Przecież w końcu dla takich jak ja zabraknie zajęcia. Tylko wywalić się w hamak albo bujany fotel i założyć nogę na nogę. Pewnie nie powinienem o tym mówić, ale już dzisiaj można cały dzień z powodzeniem przedzemać na słońcu... Fletcher po prostu zaczął wcześniej, i ta senność go pewnie zgubiła. Panie, świeć nad jego duszą.

- To znaczy, że z tych włóczęgów nikt nie został?

- Nawet nie pamiętam, kiedy był ostatni. Jedynie ten gość w knajpce Taroczego.

- Dziwne, że Fletcher też zwrócił na niego uwagę. Stubs szczerzy się znad kierownicy.

- Trudno nie zauważyć, jeśli się pęta samotny jak palec. Zresztą... rzeczywiście Fletcher zainteresował się pierwszy. Ja dopiero później.

Kurcz mięśni zwierza szczęki. Chciałoby się ziewnąć szeroko, ale Stubs patrzy na ciebie w lusterku i trzeba zachować pozory, że - mimo wszystko - coś cię jeszcze obchodzi z tego, co dzieje się za szybą. Paskudnie szary, dżdżysty krajobraz.

- Daleko jeszcze?

- Mżawka. Gdyby nie to powinniśmy tam być od dobrych piętnastu minut.

Stubs pewnie prowadzi samochód. Według raportów byłego szeryfa z Pernacombo jest to jedyne, co potrafi. Swoją drogą przyjemnie jest patrzeć na jego łapska oparte na kierownicy. Zupełnie jakby Pan

Bóg - genialny konstruktor człowieka - specjalnie mu dopasował kończyny do sprzęgła, hamulców i kierownicy. Ciekawa symbioza białka i blachy - na czterech kółkach.

- To pierwszy deszcz w tym roku?

- Pierwszy.

Nocą przeszła tędy prawdziwa ulewa. Teraz drobna mżawka ledwie siąpi z nieba, osiada na przedniej szybie i z boku zacina brudnymi rozpryskami kropel zmieszanych z błotem. Równomierny pomruk silnika. Człowiek cały zapada się w rozlazłe obicie fotela. Wycieraczki chodzą tam i z powrotem, usypiającym rytmem kołyszą się przed oczyma. Pejzaż za szybami wozu przesłonięty mętną zawiesiną, jakby samochód przebijał tunel w nawarstwieniach brudnej waty i rzadkiej pajęczyny.

Stubs opowiadał, że kilkanaście lat temu o pobliskie rafy wyrznął tankowiec. Stutysięcznik. Rozlana po wodzie ropa pokryła kamienie i powierzchnię oceanu specjalnie dopasowaną kosmetyczną maseczką. Kilkanaście lat temu - zamierzchna prehistoria. Ale potem był jeszcze kontenerowiec ze złomem mosiądzu i dwa zbiornikowce, które w czasie sztormu przypudrowały okolicę paroma tysiącami ton herbicydów, a lokalne zmarszczki natarły odżywczym nitrobenzenem. Po tej kolejnej plastycznej operacji i retuszu błękitnym oczom wypadły rzęsy - na brzeg wypluło resztkę morskiej trawy. Według Stubsa tak właśnie wygląda rodowód bajecznego kolorytu okolicy. Chyba dawno nie wytykał nosa poza swój rejon. Ale, w rzeczy samej, kiedyś nie było ponoć piękniejszego zakątka. Pielgrzymki turystów ściągały w to miejsce wybrzeża aż z połowy kontynentu. Oczywiście, wyłącznie ci, którym jeszcze nie zabrakło odwagi wyruszać na dłuższe wojaże. Taka to była moda na pielgrzymkę - ostatni raz uwiecznić rodzinne stadło w tle dziewiczo-urowczym, na łonie Giocondy. Głupia legenda. Jak dziarscy cyrkowi atleci i morskie nimfy wymalowane na kartonie przez prowincjonalnego artystę; dziura zamiast głowy - można wetknąć własną fizys i wyszczerzyć dziąsła do maestro z pstryczkiem. Idiotyczna tendencja kultywowania przegranych mitów. Barwne fotki też się nikomu nie przydadzą. Przynajmniej za to, z racji profesji, mogę ręczyć głową.

- Kiedy zatrzymaliście się tam po raz pierwszy? - pytam wracając do przerwanej rozmowy.

Sierżant Stubs patrzy na mnie z lusterka. Ze zdziwieniem podnosi krzaczaste brwi i pociąga czerwonym, zakatarzonym nosem. Obok lusterka podskakuje na gumce maskotka o krótkich, pałakowatych nóżkach, w filcowym kapeluszu zasuniętym głęboko, aż po pyzate policzki - srebrna gwiazda wpięta dumnie w wyłóg kamizelki.

- Bo ja wiem? - Stubs wzrusza ramionami. - Fletcher, ten szeryf z Pernacombo, miał różne słabostki. O spaniu już mówiłem. Poza tym czytał książki i kochał dobre piwo. Skąd brał książki - nie mam pojęcia. A piwo... hacjenda Taroczego to taka miejscowa oaza. Potem kilkaset kilometrów trasy biegnie przez zupełne odludzie.

- Kazał się wozić do knajpy?

- Budził się dokładnie na sto trzecim kilometrze. Sam szedł przepłukać gardło, a mnie zostawiał na zewnątrz.

- Dlaczego?

- Żeby przed dalszą drogą odetchnąć świeżym powietrzem. Tfu! - Stubs soczyście spluwa obok nogi wspartej o pedał gazu.

- Ani razu nie zaprosił do środka?

- E, różnie bywało.

Czasami wystarczy zadać mu pierwsze z brzegu, pozornie nic nie znaczące pytanie, a z miejsca traci ochotę do dalszych zwierzeń.

- No, a wtedy? - usiłuję pochwycić jego spojrzenie w zapoconym lusterku.

- Wtedy? Tak.

- To znaczy: weszliście razem?

- Właśnie tamtego dnia zaciągnął mnie ze sobą i nawet częstował piwem. Ale nie wziąłem. Słowo honoru. Na służbie nie piję. Mam żonę, dwoje dzieci i dostaję trochę grosza za prowadzenie wozu. A ktoś przecież powinien prowadzić.

- Jedno piwo nie szkodzi.

- Tak się mówi.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął zmiętą chustę.

Najpierw trochę zmniejszył szybkość wozu, potem wysmarkał się hałaśliwie. Połowa twarzy utonęła w bordowo-żółtej kracie, jakby razem z chustą zmiął w garści czubek nosa.

- Ech! - sapnął z zadowoleniem, potem zerknął na mnie i dodał - Z jednej strony dziękować Bogu za odrobinę deszczu, z drugiej zaś - natychmiast dostaję kataru.

- Odwykliście tutaj od deszczu.

- Odwykliśmy od świeżego powietrza. Po dobrej ulewie nawet niebo przejaśnia się nieco.

- Wtedy również padało? - zapytałem.

- Skąd. Chociaż... właściwie... - aż się obejrzał przez ramię.

Twarz miał nieco obrzmiałą niby gęba byłego boksera. Teraz mu się dobrze powodzi i tłuszczu podchodzi aż do oczek, ale tu i ówdzie swoje piętno zostawił zbyt nachalny masaż z wczesnej młodości. Skóra też dobrze wygarbowana, z plamami ciemniejszego pigmentu nierówno rozłożonej opalenizny - dzisiaj są miejsca, gdzie można i bez słońca. Z wydatnego nosa jeszcze się łuszczy naskórek. Na policzkach i podbródku głębokie pory ciemnieją jak księżycowe kraterzyki - wyżarte kwasem albo będące pamiątką po młodzieńczych eksperymentach pirotechnicznych. Musiał mieć kiedyś irlandzkiego protoplastę - kędzierzawę, ryżę bokobrody wiją się koło uszu, od skroni aż do masywnych szczęk. Kapelusz trzyma na kolanach, gdyż pomimo deszczu za oknem - w wozie mamy ciepło i trochę duszno.

Kiedy znów się odwrócił, został mi przed twarzą tylko piegowaty kark ze sztywnym kołnierzykiem koszuli, wpijającej się w nabiegłe krwią fałdy skóry poniżej starannie przystrzyżonych sztywnych włosów - też jakby przyprószonych ceglasmym pyłem.

- Jak pan zgadł? - zapytał.

- Ostatecznie musiała być jakaś przyczyna, że akurat wtedy Fletcher zaprosił ciebie do środka.

Na szczęście nie potraktował tego jako drwinę.

- Powinni pana przyjąć do policji śledczej - powiedział. - Ja dopiero teraz przypomniałem sobie. Fletcher powiedział nawet coś w tym rodzaju, że niby po co mam sterczeć na deszczu. Rzeczywiście...

Dlatego wszedłem.

- No właśnie, i wtedy poznałeś tego gościa?

- Tak.

- Powiedz o nim coś więcej.

- Nie ma o czym mówić - leniwie rozprostował szerokie plecy. - Pan od dawna na prowincji?

- Zależy jak się patrzy. Normalnie - drugi dzień. Ale zaczynam mieć dość zwiadu...

- Zwiadu?

- Tak u nas nazywają inspekcję wybrzeża.

Wydawało mi się, że kątem oka dostrzegłem w lusterku przelotny, chytry uśmieszek na jego twarzy.

- Dawno tam nie byłem - kiwnął głową w stronę przeciwną do tej, skąd czasem dochodził nas pomruk oceanu. - Jak tam jest naprawdę?

- Tak samo tam pytają: co się naprawdę tutaj dzieje - roześmiałem się. - Więc nie chcesz mówić o tamtym facecie?

- Myślałem, że pan zapomniał - klepnął dłonią w obręcz kierownicy. - Nie chcę? Przecież mówiłem

już... Po prostu siedział w najdalszym kącie. Zupełnie spokojny. Ślęczał nad jednym kuflem piwa i tylko wlepił wzrok w wejściowe drzwi.

- Czekał na kogoś?

- Nie sądzę. Chociaż... za tamtych czasów wałęsało się tędy sporo przybłądów.

- Jak on właściwie wyglądał?

- Trudno powiedzieć. Chyba na coś chorował. Może jeszcze w młodości. Została po tym anemiczna bladość i nienaturalna opuchlizna twarzy. Wyglądał z tym jak topielec.

- A jak sądzisz: kim on był naprawdę?

- Dzisiaj nikt o to nie pyta nikogo.

- A jednak...

- Normalny gość.

- Wczoraj wieczorem mówiłeś co innego.

Mijał drugi dzień od chwili, gdy przyjechałem do La Grandę i zastałem go w opustoszałym miasteczku. Żył zupełnie samotnie, jeśli nie liczyć rodziny, o której wspominał, co prawda, ale w którą specjalnie nie chciało mi się wierzyć. Raz zapytałem o żonę może zbyt obcesowo - tylko łypnął na mnie złym wzrokiem i powiedział, że mieszkają w domku na przedmieściu. Nie widziałem nikogo.

Kiedy się zjawiłem, Stubs siedział na swoim posterunku w parterowym budynku policyjnego biura i kołysał się na plecionym, bujanym fotelu. Ż równym powodzeniem mógł tak siedzieć dzień, dwa, rok nawet. Nic się nie mogło wydarzyć, na nikogo nie czekał - po prostu wyciągnął przed siebie nogi i między czubkami butów śledził wędrówkę cieni przemieszczających się po rozpalonym do białości bruku - dziwnych cieni, rozmytych mgliście, gdyż nie było słońca, tylko krąg pałający pozbawiony konturów, obrzmiały w zgęstniałym wysoko powietrzu - wszystko co zostało z uśmiechu Giocondy, kiedy żaden puder nie zbawił starej dziwki, nie wskrzesiła urody żadna z kolejnych operacji plastycznych i trzeba było sięgnąć po ostatni środek - zapuścić gęstą woalkę.

Posterunek mieścił się na wprost rynku miejskiego i z poziomu werandy, na której był wystawiony fotel, można było ogarnąć wzrokiem całe niemal miasteczko. Leżało nieco w dole - białą wysypką domów rozsypane na skłonie schodzącym do morza. Już jadąc tutaj stwierdziłem, że parterowe okna domów śródmieścia, podobnie jak okna willi pojawiających się wzdłuż nadmorskiej trasy, były na głucho zabite deskami. Jedynie w bramie kościółka, stojącego nieco na uboczu, dostrzegłem raz szczelinę cienia, jakby ktoś nie domknął wrót i specjalnie zostawił je uchylone - AVE, DOMINE, MORITURI TE SALUTANT! - na wszelki wypadek, jeśli zbłąkana duszyczka zechce pomodlić się przed ołtarzem. Na początku mojej trasy zajrzałem do jednego z przydrożnych przybytków utraconej wiary - ołtarz był nakryty szarym pokrowcem, pewnie zwykłym mocno przykurzonym prześcieradłem. Wszędzie to samo. Stubs wie coś na ten temat. Ale nie wszystko.

Następnego dnia po moim tutaj przyjeździe, skoro świt, musiałem jechać do Pernacombo, więc pozostaliśmy z sierżantem na posterunku - nie spieszył się przedstawić mnie żonie i dzieciom. Do późnej nocy rozmawialiśmy więc o niczym, ślęcząc nad szklanką herbaty zaparzonej po turecku, niemal wróżąc z fusów. Jakby przyszłość kryła cokolwiek niewiadomego. Później zdrzemnęliśmy się na zestawionych taboretach.

- No tak - mruknął Stubs. - Bo właściwie, to sam nie wiem. Czasami myślałem, że to maniak jakiś, fanatyk albo zboczeniec. Miewał w oczach taką... zaciętość. Ale tylko wtedy gdy pojawiał się nowy gość. Za pierwszym razem mnie samemu ręka powędrowała do kabury. Na wszelki wypadek.

- Rozumiem. Wyglądał na człowieka niebezpiecznego dla otoczenia?

- Gdzie tam! Zachowywał się najspokojniej pod słońcem. Tylko te oczy. Sam pan zobaczy. Zostało mu do dzisiaj. Chociaż obecnie mało kto zbacza tam z głównej autostrady. Najwyżej jeśli trzeba skoczyć po

paczkę papierosów albo przepłukać gardło. Przez resztę roku na tym pustkowiu suszy człowieka nie gorzej niż na kacu.

- Nie przyszło ci do głowy sprawdzić jego personalia?

- Próbowałem.

- No więc?

- Za pierwszym razem podszedłem do jego stolika i zażądałem dokumentów. Ale Retcher nie pozwolił.

- Nie pozwolił sprawdzić? - zdziwiłem się po raz pierwszy. - Co najmniej nietypowe, jak na szeryfa.

- Też tak myślałem. Pamiętam; omal mi kości nie rozgniółł kiedy złapał za ramię. Nigdy bym nie przypuścił, że siedzi w nim tyle siły. Cały wściekły wyciągnął mnie na zewnątrz i grożąc pięścią syczał, żebym tego gościa zostawił w spokoju. Na zawsze.

- Groził nawet?

- Powiedział, żebym nie śmiał czepiać się spokojnych, Bogu ducha winnych ludzi. Chyba że po jego trupie.

- To już możesz.

- O nie.

- Dlaczego?

- Wolę nie.

Stubs sprawia wrażenie przestraszonego. Zabawne to zestawienie: strach i jego postura. Gdyby cokolwiek zależało ode mnie przede wszystkim nie zatrudniałbym w policji nawet nie tyle ludzi podszytych tchórzem, co tych napompowanych przesądami.

- Sądzisz, że oni się znali? - zapytałem od niechcienia.

- Z pewnością. Przynajmniej dużo ze sobą rozmawiali, i to nie jeden raz.

- Więc potem, kiedy zabrakło Fletchera i sam patrolowałeś wybrzeże, nie rozmawiałeś z tym facetem?

Stubs mocniej wdusił pedał gazu.

- Fletcher nie kazał - powiedział niechętnie.

Nic dodać, nic ująć. Pomyślałem, że to również był dziwny człowiek; tamten szeryf z Pernacomb. Były szeryf. Znałem go wyłącznie ze słyszenia i związanych raportów, jakie napływały na moje biurko. Pisał je odręcznie, a - nie będąc biegłym grafologiem - cóż można powiedzieć o człowieku na podstawie treści jego meldunków przysyłanych do trzeciorzędnego funkcjonariusza SEKON? Zwięzłe i suche notatki, służbowa pańszczyzna, którą wypełniał z w miarę przyzwoitą skrupulatnością. Tego nie można mu było odmówić. Styl języka oraz biegły charakter pisma sugerowały jeden fakt, właściwie bez znaczenia, że ich autor ma wykształcenie wyższe nieco niż wymagane na stanowisku okręgowego szefa policji. Jak to powiedział Stubs? Właśnie - czytał książki i kochał dobre piwo. Może na tym odludziu zagrzebał się jeszcze jeden dziwak, któremu nie leży idea zbiorowych mogił reklamowana przed szpalerem dziarskich orkiestr dętych, z rewią rozpromienionych dziewczynek z kwiatkami we włosach, wobec politycznych działaczy, którzy - na użytek mas - jeszcze snują mrzonki nowych Utopii. Dureń z tego Fletchera, jeśli sobie pozwolił na luksus własnego zdania, ale tobie lżej za to, gdy gdzieś jeszcze jest ktoś taki drugi. A raczej - był. Jego również niewiele obchodziły obowiązki. Po prostu w zaciszu dożywał swoje dolce far niente; w kuflu piwa lub w szklance whisky topił żal po rozkoszach industrialne-urbanistycznego raj. A wystarczyło wyciągnąć rękę. Bramę do raj. ledwie przesłania bliski widnokrąg. Trzy godziny jazdy samochodem i znikasz pod stropem utkanym ze szklanych włókien i stali, zawekowanym szczelnie, gdzie tylko plastikowe arterie tłoczą karmę w białkowe jądra betonowych komórek. Białe larwy w plastrze miodu - możesz się którejś wtulić w odwłok. Bogaty wybór - plaster

między zwartą parenchymą pokrył zasadniczy masę kontynentu.

Jednak niedługo przed śmiercią coś wybiło Fletchera z równowagi i przysłał do mnie dłuższą epistolę. Dzisiaj żałowałem, że wtedy tylko pobieżnie przebiegłem ją oczyma i rzuciłem, na dno biurka. Nie pierwszy taki raport. Pisał coś o zatopieniu zasobników z radioaktywnym złomem w pobliskiej rozpadlinie morskiego dna. Wcześniej się obudził. Te cmentarzyska zakładano dobrych trzydzieści lat temu.

Czasami miałem sobie za złe, że nie zdążyłem się z nim na czas skontaktować. Swój elaborat zakończył niezwykle soczystym przekleństwem. Już dawno nie spotkałem człowieka, z którym można by w miarę sensownie pogadać. Cholernie źle musi być z tobą, jeśli masz pewność, że wspólny język znalazłbyś tylko z takim odszczepieńcem.

- Jak to z nim było - spytałem.

- Z tamtym? - nie rozumiał Stubs. - Mówiłem przecież.

- Pytam o Fletchera.

Znowu z ociąganiem pokręcił się na przednim siedzeniu.

- Moja żona zachorowała - powiedział wreszcie. - Poza tym dziecko, niecały rok. Prosiłem o zwolnienie na ten jeden objazd. Wyjątkowo.

- Zgodził się?

- Od razu. Aż mi trochę dziwne było, bo zawsze zamiast prowadzić wóz wolał drzemać na tylnym siedzeniu i z dokładnością policyjnego psa budzić się na sto trzecim kilometrze. Potem wysiadał, ziewał i szedł wysączyć kilka piw. Zawsze wiedział, kiedy jest blisko i trzeba wysiadać, choćby prowadził sto dwadzieścia mil na godzinę, albo włókł się żółwim tempem.

- A jak sądzisz, on dobrze prowadził samochód?

- Kiedy siedział za kierownicą lubił marudzić, że ostatnio ma niewiele praktyki.

- Czyli kiedyś jeździł częściej?

- Tak. Ale w ogóle to prowadził bardzo dobrze.

- Tak, jak ty?

Stubs z zadowoleniem pogładził kierownicę i chwilę trzymał ją unieruchomioną samym naciskiem rozpostartych, wielkich łap, również całych w piegach i czerwonych kędziorach wystających spod zawiniętych mankietów. Coś mruknął do siebie, ale potem westchnął tylko i przyznał uczciwie:

- Lepiej.

- Niemożliwe.

- Słyszałem, jak instruktor badający przyczyny wypadku napomknął coś, że to niby dziwne, jak były kierowca rajdowy nie potrafi opanować poślizgu.

- Rzeczywiście tak było?

- Bo ja wiem? Może i tak.

- Nie jesteś przekonany.

- Kiedy przy takiej szybkości samochód hamuje, guma zaczyna smarować jak wosk i opony zostawiają zupełnie wyraźny ślad na asfalcie. Mnie nikt o zdanie nie pytał. A wyglądało, jakby samochód wcale nie skręcał; na pełnej szybkości wyskoczył zza zakrętu i zwałił się w morze. Tam akurat nie było barierki tylko zwykłe odblaskowe słupki. Ścięło przy samej ziemi.

- Ciało znaleziono?

- Tam nawet samego wozu nie było co szukać. Od razu czterysta metrów. Zresztą dzisiaj żaden nurek nie polezie tam nawet na płytszej wodzie.

- Czemu?

- Kiedyś przyjechała tutaj pewna rodzina... - machnął ręką jakby się opędał od nieistniejącej muchy.

- Stamtąd. Amatorzy mocnych wrażeń. Ich syn miał może czternaście lat. Nigdy przedtem nie widział morza. Zniknął zaraz na drugi dzień. Fletcher szukał, i ja. Po dwóch dniach fale wyrzuciły szkielet. Wszystko, co się trzymało na ścięgnach. Kości oczyszczone nie gorzej niż w mrowisku. Po dwóch dniach.

- Tak źle?

- Przecież pan wie najlepiej - odparł Stubs. Tylko skinałem głowę.

- Gdzie to się stało? - zapytałem.

- Chodzi o chłopca czy Fletchera?

- O Fletchera.

- Pokażę. Ale to jeszcze kawał drogi. Na sto trzydziestym kilometrze. Za hacjendą, w której urzęduje Taroczy.

Zamyśliłem się chwilę. Silnik samochodu pracował równo, jednostajnie bębniły o szybę krople deszczu. Przypomniałem sobie, jakie wrażenie wywarła na mnie pierwsza fala ulewy, która wczoraj przeszła nad La Grandę. Najpierw długo grzmiało gdzieś nad lądem, chociaż niebo do końca w niczym nie zmieniło odcienia mętnej ochry. Jedynie słońce zgasło na długo przedtem. Wyszliśmy ze Stubsem na próg posterunku i wtedy lunęło nagle, wzbiło z jezdni tuman żółtego pyłu. Po chwili bez reszty uległem sugestii, że to nie z nieba biją ciężkie krople, lecz że to przestrzeń wysysa resztę wilgoci z pękających kamieni i strzela w górę podskórnym ciśnieniem zapiekłej gleby - jednolita, żółtawa ściana deszczu podnosiła się coraz wyżej, coraz dalej odsuwała niski pułap chmur. Deszcz padał dobrą godzinę, dokładnie wylizał z nieba żółć podobną do bielma przesłaniającego mityczny błękit i wreszcie ustąpił miejsca zwyczajnym, chłodnym kroplom wody. Bębniły przez całą noc i na ciepłym jeszcze bruku rozklepywały rzadkie błoto. Teraz wystarczyło spojrzeć w zenit, nawet przez zapocone szyby wozu i mimo siąpiącej wciąż mżawki, aby utwierdzić się w realności nieba zawieszzonego wyżej niż zwykle.

- Wszystko wskazuje, że tamtego dnia Fletcher odwiedzał zajazd - powiedziałem.

- Taroczy zaprzeczał. Trudno stwierdzić. Ten nieznajomy zniknął na jakieś trzy miesiące. Dopiero tydzień temu pojawił się znowu.

- Zameldowałeś?

- Komu? Śledztwo dawno zostało zamknięte. Zresztą, Bogiem a prawdą, nie było śledztwa. Normalny wypadek.

- Zaczekaj - zdziwiłem się szczerze. - Więc ten inspektor ze śledczej nie słyszał wcale o istnieniu człowieka z knajpy Taroczego?

- A jaki to ma związek?

Pomyślałem, że akta osobowe nie przesadziły zaliczając sierżanta Stubsa w poczet obywateli wierzących święcie w zwrotne sprzężenie zasady: kochaj bliźniego swego, jak siebie samego.

Policja jest chyba ostatnim miejscem na Ziemi, gdzie mogła się uchować podobna poczciwość charakteru.

- Dziwny zabieg okoliczności - stwierdziłem. - Szeryf okręgowej policji, były kierowca rajdowy, wypada z szosy przy szybkości niewiele ponad osiemdziesiąt mil na godzinę. W dodatku, zwykle odwiedzając przydrożny przybytek spragnionych, tym razem przejeżdża obok. Brak świadków, że było inaczej. Z drugiej strony trudno mi uwierzyć, że oparł się pokusie kilku głębszych. Wszystko to może mieć logiczne wytłumaczenie tylko wtedy, jeśli Fletcher był na lekkim choćby rauszu.

- Nie tylko wtedy - wtrącił sierżant Stubs, ale po natychmiastowym drgnieniu masywnych barków pojąłem, że szybko pożałował nieopatrzności wyskoku.

- Słucham? - zareagowałem szybko, nie miałem zamiaru pozwolić mu na wykrety. - Istnieje inna możliwość?

- Co będę gadał od rzeczy - machnął ręką.

- Przecież nie jestem z komisji śledczej - uśmiechnąłem się, ale tak, żeby nie dostrzegł tego w lusterku.

- Nie jestem pewien... - zaczął Stubs.

- Czego? Mnie?

- No nie - zastrzegł się natychmiast. - Może to przypadek. Kiedyś gadałem z barmanem i rozmowa zeszała na to, co się dzieje w świecie, a on powiedział, że gardzi samobójcami. Wtedy właśnie pomyślałem...

- Samobójstwo?

- Tak - jedną ręką przeczesał zlepione potem ryże kosmyki na tyle głowy. - Ten szeryf to był smętny gość, jakby go wiecznie coś gryzło. Czasami z byle powodu sumienie szwankuje całymi latami. Ale on był młody. Aż się zdziwiłem, że takiego tu skierowali... Gdzie trzeba mieć mocne nerwy. Młody - i już zaczynał marudzić. Bywało: zagada, czy lubię morze albo czy wiem, co jest tam głębiej. Później, zamiast po ludzku wytłumaczyć w czym rzecz, w połowie rozmowy zmienia temat i potem milczy kilka godzin.

- Tę myśl podsunął ci Taroczy?

- Ja sam. Taroczy tylko wspominał o tych, którzy nie wytrzymują.

- Ta-ak - powiedziałem bardzo powoli. - A ten Taroczy: co za człowiek?

- Barman, typowy w tych stronach. Dawniej hodował bydło. Dopóki rosła trawa. Dzisiaj go nic nie obchodzi. Tylko piwo, brudne talerze i własny brzuch.

- Chyba słucha radia, telewizji albo czyta gazety?

- Jak każdy. Ale gazety docierają rzadko. Telewizja... Dzisiaj na ekranie mżawka nie gorsza od tej... Takie migotanie jak biały szron. Ale jak masz cierpliwość i szczęście, to coś zobaczysz. Tutaj atmosfera przepuszcza wyłącznie to, co chce i kiedy zechce...

- A skąd to nazwisko? Raczej obce.

- Sprawdzalem. Potomek emigrantów. W tej okolicy pojawili się po jakichś zamieszkach na Węgrzech. W ubiegłym stuleciu. Jedni z pierwszych osiedleńców.

- Dawne czasy.

- Uhm - pomrukiem potwierdził Stubs. - Diabli wiedzą, czego tutaj szukali. Zresztą, kiedyś to było inne życie.

Ziewnął szeroko i tak sugestywnie, że sam musiałem osłonić usta dłonią, chociaż zdawało mi się, że dawno przeszła mi senność.

- Ten ostatni Taroczy sam prowadzi bar? - zapytałem.

- Dobrze pan powiedział, że ostatni.

- Nie o tym myślałem.

- Ja wiem - zgodził się bez przekonania, potem zerknął na mnie podejrzliwie i dodał z ponurą miną: - Nawet gdyby... Nigdy nie słyszałem o żadnej kobiecie.

Na poboczu drogi mignęła tablica z wyszczerzoną w uśmiechu opasłą gębą. Piana iskrzyła się na wąsach. Dobra, choć oblażała z farby reklama. Komiksowy rysunek - dłoń zaciska kufel piwa z podniesioną przykrywką. Pęcherzyki pękają tuż przed wydatnym nosem. Nad pyzatą gębą coś w rodzaju czapki popa albo spłaszczony kopuły tempietto przy kościele S. Pietro in Montorio w Rzymie.

Niemal jednocześnie poczułem pragnienie w przeschniętym przełyku, a do głowy zaczęły się cisnąć wspomnienia. Pragnienie można będzie niedługo zaspokoić, ale co z tym drugim?

Zawsze uważałem, że wspomnienia należy odkładać ad acta tak długo, aż ci nic innego nie zostanie, prócz ich hołubienia. Pech w tym, gdy - ledwie przekraczając trzydziestkę - zaczynasz dochodzić do wniosku, że właśnie przyszła ta jesienna, smętna pora roztkliwiania się nad Owidiuszem. Tempora labuntur. Trzydzieści lat i już jesteś gotów układać panegiryk na własny nagrobek. Co znaczy społeczne

zaangażowanie.

W tym kontekście okres moich włoskich studiów zaliczyć muszę do najbardziej szczęśliwych. Lubiłem przekraczać granicę industrialnej urbanizacji i zagłębiać się w jeden z niewielu, jakie jeszcze zostały, zwykle bezludny interior. Mogłem się wtedy godzinami włóczyć po wąskich uliczkach starego Rzymu, pokonywać strome podejścia schodów między kamienicami w opustoszałych dzielnicach. Kiedyś nawet, w samo południe, wykąpałem się w fontannie del Tritone. Chyba przez sentyment, jakim darzyłem Beminię od czasu egzaminów z architektury antycznej, zdanych wyłącznie przez wzgląd na przypadkową znajomość jego osobistego dorobku. Wtedy, podczas tej kąpieli, nie było akurat turystów, ale nie sądzę, by ich obecność mogła mnie skrępować w czymkolwiek. Ostatecznie w fontannie była woda, prawdziwa - nawet złote i srebrne monety przeświecały z mulistego dna jak pierścienie spoza szyby na jubilerskiej wystawie. Od wielu lat nie tknięta numizmatyczna kolekcja. Dopiero moje barbarzyńskie zapędy zmały ustała toń. Tak, niewątpliwie lubiłem stare miasto. Wtedy jeszcze tak. Dopiero znacznie później, gdzieś przed obroną magisterium, gdy pełna seksu spadkobierczyni dobrej reputacji westalek zawlokła mnie na kamienne schody przed del Moro, żeby w romantycznym natchnieniu manipulować przy rozporcu moich spodni; gdy nieskończoną ilość razy podnosiliśmy się z ziemi, żeby przymglonym wzrokiem podziwiać resztki del Ouattro Fiumi i wystarczyło mi z jej zębów wyrwać obolały język i dźwignąć głowę nad włosy rozsypane po bruku, pachnące rdzą i piżmem, żeby oczy dostrzegły bazylikę Świętego Piotra - miraż drgający w gorącym powietrzu; właśnie wtedy odeszła mi ochota do wszelkiej miłości - zostałem porażony niemocą. Właśnie wtedy obrzydła mi ostatecznie kurza ślepotą, która wciąż jeszcze naiwnym samarytanom nakazuje balsamować truchła zabytków. Złożyłem akces na stanowisko w SEKON, gwarantujące zesłanie w zapomnianą przez Boga i ludzi administracyjną pustynię, gdzie tacy jak Fletcher w piwie topią swoje smętne dolce far niente.

Z perspektywy tamtego czasu trudno mi dziś uwierzyć, że gdzieś jeszcze zostało takie miejsce, gdzie gołębie nie szcędzą pomiotu, który wżera się w kamień, a turyści tak samo rzucają do wody srebrne monety. Marmurowe golasy mogą kruszeć i bez gołębi; wystarczy gdy judaszowe srebro przetopi się w alchemicznym tyglu i wróci wszechobecnym smogiem. Tynk złazi z domów - blady naskórek z twarzy i rąk. Insektycydy wydziobują cerę Stubsa. Wszechobecna łuszczyca. Smród, brud, wilgoć i pleśń, chociaż kilkaset lat temu jakiś Giovanni Lorenzo Bernini cierpliwie wydłubuje z kamienia głowy, ręce, tułowia z nagimi piersiami, projektuje swoje wodotryski. Dłubie i projektuje - czas teraźniejszy. Czas się tylko rozwarstwia, lecz każde zdarzenie pozostaje tuż obok, nawet pracujący Bernini. Czort z nim. Jedyłą konsekwencją moich włoskich studiów stała się ta ucieczka, gdyż w przeciwieństwie do większości kolegów po fachu nie muszę dzisiaj bić głową w mur przed kruszejącą Pallas Ateną ani załamywać rąk, kiedy z powierzonego mej pieczy hektarowego zagajnika zostaje trochę drewna na opał. Na moim odludziu nikt nie ma podobnych kłopotów. Nawet tamten Taroczy pewnie zapomniał, kiedy ostatni raz zgonił bydło z pastwiska. Albo - sztuka po sztuce - zwiózł na taczce. Za to rajski posiew smogu wciąż splywa od lądu, zawisa nad morzem i przyćmiewa pomarańczowy rozbłysk fal. Plaudite, cives!

Jeszcze jeden ostry zakręt.

Kątem oka widzę, jak Stubbs niespokojnie wierci się na swoim siedzeniu. Nie przywykł do pasów bezpieczeństwa. Pewnie je zapiął tylko na moją cześć. Niech się pomęczy. Typowy przedstawiciel prawa w tej głuszy. Trochę w nim jankesa, trochę tępawego wychodźcy ze starego kontynentu. Od początku drogi czuję doskonale, że chce o coś zapytać, ale tylko rzuca na mnie spłoszone spojrzenia. Wszędzie boją się urzędników z metropolii.

- O co chodzi? - pytam znięta.

Zaskoczony zjeżdża nieco na pobocze szosy. Uśmiecha się głupkowato.

- E-e, nic. Ja tylko tak...

- Co: tylko tak? - nie ustępuję.

Jak trudno czasami dogadać się z człowiekiem, który wcale do rzeczy rozmawia z tobą od dobrej godziny.

- Chciałem zapytać, dlaczego właściwie przyjechał pan tutaj? - daje dowód nadspodziewanej odwagi.

- A jak sądzisz?

- Na początku myślałem, że wszystko jasne. Napisali, że przyjedzie inspektor z SEKON i ja mam wszystko, co trzeba, pokazać.

- Robisz to.

- A jednak - znów ten idiotycznie chytry uśmieszek. - Pana wcale nie obchodzi to tam...

Szczeciniastym podbródkiem wskazuje na szybę. W przelocie migają jakieś słupy, powalone ogrodzenie i drewniane sztachety na przemian z drucianą siatką i przekrzywionymi wieżyczkami najpóźniej instalowanych fotokomórek. Ktoś mieszkał tutaj, ale bardzo dawno temu. Zresztą - jak poznać kiedy? Sama rdza i pleśń.

- Mógłbym niejedno pokazać - ciągnie Stubs. - Znam takie miejsca, gdzie jeszcze parę lat temu całe ławice ryb wylażyły na brzeg. Z takimi błoniastymi skrzydłami i łapkami zamiast płetw. Zostało trochę szkieletów... Pokazałbym panu prawdziwe granitowe skały, nie jakieś wapienie, kędy skałotocza, jakich nikt nigdy nie widział na oczy, wydrążyły sobie korytarze w głąb ziemi... a za nimi poszły inne mięczaki... Ale to pana nie obchodzi, tak samo jak Fletchera. Pan zagaduje od wczoraj, kiedy wspomniałem o tym śmiesznym facecie z knajpy Taroczego; pyta, jak zginął Fletcher... I w ogóle.

Zabawny jest. Oni wszyscy myślą, że jeśli przyjeżdża ktoś z SEKON, to pewnie ma to jakieś znaczenie.

- A może... - nagle spłoszonym wzrokiem patrzy na mnie z lusterka. - Może pan jednak... ze śledczej?

Przygaszone oczy niepewnie zerkają do tyłu. Lekko wypukła powierzchnia ustawionego pod kątem lustra. Obok wciąż podskakuje na gumce miniaturowa szeryfa. Maskotka okręca się wokół własnej osi i coraz częściej wypina w moją stronę różowe pośladki, dwa wydęte policzki i różowy nos wystający ponad opuszczonymi do kolan spodniami.

- Możesz być spokojny. O Fletchera pytałem prywatnie, tylko przez zwykłą ciekawość - zapewniam go. - A poza tym lubię turystyczne wycieczki. Dawno powinieneś zrozumieć, że nie ma znaczenia czy ktoś z nas przyjedzie czy nie.

- Jak to?

- Normalnie. Coś się zmieniło przez ostatnie lata? Jeśli nawet, to nie na lepsze. Niewiele już nam zostało.

- I oni to wiedzą?

- Kto?

- Ci z góry, z Komitetu SEKON.

- Jasne. Sądzisz, że można coś zmienić?

Milczy.

- A jednak okresowe kontrole trzeba zaliczać - dodaję z westchnieniem. - Każdy jakoś pracuje. Wiesz coś na ten temat.

- Wiem.

Ma taki wyraz twarzy, jakbym mu wyrządził krzywdę. Co czasami znaczą pielęgnowane w duchu nadzieje. Człowiek zdaje sobie sprawę, jak niewiele są warte, lecz kurczowo trzyma się złudzeń. Do samego końca. Może z takimi, jak Stubs, nie wolno sobie pozwalać nawet na minimum szczerości? Pał go licho. Już niedaleko.

Deszcz jakby zelżał i samotne krople ledwie bębniły po dachu maszyny. Kiedy przejaśni się niebo pewnie można będzie zobaczyć skrawek tego pejzażyku, o którym wspominał Stubs. Resztkę uśmiechu Giocondy spod dyskretnie uniesionej woalki. Deszcz obmywa wapienne skały, przynajmniej z wierzchu, oczyszcza powietrze i ziemię, spłukuje z asfaltu lepka maź. Oczywiście tylko na mgnienie - zgrabna stopka tylko drażni i znika pod czarną koronką. Następnego dnia wszechmogący na odwrót przedstawia klepsydrę. Wszechmogący-cywilizowany, który pracowicie, nie popuszczając nikomu i niczemu, wciąż na wszystkim odkłada swoje guano. Na tych szerokościach geograficznych deszcz pada najwyżej dwa razy do roku. Warto skorzystać z okazji.

Sęk w tym czy coś jeszcze zostało - czy potrafi się uśmiechnąć?

Na nic już nie zwracając uwagi ziewam szeroko i, wreszcie zmożony sennością, jeszcze bardziej odchyłam się na podatne oparcie fotela. Oczy bez celu błędzą wzrokiem po wnętrzu wozu. Ściany obite imitacją skóry o jasnym, piaskowym odcieniu. Po prawej stronie głowy Stubsa, na poziomie lusterka i podskakującego szeryfa, lecz zupełnie w narożniku panoramicznej, kuloodpornej szyby - wisi płaski monitor telewizyjny. Mleczny prostokąt mocno przykurzony, jakby od dawna dopraszał się bliższego kontaktu z filcową szmatką, która beczynnienie spoczywa pod wyjętym z kabury, czarnym pistoletem.

Obok słuchawka radiotelefonu i mikrofon radiostacji podtrzymującej łączność z resztą patrolowych wozów w promieniu kilkuset kilometrów. Mnie również uwiera w łokieć grzbiet telefonicznej słuchawki wpuszczonej w obicie fotela. Odruchowo sięgam ręką. Chwilę trzymam ją bezradnie, samymi końcami palców, potem przykładam do ucha. Słuch rejestruje charakterystyczną głębię ciszy sondowanej przez antenę, włączonej i sprawnie działającej radiostacji. Silentium Universum. Zupełna cisza tylko potęguje przygnębiające wrażenie, że w kartograficznym odwzorowaniu okolicy jesteśmy jedynym ruchomym punktem, czarnym chrząszczem mozolnie pełznącym wzdłuż trasy oznaczonej na mapie kabalistycznym symbolem ROM-57 Żuk opukuje drogę radiolokacyjnym zmysłem swoich czułek i ostrożnie przemieszcza się w pustym kontinuum, gdzie od dawna nie pozostało śladu innych wozów patrolowych. Próżnia. Na dziesiątki mil wstecz i w przód - pusta przestrzeń, co przekroczyła termiczną śmierć wszechświata. ROM, jak requiem. Kiedy szosa obeschnie po deszczu, może pojawi się przy niej nieco więcej takich ruchomych robaczków. Może zapędzą się aż tutaj, na peryferie dogorywającej galaktyki, od strony industrialno-urbanistycznego masywu, który szczelną powłoką nakrył resztę kontynentu. Bywają chwile, gdy nawet białoskóre robactwo ma dosyć szklanego stropu wspartego na szkielecie skalistych gór, po dziurki w nosie ma łożysk rzek przeobrażonych w wewnętrzny krwioobieg standu.

Odkładałam słuchawkę. Starannie wciskam ją w elastyczne gniazdo w oparciu. Może za rok ktoś jeszcze ją podniesie. Albo za dwa lata. Im dalej, tym mniejsze prawdopodobieństwo.

Stubs energicznie wdusza sprzęgło. Hamulce. Opony piszczą cienko. Parking na poboczu. Mamy szczęście, przed niskim barkiem nie ma innego wozu.

Wylazłem prosto w kałużę. Nogawki spodni namokły błyskawicznie i przykleiły się do butów. Zakląłem cicho. Lekka bryza niosła od morza zapach charakterystyczny dla starych strychów, gdzie smętne pająki tkają pajęczynę, gdzie żerują mole albo pleśń - zwykła starość - trawi resztki zakonserwowanych w naftalinie wyleniących futer. Nie dziwiłem się zbytnio, że urbanistyczny masyw stroni od kloaki i trzyma się raczej wnętrza kontynentu. Szum fal docierał gdzieś z dołu, przewijał się ponad krawędzią autostrady obrębioną ściąganiem biało-czerwonych słupków. Horyzont już się przejaśniał, miejscami chmury pękaty dając słonecznym promieniom przepust w sianej pokrywie. Może w mrocznej głębi, jak w praocenie, dopełnią nowej inicjacji. Jasne kolumny światła biły w ocean jak reflektory samochodu wynurzającego się z mgły - rydwan Heliosa bezgłośnie pracował motorem spalinowych turbin i, rozpraszając ciemność, włączył kolejne halogeny.

- To tutaj? - zapytałem nie wiadomo po co.

Przy parkingu stał niewysoki barak. Zabudowania starej hacjendy znajdowały się w pewnym oddaleniu, na łysej jak kolano, doszczętnie wyjałowionej polanie. Wolną przestrzeń przed głównym budynkiem otaczało kilka kikutów drzew. Włókniste płaty kory zestrugane z pni przez ulewny deszcz i wiatr przysychały teraz na słońcu. Ścieżka z głazów tworzących szczerbate stopnie prowadziła na wierzchołek wzniesienia. Dalej były wyłącznie kamienie i trochę żółtego piasku na świeżo obsuniętym zboczu. Wszystko zapuszczone, raczej ruina niż zamieszkane domostwo. Aż dziwne, że są ludzie, którzy stąd nie odeszli i czort wie na co czekają jeszcze, kurczowo trzymając się skrawka tej ziemi. Inercja gatunku przypisanego swojej mikroekosferze.

Stubs trzasnął drzwiczkami.

- Przejdę się trochę - powiedział. Rozprostuję kości.

- Nie zajrzysz do środka?

- Tym razem już nie pada - zdobył się na żart. - I pan nie musi mnie zapraszać.

- Może jednak?

Uciekł w bok oczyma.

- Nie. Poza tym... Przynajmniej w spokoju może pan porozmawiać z tamtym człowiekiem.

- Sądzisz, że jest tutaj?

- Na pewno. Gdzie miałyby się podziewać o tej porze?

Nikt nie lubi wałęsać się w deszczu i błocie, i chyba lepiej, jeśli nie przyjdzie mu do głowy, że ma pan coś wspólnego z policją. Mnie tutaj wszyscy znają doskonale.

W duchu przyznałem mu rację.

Do baraku wiódł asfaltowy chodnik. Nad wejściem oblaży z lakieru reklamowy szyld TAROCZY-BISTRO, nacieki rdzy spływają po ścianach smętnymi korzonkami, które okap dachu z falistej blachy zapuszcza w ziemię, obok zwisa obłamana rynna, deszcz jeszcze bulgocze w niklowanej tubie. Minąłem kosz na śmieci, blaszanego niedźwiadka rodem z Disneylandu - dziura w brzuchu, po mocnym kopnięciu, śmiecie walają się opodal: niedopałki, opakowania po papierosach, prospekty reklamowe w technikolorze zachwalające powaby miejscowego krajobrazu, kapsle od butelek i firmówki coca-coli oraz białe zlepki rozmokłego papieru albo wyplutej gumy do żucia.

Zastukałem do drzwi. Cisza. Klamka przeraźliwie zgrzytnęła w zamku i wrota sezamu wjechały do środka, na powrót nie dając się tak łatwo wcisnąć w krzywą futrynę. Pomogło dopiero energiczne przyłożenie obcasem. W kącie zachrobotał osypujący się tynk.

Kiedy od progu spojrzałem w niejasny półmrok, nie dostrzegłem w środku nikogo. Pod sufitem samotna mucha tłuła o blaszany kłosz. Żółta lampka ledwie jarzyła drucik spirali zwinięty w podkówkę. Błat baru wytarły starannie, za nim ekspres do kawy, fluodektor, lodówka, kilka półek z wielogatunkowym asortymentem butelek, spłowiła zasłona stanowiąca przepierzenie między zasadniczym pomieszczeniem a kantorkiem barmana.

Wyciągnąłem z kieszeni zmięty banknot. Paskudny zwyczaj pakowania pieniędzy do oblepiających ciało, przepoconych w parnej atmosferze, kieszeni spodni. Między palce zaplątał się bilon. Zastukałem srebrną monetą o blat baru. Nic. Stuknąłem jeszcze raz.

- Słucham? - zaspany głos odezwał się spoza kotary.

Dziwnie uprzejmy głos jak na człowieka wyrwanego z poobiedniej drzemki. Spojrzałem na zegarek i uświadomiłem sobie, że czas najwyższy na solidny posiłek, przygotowany bez kawaleryjskiej improwizacji jak wczorajsza kolacja na posterunku w La Grandę.

- Ile razy prosiłem - pomrukiwał niewidzialny gospodarz - żeby dolać sobie samemu. Piwa nie ubędzie dla jednej gęby. Choćby była bez dna.

Chrząknąłem. Zabawny to właściciel przydrożnego lokalu, który wita gości zaproszeniem, do

kontynuowania samoobsługi, kiedy ten od rana nie miał w gębie kropli piwa czy innego, bardziej szlachetnego trunku.

Za kotarą rozległo się ciche postękiwanie, trzasnęły sprężyny i spoza przepierzenia szuranie pantofli wyprowadziło otyłego mężczyznę o nalanej sadłem twarzy. Na mój widok wyprostował się i wyżej podniósł wielką głowę. Pomimo tuszy bez trudu rozpoznałem w nim potomka ugrofińskich plemion.

- Moje uszanowanie - powiedziałem. - Pukałem, nikt nie odpowiadał, więc wszedłem. Jak słyszę, nie ma u was kłopotu z czymś na przepłukanie gardła?

Grubas milczał, wciąż wyraźnie zaskoczony, jakby kogoś innego spodziewał się zastać przy barze swego nędznego zajazdu. Na koniec niechętnie coś odburknął i odwrócił się do mnie plecami. Brzęknęły rozstawiane kufle. Piwo było z beczki, lecz kiedy barman odkręcił kurek w kranie tylko młasnęło zassanym powietrzem i musiał pompą zwiększyć ciśnienie. Chwilę w milczeniu pracował jednym ramieniem. Wreszcie złoty płyn polał się z kranu i Taroczy podstawił mi pod nos kufel z mętnego szkła. Przez krawędź pociekło trochę drogocennej piany, reszta utworzyła śnieżną czapę i osiadła bardzo powoli, perliła się warstwą tylko z wierzchu pękających bąbelków powietrza.

- Proszę - powiedział.

- Do szczęścia brakuje mi tylko czegoś ostrego na zakąskę - stwierdziłem z zadowoleniem. Nie zareagował.

- Dostanę coś do jedzenia? - zapytałem wprost.

- Nie.

- Jak, zupełnie nic?

- A niby skąd? - wzruszył ramionami, nawet nie silił się na uprzejmość.

- Dobrze i to - powiedziałem pojednawczo. - W samochodzie nawet podczas rześistej ulewy gardło przesyca jak na pustyni.

Patrzył na mnie pozbawionymi wyrazu oczyma. Nażarte i tłuste, tępe i pospolite bydlę. Chyba niewiele w nim pozostało energii z tamtych pierwszych osiedleńców, którzy w tym miejscu zabrali się do karczowania dżungli. Szwankujące genetyczne perpetuum mobile. Takich jak on znałem tysiące w każdym zakątku ziemskiego śmietnika. Odcięci od świata tępieją z roku na rok, warzą się we własnym sosie i obrastają w ślimaczą skorupkę, która - w miarę przemiany pokoleń - gwarantuje im mentalność niewzruszenie tępej, chłopskiej filozofii milczenia. Człowiekowi odechciewa się wszelkich dyskusji. Zresztą, jak takiego ciągnąć za język?

- Nareszcie trochę deszczu - powiedziałem. - Zjawisko raczej nietypowe w tych stronach? Jestem przejazdem.

W odpowiedzi drgnął mu tylko potrójny podbródek z rzadziutką szczecinką czarnego zarostu. Wyglądało na to, że zamiast sięgnąć po brzytwę codziennie rano zasiada przed lustrem i włosy po włosku wycina tępymi nożycami. Chociaż - zawsze to jakieś zajęcie dla Robinsonów takiego odludzia. Zauważyłem, że skórę twarzy ma identyczną jak Stubs, z głębokimi porami, jakby kanalikami wytrawionymi przez kwas. I tu nie próżnują skałotocza. Gęba to nie granit. W każdy otwór można by wetknąć koniec zapalniczki. Pewnie po dłuższym pobycie w tej okolicy każdy może się pochwalić podobnie dziewiczą gładkością lica.

- Dzisiaj niewielu klientów? - nie dawałem za wygraną. - W taką pogodę mało kto pojedzie kilkaset kilometrów wzdłuż brzegu. Łatwo o wypadek.

Nawet nie mrugnął powieką, chociaż uważnie patrzyłem mu w oczy. Niegdyś były czarne, dzisiaj zbrunatniały - została tylko wąska szparka źrenicy i tęczęwka zatopiona w przekrwionym białku.

- Jestem pierwszym gościem? - zapytałem. - Chociaż zdawało mi się... Ktoś był przede mną? Pewnie wyszedł? Milczał jak zaklęty. Czuję wewnątrz, że jeszcze trochę i doprowadzi mnie do szewskiej

pasji. Nie pozostawało nic innego jak gra va banque. Na szczęście z takim można sobie pozwolić na luksus niewysilania. Przy takiej tuszy większa bystrość umysłu do raczej fenomen. Usprawiedliwiałem sam siebie, choć najwyraźniej coś niezbyt grało w tym rozumowaniu.

- Opłaca się ciągnąć ten interes? - spróbowałem nawiązać do wątpliwej prosterity jego przedsięwzięcia.

Mruknął coś pod nosem.

- Nie jestem tu przypadkowo - zmieniłem temat. - Rok temu w Pernacombo poznałem miejscowego szeryfa. Nazywał się Flenter albo Fleitcher, nie ręczę. To było spotkanie przy kieliszku trunku mocniejszego niż piwo.

- Fletcher? - powiedział wreszcie i ospale przymknął powieki.

Na sam widok tej opasalej gęby świerzbiała mnie ręka.

- Więc go znacie? - ucieszyłem się. - Wspaniale' nareszcie mam u kogo zasięgnąć języka...

- Nic nie wiem.

- Przecież o nic jeszcze nie pytałem. Zresztą pewnie to nic ważnego. Tylko wam zawracam głowę.

Przytaknął ze stoickim spokojem.

- Czego to ludzie nie wygadują pod wpływem alkoholu - kontynuowałem nie zrażony. - zjeździłem kawał świata i wszędzie to samo. Stereotyp. Jestem komiwojażerem i, siłą rzeczy, muszę z ludźmi nawiązywać kontakty. A nasi bliźni są spod jednej sztamki. Jeden z drugim wypije nieco i zaczyna pleść od rzeczy. Pewien Meksykańczyk opowiadał mi kiedyś, oczywiście ledwie mieląc językiem, o swojej małżonce, do której chadzał duch cesarza Maksymiliana, i ile on, biedny chłop, miał z tego gęb do wykarmienia. Cała chałupa roiła się od tego drobiazgu, a on z dumą wspominał ile też w ich żyłach błękitnej arystokratycznej krwi. Albo pewien bawarczyk z Wurzburga i komputer programujący przyrost naturalny oraz udzielający porad w ekscentrycznych chwytach ars amandi... Pozwalał mi się wygadać. Czynił to z doskonałą rutyną człowieka zawsze i wszędzie obojętnego. Przystawało mnie dziwić, że Stubs nie widział przy nim żadnej kobiety. Kolejną powiastkę przyprawiłem pikantną puentą, do której mnie samemu przyszło szczerzyć zęby - on nawet nie mrugnął powieką.

- I właśnie Fletcher - podjąłem na nowo. - Kiedy raz przesadził z wódką, też zaczął opowiadać o pewnym człowieku, którego spotkał w czasie służbowych patroli wzdłuż wybrzeża od Pernacombo do La Grandę. Opowiadał mi różne rzeczy. Między innymi o waszej hacjendzie. Podobno spotykali się tutaj przy piwie. Nie wiecie przypadkiem, gdzie się podziewa tamten człowiek?

- Nie wiem kto.

- Taki niewyraźny typ...

- Nie znam.

Przypomniałem sobie wczorajszą rozmowę ze Stubsem. Kiedy wieczorem zgasiliśmy światło, Stubs, ośmielony ciemnością, niespodziewanie nabrał elokwencji i długo jeszcze gadał paląc w półmroku papierosa za papierosem, a ja przez sen ledwie chwytalem oddzielne słowa. Wciąż wracał wspomnieniami do tego człowieka - raz czy drugi widzianego w przydrożnym zajeździe. Opowiadał, jakie na nim wywarł wrażenie. Zapamiętałem kilka luźnych skojarzeń, które mogły się nasunąć tylko takiemu jak Stubs, za wyłączną lekturę miewającemu trochę komiksów i kryminalizowanych adaptacji klasyki w serii pocket book. Przed moimi oczami zjawiał się, jak duch wywoływany na spirytystycznym seansie, hybryd filmowego Frankensteina i półtrupa wywleczonego z formaliny albo błada zjawa z innego świata - zieloną karnacją niedwuznacznie sugerującą kosmiczną przeszłość. Taki obraz powstawał w nocy, pod wpływem pogrążających się w ciemności, w hipnotycznym szeleście wiatru za oknem i w odorze rozkładających się nie opodal ryb, krabów i małży. Siła sugestii ciężącej nad bezludnym miasteczkiem. Skoro świt, wszelkie strachy odnalazły właściwe proporcje i nawet dla Stubsa był to

całkiem zwyczajny, może tylko bardziej od innych obdarzony własnym charakterem człowieczek.

- Podobno chorował kiedyś - powiedziałem. - Był zawsze taki śmiertelnie blady. Przynajmniej tak twierdził Fletcher. Wie pan coś o tym?

- Aha, ten. Może wiem.

- Widzi pan, ja mam hobby - kłamałem jak najęty. - Kompletuję oryginały, wyszukuję dziwnych ludzi. Interesuje mnie wszystko, co w człowieku niezwykle. To bardzo Urozmaica przerwy w podróżach. Właśnie dlatego zaintrygowało mnie opowiadanie Fletchera o gościu z TAROCZY-BISTRO.

- Co pan powiedział?

- No... - uśmiechnąłem się znacząco. - To zależy. W każdym razie nie wszystko. Ale pan może mi pomóc.

- To zależy. - powtórzył za mną.

Nie byłem pewien czy przypadkiem nie zebrało mu się na żarty. Powoli świtało mi w głowie, że pod jego ociężałą, stoicką obojętnością kryje się więcej sprytu i rozumu, niż to przyjąłem na pierwszy rzut oka. Przede wszystkim sprytu. Sięgnąłem do kieszeni po zmięty banknot. Nawet go nie zaszczycił swoją uwagą, tylko przelotny uśmiech zabłąkał się na jego wargi. Kilka minut temu ich wydatność była dla mnie oznaką łapczywości i słabego Charakteru.

- Niech pan to schowa - powiedział. - Sprzedaję tylko piwo, whisky i papierosy.

- Chcę spotkać się z takim człowiekiem.

- Nic prostszego.

Spojrzał ponad moim ramieniem. Odwróciłem się szybko. Mężczyzna siedział tam, w samym kącie. Wszedł niepostrzeżenie albo, co bardziej prawdopodobne, siedział tam cały czas i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Kiedy zjawiłem się na progu tego przybytku moje oczy, przywykłe do dziennego światła, nie dostrzegły zgarbionej sylwetki, szarej i nieruchomej. Element wkomponowany w tło odrapanych ścian. Dziwnie ludzki cień zastygł nad stolikiem i niedopitym kuflem piwa. Specyficzna mimikra. Wells napisał kiedyś historię o człowieku, który pod wpływem silnego psychicznego stresu przypadł do ściany i zlewał się z nią tak całkowicie, że nic nie można było odróżnić prócz bladego konturu sylwetki, czasem jeszcze oczu. Ten człowiek w knajpce Taroczego był żywcem wzięty z owej nowelki. Teraz mglista plama w miejscu twarzy patrzyła na mnie z półmroku - wypukły łeb i zapadnięte do środka, jakby puste oczodoły.

Zmieszałem się. Barman również mierzył mnie spokojnym, lekko drwiącym spojrzeniem. Szybko podniosłem do warg kufel z piwem i piłem cierpki, lodowaty napój, łyk po łyku, aż w piersi zabrakło oddechu. Nad górną wargą zostało mi nieco wilgotnej piany, strzepnąłem ją na podłogę i, jak na ironię, przypomniałem sobie tamtą twarz na reklamowym szyldzie - uśmiechniętą gębę błazna z pianą na przyklejonych pod nosem, nastroszonych wąsach.

- Dwie whisky - powiedziałem do barmana i łokciem odtrąciłem kufel.

Wystawił kieliszki, przepłukał wodą i rozlał wódkę.

- Woda, lód? - zapytał.

- Obejdzie się. Chwyciłem szkła zbyt gwałtownie, aż prysnęło na ziemię. Obróciłem się na pięcie i podszedłem do nieznanego przy stoliku.

- Można się przysiąść? - spytałem.

Miał niemożliwie jasne, wodniste oczy. Wodząc nimi za człowiekiem przekrzywił całą głowę zupełnie jak sinozielona papuga kakadu.

- Pytałem, czy nie będę przeszkadzał? - odezwałem się po raz drugi.

Wydało mi się, że skinął głową w stronę krzesła, więc bez dalszych ceregieli usiadłem za stolikiem.

- Proszę mi wybaczyć ciekawość i... że wypytywałem barmana - powiedziałem, gdyż niewątpliwie

słyszał moją rozmowę z Taroczym. - Jednak Fletcher był moim przyjacielem i zaintrygowała mnie zarówno jego śmierć, jak i opowieść o panu.

Spojrzał na mnie dziwnie roztargnionym wzrokiem, w którym nie było jednak ani odrobiny tego napięcia i obłędnej determinacji, o jakich wspominał Stubs.

- Fletcher - powiedział opuszczając wzrok w pusty już prawie kufel. - Nigdy nie sądziłem, że ma innego przyjaciela.

Pierwsze zdanie wymawiał niezmiernie powoli, jakby jego myśli były dalekie od formułowanych słów. Na dodatek ledwie poruszał wargami, co odbierało głoskom wyrazistość artykulacji.

- Nie był nazbyt rozmowny - spróbowałem wyjaśnić. - Tym bardziej skory do zwierzeń.

- Też tak sądziłem - mruknął do siebie.

- To nie ma związku - postawiłem kieliszki na stół, teraz dopiero spostrzegłem, że cały czas trzymałem je w ręku. - O panu dowiedziałem się raczej przypadkowo.

- Kiedy?

- Stosunkowo niedawno. Pół roku temu. Może mniej. Zajechałem do Pernacombo w interesach, a on zostawił mi za wycieraczką samochodu kwit z autografem. Za złe parkowanie. Zabawne, co? W całym mieście poza tym był jeden Ford. Co mówię! Wypruta z silnika stara karoseria rdzewiejąca na pewnym podwórku. Zwróciłem na nią uwagę wjeżdżając główną autostradą. Oprócz mnie nikt inny nie zapuszczał się w te strony. A on mi wlepił mandat. Co znaczą nawyki.

Nieznajomy obserwował mnie w milczeniu.

- Wieczorem wybrałem się na posterunek uregulować rachunek. A był to wieczór jego imienin...

Sam byłem zaskoczony, jak łatwo przychodzi mi zmyślanie. To też rodzaj sztuki: umieć na poczekaniu wzbogacić sobie życiorys.

- Siedział samotnie, mocno już podpity. Zawsze pił dużo. Sam pan wie jako przyjaciel. Ale tamtego dnia nasza go szczególna melancholia i nie minęło pół godziny, kiedy mnie samemu zaczęło szumieć w głowie. On tymczasem osiągnął stan wylewności i zaczął pleść niestworzone rzeczy.

- Co mówił?

- Nic specjalnego - powiedziałem niby od niechcenia. - To był typowy pijacki bełkot.

Spojrzał na mnie bardzo uważnie. Coś mruknął pod nosem. Nie dosłyszałem. Wcale nie był z niego tylko taki cień enigmatyczny, było w nim aż nadto ciała - to tylko z daleka i na pierwszy rzut oka bezbarwny odcień jego twarzy w tle szarych ścian nadawał jej jakby przejrzystość.

- Pamiętam tylko, że w tym wszystkim najczęściej przewijała się geografia tej okolicy - dodałem. - Knajpa Taroczego i jakiś nieznajomy.

- Skąd pan wziął, że to ja?

- Nikogo tu nie ma, prócz pana. Zresztą Fletcher wspominał, że tamten człowiek był... albo jest na coś chory - przypomniałem sobie zwróciwszy uwagę na nienaturalną bladość jego twarzy i kropelki potu ściekającego ze skroni aż za uszy. - Chory czy coś w tym rodzaju. Może się przesłyszałem, lecz kiedyś wyraził się tak: dłużej już nie pociągnie.

Skąd mi to przyszło do głowy? Wskoczyło na język jakoś samo przez się i bez udziału woli. On jednak drgnął wyraźne i zeszywniał w krześle. Pożałowałem głupiego wysoku.

- Może myślał o sobie? - spróbowałem kluczyć, ale nie najlepiej wiedziałem czego się trzymać. - To by tłumaczyło jego śmierć...

- Nie - uciął krótko.

- W takim razie... przepraszam - powiedziałem. Ostatecznie straciłem orientację, gdzie kończy się udawanie i zaczyna przebłysk rzeczywistej skruchy. Wchodziłem w rolę.

- Nie szkodzi - odparł miękko. - To by się zgadzało. Umilkł i tylko na kredowobiałym czole, blisko

lewej skroni, tuż pod skórą pulsowała mu nadymająca się ciężko tętnica.

- Poczęstuje się pan? zapytałem podsuwając mu kieliszek.

Niepewnie spojrzął na whisky.

- Wziąłem dla dwóch.

- Nigdy nie piłem nic mocniejszego od piwa - powiedział.

- Czasami warto spróbować.

- Być może.

Teraz, kiedy siedział sztywno i wpatrywał się w kieliszek, mogłem poddać wnikliwszej ocenie jego powierzchowność. To był rzeczywiście dziwny facet. Twarz woskowo-biała, rysy jakby świadczące o pewnym umysłowym niedorozwoju. Typowy mongolizm, choć czaszka pojemna - niby z prymitywnie ociosanego kłoca albo ulepiona ze świeżego jeszcze gipsu. Pod szyją rozchełstana koszula nie pierwszej świeżości, odcień jasnego beżu; z wierzchu masywnej sylwetki coś w rodzaju marynarki z szorstkiego płótna. Z przydługich rękawów wystają ręce - nieodrodne siostry twarzy, równie blade, niemal przezroczyste, kostropate w miejscach przełamania palców, i to było w nim najdziwniejsze - twarz i ręce. Gdy barman był po prostu gruby, nalany sadłem, a Stubs tylko z wierzchu przyokrąglony pulchnym maskowaniem mięśni i twardego kośćca - o tyle człowiek siedzący naprzeciw miał skórę podobną do błony napiętego rybiego pęcherza, który od środka rozsadza ciśnienie woskowego żelu.

- Zdrowie - powiedziałem i wychyliłem kieliszek.

Po chwili wahania wziął ze mnie przykład. Zakrztusił się. Oczy jeszcze głębiej zaszyły mu mgłą. Zostawiłem trochę czasu, żeby doszedł do siebie.

- Nazywam się Benedykt Ramp - powiedziałem wreszcie.

- Ja... - przez moment bez głosu, jak ryba poruszał wargami podobnymi do płatków zsiniałej cielęciny. - Jestem Gropius. Agę Gropius.

Skądś znałem to nazwisko.

- Agę Gropius - powtórzyłem w zamyśleniu. - Dawno pan przebywa w tych stronach?

- Dawno.

- Podobno kiedyś był stąd przepiękny widok na morze? Rozejrzał się, wyraźnie czymś spłoszony. Głębiej wcisnął głowę między masywne ramiona. Jego ciało bez reszty wypełniało marynarkę, opiętą i wyraźnie nie na miarę. Aż dziwne było, że materiał nie rozłazi się w szwach. Dopiero kierując wzrok śladem jego spojrzenia zauważyłem barmana. Taroczy dalej stał wsparty brzuchem o blat baru i bacznie się nam przyglądał spod powiek napuchniętych jeszcze, nie przemytych po głębokim śnie.

Podniosłem się, z trzaskiem odsunąłem krzesło i podszedłem do bufetu.

- Scotch-whisky - powiedziałem. - Butelkę. Ociągając się sięgnął na półkę.

- Czego pan chce od niego? - Spytał.

- Moja sprawa.

- Może nie tylko pańska - stwierdził bezczelnie.

Coś się w nim zmieniło, już nie był taki potulny i byle zaczepkę zbywający milczeniem.

- Jeśli pan rzeczywiście znał Fletchera, pewnie zdążył panu powiedzieć, że najlepiej trzymać się z daleka od tego człowieka? Jeśli nie - ja to mówię.

O mało nie parsknąłem śmiechem. Zabrzmiało to co najmniej jak groźba, co prawda rzuconą niby od niechcienia, lecz barman dalej spode łba świdrował mnie swymi oczkami zatopionymi w tłuszczu. Tylko jego dłonie pracowały niezależnie od słów i spojrzeń. Z najświętszym spokojem odkorkowywał butelkę. 0, 75 litra.

Znowu poczułem, jak mi palce prawej ręki odruchowo zwijają się w pięść. Nie wiadomo dlaczego bytem pewien, że zdzielenie go w napuszony pysk sprawiłoby mi prawdziwą rozkosz.

Korek z charakterystycznym odgłosem wyskoczył z szyjki butelki. Barman odezwał się znowu, tym razem nie pytany:

- Może sierżant Stubs chciałby już jechać? - zapytał.

- Nie rozumiem.

- Pan mnie rozczarowuje - mówił ściszym głosem, pewnie dlatego, żeby nie dosłyszał tamten przy stoliku. - To nieładnie zostawiać go samego na dworze.

Komedia skończona, pomyślałem.

- Mr Taroczy, mam prośbę - skorzystałem z przywilejów stróży bezpieczeństwa, gdyż najwyraźniej i mnie uważał za policjanta; a że w cywilu, tym lepiej. - Niech pan zostawi nas samych.

- Czemu nie - ironicznie skinął głową. - Gdyby się panu nudziło proszę poczytać prasę.

Wskazał gazety wiszące na ścianie po drugiej stronie baru. Zaopatrzone w ramę z drewnianym uchwytem ponaczeplane były na rząd krzywych haków lub zwykłych gwoździ wbitych w mur. Nawet na oko dawno nadawały się do wyrzucenia na śmietnik. Obok na niskiej półce leżał plik barwnych czasopism.

- Skorzystam - odparłem oschle. - Jeśli uznam za stosowne.

- Można tam również znaleźć coś bardziej miłego dla oka - Taroczy rozgadał się, niby żartował w usługowej kokieterii, lecz nie mogłem wytrzymać jego chłodnego wzroku. - Wszystko do pańskiej dyspozycji. Polecam.

- W porządku - uciałem - Dziękuję za troskliwość. Od pana chciałbym już tylko... Aha, papierosy.

Bez pytania o gatunek rzucił na ladę paczkę kameli.

- Jego niech pan nie częstuje - powiedział. - Szkodzi mu.

- Dobrze, płacę.

Wydał resztę i zatrzymał się z ociąganiem.

- Dziękuję - powiedziałem nie odchodząc od lady. Zaczekam, aż zniknie za portierą. Słuchałem czy znowu zaskrzypią sprężyny, lecz nie - widocznie został tuż za kołyszącą się jeszcze zasłoną.

Wzruszyłem ramionami i, żeby go nie rozczarować, z butelką pod pachą podszedłem do ściany po prawej stronie baru. Gazety rzeczywiście nosiły daty świadczące o miesięcznym przedawnieniu, "były pożółkłe i dobrze już sfatygowane. Sięgając na półkę obok niechący strąciłem dwie na podłogę. Nie chciało mi się schylać, podnosić i wieszać z powrotem. Taroczy nie cierpi z nadmiaru zajęć. Między magazynami leżało kilkanaście komiksów. Odruchowo przerzuciłem barwne zeszyty. Było tu nawet wznowienie zamierzchłej staroci: zapomniany "Yellow Kid", obok nowsza "Ballada słonego morza" w rysunkach Hugo Pratta, z romantycznym kapitanem Corto Maltese w roli głównej. Dalej coś z prymitywnej science fiction, szmirowate fantasy, nawet underground sprzed pół wieku i sporo pornografii. Na samym spodzie z lakierowanych okładek świeciło wyłącznie golizną i rysunkowymi hieroglifami freudyizmu.

Na chybił trafił zgarnąłem trzy zeszyty bardziej z wierzchu, po czym wróciłem do stolika.

Ściany dokoła były puste. Prócz wieszaka dla gazet nic nie zakłócało ich równomiernej szarzyzny. Tylko trochę zadrapań i światło lampy - jasne u dołu, sufit pozostawiające w cieniu blaszanego klosza. Sceneria w sam raz z komiksu, bez zbędnych rekwizytów odwracających uwagę od akcji. Tylko bohaterowie zamiast robić dobry użytek z pięści, spokojnie siedzą przy stoliku. Marny komiks. Może dalej akcja rozwinie się lepiej.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli na wspomnienie niespokojnego świerzbienia prawej ręki, kiedy Taroczy pustym wzrokiem wiercił mi dziurę w piersi, jakby widział na wylot, przez powietrze. Wszystkie znaki na niebie i ziemi świadczyły dobitnie, że oni doskonale znają tego Gropiusa - czy jak mu tam było. Przynajmniej Taroczy, a przedtem Fletcher. Tylko czego się tak nad nim trzęsą - sam do czterech zliczyć

nie umie? Chyba że facet należy do rzędu typowych w metropolii czcicieli halucynogenów. Tacy co pewien czas muszą się podładować z odpowiedniej baterii. Jest ich coraz więcej, ale nie tutaj. Zdrowy rozsądek zwykle ostaje się na peryferiach. Może zwykła morfina lub hasz? Bzdura. Wystarczy się przyjrzeć, jak on wygląda.

Musiałem przyznać, że dotąd niezbyt serio traktowałem nasze spotkanie. Ot - sierżant Stubs podsunął pomysł na urozmaicenie monotonnej inspekcji wybrzeża. A poza tym: nie wypada za wcześnie wracać z objazdu. Jest tajemnicą poliszynela, że błazenada z Komitetem SEKON i jego misterną administracją ma mniej racji bytu niż Armia Zbawienia. Trzeba jednak zachować pozory. Tak nakazują reguły gry. My nawet nieboszczyków składamy do trumny w graniturze, w eleganckich lakierkach i z łagodnym wyrazem twarzy. Wystarczy przymknąć zastygłe powieki, nieco wygładzić zmarszczki i podciągnąć do góry kącik warg. Niech się śmieje. Wbrew pozorom twarz nieboszczyka jest niezwykle podatna na sztukę plastycznej obróbki. Więc po co ma straszyć przedśmiertną maską z grymasem agonii? Niech się śmieje! I szpachlówką przez zmarszczki zgryzot doczesnych! Dawno wyciągnął nogi ostatni z malkontentów, któremu byłoby to obojętne. Pogrzeb to taki ostatni seans u fotografa: "Proszę o przyjemny wyraz twarzy - pstryk! - dziękuję". Człowiek to społeczeństwo samo w sobie. L'Etat, c'est l'homme, jak rzekomo maślił sobie Ludwik XIV. Przynajmniej na białym prześcieradle lubimy oglądać bliźnich z uśmiechem sugerującym pozaświatowe postrzeganie rajskiej utopii. Dlaczego to samo nie może dotyczyć całych społeczeństw? To nic, że za życia kuśtykało się z wiecznie wykrzywioną gębą Im krzywiej - tym radośniej, im bardziej w tyle - tym donośniej, im bliżej końca - z tym większym optymizmem, i jednomyślne oklaski. SEKON posiada niezbite walory instytucji ze wszech miar pożytecznej - jest dla wszystkich. Czy tylko każdy z osobna ma prawo zdychać z uśmiechem na ustach?

- Mr Gropius - zagadnąłem. - Napije się pan?

- Chętnie.

Już wcześniej stwierdziłem, że po pierwszym kieliszku jego oczy nabrały żywszego blasku.

- Głupia historia - powiedziałem. - Żeby człowiek, marnujący pół życia za kierownicą wyścigowych wozów, ginął w idiotycznym wypadku samochodowym. Jak pan sądzi, to przypadek?

- Nie rozumiem.

- Trudno mi uwierzyć. Fletcher był nie najgorszym kierowcą.

- Możliwe.

- Chyba, że pił przedtem.

- Nie pił.

- Skąd pan wie? - udałem zdziwienie.

Nie uszło mojej uwadze, że niecierpliwie pokręcił się na swoim krześle.

- Tamtego dnia on zaszedł tutaj? - spytałem.

Znowu zamknął się w sobie. Reagował trochę jak Stubs, kiedy rozmowa schodzi na śliski dlań temat. Pociągnąłem łyk scotch-whisky. On jednym haustem opróżnił cały kieliszek. Miałem wrażenie, oczywiście bardziej podświadome niż osadzone w realiach, że wcale nie jest taki małomówny. Może nawet czeka, żeby przed kimś wygarnąć całą zółć, jaka zebrała mu się na żołądku. Tylko coś go wstrzymuje. Bądź co bądź pozostawałem obcym człowiekiem. Czyżby naprawdę wiedział coś na temat rzeczywistych przyczyn śmierci Fletchera?

- Więc był tutaj - powiedziałem takim głosem, jakby to nie ulegało wątpliwości.

Zaskoczony uniósł brwi - prawie białe i delikatniejsze od lanugo, taki puszek przyklejony nad oczodołami.

- Wtedy... tak - odparł niechętnie. - Nawet rozmawialiśmy ze sobą.

- Tutaj?

- Tak.

- Dlaczego nie poinformował pan policji?

To była nieostrożność zdradzać się, że jest mi cokolwiek wiadome o tym kto i czego nie dopełnił. Na szczęście był zaprzątnięty swoimi myślami.

- Musiałem wyjechać na pewien czas - wyjaśnił i zmierzył mnie takim wzrokiem, jakby dla niego samego było rzeczą niepojętą, jak ktoś jeszcze może w to uwierzyć. - Zresztą o czym? Fletcher po prostu miał dosyć wszystkiego.

- Pan sądzi... - szepnąłem.

- Ja wiem.

- Więc to było samobójstwo?

- Tak.

- On panu powiedział?

- On.

- Dziwne. Fletcher uważał pana za swego przyjaciela, a pan nie odwiódł go od tego pomysłu?

Spojrzał na mnie trochę jak na człowieka niespełna rozumu.

Uchyliłem wzrok. Było ponad moje siły z wyrachowaniem znosić tę paskudnie łzawą i szczerą melancholię, z jaką na mnie patrzył. Jak półślepy pies - miał oczy zeszkłone i blade jak przecedzony przez watę błękit.

- Dlaczego mu nie przeszkodziłem? - zapytał.

- Właśnie, i przecież musiały być jakieś motywy.

- Fletcher opowiadał mi kiedyś o swojej rodzinie. Jego przodkowie należeli do niezwykle długowiecznych.

- Powinien być zadowolony. To zwiększało i jego szansę.

- Możliwe - westchnął. - On również nigdy nie chorował. Mawiał, że dlatego nic go się nie ima, bo dużo pije. Był młody i zdrowy, miał przed sobą wiele długich lat.

- Nie rozumiem - powiedziałem myśląc jednocześnie, że z tego Fletchera był nie lada szczęściarz. - Więc co mu nagle strzeliło do głowy?

- Mógł odejść z czystym sumieniem.

- Dlaczego?

- Nie miał żony, dzieci. Nic go nie trzymało przy życiu.

- Ale po co?!

- Nie pierwszy i nie ostatni.

Dotknął ręką rozłożonych na stole zeszytów z rysunkami Battaglii i Dana O'Neilla na poplamionych okładkach.

- Znam to - stwierdził. - tylko tam się zazwyczaj wygrywa, i co to ma wspólnego z nami?

Więc to tak wyglądało. Prozaicznie. Najnormalniej pod słońcem. Jeden więcej. Ja sam kiedyś zastanawiałem się nad tym. Wymyśliłem nawet sposób - wanienska stężonego kwasu siarkowego. Stajesz na baczność, salutujesz oddając ostatnie honory tym, co zostają, i zacynasz moczyć nogi, cal po calu, a pokład okrętu - pod powierzchnię. Wreszcie osiądziesz po czubek głowy. Schizofrenia. Idiotyczny pomysł.

- Każdy z nas jest chory na swój sposób - powiedziałem ze zwieszoną głową. - Ale to jeszcze nie powód.

- Nadal pan nic nie rozumie?

- Każdy jest mniej lub bardziej samotny.

- To już lepiej. Może kiedyś będzie miał pan okazję odczuć to na własnej skórze... bardziej dotkliwie.

- Również nie mam nikogo bliskiego.

- I tak żaden z was nie jest jeszcze sam. Na razie, i na tym polega różnica między nami.

Podkreślił to z takim naciskiem, że nie miałem zamiaru oponować. Od kiedy stało się jasne, dlaczego odszedł Fletcher, cała ta dyskusja zaczęła mnie nudzić.

Przekartkowałem jeden z komiksów.

Kosmiczny pirat, o dobrodusznie szczękatym pysku, założył bazę na Ganimedzie, pełną luksusowych apartamentów, ludwikowskich mebli, dywanów, secesyjnych tapet, kryształowych świeczników pod stropami malachitowych grot, gabinetów kosmetycznej renowacji, haremu girlasek i labiryntu alków w stylu markizy de Pompadour, które stanowiły odskocznnię do wypadów w kierunku innych galaktyk. Na kolorowych obrazkach pojawiały się cudaczne rakiety miażdżone w szczękach monstrualnych planet-mały, wyrastały miasta innych cywilizacji, żywcem zapożyczone ze "Sprawcy Gwiazd" Olafa Stapledona, a zielone potworki bez trudu porozumiewały się z ludźmi uniwersalnym slangiem Kosmosu, przemyślnie ograniczonym do zwrotów w rodzaju: "Uch", "Tr-r-rach!", "Vro-o-ong!" i "Bang!". Historia kończyła się metamorfozą czarnego, wielkiego jak gwiazda wehikułu w dogorywającą w laserowym udarze larwę IXTLA, której agonalne podrygi stanowiły malownicze tło dla barczystej sylwetki człowieka w skafandrze ze złotymi epoletami i znakiem trupiej główki na dumnie wypiętej piersi. Superman ładował odpalony miotacz pramaterii i na pokładzie hiperprzestrzennego krążownika ruszał na nowe podboje.

Chciałem już odłożyć zeszyt, kiedy mój wzrok padł na wewnętrzną stronę okładki zamykającej rysunkową powieść. Było tam kilka obrazków pomysłanych jako reklamówka jakiejś innej historii. Jej bohaterką, dla odmiany, była płowowłosa seksbomba z biustem eksplodującym w coraz to innym perspektywicznym ujęciu. Rysunki sugerowały sensacyjną akcję, w której kolejne wcielenie Barbarelli w rozneglizowanym stanie zostaje zdane na łaskę stada gigantycznych i gorylogębnych, wyłupiastookich kosmokszałtnych, którym zasadniczych atrybutów nie kryje nawet obfite uwłosienie.

Uśmiechnąłem się.

- W dobrym komiksie prędzej czy później pojawia się taka dziewczyna - powiedziałem.

Podchwyciłem jego wzrok spłoszony, odruchowo skierowany na drzwi. Chwilę trwał z rozszerzonymi źrenicami, jakby sięgał spojrzeniem daleko poza ściany blaszanej rudery, w inny wymiar przestrzeni. Potem przeniósł wzrok na trzymany przeze mnie zeszyt.

- Dziewczyna? - wydawał się myśleć o czymś zgoła innym.

- Warta grzechu - dodałem.

- Ale to już zupełnie inna historia - zauważył bezbarwnym głosem.

- Bywa i tak.

- Wypijmy lepiej.

Teraz on zaproponował pierwszy. Wciągnął się powoli. Jak dobry żeglarz łapał w żagle i nawet nie trzeba było zapraszać.

- Czemu nie - przystałem.

Z jednej strony od dawna miałem dość tej rozmowy o niczym, z drugiej zaś wiedziałem, że nie ustąpię. Trzeźwa logika rozumowania zatracala się stopniowo w grze dwuznacznych pytań i odpowiedzi równie wykrętnych. Przy ich pomocy miałem nadzieję wyciągnąć z tego człowieka jego osobistą, mnie nie dotyczącą historię. A zdążyłem nabrać przekonania, że coś takiego w nim siedzi, jak drzazga pod paznokciem - jednakowo bolesna, co trudna do wyciągnięcia. Potrzeba cierpliwości. Czasami dopiero pod wpływem alkoholu odzywa się w człowieku jego właściwa natura. Sukinsyn z ciebie - powiedziałem w myślach do samego siebie. Mógłbyś chociaż zapytać wprost: kim jest i czego tutaj szuka. Ale ty najpierw przygotujesz teren żonglerką niedomówień i raz za razem serwowaną wódką. Sukinsyn z ciebie.

- Dlaczego sądzisz, że ta dziewczyna to zupełnie inna historia? - strzeliłem głupim pytaniem.

Nie zareagował - na szczęście.

Wypiliśmy.

Horyzont wyznaczony przez płaski klosz lampy zawieszanej pod sufitem zaczynał się kołysać powoli, niczym pokład małego brygu. Stary kapitan patrzył ze swojego kapitańskiego mostka na mnie, nieudanego sternika. Cierpliwości. Trzeba tylko zgrabnie sterować i kapitan Gropius na swoim stołku popłynie tam, gdzie zechcę, i nawet nie poszuka busoli.

Tfu! Splunąłem na podłogę. Nigdy nie miałem mocnej głowy. Tym bardziej po złamaniu naczelnej zasady, by nie łać wódki na piwo. Trudno potem oczekiwać cudu - efekt przeciwny wylewaniu oleju na wzburzone fale. W dodatku pusty żołądek. Szczęście, że ten Gropius wypił więcej.

Agę Gropius, pomyślałem sobie. Gdzieś już spotkałem to imię i nazwisko. Wiązały się z okresem moich studiów - tego byłem pewien. Ale skąd wytrzasnąć brakujące ogniwo? Spróbowałem wysilić pamięć - daremnie. Jeśli kiedykolwiek przychodziło mi wspominać studia, jedynym punktem zaczepienia okazywała się tamta Włoszka sprzed fontanny del Moro, pojawiająca się z obsesyjną natarczywością, albo wypchane złotymi foliami regały czytelni uniwersyteckiej. Ślęczałem tam zamiast skorzystać z mikrofonów lub lokalnego łącza komputerowego sprzężonego z planetarnym Systemem Informatycznym. Lubilem grzebać bezpośrednio między książkami, które po raz ostatni otwierał ktoś przed stu, może trzystu laty. Albo dawniej. Sklejone kartki otwierały się z szelestem uwalniającym odrobinę zapachu i powietrza pochwyconego w pułapkę stron w zamierzczłym średniowieczu. Stęchła woń butwiejącej wieczności. Lubilem ją. Nawet palce pozostawały potem brudne - nie tylko od kurzu. To było coś jeszcze, pozornie ulotne, nie określone żadną daktyloskopią, a przecież zostawiające trwałe ślad. Wiedziałem, że jest to dotyk tamtych rąk, dłoni i palców, spojrzeń dawno umarłych. Przed pół wiekiem. Albo dawniej.

Bzdura, pomyślałem sobie łącząc w duchu. Lepiej było zająć się czymś pożyteczniejszym. Choćby raz jeszcze poszukać szczęścia z córką rzymskiego półświatka i patrzeć z satysfakcją, jak się wiję pod tobą przygwożdżona do bruku, na którym od dawna stała noga innego człowieka.

Zrezygnowałem z bezowocnego wyciskania pamięci i sięgnąłem po paczkę papierosów.! wtedy, zwykle tak bywa, przypomniałem sobie: trzecia półkula od dołu, czarna obwoluta i pretensjonalnie złoty nadruk - blokiem prostym wytłoczone nazwisko autora - AGĘ GROPIUS, a obok ozdobną kursywą - "Problemy zachowania ekologicznej równowagi mórz i oceanów". Pamiętam, szukałem wtedy materiałów do własnej pracy magisterskiej i nigdzie nie mogłem trafić na ślad sensownej wzmianki o eksperymencie pewnego Francuza, doktora Bom-barda, który bodaj w 1953 roku miał przepłynąć Atlantyk na tratwie ratunkowej, żywiąc się w czasie drogi wyłącznie złowionym planktonem i rybami, popijając deszczową wodą. Potrzebowałem szerszego opisu tego eksperymentu w celu udokumentowania że w owych czasach wyczyn podobny był całkiem możliwy do zrealizowania. Wszystko znalazłem w książce Agę Gropiusa, profesora i jednego z pierwszych wołających na puszczy.

Sęk w tym, że człowiek siedzący przede mną nie mógł mieć wiele wspólnego z rzeczywistym profesorem Gropiusem. Dokładnie - nic wspólnego. Wniosek był jeden - nieznajomy podał pierwsze z brzegu nazwisko, jakie mu przyszło do głowy. Czemu akurat to? Nie trzeba specjalnej bystrości umysłu, aby stwierdzić, że mógł to uczynić jedynie ktoś po uszy siedzący w tego rodzaju literaturze. Komu to dzisiaj potrzebne? Dziwny gość. I dlaczego stara się zachować w tajemnicy swoje właściwe nazwisko?

Bez słowa usunąłem celofanowe opakowanie z paczki kameli.

Chciałem go również poczęstować, lecz energicznie machnął ręką i odsunął się do tyłu, na ile pozwalała odrapana ściana tuż za jego plecami. Żółty płomyk gazowej zapalniczki tylko słabym odbłaskiem sięgnął jego twarzy. Światło w niczym nie zmieniło woskowej karnacji skóry. Nie wosk, lecz

pośmiertna maska z parafiny. Zaciągnąłem się głęboko.

- A panu rzeczywiście coś dolega? - zagadnąłem. - W tropikach można się nabawić wszelkiego paskudztwa.

- Nie grozi mi pylica ani rak.

- Widziałem inne rzeczy, które z normalnego człowieka w przeciągu kilku godzin czynią czarnoskóre monstrum z ospowatą wysypką lub woskowe widmo - nie było to najdelikatniejsze z mojej strony. - Różne bywają alergie.

- Niewątpliwie - przytaknął.

- Nie sądzę, aby pan mógł się pochwalić genealogicznym drzewem równie zdrowym jak Fletcher.

Prawda?

- Skąd ta pewność?

- Ma pan niezwykły kolor skóry.

- Widział pan twarz barmana?

- To co innego...

O mało mu nie powiedziałem, że Stubs wygląda nie lepiej.

- Z mojego punktu widzenia mógłbym to samo powiedzieć o panu - stwierdził.

Nie dostrzegłem w tym za wiele logiki. Na wszelki wypadek uśmiechnąłem się jak z dobrego żartu.

Przynajmniej pysk miałem w miarę gładki - to nie, że w środku sypie się próchno.

Sięgnąłem po butelkę i wypełniłem kieliszki aż po samą krawędź. Gropius, czy jak mu tam, bez wahania zajął się swoim i wychylił do dna. Nawet nie czekał na mnie. Jego niezdarne ręce drżały wyraźnie, kiedy dłonią pocierał napuchnięte stawy reumatycznie wykręconych paluchów. Wystające z rękawów przeguby rąk były pozbawione śladu owłosienia - nagie i gładkie, jak u niemowlęcia. Dopiero teraz stwierdziłem brak zarostu na jego okrągłej twarzy, tylko zmokłe i wyleniałe włosy żółtawym kosmykiem zwisały z czubka głowy. Jak postrzępiona kępka morskiej trawy. Niżej meszek brwi i niby głęboko w oczodołach, a jednak wypukłe, żabie wręcz oczy osadzone na styku nosa, wzdętego czoła i obrzmiałych policzków.

- Ciekawe - powiedziałem bardziej do swoich myśli niż do rozmówcy. - Czasami miewam wrażenie, że Fletcher mówił prawdę.

- O czym mówił?

Gropius poruszył się niespokojnie. Teraz jednak po gwałtownej zmianie pozycji musiał się ręką wesprzeć o ścianę.

- Zastanawiające również, że Taroczy przemilczał obecność Fletchera w tym domu niedługo przed pechowym wypadkiem - świadomie podkreśliłem wypadek licząc, że jakoś sprowokuję Gropiusa, pomimo jego wcześniejszych wyjaśnień.

- Nie wspominał również, że był, a być musiał, świadkiem waszej rozmowy tamtego dnia. To wszystko wcale mi się nie podoba.

Tym razem dał się chwycić na haczyk. Przede wszystkim ocknął się ze stanu sennego zapatrzenia w kieliszek i widać było, że się wewnętrznie zaciętrzewił, nawet żabie oczka zabiegały mu na wszystkie strony.

- Kim pan jest? - zwrócił się do mnie dość żywo, ale już nieco płacząc językiem. - Czego pan chce ode mnie?

- Ja? Nic.

- W niczym nie przewiniłem przed prawem.

- Nie jestem z policji - przerwałem mu. - Jeśli uporczywie wracam do sprawy Fletchera, to wyłącznie przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń. A nie wszystko wydaje mi się jasne.

- Kim pan jest? - natrętnie wracał do tego samego.
- Z zawodu jestem rzeczoznawcą Komitetu SEKON, nie nasłanym tajniakiem.
- Ale co pan robi tutaj? Przecież nie przyjechał pan dla jednego Fletchera.
- Powiedziałem, jestem z SEKON.
- Nie rozumiem.

Miałem okazję zrewanżować mu się niezbyt mądrym wyrazem twarzy. Na jakim świecie żyje ten człowiek?

- Służba Ekologicznego Nadzoru - wyjaśniłem niechętnie.
- To znaczy...

Z jakiego on urwał się księżycyca?

- Kiedyś studiowałem historię sztuki i architekturę, później chemię i biologię. Dzisiaj bez konkretnego celu szwendam się po peryferiach industrialno-urbanistycznych masywów. Zajęcie nie nadzwyczaj przyjemne...

Urwałem, gdyż nagle wytrzeszczył na mnie gałki oczu i zrobił minę żaby, której za wielka wążka stanęła kołkiem w gardle.

- Ekspert od... - kiwnął głową w nieokreślonym kierunku. - Od tego tam?

Potwierdziłem. Wtedy niespodziewanie parsknął śmiechem, od którego zimny dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Śmiejąc się nie wydobywał z siebie głosu, lecz trząsł się cały, dygotał każdym milimetrem opasłego ciała.

- Jes-teś eks-per-te-em?! - wreszcie wydusił z siebie i przetarł rękawem załzawione oczy. - Kto by się spodziewał... Rachunek prawdopodobieństwa... zwątpić można...

- Nie rozumiem, co w tym niezwykłego - rzuciłem raczej opryskliwe.

- Świat jednak jest bardzo mały - ciągnął swoje. - Tak długo... tak długo... Nawet Fletcher nic nie zdziałał, a teoria prawdopodobieństwa... O dziwo - tak. Zupełne pomieszanie. Tak długo chciałem spotkać takiego człowieka, i kto by pomyślał, że dopiero na koniec...

Kołysząc banią głowy przesunął się na skraj krzesła i zbliżył do mnie napuchniętą twarz. Kiedy poruszał wargami nie czuło się oddechu, tylko alkohol i specyficzną woń potu. Mocno pociągnąłem nosem. Ostra i cierpka woń. Tak musi pachnieć dzikie zwierzę.

- Nie rozumiem - powtórzyłem.

- Wcale się nie dziwię. Dlatego... Zgoda, opowiem ci, kim jestem - niebezpiecznie zachwiał się na skraju krzesła. - Ale wprawdzie dalej jeszcze.

Nie trzeba było mi dwa razy powtarzać.

- Pij - powiedziałem spełniając jego prośbę.

Wychylił kieliszek bez najmniejszego skrzywienia, jakby całe życie nic innego nie robił. Mnie aż wstrząsnęło od ciepłej, mdłej wódki. Nie miałem dziś do niej głowy, w ustach pozostał smak mydła.

- Byłem kiedyś wielkim uczonym - powiedział Gropius. Odezwał się takim tonem, że ja sam o mało nie parsknąłem śmiechem.

Znowu przypomniałem sobie autora tamtej książki napisanej przed wiekiem. Jeśli siedzący naprzeciwko mnie człowiek utożsamia się z tantym Gropiusem, może być tylko nieszkodliwym pomyłencem. Ale co to znów za wybitna osobowość - Gropius? Ani Cezar, nie Einstein, a tym bardziej nie Napoleon Bonaparte.

- Oczywiście - na wszelki wypadek skinąłem głową.

- Myślisz, że jestem pijany? - zapytał z trudem mamrocząc poszczególne słowa.

Przesunął się bliżej.

- Jestem, no i co?

- Nie powiedziałem tego.

- Ale nie żałowałeś whisky. Dobry trunek. Wyszło na twoje? Pijanego łatwo ciągnąć za język.

Wzruszyłem ramionami.

- Ja od ciebie niczego nie chcę.

- Dobrze, w porządku. Wiem, co myślisz.

- Ja naprawdę...

- Za późno. Teraz sądzisz, że masz do czynienia ze zwykłym pomyłeńcem, za godzinę uznasz, że zmarnowałeś masę czasu na wysłuchiwanie nędznego szarlatana... Jeden Fletcher rozumiał naprawdę - pod wpływem alkoholu zaczynał się rozkręcać, a jego bełkotliwa mowa, w miarę trwania tego monologu, stawała się płynniejsza.

Mówił do siebie. Przede wszystkim do siebie, na mnie już nie zwracał uwagi.

-... A tam skąd pochodzę, wszyscy mnie znali. Przynajmniej ze słyszenia. Wszyscy. Byłem dla nich ostatnią szansą na przetrwanie, jedyną deską ratunku.

- Aę, o czym ty mówisz?

- Jestem przeklęty, gdyż zawiodłem ich nadzieje i nie zdążyłem...

Rozpiął koszulę i zaczął szperać za pazuchą. Usilnie szukał czegoś. Przedmiot poszukiwań zaplątał się widać w fałdy wymiętej, brudnej koszuli. Przez moment zalśniła jego pierś, biała i miękka, jakby nie znajdowała oparcia na sklepieniu żeber, lecz napinała pęcherz skóry wewnętrznym, rozsadzającym klatkę ciśnieniem. Wreszcie mruknął z zadowoleniem i wydobył z zanadru jakiś zwitek przewiązany wstążką. Były to ciasno zwinięte, różowe kartki. Wysuptał jedną z nich, na pierwszy rzut oka podobną do zwykłego papieru. Starannie wygładził ją na blacie stolika. W rzeczywistości bardzo była podobna do nawoskowanej, lekko przezroczystej błony.

- Co to jest? - zapytałem.

- Nazywacie to corpus delicti.

- Dowód winy? Czyjej?

- Patrz.

Reszką płynu z kieliszka prysnął na jednolicie różowy płat. Bezbarwny zrazu kleks wysunął kilka odnóży i rozplątał się, jak żywa ameba, do samych krawędzi. Najwidoczniej ciecz sama rozłożyła się równomiernie po całej powierzchni albo wsiąkła we włoskowatą strukturę bibuły.

Pochyliłem się, gdyż trochę pływało mi przed oczyma i pokład brygu wciąż mocniej rozhuśtywał pode mną niepewne oparcie krzesła. Miałem wrażenie, że na kartce pojawił się jakiś rysunek, bardzo szkieletowy, zatarty i brudny, jakby niepewną ręką poprowadzona akwarela. Wystarczyła chwila i obraz uległ wyostrzeniu, jak zanurzony w wywoływaczu, uprzednio naświetlony fotograficzny papier. Zdjęcie było tam w rzeczy samej, stopniowo coraz wyraźniej unaoczniało pełną gamę nieskazitelnie czystych, choć przytłumionych barw i określało wyraźnie symetrię linii oraz perspektywiczną głębinę kształtów.

- Proszę bardzo - sam do siebie mruknąłem pod nosem. - Corpus delicti. Mogę?

Gropius pozwolił mi wziąć do ręki dziwny papier. Nie powiedział też słowa, kiedy podejrzliwie badałem go pod światło ani gdy wreszcie zająłem się wyłącznie treścią fotogramu. Milczał, tylko jego wypukłe oczy, jakby nagle wypchnięte z oczodołów, przebudziły się i z zachłanną ciekawością wpijały się we mnie, aż płonęły gorączkowym, pijackim napięciem. Jednak w połyskliwym natchnieniu źrenic nie kryło się nic z tej agresywności, o której wspominał Stubs.

- Interesujące - powiedziałem.

Czego się nie robi, żeby do reszty nie załamał się przyjaciel i tak podupadły na duchu.

To było rzeczywiście podobne do zwykłego zdjęcia. Tylko granice kształtów bardziej rozmyte i niewyraźne. Długo przypatrywałem się enigmatycznym pasmom przenikających się nawzajem, to znów

rozwarstwionych brył, białych i kolorowych, rozmieszczonych w jednolicie poziomym bloku lub wyłamujących się w górę, na przekór grawitacji. Dziwaczne parabole, niespokojne asocjacje płaszczyzn i przejrzystych wielościanów do złudzenia przypominały nową architektoniczną fantazję jakiegoś kosmicznego Antonio Gaudi lub pomysł obłąkanego Le Corbusiera. W żaden sposób nie potrafiłem określić celowości owej gry światłocieni, barwnych kleksów i konstrukcyjnych węzłów. Nosiły niezbite znamiona porządku, lecz zawiązanego w systemie przystosowanym do specyficznych, a nam obcych warunków przestrzeni. Jednak właśnie charakteru konstant samej przestrzeni nie umiałem ustalić. Próżnia, a jednocześnie nie mniejsze prawdopodobieństwo stokroć gęstszego od powietrza ośrodka, może sprasowana ciśnieniem głębia metanowego oceanu, gdzieś w płynnej atmosferze Jowisza, na tej głębokości, gdzie już nie dociera ani jeden promień słońca. Jedno było oczywiste - wystarczyło oddalić zdjęcie od oczu, aby w całości ocenić niezaprzeczone piękno cudacznego miasta. Gdyż było to MIASTO, jakie spełnić się może tylko w najwspanialszej wizji KONTAKTU.

Zafascynowany, nie od razu poczułem, że zapomniany niedopałek papierosa parzy mnie w palce. Odrzuciłem go na podłogę.

Próbowałem patrzeć na zdjęcie zmieniając kąt widzenia, gdyż wydało mi się, że obraz posiada efekt stereoskopowy i można zajrzeć nieco głębiej, na drugi plan.

Szklane bryły niby-domów narastały warstwami pęcherzy, żabim skrzekiem, który w przejrzystej głębi zostaje sprasowany, poprzez wzajemny nacisk ścianek sprowadzony do symetrii wielogrannych komórek pszczelego plastra, z tunelami tłoczącymi półpłynną masę dziwnych zgęstków świecenia i wślizgującymi się w sztywne rdzenie spiral, które zazwyczaj stanowią nośny trzon stożkowatych, ślimaczych muszli - zanim je ktoś obłupie z nieprzezroczystej, chitynowej skorupki, żeby ubytek ścian dopełnić seledynowym szklivem. Trudno mi było znaleźć wytłumaczenie, w jaki sposób zdjęcie zostało wykonane. W zwykłych okolicznościach kształty bywają określone przez rzut promieni zewnętrznego światła, tymczasem tu konkrety były jakby zakonspirowane. Bliższe prawdy wydawało się być przypuszczenie, że to ściany i poszczególne elementy konstrukcji płoną wewnętrznym światłem, a wyciosany w kryształ pejzaż miasta spoczywa w absolutnym mroku. Nocne zdjęcie - pomyślałem. Podobnie wygląda widok najruchliwszych arterii w industrialno-urbanistycznym masywie standu, gdzie brzask dnia dawno ustąpił miejsca skorupie betonowego dachu, a mrok rozjaśnia jedynie powódź neonowych kaskad, wachlarzowatych rozbłysków reflektorów i wędrówek pozycyjnych świateł samochodów, których przebieg na fotograficznym kardiogramie został zarejestrowany długim czasem naświetlania kliszy. Efektowne.

Już chciałem zwrócić zdjęcie Gropiusowi, kiedy w czerni otaczającej barwne węzły światłostrad i chimerycznych budowli dostrzegłem siny zarys martwego pejzażu, który majaczył w tle makiety tego miasta. Były tam nagie i idealnie gładkie wzgórza, pozbawione roślinnej szaty, jak dno księżycowego krateru albo marsjańskie wydmy. Mogły być też porośnięte krótkim, czarnym jak sadza i pochłaniającym światło mchem, którego szorstkość z daleka trudno odróżnić od nagiej skały. Garby wzniesień tworzyły płytką kotlinę w kształcie cyrkułu z perlistą kipiela barw dojrzewającą we wklęsłej soczewce dna.

- Interesujące - powtórzyłem. - Byłeś architektem?

- Czym? - nie dosłyszał albo nie zrozumiał.

- Nawet ciekawe rozwiązania, ale z realizacją takiego projektu byłoby zbyt wiele kłopotu. Szkoda.

Siedział nagle okłapy i bezradnie sondował oczyma opróżniony kieliszek. Zrobiło mi się go żal. Po raz pierwszy. Niezrealizowane marzenia tego rodzaju maniaków, choćby z największym talentem, w ostatecznym rozrachunku stawiają ich poza społecznym nawiasem. Coraz częściej można spotkać takich wykolejeńców. Szczególnie teraz, gdy nikogo nie interesują bełkoty futurologii, wypociny science-fiction i inne przyszłościowe plany. Szkoda, ale to druga strona medalu. Przypomniałem sobie oryginalny zapis

zdjęcia na różowej folii, którą wyświetla zwykła wilgoć. To też dobry pomysł. Tylko po co tak pilnie strzegł swojej tajemnicy?

- Ty sądzisz, że to... - ledwie poruszał wargami i słaniał się nad stolikiem.

- Oczywiście: makieta - stwierdziłem. Model miasta przyszłości. Tylko nazbyt trąci myszką futuryzmu. Nadaje się do filmowego atelier. Ale kto wie, może kiedyś ludzie potrafiliby stworzyć coś takiego.

- Już nie - powiedział bezbarwnie.

- Tyle i ja wiem.

- Nie musieliby dopiero tworzyć tego. I przede wszystkim, nie ludzie.

- Dlaczego?

- To miasto już było.

Doszedłem do wniosku, jedyne właściwe w tej chwili, że pod wpływem alkoholu znowu zaczyna mówić od rzeczy.

Tego miasta już nie będzie - swoją pewnością jeszcze potwierdził moje przypuszczenia. - Ale ono już było.

- Gdzie?

- Zginęło raz i na zawsze. Bezwrotnie. Jego mieszkańcy...

- Też byli? - zapytałem sceptycznie. - Co z nimi? Wykonał ręką gest, jakim starożytni Rzymianie zatwierdzali wyrok śmierci - kciukiem w dół, do ziemi. Śmierć. Gdzie on się tego nauczył?

Znowu spojrzałem na zdjęcie leżące na stole. Wbrew moim uprzedzeniom jak magnes przyciągało wzrok. Wilgoć powoli wysychała, parowała z różowiejącej na powrót błony. Już nie można było rozróżnić nic ponad resztę rdzawych kleksów pośrodku samorzutnie zwijającego się rulonu. Rzeczywiście - śmierć, zakpiłem w duchu. Czas na mszę za dusze zmarłych. Nie wiadomo skąd, jak wywoławczy sygnał interkomu sprzężonego z moją podświadomością, stanęły mi przed oczyma trzy wielkie znaki hebrajskiego pisma: ROM - samogłoski domyślne. Rebus dziecinnie prosty.

Mogłem pozwolić sobie na odrobinę refleksji. Ten pijany człowiek, z którym od dobrej godziny prowadzę dysputę, może być również niedoszedłej sławy archeologiem. Odkrył gdzieś archiwum którejs tam z kolei zaginionej Atlantydy, po to jedynie, żeby naukowe sławy, węsząc hochsztaplerze, autorytatywnie odsądziły go od czci i wiary. Paskudna sprawa. Taki zawód, prędzej czy później, odbija się na psychice.

- Mógłbym zobaczyć resztę? - wyciągnąłem rękę. Natychmiast pochwycił ze stołu różowy zwitek. Zasłonił się ramieniem i nerwowo upchał pod koszulę drogocenny pakunek.

- Nie - powiedział ponuro.

- Czemu?

- Ty mi nie wierzysz. - Wybacz - zgodziłem się. - Nie wierzę w twoją Atlantyde. Tym bardziej w mityczne cywilizacje Gondwany.

- Kto ci powiedział, że to Atlantyda?

- Sam stwierdziłeś, że to miasto zostało kiedyś zbudowane. Znam starożytność i historię nowożytną. Ten czas pomieści miasta z kręgu kultury Harappy, Babilon oraz ruiny Zimbabwe, egipskie piramidy, Tenochtitlan i Machu Picchu, świątynię Angkor Wal i ruiny trzykrotnie większe od Elbi, jeszcze drzemające pod piaskami pustyni. Czas to najbardziej zachłanny bożek i bez ustanku płonie dlań ofiarny stos. Zapewne spłonęło na nim więcej niż dane nam wiedzieć. Ale nie ma w tym miejsca na takie miasto.

- Masz rację.

- Sam to przyznajesz.

- Owszem. Ale znasz tylko historię rodzaju ludzkiego.

Parsknąłem śmiechem.

- Niestety. Z cywilizacji neandertalczyków i pitekantropów do naszych czasów dochowały się tylko krzemienne toporki. Brak danych o innych luksusach.

- To również byli ludzie.

- Jak dla kogo.

- Słusznie. Lecz sądzisz, że poza tym nic nie ma? Zastanowiłem się.

- Jak tylko pamiętam, zawsze było pełno durniów, którzy w byle wykopalisko potrafili wepchnąć kosmitów. Ale w twoje zdjęcie mogę uwierzyć w jednym tylko przypadku. Jeśli nie jest zręcznym trikiem to zostało zrobione wyłącznie w kosmosie, na Saturnie lub Transplutonie, na którymś z księżyców Jowisza. Może jeszcze dalej.

Znowu przekrzywił głowę jak papuga kakadu i przyjrzał mi się z pogardliwym wyrazem zaciśniętych warg.

- Jak to łatwo powiedzieć: w kosmosie – zauważył. - Jeśli nie tam, to twoje kolorowe obrazki są warte niewiele więcej, niż te tutaj.

Lekceważąco stuknąłem palcem w barwne zeszyty komiksów namokłe od wódki rozlanej po stole. Różniły się tym tylko, że ich kolorystyka, w przeciwieństwie do zdjęć Gropiusa, blakła pod wpływem wilgoci.

Podchwyciłem jego wzrok i aż się przestraszyłem. Patrzył na mnie z diabolicznym blaskiem białych źrenic, tak właśnie, jak wspominał Stubs. Z nienawiścią.

- Dlaczego nawet nad własnym grobem jesteście tak ograniczeni! - wysyczał i cienka strużka śliny pociekła mu po podbródku. - Patrzycie tylko zadzierając głowę. Od poziomu własnego nosa - w górę! Choćby skrócić szyję - wyżej! Nic prostszego, jak, umywając ręce, powiedzieć: w kosmosie! My nie przypuszczaliśmy nawet, że istnieją takie światy, jak Mars i Jowisz. Zastanowiło mnie, że powiedział MY.

- MY, to znaczy kto? - zapytałem.

- Stamtąd, gdzie było to miasto, nie widać gwiazd! Znowu przysunął się do mnie i wściekle przewracał białkami oczu. Przechylił tułów nad stolikiem, aż się przestraszyłem, że pijany runie na podłogę. Jego twarz miałem tuż przed sobą i po raz wtóry zaskoczyło mnie, że nie czuję jego oddechu. Pewnie przeciąg, idący od nieszczęsnego spojenia dachu i ścian, kierował powietrze w przeciwną stronę.

- A co to znaczy: MY? - nie ustępowałem.

- Niiiikt! - wyrzucił z siebie. - Już tylko JA!

- Uspokój się - powiedziałem.

Pojednawczo położyłem mu dłoń na wierzchu jego drżącej ręki. Wyszarpnął ją gwałtownie, lecz przedtem poczułem przejmujący chłód jego skóry. Jakbym przejechał palcami po grzbiecie zdechłej traszki. Puls jego serca musiał niewiele przekraczać trzydzieści uderzeń na minutę. Albo mniej. Tacy ludzie są potwornie silni i wytrzymali. Ale poza tym - spowolnione reakcje, zimnokrwiste ciało, tętno mozolne, żołądek jak z lodu.

Wzdrygnąłem się. Zauważył to.

- Kiedy jechałeś tutaj samochodem - znów przycichł, oklapł jak przekłuty balon i ledwie rozróżniałem poszczególne słowa, kiedy tak mówił ze zwieszoną głową, - czy zastanowiłeś się, co tam jest, kilka kilometrów od przybrzeżnego szelfu?

Stubs to samo pytanie słyszał od Fletchera.

- Ocean - odparłem. - Parę tysięcy mil morskich odkrytej powierzchni wody.

Chwilę siedział bezgłośnie poruszając wargami, jakby powtarzał sobie usłyszaną odpowiedź.

- Ocean, powiadasz - powiedział. - A ja ci mówię: Wszechświat.

Sam sięgnął po butelkę, gdzie pozostała jedna trzecia pierwotnej zawartości i, chlapiąc na stół nalał sobie do kieliszka.

Tylko sobie. Roztrzęsione ręce nie pozwoliły mu dłużej utrzymać butelki. Kiedy z trudem przełykał whisky jego otyła twarz odchyliła się do tyłu, ukazała białe podgardle, jakby zdeformowane obrzmieniem tarczycy. Galaretowata konsystencja ciała maskowała zarys krwionośnych naczyń. Wstrząsnął się po łyku wódki pewnie nie na miarę jego przełyku i dłonią otarł wilgotne wargi oraz podbródek.

- Wiesz, co tam jest? - zapytał, całym ciałem pływając w krześle. - Dwie mile od brzegu zaczyna się jedna z największych oceanicznych głębi, rów tektoniczny, dla was będący bramą w świat wiecznej ciszy i mroku, dokąd nie dociera promień słońca i zgiełk waszej cywilizacji. Czy nie zastanowiłeś się nigdy, że i tam, na głębokości jedenastu tysięcy metrów, pod prasą potwornego ciśnienia, też istnieje świat istot żywych, więcej - rozumnych?! Może stworzyły cywilizację starszą od waszej!

- Uspokój się - powtórzyłem. - Obydwaj doskonale zdajemy sobie sprawę, że tam, na samym dnie, nic nie ma i być nie może.

Zaksztusił się nagłym paroksyzmem wesołości i trzasnął ręką o stół akceptując wybuch wzgardliwego śmiechu. Rozległo się miękkie pacnięcie, jak stuk mokrej packi na muchy.

- Cha-cha! - szarpnął koszulę pod szyją i rozluźnił dławiacą go pętlę kołnierza. - Masz rację! Tam nic nie ma. Tam JUŻ nic nie ma!

Był porządnie zamroczony alkoholem. Dopóki trzymał się w garści, poprzez wewnętrzne napięcie, nie tak łatwo było to zauważyć. Teraz jednak porzucił wszelkie zahamowania, uprzedzenia czy konwenanse, rozluźnił napięte mięśnie i wreszcie pozwolił mi zobaczyć swoją prawdziwą twarz. W takim stanie człowiek jest zupełnie bezbronny. Można wleźć do środka i wypatroszyć, każdą komórkę pamięci można przewlec na zewnątrz i wytrzepać z brudu jak podszewkę kieszeni. Sukinsyn z ciebie, pomyślałem znowu, i skąd ci przyszło do głowy, gdzie żeś się tego nauczył, że właśnie to jest prawdziwa twarz człowieka?

Głowa Gropiusa osunęła się na mokry blat stołu. Wymruczał coś do siebie, ale nie zrozumiałem żadnego słowa, po czym wsparł się na stole rękoma i potrząsnął złotym kosmykiem włosów. Unikał mojego wzroku.

- To ciekawe, co mówisz - odezwałem się tylko po to, żeby przerwać ciężące milczenie.

Szeroko rozstawił łokcie, palce obu rąk zapuścił w kępkę morskiej trawy przyklejoną na czubku głowy i zaczął z poprzednim uporem:

- O waszym istnieniu dowiedzieliśmy się przed dwoma tysiącami lat. Wtedy po raz pierwszy zaobserwowano, że dziwne przedmioty, które "rodził" muł denny, w rzeczywistości pochodzą z innego Wszechświata, znajdującego się tam wysoko, gdzie przebiega hipotetyczna granica hydrosfery...

Słuchając go sięgnąłem po drugiego papierosa. Kapryśny płomyk zapalniczki umykał na boki i, żeby odpalić, musiałem ująć pudełko w dwie złożone dłonie. Gropius marudził coś o meteorach i świętym deszczu, o setkach lat mozolnego studiowania kultury "eterycznych istot??, jak je przezywano, na podstawie szczątków przedmiotów zaplątanych w poszycia zatopionych trzciniowych i bambusowych tratw, drewnianych łodzi, galer z resztkami dziwnych strzępów, żelaznymi łańcuchami przykutych do desek pokładów, zmiażdżonych ciśnieniem. Wreszcie, jak można się było spodziewać, nawiązał do bliższych nam czasów.

- Minęło wiele lat od chwili, gdy nasilenie opadu konstrukcji rozszarpanych wybuchami przekroczyło apogeum - ciągnął. - Zrozumieliśmy wtedy, że na nieznannej wysokości, gdzie zaczyna się niedostępny dla nas świat, skończyła się bezzałosna, przeraźliwa bitwa żywych istot zaspawanych w stalowe korpusy. Myśleliśmy, że najgorsze za nami i można pozostać w cieniu, przeczekać bez zwrócenia na siebie uwagi... jak przetrwało się wszystkie inne cywilizacje, które od niepamiętnych czasów rodziły się i umierały w

sąsiednich do naszego wszechświatach... w głębi ziemi i na jej powierzchni. Pobożne życzenia...

- Napijesz się jeszcze? - przerwałem mu widząc, jak bardzo przeżywa każde słowo.

- Nie - odepchnął kieliszek.

- Może więcej nie będziemy wspominać tego, co tam jest... Na samym dnie?

- Pozwól skończyć. Fletcher rozumiał i próbował pomóc. Pisał gdzieś. Bez rezultatu...

Uważniej przysłuchiwałem się jego szeptowi.

- Zresztą i tak byłoby za późno. Nie zdążyliśmy na czas nawiązać kontaktu, choćby posłużyć się waszą techniką, której elementy nasi uczeni zdołali przeanalizować.

- No proszę - ziewnąłem odruchowo. - Kto by pomyślał, że to takie nieskomplikowane.

- To była stara cywilizacja, starsza niż lądy - nie zwrócił na mnie uwagi. - Z biegiem czasu posiadliśmy mądrość doskonałej wewnętrznej równowagi. W zapomnienie poszła ekspansywna dynamika młodości. Zostało nas niewielu, lecz liczba ta nie zmieniała się od tysięcy lat. Zajęci nauką - troskę o doczesność powierzyliśmy Oceanowi. On był najpewniejszym, precyzyjnym ekologicznym chronometrem. Więc stał się naszą Wyrocznią, Bogiem, naszym Wszechświatem i częścią nas samych - jak my byliśmy w nim bez reszty. Nic nigdy nie naruszało naszego spokoju, nie miało wpływu na stan rzeczy równoznaczny wieczności. Zemściło się archaiczne przekonanie, że - jeśli cokolwiek zaciąży nad nami - prędzej czy później zachwianą równowagę przywróci do normy homeostat Oceanu. Jak czynił to zawsze.

Tytoniowy dym kładł w nieruchomym powietrzu ciągłe pasma siwych zamglenia, zatapiał siedzącego przede mną człowieka i stopniowo nawarstwiało wokół nas iluzoryczny miraż morskiej głębi. Nie było więc żadnego przeciągu, powietrze trwało w absolutnym bezruchu, choć wystarczyło mocniej dmuchnąć skoncentrowanym strumieniem oddechu, aby ustała toń rozpadła się w chaos błękitnych zawirowań. Równie łatwo, jak domek z kart, wieża Babel, mury Jerycha i to wszystko, co opowiadał człowiek podający się za Agę Gropiusa.

A on dalej mając swój mitem o podwodnej krainie Lotofagów, opowiadał o tysiącach istnień w jednej chwili chwyconych za gardło - nie szczędził mi poetyckich przenośni - gdy dusili się, grzęzli w szlamie nawarstwiający się jak popiół nad naszą Pompeją. A potem jeszcze jeden prezent od "eterycznych istot" - wystarczyło kilka lat działania wody i potężnej prasy ciśnienia, żeby cement skruszał i spowodował pierwsze przecieki promieniowania. Umierali więc, gdyż nie znali jądrowych przemian materii, a przed kosmicznym promieniowaniem byli przedtem osłonięci stropem pewniejszym niż cienka i przenikliwa warstwa gazowej atmosfery, w której nam dane było nieco się podhartować. Lecz i to nie było w stanie zniszczyć wszystkiego doszczętnie - tak szczelnie pozamykali się w swoich muszelkach...

- Wtedy narodził się Nowy Biom - powiedział.

Zdawało mi się, że skończył na tym - przynajmniej w milczeniu, niemal błagalnie pewien czas patrzył mi w oczy, jakby jeszcze nie utracił nadziei, że uwierzę w jego fantasmagorię.

- Twierdzisz więc, że tam już nic nie zostało? - zapytałem odganiając sprzed twarzy obłok tytoniowego dymu.

- Byłem ich szansą ostatnią.

- Kto by pomyślał... - zmierzyłem go taksującym spojrzeniem.

- Od lat pracowałem nad sposobem, który pozwoliłby nam wyjść na powierzchnię Ziemi.

- No proszę!

- To miał być nasz Exodus z kloaki, w którą przeistoczyliście Ocean. Nie zdążyłem. Zostałem sam.

- Posłuchaj, Agę - wtrąciłem pokonując czkawkę. - To nawet jest bardzo ciekawe i e... byłoby całkiem realne. Niepotrzebnie jednak siebie samego mieszasz w tę całą aferę z podwodnym światem.

- Fletcher uwierzył. Nawet Taroczy.

- Co oni wiedzą. Im możesz nacudaczyć ile dusza zapragnie i każde twoje słowo przyjmą za dobrą monetę. Gdyby nawet na dnie największych oceanicznych głębi, w tektonicznych rozpadlinach istniało jakieś życie, nie mogłoby w niczym przypominać fauny i flory reszty Ziemi. A już rzeczą zupełnie absurdalną jest twierdzenie, że istoty rozumne tam i tutaj, w tak odmiennych środowiskach, są do siebie tak bardzo podobne.

- Masz słuszność.

- Żebyś miał chociaż jakąś głowę - zrobiłem doń oko. Widać nie najlepiej wyszło, gdyż zachował powagę.

- Mieszkańcy miasta byli kształtem równie dalecy od was, jak od ryb - powiedział.

- A ty twierdzisz, że jesteś jednym z nich!

- Ostatnim.

- Na jedno wychodzi.

- Nie dla tych, którzy odeszli i nie mogą być nawet tacy, jak ja...

- No proszę. Niespełniony Zbawiciel ma wyrzuty sumienia...

- Ty! - myślałem, że wybuchnie, ale on nagle złamał się w pół i ukrył twarz w wielkich dłoniach. - Przestań mnie dręczyć.

- Wybacz. Dla mnie zawsze zostaniesz najzwyczajszym pod słońcem, może nieco schorowanym człowiekiem. Zresztą, kto dzisiaj nie choruje. Najczęściej pylica i rak, ale bywają różne schorzenia.

- Tak, jestem chory - odezwał się głuchym głosem. - Niewiele mi już zostało.

Siedział przygarbiony, niby podstarzały i sterany życiem, karykaturalny kapitan Corto Maltese, który dopija ostatnią wódkę w scenerii, żywcem wziętej z Conrada, w jakiejś obskurnej portowej knajpce w zapomnianej przystani, gdzie już od dawna nie przycumował żaden statek, a wodę pokrył gęsty kożuch zielonkawej rzęsy.

- Poza tym nikt z dołu nie mógłby stanąć na powierzchni ziemi - myślałem piekielnie trzeźwo. - Sprężystość wody jest, co prawda, minimalna, lecz wszelkie gazy, przy samym dnie, muszą być sprężone pod ciśnieniem tysiąca atmosfer.

Jęknął.

- Wystarczy, jeśli organizmy tamtych istot zawierają pewien ich procent - pastwiłem się dalej. - A po wyjściu na powierzchnię powinny ulec - bam! - natychmiastowemu rozerwaniu.

Spojrzał na mnie trochę inaczej niż dotąd.

- Oczywiście - potwierdził. - Znasz się na tym.

- Więc?

- A jak myślisz, co to jest? - stuknął się w pierś. - To ma być nasz kształt? Organizm człowieka zawiera około osiemdziesiąt procent wody, w nas było jej jeszcze więcej. Byliśmy bliżsi cieczy niż któremukolwiek z innych stanów materii. Rolę płynów w naszych ciałach spełniała cyrkulacja gazów. Aby wyjść na powierzchnię musiałem stworzyć skafander wytrzymujący ciśnienie z wewnątrz.

Z politowaniem uśmiechnąłem się nad jego rozchełstaną koszulą i obwisłą u dołu, na ramionach pękającą w szwach marynarką.

- Zdążyłem wykonać tylko jeden model - kontynuował. - Kiedy właściwie było już po wszystkim.

- Ciekawe, jak to rozwiązałeś?

- Wykorzystałem do tego przede mną skonstruowany potencjometr napięcia powierzchniowego wody i stabilizator jej rozciągliwości. Może nie tyle wody, co pewnych koloidów stanowiących naszą otoczkę. W ten sposób zewnętrzna powłoka naszego własnego ciała przyobleka nas w zwartą, mocną błonę, która nie poddaje się odśrodkowemu ciśnieniu.

- I to ma być skafander? Nawet, zwykle ubranie naśladowuje właściwą postać, rzeczywisty kształt. Jesteś człowiekiem.

- Postać człowieka to wygodny kamuflaż.

- A on wam na co?

- Łatwiej pozostać niezauważalnym.

- To brzmi jak wyznanie przygotowań do agresji. Skrzywił się.

- Zawsze wszystko bierzecie na własną miarę - powiedział, potem zastanowił się chwilę i dodał: - Inwazja... gdyby nie było innego sposobu...

- Cha-cha-cha! Na własną miarę!

- Wtedy nikt z nas nie myślał o agresji. To ty powiedziałeś. Ja po prostu miałem wolny wybór. W naszym świecie warunki nie sprzyjały zachowaniu statycznej formy. Byliśmy zgęstkami żywej materii, jak ameby. Dlatego przy wyjściu na powierzchnię trzeba było wybrać kształt optymalny dla działań w nowym środowisku, a przede wszystkim - między wami. Nie szukałem innego wzorca. Wybrałem człowieka i... taki jestem.

Znów mówił z taką dozą przekonania, że nie miałem sumienia oponować. Nalałem jemu i sobie. Wypiłem.

- Tak - powiedziałem i, niespodziewanie dla samego siebie, zadałem ostatnie pytanie. - Tylko skąd wzięłeś nazwisko Agę Gropius?

Trafiłem celnie. Myślałem już, że zaniemówił. Ale on długo i w milczeniu mierzył mnie wzrokiem, potem machnął ręką.

- Jesteś spostrzegawczy - rzekł obojętnie.

- Skąd? - powtórzyłem.

- Stara historia - powiedział w zamyśleniu. - Tak się nazywał pierwszy i jedyny człowiek, który dotarł do nas. Jego batyskaf utracił możliwość manewrowania i osiadł na dnie w pobliżu miasta. Lecz Agę Gropius żył wystarczająco długo, żeby nawiązać z nami kontakt. Nauczyliśmy się od niego wielu rzeczy. Przede wszystkim przełamaliśmy kod języka. Nawet mój obecny kształt jest wiernym odzwierciedleniem jego postaci.

Zastanowiłem się czy przed tytułową stroną tamtej książki autentycznego Gropiusa nie było ryciny albo zdjęcia z portretem uczonego z dwudziestego wieku. Nawet jeśli była, to i tak moja pamięć dobrze już szwankowała. Szkoda. Wtedy z czystym sumieniem mógłbym mu powiedzieć, co o tym myślę. Bez tego, choć nieznamy był również porządnie pijany, nie potrafiłem zachwiać logiką jego argumentacji. Chociaż, Bogiem a prawdą, i tak od dawna wszystko było jasne jak na dłoni.

Przysunąłem do niego krzesło, odrzuciłem na bok niedopałek papierosa i przyjacielskim gestem objąłem go za plecy. Chciał się wyswobodzić, lecz przytrzymałem go ramieniem.

Żał mi było biedaka i nie wiedziałem, jak zareagować. Czy trzeba będzie przysłać po niego ambulans ze stanowego szpitala, czy też lepiej machnąć ręką i zostawić człowieka w spokoju. Jak radził Fletcher. Zostawić sam na sam z wybujałą wyobraźnią. Zresztą, czego ludzie nie wygadują pod wpływem alkoholu. Jeszcze Taroczemu sam o tym wspominałem.

Wszystko byłoby w najlepszym porządku, tylko w głowie łupało od ciągłych przechyłów statku idącego burtą do fali. cholernie duszno zrobiło się w kubryku.

- Wierzę ci - usłyszałem swój własny głos i poklepałem go po ramieniu. - Myślę, że będziemy przyjaciółmi. Dzisiaj i za nasz świat nikt nie da złamanego centa. Jeszcze parę lat i... chlup! Co niektórzy przebąkują, że jest szansa przesiedlenia na inne planety. Ale to utopia.

- Szkoda.

- Żałujesz nas? - tym razem zdziwienie było najszczerze ze szczyrych.

- Kogo? - zawahał się. - Nie. Żal mi wszystkiego, co żywe.

Obiema rękami chwyciłem butelkę i nalałem do swojego kieliszka. On siedział z miną tak markotną, że omal nie pękłem ze śmiechu. Do reszty rozkleił się stary kapitan Gropius.

- Raz kozie śmierć - spróbowałem go pocieszyć. - Lepiej też łyknij. Lżej będzie.

Odmownie pokręcił głową.

- Słaby masz łeb. U was tam wszyscy tacy? - zaśmiałem się. - Twoje zdrowie.

Przeszło nadszpodziewanie gładko i od razu raźniej zrobiło się na duszy, i weselej jakoś.

Tylko kapitan wciąż krzywi mroczną gębę. Postawił oczy w ślup i o czymś duma z miną nieboszczyka.

Trup - awansem. Czasami strasznie nudny z niego facet. Szkoda, żeby się zamartwiał takimi bzdurami.

Sięgnąłem po papierosy. Piekielnie trudno wypalić do końca. Jak na złość paczka wyslizgnęła się z palców i rozsypała na podłodze. Kapitan też gdzieś zapodział swoją fajkę.

Pewnie spomiędzy szczęk wypadła mu razem z ostatnim zębem.

- Powiadasz: żal tego, co żywe? Nie warto. Ja ci to mówię. Co komu z tego żalu przyjdzie? Nam nie pomoże. A po nas... choćby potop. Pardon - ktoś już to powiedział. Zresztą zielsko i pleśń obejdzie się bez tlenu. Gdy nas zabraknie, to dopiero zakwitnie małpi gaj! Cha-cha-cha! Pamiętasz? W prehistorii też tlenu nie było. A las był.

- Teraz nie będzie.

- A ja ci mówię, że tak! - pięścią walnąłem w stół. - Daj fajkę.

- Co? Nie mam.

Cholera z nim. Gdzie te czasy, kiedy każdy z nas potrafił obalić pół baryłki rumu i nie wypuścił sterów z ręki? Dzisiaj nawet kapitan majaczy po kilku głębszych. Tylko co zrobił z fajką? Widocznie zgubił w poprzednim rejsie.

Przez moment zastanawiałem się, co też za bzdury chodzą mi po głowie, lecz łajbą rzucało na wysokiej fali i trudno było skupić myśli. Dobrych siedem w skali Beauforta. Szczęście, że w kubryku tak jakoś nieważko i tylko kołysze, i wkoło jakoś radośnie, i przestrzeń różowa.

- Cha-cha-a-cha! - optymistyczny nastrój promieniuje z kiszek i pełną parą pracującego żołądka. - Coś mi się zdaje, że przeżyjemy ten sztorm.

Kapitan pochylił się nad podłogą i przejechał po deskach wskazującym palcem. Potem wyprostował się z ciężkim westchnieniem i pod sam nos podsunął mi tłusty wiór brudu zdrapany z pokładu.

- A co ty myślisz - zaśmiał się chrapliwie. - Że tego starczyło, żebyśmy zgnili?

- O-o nie! - zaprotestowałem. - Na ten temat mam własną teorię. Zawsze mówiłem: zielsko wyschnie, gdy zabraknie wody i światła; pozdychają ryby i szczury, a ptaszki zaczną spadać, kiedy im skrzydła skleja się od chmurek. Tylko człowiek zostanie. Nie wierzysz?... Powiem ci dlaczego. Bo jest rozumny. Rozum trzeba doceniać. Zrobił z nas takie zwierzę, które potrafi przywyknąć do każdego gówna. Cha-cha-cha! Na widok jego miny rzeczywiście można zdechnąć ze śmiechu.

- Mówię ci! Nie tylko przywyknie, ale jeszcze ubije dobry interes. Odrobina reklamy i co?... Nie słyszałeś o leczniczych błotkach? Rozum znajdzie rację bytu dla każdego paskudztwa. Takie z niego bydlę! A ci, tam w dole... Widocznie nie byli zupełnie rozumni.

Nawet się nie obraził. Jeszcze w nim drzemała ta odrobina poczucia humoru. W odpowiedzi namoczył palec w resztkach wódki wylanej z przewróconego kieliszka. Potem starannie przejechał brudną krechę przez środek stolika.

- Wy nic nie wiecie o życiu - powiedział. - Dokonaliście podziału na materię organiczną i nieorganiczną. Z tej pierwszej rodzi się życie. Proste.

- Jak cię znam, to będziesz chciał coś skomplikować.

- Nie muszę nic wymyślać. Prawda jest jedna i obiektywna. Materia wszechświata jest nieorganiczna,

lecz nie jest martwa.

- Jak? Nie ma w tym zbyt wiele sensu.

- Bardzo żałuję, że nie rozumiesz. Ona jest martwa w ten sposób, jak to się wam wydaje - ciągnął swoje, jakby go wódka natchnęła motywem do filozoficznych refleksji.

- Wal, stary - pobłażliwie klepnąłem go po ramieniu. - Nie krępuj się. Nigdy nie byłem uczonym.

- Nie musi być materią wchodzącą w skład organizmów żywych, lecz może nią być. Jest potencjalnie zdolna do wejścia w takie chemiczne reakcje, które utworzą organiczne związki i dadzą początek pierwocinom żywych komórek. Choćby cały wszechświat był martwy - zawsze w każdym swym miejscu ma szansę stworzyć życie. Ma założony w sobie biogeniczny wektor. Taka jest właściwość wypełniającej go materii.

- Chyba normalne...

- Nie. Jest to szczególne prawo fizyki warunkujące możliwość wystąpienia tego zjawiska.

- Oho. A ty skąd to wiesz?

- Przede wszystkim jestem biologiem, i zdążyłem się również nauczyć waszej fizyki.

- I co ci to dało?

Jeszcze raz poprawił grubą, wilgotną krechę na blacie stolika.

- Ta oś obrazuje aktualny, wyjściowy stan otaczającej nas materii. Sama w sobie jest neutralna, tak samo, jak neutralny jest stan materii. Nie martwy ale i nie ożywiony. Dopiero spełnienie pewnych warunków prowadzi do jej wartościowania - powyżej kreski postawił krzywy plus. - Tu u góry mamy organizmy żywe.

Coś mi ten jego plus bardziej zakrawał na nagrobkowy krzyż.

- Zauważ, że nie jest to oś obdarzona wektorem. Stanowi raczej geometryczną oś transformacji.

- To znaczy... - próbowałem nadażyć za jego mętnymi wywodami. - U góry życie, pośrodku stan neutralny... Co będzie poniżej tej osi?

- Wy dokonaliście prostego założenia dualizmu materii. W jednym miejscu występuje życie, w innym go brak. Naiwne. Tam, gdzie nie występuje życie, atomy pewnych pierwiastków łączą się z innymi, zawiązują mikrocząsteczki, tworzą białka, tłuszcze i wielocukry, enzymy i nukleoproteiny... Potem pierwsze komórki, wirusy i geny. A więc musi istnieć jakiś czynnik motywujący istnienie biogenetycznych właściwości tej materii. Gdyby wystąpił jego brak, mielibyśmy do czynienia z trzecim stanem materii.

Poniżej brudnej krechy, obrazującej oś materii w jego poronionej teorii, namazał wielki minus.

- Dopiero tutaj zaczyna się stan materii prawdziwie martwej - powiedział.

- Coś w tym można uprościć - zauważyłem. - Zamiast tych plusów, minusów i osi transformacji wystarczy postawić...

Mówiąc to nakreśliłem na stole jedno wielkie zero.

- Cha-cha-cha! - parsknąłem śmiechem.

Aż go uniosło, pchnęło pod sufit na wysokiej fali. Chwilę dygotał, jakby się otrząsał z prysznic morskiej piany, i wymachiwał mi przed nosem zaciśniętą pięścią. Śmiałem się dalej. Usiadł z powrotem i tylko łokciem wściekle zgarnął na podłogę zeszyty komiksów.

- Jesteś zbyt głupi, żeby zrozumieć - wysapał mi w samo ucho. - Jak wszyscy... U was się nikt nie zastanawiał, dlaczego na Ziemi tylko węgiel jest zdolny utworzyć około miliona różnych związków. O tak! Potrafiliście dyskutować... Nie wyciągając napraszających się wniosków.

- Genialna idea czekała na swego geniusza - mrugnąłem okiem.

- A przecież jest to wyznacznik poziomu biogenetycznej wydolności materii w ogóle. W całym Wszechświecie. Jak w spektralnym rozszczepieniu światła linie widmowe atomów wysyłających światło zajmują charakterystyczne miejsca, tak samo biogenetyczna aktywność danych pierwiastków tworzy

własną gradację w układzie okresowym i w skali czasu Wszechświata. Gdyż materia ulega ewolucji. Przed bilionem lat zdolnością organizacji makrocząsteczek rozporządzał zupełnie inny pierwiastek. Minie następny miliard lat i wskazówka przesunie się, miejsce węgla zajmie krzem, wolfram lub rtęć. Na tym polega biogenetyczna ewolucja materii...

Siedziałem kołysząc się nad stolikiem. Diabli nadali ten sztorm.

- Z biogenetycznej skali łatwo odczytać wiek Wszechświata - gimnastykował się stary kapitan. - Dzisiaj podstawą jest węgiel. Przypomnij sobie okresowy układ pierwiastków... A jeszcze w gwiazdach... w waszych własnych laboratoriach powstają wciąż nowe, jeszcze nietrwałe, rozpadające się w ułamkach sekund... Lecz kiedyś przyjdzie ich czas...

Niby sztorm, a wkoło spokój nieważki. Tylko wiatr pojękuje za ścianami, a kapitan mamrocze wciąż swoje. Można przywyknąć. W podświadomości kołacze się motyw jakiejś starej piosenki: "... hej-ej, ho!" Trzeba się skupić i przypomnieć. Wtedy można będzie roześmiać się nad uczoną dysputą kapitana i odezwać się doń po imieniu. Można go będzie nazwać tym prawdziwym imieniem, które ukrywa tak pilnie.

- Całość biomasy stanowi zaledwie 0,001% masy naszej planety, ale to bardzo dynamiczny układ...

Tylko podziwiać, jak mu sprawnie idzie. Nie zająknie się nawet przy cyferkach. Jak na uniwersyteckim wykładzie, i głos nie zadrży i język się nie zapłaczę.

Czego taki facet szuka na tej łajbie?

-... A wy myślicie, że to takie proste: wibrują atomy, ocierają się zewnętrznymi powłokami elektronowymi, łączą z innymi, składają większe cegiełki, żeby zbudować tę pierwszą komórkę; potem szarpia się w mięśniach i ścięgnach, przewodzą elektrostatyczne napięcia nerwowych włókien, perforują DNA i RNA; co trzeba - spalają, rozładują energię nagromadzoną w makrocząsteczkach i tak aż do produktów końcowych przemiany materii. Minie trochę czasu i można zaczynać od początku. Pobożne życzenia. Na zamówienie stworzyliście sobie perpetuum mobile. Łatwo tego dokonać mając do dyspozycji źródło energii w niebie...

- Pewnie u Pana Boga - zakpiłem.

- Właśnie. Waszym Bogiem jest Słońce. Ono jest pierwszym i podstawowym źródłem energii, która w złożonych cyklach pośredniego metabolizmu zostaje w formie przyswajalnej dla organizmu kumulowana w makroenergetycznych wiązaniach kwasu adenozyntrójfosforowego.

Zadumał się przez chwilę.

- Do nas nigdy nie docierały widzialne przez was promienie słońca - powiedział cicho. A jednak byliśmy również w sferze jego wpływów...

- Wiem, wiem! - machnąłem ręką. - Chcesz powiedzieć, że wy to relikty tego, co było przed węglem. Co to było takiego?

Westchnął ciężko.

- I tak nie zrozumiesz - powiedział. - Dla was ośrodkiem dyspozycyjnym ziemskiej biosfery jest Słońce z jego widzialnym promieniowaniem. Lecz Słońce poza tym stanowi część składową większej części. Jest równocześnie dysponentem i ogniskiem podporządkowanym ogólnym prawom Wszechświata.

- Prawo jest prawem - stwierdziłem filozoficznie.

- Myślisz, że prawa fizyki odkrywane w ziemskich laboratoriach, będąc reprezentatywnymi dla obecnego stanu Wszechświata, są również niezmiennie w czasie? Ewolucji ulega tak samo materia kosmosu, jak rządzące nią prawa fizyki. Właściwości atomów są określone przez pewne stałe fizyczne, i dla przykładu, częstość linii widmowych każdego pierwiastka łatwo obliczyć znając następujące wielkości: masy i ładunki elektronu oraz protonu, prędkość światła i stałą Plancka. Jednak te wielkości - niby stałe - też się zmieniają, ewoluują, gdyż są pochodną nam niewiadomego metabolizmuatego

Wszechświata. Dla was na przykład teoria tłumacząca efekt Dopplera, polegający na przesunięciu ku podczerwieni linii widmowych światła, bynajmniej nie jako efekt zawrotnej ucieczki rozbiegających się galaktyk, lecz jako wynik zmiany w skali czasu jednej ze znanych nam wielkości starych - prędkości światła... pozostała tylko teorią.

- Po co mi mówisz o tym wszystkim? - zapytałem. - Nudne. Lepiej się zastanówmy, czemu utopił się Silver.

- Kto?

- A... chciałem powiedzieć: Fletcher.

- Zapomnij o nim. Albo mnie wysłuchaj do końca. To wszystko się wiąże. Nawet śmierć Fletchera. Sam zrozumiesz. Ale najpierw musisz pojąć i poznać właściwy obraz kosmosu.

Odruchowo obejrzałem się na drzwi do kubryku, jakby stutonowy kalmar już wtykał koniec macki przez dziurkę od klucza - kiedy trzaśnie zamek to nas stąd wywlecze za nogi. I amen.

- W kosmosie nic nie ma stałego. Zmieniają się również sięgające powierzchni Ziemi dyspozycje Słońca. To tylko w skali istnienia waszej cywilizacji prawa fizyki wydają się stałe. My żyliśmy dłużej... Mówiłem ci przecież; to była cywilizacja starsza niż lądy. Niewiele docierało do nas z makrokosmosu, lecz poznaliśmy prawa mikroświata, a te znajdują swoje analogie również w kosmicznej przestrzeni. Dlatego możesz mi wierzyć. Przez miliardy lat niepostrzeżenie modyfikuje się charakter energii świetlnej i właściwości przestrzeni, zmieniają się masy elektronów i protonów. Był czas, kiedy nie miała najmniejszego sensu teoria atomu Nielsa i Bohra i znów przyjdzie chwila, gdy trzeba będzie tworzyć nową. Może w istocie za czasów Demokryta i Epikura atom był niepodzielny? Wszystko się zmienia...

- Pantha rei! - zawołałem i znacząco uniosłem do góry wskazujący palec.

- Wysłuchaj mnie. Już dzisiaj na miliardy atomów węgla, które uczestniczą w pozornie wiecznym kołowrocie naturalnej biocenozy, zostaje jeden odrzucony. Bezwrotnie. Materia też się zużywa. Tak to przynajmniej można określić. Złuszcza się jak naskórek, i każda umierająca żywa istota, każda rozpadająca się makrocząsteczka organicznych związków - mikroskopijną część swej masy spisuje na straty. To jest zmęczenie materii, zmęczenie życiem. Już nie tylko na poziomie molekuł, lecz samych atomów, i kiedy umiera człowiek, gdy wysycha drzewo lub rozkłada się inna padlina - powstaje kilka atomów wyłączonych z biocenozy...

- Bzdura - zaprotestowałem na wszelki wypadek.

Utkwił we mnie spojrzenie swoich oczu, wtłoczonych w - oczodół, a jednocześnie jakby ledwie trzymających się na skręconych szypułkach nerwu wzrokowego, gotowych wystrzelić spod czaszki dwa ramiona mątwy zakończone ocznymi gałkami.

Zastanawiałem się, skąd tyle w nim siły, żeby zawracać sobie głowę takimi problemami? Ruina człowieka, w której tylko skrzep szarych komórek pracuje jeszcze, choć dawno powinien pójść w ślad za resztą nadpsutych tkanek - zimnym sercem i pękniętym rybim pęcherzem w miejscu płuc. Na szczęście miałem go w ręku. Wystarczyło pochylić się i zajrzeć pod stół.

Hm - pomyślałem trochę. - Może masz rację.

Od razu inaczej załśniły mu oczy. Zabawny facet, z zadowolenia nadał się jak balon. Dla niego jedynym źródłem energii pewnie jest świadomość, że ktoś jeszcze wierzy w jego paranoję.

Wrócił palcem do napaćkanego na stole schematu i mocniej rozmazał wielki minus.

- Dopiero tutaj zaczyna się prawdziwie martwa materia - powtórzył. - Nie tam, gdzie istnieje życie, i nie tam, gdzie go brak, lecz może wystąpić. Tutaj nawet nie ma szansy wystąpienia takiego zjawiska... Oczywiście w naszym rozumieniu...

- Tak, tak! Doskonale! - zawołałem. - nareszcie do mnie dotarło! Powiadasz: kiedy śmierć?... Teraz rozumiem, czemu psy wyją, kiedy ktoś umiera!

Przypomniałem sobie, jak kiedyś chciano zważyć duszę - kładziono na wagę umierającego człowieka i - w rzeczy samej! - szala zawsze drgnęła wraz z ostatnim wydanym przez niego oddechem.

- Psy mają dobry węch! One wietrzą cząstkę tego paskudztwa... co idzie na straty... Wyjałowiona materia! Cha-cha-cha! To musi być okropny zaduch. Brr!

Aż się wstrząsnąłem, ale on dalej brał wszystko za dobrą monetę. Niech mu tam. Za to coraz raźniej i weselej.

- W waszym świecie jest to, na razie, ilość mikroskopijna - szeptał natrętnie. - Trudno ją wyodrębnić nawet w laboratoriach. Przecież poszczególne atomy w niczym się dla was nie różnią od tych uczestniczących jeszcze w trawiennych procesach biosfery...

- Sprytne - znacząco skinąłem głową. - Nikt nie widział, nikt nie słyszał, a jest.

- Jest!

- Gdzie? - rozejrzałem się wkoło.

- Istnieje w takich miejscach, gdzie nie dociera powierzchniowa dynamika powietrza i hydrosfery.

- O-o! - jęknąłem przeczuwając kolejną anegdotkę z życia morskiej głębi.

- Na głębokości jedenastu tysięcy metrów, na dnie tektonicznego rowu panuje absolutny bezruch. Tam przez miliardy lat osiada z powierzchni martwy plankton, przegniłe i wyjałowione resztki, ostateczne produkty rozpadu wszelkiej organizacji. To naturalny śmietnik. Ściek przeznaczony na odchody - nie tylko przez cywilizację homo sapiens. Nie wymyśliliście nic nowego. Biosfera to też fabryka. Już miliardy lat przed wami założyła swój własny śmietnik, i tam odkłada szlam materii.

- Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...

On był niesamowity, ten stary kapitan. Mógł chyba tak ciągnąć w nieskończoność, i na poczekaniu tworzyć niestworzone rzeczy. "Śmiertelnik biosfery" - wyborny pomysł jak na drugą godzinę ślęczenia nad niecałym litrem Sprytne jest. ale nie przechytrzy prawdziwego morskiego wilka. Wystarczy zajrzeć pod stół. Pewnie dla niepoznaki podgiął pod krzesło jedną nogę. Drewniane szrudło - ot co! Jeżeli jest, wtedy on...

- Cha-cha-cha! Do-skonałe - od środka pierś rozsadza fala zachwyty. - Też wam przyszło... żyć na śmietniku. Znasz przypowieść o Hiobie? I u nas był taki jeden, co siedział na gnoju. Paskudna sprawa. Wypijemy lepiej i nie martw się. Pluń na to. Pamiętasz, jak kiedyś śpiewaliśmy razem: "hej, ho, na umrzyka skrzyni..." Co?

- O czym ty?

- Tylko się nie wykręcaj. Nareszcie cię mam. Chcesz, to ci powiem, kim jesteś.

- Mój dom był tam, gdzie teraz tylko jezioro martwej wody - kluczył z uporem. - Na samym dnie. Tam teraz tylko osad śmierci. Popiół.

Palnąłem się w czoło. Drewniana noga - nareszcie wiem!

- Jesteś kapitan Flint!

-... On leży jak asfalt. Grząski i lepki. Pochłaniający każdy żywy atom... Śmierć też jest względna... Naprawdę istnieje tylko w naszym pojęciu. A tam... Właściwości atomów były inne przed miliardami lat, a tamte, nawarstwiająca się na dnie, są załączkiem materii, jaka wypełni kosmos po następnym miliardzie lat. Ona rządzi się własnymi prawami. Dla nas to śmierć... Lecz w tamtym nowym Wszechświecie zawiązać się może jakaś inna organizacja...

- O tak! Z całą pewnością... Hej, ho! Cha-cha-a-ach!

- W tym osobliwym jeziorze na dnie już rodzi się coś. Kiedy wystąpi z brzegów i ogarnie świat, będzie dla was tylko posiewem ostatecznej śmierci. Zostanie martwy glob. Życie wypala się jak wodór w jądrowych reaktorach gwiazd. Lecz samo w sobie, to coś...

- Cha-cha-cha! Zdumiewające! Termiczna śmierć Wszechświata i biologiczna śmierć Wszechświata...

Dostałeś gorączki, kapitanie Flincie! To tropikalne delirium. Majaczysz. Lepiej zaśpiewajmy razem. No? Pamiętaj jeszcze:

*Gdy wypływał z portu siary bryg,
Jego losów nie znał wtedy nikt,
Nikt nie wiedział o tym, że
Statkiem-widmem stanie się - stary bryg.
Hej, ho, umrzyka skrzyjni...*

- Zapomniałeś? - spytałem celując palcem między oczy kapitana Flinta. - Hej, ho... i butelka rumu! Ziemia to też statek. Stary bryg. Żeglujemy sobie w przestrzeni... Hej, ho! Co tam śmierć. Przeżyjemy jeszcze niejednego taki rejs.

- Tam rządzą inne prawa...

Kapitańska papuga łypie naiwnie wytrzeszczonymi ślepiami. Ze skrzypieniem, jak zardzewiały zamek kufra, otwiera i zamyka dziób.

- Śmierć jest względna - powtarza. - Z pokładów martwego szlamu już narodził się nowy Biom. I nie ma w nim tłuszczu, węglowodanów ani białek. Nic z tego, do czego przywykliście... A jednak drzemie i tylko cierpliwie wchłania każdy atom, któremu pomogliście wypaść z układu krążenia biosfery.

- Powiadasz: narodził się?

- Na śmietniku. To on pochłonął resztki tego miasta. Nasza śmierć była dlań zastrzykiem nowych sił, jak jest nim śmierć każdego człowieka i każdej rośliny, których zgon następuje poza zawężającym się kręgiem naturalnej biocenozy...

Kiedyś zwyrodniała tkanka materii wypełni cały ocean i wypełźnie na brzeg... Masa bardziej tajemnicza od plazmy i pramaterii. Pod jej dotykiem rozsypią się resztki żywej pleśni, która do tego czasu przetrwa na powierzchni ziemi...

- Pożre nas! O-o, cha-cha-cha! Hej, ho... Co z załogą zrobił stary bryg, Tego też nie zgadnie chyba nikt.

Czy zostawił w porcie ją, Czy na morza dnie - nikt nie wie gdzie...

Chciało mi się śmiać, śmiać i jeszcze raz - do utraty tchu. Aż żołądkiem wstrząsały łaskotliwie kurcze i do gardła podchodził gorzki smok. Śmiech skręcający każdą komórkę ciała, zachłystujący jaźń płasaniem widmowych plam. Szara przestrzeń i wiatr! papuga kapitana Flinta wciąż się kołysze tuż przed oczami. Gadający ptak. I brygiem zarzuca na stojącej dęba fali.

Coraz trudniej utrzymać ster. Pod pokładem żałośnie stękają drewniane wręgi kadłuba, a łby fal zawzięcie łomoczą o burty. Gdy idzie sztorm - można się tylko śmiać.

- Hej, ho! - i nogi szeroko. - Cha-cha-cha-a... Dwóch tylko na starym okręcie. Kapitan i sternik. Dwóch, choć z kapitana niewielki pożytek. Flint majaczy w gorączce. Kiedyś wszystko skupić się musi na nieudanym sterniku. Pech. I nie widać schronienia na samotnej wyspie, w osłoniętej przed wiatrem zatoczce. Papuga skrzeczy jak głodna rybitwa. Pluje zieloną śliną. To piana. Bryzgi spienionych fal. A dokoła przestrzeń sinych mgieł, i gdzie nie spojrzysz - wszędzie wodny pył, zawieszony w powietrzu kurz. I próżnia. Niby dmie wiatr, a cisza zupełna. Silentium Universum. Strzępy żagli na masztach i łopot czarnych flag. Statek przemieszcza się w pustym kontinuum. Kosmiczny rejs. Przewód oceanu rozwinięty na miliardy lat świetlnych w przód i wstecz.

Jakie to potworne uczucie, kiedy zostałeś zupełnie sam. Przy sterach wymarłego okrętu. Sam, gdy dziób drąży mrok, trzeszczą pokłady i poszycie burt, a po falach nadbiega kolejny szkwał.

- Czasami zdaje mi się - mamrocze kapitan Flint - że on posiada świadomość.

W mroku ledwie majaczy jego twarz. Żółty kosmyk włosów i w oczach diabelski blask. Obłąd.

Gdybyś wiedział, jakie to straszne widzieć z bliska ten czarny, gładki grzbiet. Jest jak nalot sadzy albo zwierciadło asfaltu szeroko rozlane po dnie... Drzemie i czeka.

- On myśli! Na pewno.

- Skąd wiesz? - kapitan Flint opiera się o ster i natrętnie podtyka swoją cuchnącą twarz.

- Sam mówiłeś - inne prawa. Inne warunki przestrzeni. Tam, stary - ech! - tam można srać na społeczeństwo jako warunek rozwoju osobowości... On mógł tam sam, indywidualnie - chichoczę w kułak, a on patrzy i czeka, jakby na Bożym sądzie oczekiwał wyroku. - Jest wielki jak żelazna góra. Oczy ma pod spodem. Czarne źrenice, jak igły wbite w skaliste dno. To jego elektrody, wypustki termoelektrycznych ogniwi, które widzą do samego wnętrza Ziemi. Przez gardła wulkanów sięgają w płynne jądro globu i czerpią energię, wysysają ją...

Nowy wstrząs.

- Cha-cha-a-cha!

Statek kładzie się na lewą burtę. Maszty strzępami lin siekają brzuchy fal. Chmury nisko nad wodą. Ciążą jak smog. Gonią na białych odnóżach, wiotkich pseudopodiach, na strzępach mgieł. W skotłowanym półmroku pęka jasny prześwit.

- Patrz tam! - jedną ręką wskazuje kierunek, drugą kurczowo trzyma ster.

Promienie słońca przebiły szary, kamienny strop. Światło roziskrza się w szklanych kulach piany. Perli się, musuje krwawozłotym płynem, przez moment rozpala ognisko tęczowych barw i - gaśnie nagle.

Kapitan Flint powoli obraca się na swym drewnianym szczudle. Ręką przysłania oczy i patrzy w dal.

Promienie słońca wciąż jasną kolumną biją w środek oceanu. Jak zesłany z nieba świetlny znak. Program założony w komputer. Czas się przebudzić! Promień sięga największej głębiny i już nic - z bryzgów piany nie potrafi oderwać się bodaj jeden tęczy kwant.

Rozstępują się fale. Wir potwornego golfstromu. Z rozwartej otchłani wyłania się czarny grzbiet.

- Widzisz?! Mówiłem! - staram się przekrzyczeć świst wiatru i huk fal. - On jest spragniony! Łaknie energii, której zabrakło w wysanym jądrze Ziemi. Więc się oderwał od dna! Wypływa... To on. Słyszysz, jak wyje wiatr? Gorzej niż sfera psów węszących śmierć! Cha-a-cha! Z podkulonymi ogonami będą uciekać, kiedy dosięgnie brzegu i czarną powodzią wypełźnie na ląd. I będzie chłonał światło. W swym wnętrzu spowolni jego bieg i zatrzyma na zawsze... Nie wypuści. Potem rozwinie skrzydła i uleci w przestrzeń, żeby z próżni kosmosu pochwycić peleng światła. Wtedy runie w najgorętsze ognisko...

Krzyczałem tak długo, aż cofnął się kapitan Flint. Rozpłynęła się jego sina twarz i tylko słychać było, jak odstepuje powłócząc nogą i o pokład stuka drewnianą kulą.

- Cha-cha-a-aL.

Puściłem ster i szybko rozpostartymi ramionami spróbowałem pochwycić wiatr. Na łaskę fal zdany statek leciał wprost na wystający z oceanu grzyb absolutnej czerni. W ryku wichury coraz bliżej był garb magnetycznej góry, która żywe komórki wrywa z ciała jak gwoździe z poszycia okrętu, i słychać było trzask, z jakim dziób pęka i łamią się maszty, a ty sam próżno usiłujesz zatrzymać tułów walący się twarzą w przód, nieuchronnie naprzeciw potwornej chmury.

Źrenica otwarta w przestrzeni. Czarna dziura. Kolaps, śmierć.

Tylko na kapitańskim mostku twardo stoi Flint. Jak widmo z "Latającego Holendra". Pewnie ma dobrą uciechę. Sterczy na skraju otchłani i śpiewa skrzekliwym niby krzyk mew głosem, na przekór wichrom, bałwanom i resztkom pleśni, urągając przeznaczeniu i śmierci, chrapliwie rzuca w nadlatującą czerń:

Przepowiednia zła jest, że ho, ho!

*Kto go spotka, mamy tego los.
Ale my nie martwmy się,
Hej, nie martwmy się - rum jeszcze jest!*

I kiedy jesteś już ledwie resztką jaźni wyrwanej spod czerepu, rozcieńczoną w próżni - w twym odwołku pozbawionym materii lęgnie się Stwór Trzeci. Lepi olbrzymie ciało na śmietniku energii. W nim dojrzewa ten czwarty, chłonący czasoprzestrzeń, który ostatnią pętlę skręca na twym gardle.

I kiedy jesteś ledwie praatomem zawierającym cały wszechświat - z zamierzchłej przeszłości, z przestrzeni mierzonej miliardem lat biegu światła - też zaklętej w tobie, słyszysz ciągle te słowa: "Hej, ho, na umrzyka skrzyni..." I straszny żal trawi to, co z ciebie zostało w kolapsującej biosferze, i - mamrocząc pijacką pieśń - walisz się twarzą na stół.

Wpierając dłonie w mokry blat uniosłem głowę.

Gropius siedział naprzeciw z jakimś dziwnie natchnionym, zastygłym spojrzeniem. Jakby tylko co dostrzegł wizję Apokalipsy. Patrzył tak, jakby przez źrenice swych oczu wycofał do środka końce stalowych nici, które uprzednio przeniknęły moje ciało i mózg. Szyderczy uśmiech błąkał się na jego wargach.

- Teraz rozumiesz, dlaczego odszedł Fletcher - powiedział.

Mętym wzrokiem powiodłem po otoczeniu. Za ścianą warknął motor. Pewnie nas goni motorowy kuter. Przejechałem dłonią po czole, z którego jeszcze ściekały krople wódki rozlanej po stole. Dureń. Skończony osioł. Ubzdurał sobie łajbę na sztormowej fali. A Gropius tylko patrzy, słucha i śmieje się.

- D-dlacz-czego? - wykrztusiłem pokonując skurcz gardła i zawroty głowy.

- Fletcher mógł przeżyć wszystkich.

- To źle?

- Jest jeden wyjątek, kiedy człowiek nie lęka się śmierci.

- Instynkt samozachowawczy...

- Nie życzę ci, żebyś został ostatni.

Znowu warkot motoru. Myślałem już, że to Stubs ze zniecierpliwienia daje mi ponaglące znaki. Lecz sierżant był cierpliwy, jak przystało na niższego rangą funkcjonariusza prowincjonalnej policji. Natomiast źródło dźwięku błyskawicznie zmieniło kierunek. Widocznie inny samochód wyskoczył zza zakrętu. Autostradą RO.M-57 przemknął wzdłuż nabrzeża. Wraca pogoda i na trasę ruszają ci wszyscy, którzy w czasie deszczu nie śmieli wytknąć nosa ze swoich betonowych willi-schronów, gdzie, głęboko pod ziemią, mają zamiar przetrwać nie tylko deszcz.

- Wypijmy na intencję biednych duszyczek, które już odeszły, oraz tych, co niedługo dołączą - wciąż jeszcze plotłem od rzeczy. - Tak bardzo się różnimy, ale to w środku...

Uderzyłem się w pierś.

- To w środku chyba z jednej gliny. Nawet alkohol działa z równym powodzeniem.

Nie zwrócił uwagi na kpinę pod jego adresem.

- Przypadek - mruknął bardziej do siebie niż do mnie. - Ale to dobrze. Ma to swoje dobre strony...

Wódka pozwala zapomnieć.

- No to wypijmy.

- Ostatni raz.

- Choćbyś chciał - zauważyłem i smętnie popatrzyłem na ostatnie krople whisky kapiącej z butelki przechylonej szyjką w dół.

Chciałem go objąć, ale tym razem stanowczo oswobodził się spod mojego ramienia. Odepchnął krzesło, które wywaliło się pod sąsiedni stolik i stanął wyprostowany. Chwiał się nieco, lecz dość

sprawnie wziął do ręki kieliszek.

- Twoje zdrowie - wznosił toast i dodał - przyjacielu. Zakrztusił się, jak za pierwszym razem, i dla pewności wsparł ręką o ścianę. Jeszcze wyżej podniósł głowę niczym królewski grenadier przed zmianą warty.

- Niewiele mi już zostało - powiedział. - Ale przedtem chciałbym wrócić tam, skąd przyszedłem.

- Załatwimy przy okazji - jeszcze raz spróbowałem obrócić to w żart.

- Podobno u was nawet zwierzęta umierają w ten sposób. Sztywnym krokiem ruszył do wyjścia.

Patrzyłem za nim z pobłażaniem. Piwo i wódka zrobiły swoje, do reszty przewróciły mu w głowie.

- Nie wygłupiaj się - rzuciłem, ale nie dosłyszał lub specjalnie nie zwrócił uwagi.

- Żegnaj - powiedział od drzwi.

Żałośnie skrzypnęły zawiasy. W najdalszym kącie znowu osypał się tynk. Samotna mucha, co przed godziną przysnęła na lampie, obudziła się i teraz zawzięcie bżykała wokół zapaskudzonej żarówki. Trzasnęły drzwi. Chwilowy przeciąg zmaćił zawieszoną tytoniowego dymu, odwrócił przedostatnią stronę komiksu zwalonego na podłogę i jaskrawo podmalowane oczy wampa znów uśmiechały się z okładki. Zdawało się, że Barbarella uwodzicielsko porusza biodrami.

Jak to było? Aha: w dobrym komiksie prędzej czy później pojawia się taka dziewczyna.

- P-pomyśl-nych w-wiat-rów, Sindbadzie Żeglarzu - ostatkiem sił hamując czkawkę powiedziałem do którejś ze ścian i pomachałem ręką w stronę zamkniętych drzwi.

Potem wygodniej rozparłem się na krześle i nogi założyłem wysoko na stół. Uff! W głowie szumiało, żołądek co rusz skakał do gardła. Odeszła nawet ochota na papierosa. Pomyślałem, że czas się zbierać. Stubs pewnie od półtorej godziny przeklina na czym świat stoi. Mnie jednak ogarnęło błogie lenistwo i gotów byłem pozostać tutaj choćby na noc, kiedy ten grubas wylezie z nory, żeby z niezmaconą flegmą wyprosić mnie za drzwi. Wtedy dostanie po mordzie. Och! - Dostanie tak, aż mu dolna szczęka zwiśnie na jednym zawiasie. Na razie przydałaby się jeszcze jedna butelka. Choćby setka, żeby rozwiać resztę pijackich wizji.

- Cholera! - powiedziałem głośno. - Przecież on jest bardziej pijany ode mnie.

Nagle uświadomiłem sobie, że ten człowiek naprawdę może zrobić głupstwo. Gotów serio potraktować nasze gadanie. Potem skoczy z urwiska i utonie w tej paskudnej bryi, co się kotłuje między rafami. A ja nie chcę mieć na sumieniu nawet takiego półgłówka.

Zerwałem się z miejsca, zatoczyłem i roztrącając krzesła poszedłem do drzwi. Jakiś stolik poleciał na bok. Trafiłem w ścianę i wodząc po niej rękoma zacząłem szukać drzwi. Są.

Spoza portierni wywalił się barman. Wyciąga łapska.

- Odwal się!

Trzyma za klapy marynarki, nie pozwala ruszyć się na krok.

- Nie wychodź - dyszy w samo ucho.

Pewnie, kanalia, podsłuchał całą rozmowę.

- Zostawcie go w spokoju. Niech robi, co chce!

Po drugiej stronie drzwi pisk opon. Pewnie znów jakiś szczeniak z miasta urządził na szosie próbę szybkości. Trzask pękającej dętki lub wystrzał spalin z wydechowej rury. W gardle zbiera się na wymioty, a w mózgu jazgocze coś, jakby panicznie wyło stado psów. Barman zagradza drogę. Czy oni wszyscy powariowali tutaj? Sprzysięgli się przeciwko mnie? Temu też się zdaje, że tłusty brzuch upoważnia do wydawania rozkazów.

- Ręce przy sobie!

Nie słucha. Łokieć do biodra, a potem pięścią na odlew w ten głupi, nażarty pysk.

Drzwi.

Pusto. Szosa obeschła po deszczu. Tylko jedna wielka kałuża - na wprost. Samochód na parkingu. Dobra maszyna. Kuloodporne szyby, halogeny, na dachu syrena, na drzwiczkach złotą farbą poprowadzony policyjny znak. Nikogo. Do diabła, czyżby za późno?!

Kilka kroków przez asfalt.

Na skraju kałuży wala się jego ubranie. Pomyśleć - zdejmie łachy zanim pójdzie się topić! Pijacka logika. Krawędź autostrady. Rząd czerwono-białych słupków z odblaskową gałką na zakręcie. Mruga. Tfu!

Przez barierkę przechyliłam się na urwisko. Wysoko. Żadnej wody w dole. Hej, ho - ja, a pode mną mój świat! Sursum corda! - chociaż zdychasz z pragnienia. Przecież tego nie weźmiesz do ust. Skalne urwisko i topiel pieniająca się czarnym śluzem rozdziela pasmo piaszczystej plaży. Piasek - literackie nawyki. Puszki po konserwach, fałdy polistyrenu, deski i plastikowe pojemniki walają się w szarym ile. Jaki tam piasek. Spadając nie mógł dotrzeć wody, ale też nikt nie przebył wąskiego języka plaży. W tłustym szlamie nie odcisnął się żaden ślad.

Cholernie wysoko...

Zawrót głowy i żołądek skacze do gardła. Niech sobie leci - w dół. Co za różnica - trochę więcej pomyj w rynsztoku. Ulga. Nie ma to, jak się wyrzygać nań - taki mój świat. Nareszcie. Jeszcze splunąć resztkami. Tylko gorycz żołądkowych soków pozostaje w ustach, i odór alkoholu parujący z lepkiej twarzy.

Szum spod sklepieniem czaszki jak ręką odjął. Coś tylko dalej uparcie ściska krtań i nie chce ustąpić. Powoli odwracam i się plecami do szumiącego oceanu.

Stubs biegnie, krzyczy coś.

Kałuża rozlała się na pół szosy. Wilgotny odcisk karbowanego bieżnika opony wybiega z jej środka i przesyca na dalszym odcinku asfaltu. Gdzieś tam nawraca lśniąca lakierem maszyna. Odkryty, jasnoczerwony kabriolet. Rejestracja industrialno-urbanistycznego masywu. Speszony uśmiech wampa. Płowowłosy anioł za kierownicą rzuca zdziwione spojrzenie spod poprowadzonych tuszem rzęs.

- Zdawało mi się, że wyskoczył ktoś... Nie zdążyłam nic...

Jakie to ma znaczenie? Stoję bezradnie nad ostatnią kałużą, jaka została po deszczu. Trochę wody i błota. Czy to wina tej dziewczyny, że znalazło się w tym czyjeś ubranie? Po głowie chodzi mi jedno - ciśnienie.

Lepiej będzie, jeśli ta dziewczyna nie zwróci uwagi, że marynarka zapięta na jeden guzik, a z jej rękawów sterczą puste mankiety koszuli, i trzeba szybko zebrać te różowe kartki. Zaczynają ciemnieć pływając po wodzie. Już nasiąkły wilgocią, ujawniają dziwne rysunki. To nic - kalkomania, nic nie warte, kolorowe obrazki.

Koniec komiksu, tylko dziewczyna patrzy wyczekująco.

Na horyzoncie wbiła między chmury kolumna słonecznego światła sięga powierzchni oceanu - świetlna perforowana karta.

Znak dany.

Jeśli niczego nie można zmienić, trzeba przynajmniej dbać o to, co jeszcze zostało. Dziewczyna bardziej niż ładna.

- Pani do Pernacombo?

Trzaskają drzwiczki.

Na puste szosie samotny sierżant Stubs. Nic nie rozumie.